

# BERNHARD JAUMANN

**GODZINA SZAKAŁA**

Niemiecka Nagroda Kryminalna 2011



Bernhard Jaumann

# Godzina szakala

Przełożyła Alicja Rosenau

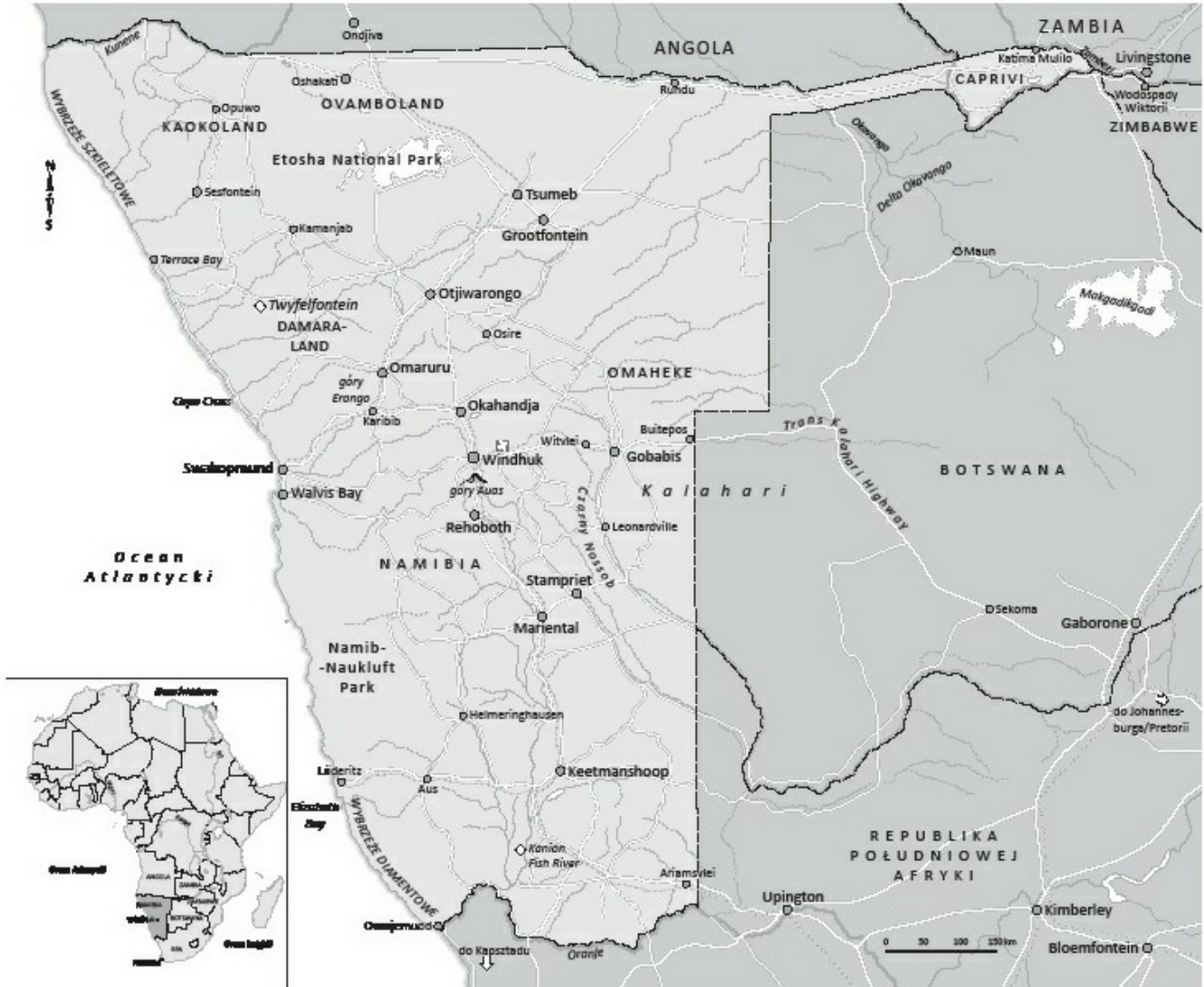


Wołowiec 2013

# Spis treści

- [Mapa](#)
- [Strzały](#)
- [Głosy](#)
- [Granice](#)
- [Sny](#)
- [Bohaterowie](#)
- [Groby](#)
- [Konieczne posłowie](#)
- [Przypisy](#)





## Strzały

Koniec kłamstw, koniec bajek. Liczy się tylko prawda, a tą prawdą jest śmierć. Może też i życie, choć jednak bardziej śmierć. Bo nie każdy może powiedzieć o sobie, że żyje, ale śmierć zapuka do wszystkich. Prędzej czy później.

Umieścił wygięty magazynek na właściwym miejscu w swoim AK-47 i upewnił się, że dobrze się trzyma. Trzydzieści naboí, 7,62 milimetra. Kiedy przechylił się na bok, poczuł, że mokra od potu koszula przykleiła mu się do pleców. Krew w jego żyłach była bliska wrzenia. Tylko przez upał. W samochodzie robiło się duszno, choć szyby były zupełnie opuszczone. Położył kałasznikowa z lewej strony na siedzeniu pasażera i odchylił się na oparcie fotela kierowcy. W radiu prezenter zapowiedział piosenkę *Summer in the City*. To była jakaś rozgłóśnia nadająca w afrikaans<sup>1</sup>, Radio Kosmos, 94,1 MHz.

Słońce dzieliła jeszcze szerokość dwóch dłoni od pasma wzgórz za Klein Windhoek River, ale nawet gdyby już zaszło, ochłodzenie byłoby niezauważalne. Tak samo jak wczoraj i przez kilka ostatnich dni. Cały

Windhuk, cała Namibia męczyła się w styczniowym upale, marząc o ciemnych chmurach z północnego wschodu, które przyniosłyby deszcz. Jednak na razie nic na to nie wskazywało. Niebo na północnym wschodzie przybrało nierzeczywisty, jasny odcień błękitu.

Wytarł dłonie o uda. Bezpiecznik jego AK-47 był ustawiony na pozycji środkowej. Ogień ciągły. Musiał tylko nacisnąć spust i nie zdejmować z niego palca. Tu nie chodziło o kłamstwo ani o prawdę. Musiał po prostu wykonać swoją pracę.

Palmy przed domem z numerem 15 rzucały długie cienie na asfalt. Do samego skrzyżowania nie było widać żywej duszy, nie tylko z powodu upału ani przez to, że Ursulastrasse była jednokierunkowa. Tutaj, w dzielnicy Ludwigsdorf, ludzie nie chodzili po ulicach. Siedzieli w swoich małych rajach, za wysokimi murami zwieńczonymi drutem kolczastym. Jeśli ktoś musiał opuścić dom, wsiadał do samochodu i zanim odjechał, upewniał się, że brama elektryczna naprawdę się za nim zamknęła. Przechodzień mógł być tutaj jedynie żebrakiem albo przestępcą. Tak samo obcy samochód parkujący przy placyku, gdzie wszyscy tylko zawracają, wkrótce zacznie budzić podejrzenia.

Ale on był na to przygotowany. Jego biała toyota corolla była kradziona. Korzystając z szablonów, namalował na niej logo agencji ochrony Group-4-Securicor. Zamówił nawet kopie tablic rejestracyjnych, na wypadek gdyby podejrzliwi mieszkańcy chcieli dzwonić do centrali. Uzyskaliby potwierdzenie, że to naprawdę jest pojazd należący do firmy. Być może te środki ostrożności były mocno przesadzone. Samochody G4S często stały przecież w różnych punktach miasta.

W kierunku doliny placyk przechodził w wąski pas wyschniętej trawy.

Kilka aloesów o czerwonych, ostro zakończonych liściach stało przed wysokim mniej więcej do pasa murkiem zabezpieczającym przed stromizną. Można było dojrzeć zaledwie szczyt dachu i antenę satelitarną położonego niżej domu, ale on wiedział, że z murku będzie miał widok na taras i znaczną część ogrodu. Słońce schowało się właśnie za wieżą ciśnień na przeciwległym wzgórzu. Zaczęło nabierać barwy pomarańczowej, choć nadal było oślepiająco jasne. Musiał zaczekać, aż zajdzie.

W radiu leciała piosenka Koosa Kombuisa *Johnny is nie dood nie*. Nie obchodziło go, czy Johnny jeszcze żyje. Wyłączył radio. Przez otwarte okno samochodu zza muru domu numer 15 doleciał go gwar dziecięcych głosów. Potem głośny plusk, jakby ktoś wskoczył do wody. Albo został do niej wepchnięty. Z odgłosu rozpryskiwanej wody dało się wyłowić prychnięcia. Na wpół połykane słowa oburzenia, których nie rozumiał. Może nie było tam nic do rozumienia. Może po prostu wszystko było, jak było. Dziecięce głosy, AK-47 na przednim siedzeniu, pot spływający po plecach, prawda, bajki, szczyt dachu z anteną i słońce, którego czerwień wsiąkała w grzbiet górski po drugiej stronie.

Nadszedł czas. Sięgnął po broń i otworzył drzwi od strony kierowcy. Ulica była opustoszała. Wysiadł. Wydawało mu się, że przez podeszwy butów czuje rozżarzony asfalt, jakby tuż pod spodem płonął ogień piekielny, ale to było tylko złudzenie. Piekło nie istniało, bo inaczej musiałyby też istnieć niebo. Wszystko to są tylko kłamstwa, bajki. Za bramą domu numer 11 rozszczękał się jakiś kundel. Kilka twardych, niskich szczeknięć, na które zaraz odpowiedziały inne psy z sąsiedztwa. Normalne. Ludzie mieszkający w tej okolicy mieli przeważnie po dwa psy: małego, nerwowego, który miał pilnować domu, i groźnego psa obronnego.

– Wszystko w porządku – mruknął.

Powoli podszedł do murku i położył na nim AK-47. Szczekanie psów stopniowo cichło. Zza ogrodzenia posesji numer 15 rozległo się wołanie dziecka:

– Daj! No już, dawaj to!

Nieco niżej, w ogrodzie, pomiędzy dwiema akacjami lśnił kawał nieprawdopodobnie zielonej trawy. Urządzenie do spryskiwania było włączone. Na tarasie siedziała na oko czternastoletnia dziewczynka i wystukiwała coś na klawiaturze komórki. To musiała być córka. Nieco dalej, po lewej stronie, rosły trzy drzewa owocowe. Sądząc po ich kształcie i liściach, były to cytryny, naartjies<sup>2</sup> albo jakieś inne cytrusy. Każdy pień otoczony był nasypem o promieniu około metra, aby w powstałym wgłębieniu mogła się zbierać woda tryskająca z węża ogrodowego. Mężczyzna, który akurat niedbale trzymał końcówkę węża, był ubrany w sprane szorty i opięty na brzuchu biały podkoszulek. Jego kark oraz twarz były tłuste i zaczerwienione, oczu nie było widać spod opuszczonego nisko daszka czapki bejsbolowej. A jednak niewątpliwie był to właściwy człowiek. Jego ofiara.

Znów wytarł ręce i ujął kałasznikowa. Kiedy ustawiał go w pozycji do strzału, poczuł, że chciałby zawołać coś do mężczyzny tam w dole. Że prędzej czy później trzeba zapłacić swoje rachunki. Że w śmierci jest więcej prawdy niż w życiu. I żeby przynajmniej ta cholerna małolata weszła do domu.

Oczywiście nie zawołał. Krótko kaszlnął. Słońce się schowało, pozostawiło po sobie tylko bladopomarańczową poświatę nad wzgórzami. Czuł, że wzbiera w nim dziwna wściekłość. Na siebie, na życie i na tego tłuściocha



tam w dole. Dlaczego musiał ubrać się w biały podkoszulek, akurat w biały podkoszulek? Dlaczego nie ciemnoczerwony albo czarny? Kto chodzi w białym podkoszulku, sam jest sobie winien, kiedy...

Ścisnął mocno kolbę AK-47, wycelował. Potem wsunął palec wskazujący pod kabłąk i nacisnął spust. Ogień ciągły. Jeszcze zanim zwolnił palec, mężczyzna upadł, nie wydając żadnego dźwięku. Wąż ogrodowy wypadł z jego dłoni, wił się i prężył jak zaatakowana kobra. Woda chlusnęła na taras. Dziewczynka zerwała się i przywarła do ceglanego muru. Twarzą do ściany.

To była ostatnia rzecz, jaką widział. Wrócił do samochodu, odłożył karabin na siedzenie, wsiadł i zapalił silnik. Na skrzyżowaniu skręcił w lewo. Nie czuł się ani gorzej, ani lepiej niż zwykle. Nawet jego serce nie zaczęło jakoś szczególnie mocniej bić. Wściekłość się rozviała, ale na jej miejsce nie pojawiło się nic innego. W przeszłości już strzelał do ludzi, ale wtedy był żołnierzem. Kiedy jeden żołnierz zabija drugiego, nikt nie nazywa tego morderstwem. Teraz jednak był mordercą. To go nie ruszało. Wyobrażał sobie, że to będzie zupełnie inne uczucie, choć nie wiedział dokładnie jakie. Kaszlnął raz, drugi. Potem włączył światła toyoty.

Była 22.27, kiedy inspektor policji kryminalnej Clemencia Garises przez komórkę dowiedziała się o morderstwie.

Telefon zastał ją w domu w Kataturze<sup>3</sup>, a że telewizor był nastawiony na cały regulator, musiała krzyczeć do słuchawki, żeby natychmiast przysłano po nią samochód. Mrukliwy kolega dyżurny przypomniał jej tylko, że jest niedziela wieczorem. Zapewnił jednak, że zobaczy, co da się zrobić. A to znaczyło, że w ogóle nie zamierza nic robić. I że nie powinna być taka

ważna. Przymuszczałnie zawiadomiono ją tylko dlatego, że starsi koledzy nie mieli najmniejszej ochoty jechać w niedzielny wieczór, żeby zbierać zwłoki jakiegoś białasa. Clemencia tymczasem się ucieszyła, że może się wyrwać z domu. Po kolacji jej rodzina wraz z połową sąsiadów rozsiadła się u nich przed telewizorem, żeby obejrzeć najlepsze sceny z trzeciej edycji *Big Brother Africa*. Przedstawicielka Namibii, która zakwalifikowała się na trzymiesięczny pobyt w domu Wielkiego Brata w Johannesburgu, wyleciała już po drugim głosowaniu. Wszyscy byli zgodni co do tego, że raczej nie przyniosła swojemu krajowi chwały. Była zbyt nieśmiała, nudna i zawsze sprawiała wrażenie, jakby nie była sobą.

– Clemencia wypadłaby o wiele lepiej – powiedziała *miki*<sup>4</sup> Matilda.

– Ja? – zdziwiła się Clemencia.

– Przecież jesteś co najmniej tak ładna jak tamta. Dlaczego się nawet nie zgłosiłaś?

Clemencia w odpowiedzi tylko machnęła ręką, ale *miki* Selma się oburzyła:

– A więc uważasz, że Clemencia powinna obmacywać się z obcymi facetami, i to na oczach całej Afryki?

– Właśnie, całej Afryki! – potwierdziła triumfująco *miki* Matilda. – Byłoby dziwne, gdyby potem co najmniej kilku nie zainteresowało się nią na poważnie. Może wreszcie znalazłaby tego jedyne.

– *Mikis*... – Clemencia próbowała zaprotestować, ale nie udało jej się dojść do głosu.

– To nie moja sprawa, tak, wiem, ale chyba można powiedzieć, co się myśli.

– W telewizji jeszcze żadna szczęścia nie znalazła – stwierdziła *miki* Selma. – Clemencia powinna się lepiej rozejrzeć w sąsiedztwie za jakimś

chłopem, co by nie pił, nie palił i...

– Trzeba wykorzystać każdą szansę – wtrąciła *miki* Matilda.

– Ogień trawi tego, kto go wzniecił – *miki* Selma rzuciła w odpowiedzi jedno ze swoich ulubionych porzekadeł, ale *miki* Matilda nie dawała się zbić z tropu.

– Ile masz lat, Clemencio? Dwadzieścia dziewięć? Trzydzieści? – dopytywała się sprytnie.

Oczywiście wiek Clemencii nie był dla niej żadną tajemnicą, ale denerwowanie się z tego powodu byłoby bez sensu. Clemencia odpowiedziała spokojnie:

– Trzydzieści jeden.

– Trzy-dzieści je-den! – *Miki* Matilda demonstracyjnie przeciągała sylaby, żeby podkreślić doniosłość tego faktu. – Kiedy ja miałam trzydzieści jeden lat, byłam już prawie babcią!

– Kiedy ty miałaś trzydzieści jeden lat, rządzą tutaj Afrykanerzy. Czasy się zmieniły. Teraz Namibia jest niepodległa, a ja jestem inspektorem policji – odparła Clemencia.

Ale równie dobrze mogła nic nie mówić, bo Matilda i Selma niewzruszone nadal dyskutowały, co przystoi kobietom trzydziestojednoletnim, a w szczególności Clemencii, więc kiedy zadzwoniła jej komórka, z ulgą odebrała.

Przeszła ponad nogami swoich krewnych, żeby wyjść za drzwi. Ceglany mur promieniował nagromadzonym w ciągu dnia ciepłem. Powietrze było przyjemne jak miękka, ciepła woda, a nad głową Clemencii rozpościerało się wygwieżdżone nocne niebo. Na jego tle niewyraźnie rysowała się wieża kościoła Holy Redeemer Parish. Gdzieś z półmroku pomiędzy parterowymi

domami i wzniesionymi wokół nich blaszanymi budami dochodził gwar niezrozumiałych rozmów, przetykany głośnymi wybuchami śmiechu. Z drugiego końca ulicy rozlegały się dudniące basy muzyki *kwaito*<sup>5</sup>. Jej źródłem był bar Mshasho<sup>6</sup>, w którym teraz młodszy brat Clemencji Melvin zapewne upijał się właśnie piwem Tombo<sup>7</sup>. Kiedyś będzie musiała po raz kolejny spróbować przemówić mu do rozumu.

Po przeciwnej stronie ulicy sąsiad zajechał przed dom swoim rozklekotanym fordem, który poprzez umieszczenie odpowiedniego oznaczenia został przerobiony na taksówkę. Z pewnością nie było to legalne, ale w tej chwili Clemencji niezbyt to przeszkadzało. Mężczyzna miał za sobą dwanaście godzin pracy i raczej nie był zachwycony prośbą sąsiadki, jednak ze względu na to, że jest ona policjantką, zgodził się zawieźć ją na drugi koniec miasta. W Kataturze trzeba było jeszcze uważać na przechodniów, ale białe dzielnice Windhuku o tej porze były jakby wymarłe. Jeśli nie zważało się na czerwone światła, można było stosunkowo szybko dotrzeć do celu. Na Nelson Mandela Avenue Clemencia kazała kierowcy wcisnąć gaz do dechy. Niecałe dziesięć minut później ford z trudem wspiął się na górę w Ludwigsburgu i już byli na miejscu. Przed zamkniętą bramą wjazdową stały dwa radiowozy policji miejskiej. Ulica nie była zablokowana, żaden policjant się nie pokazywał.

Clemencia wysiadła i odszukała przycisk dzwonka po prawej stronie bramy. Tabliczki z nazwiskiem nie było. Nacisnęła dzwonek. Powietrze nadal było gorące i lepkie, ale pachniało śmiercią. Może było to spowodowane tą niespotykaną ciszą, jakiej w Kataturze nie ma nawet w godzinach najgłębszej nocy. Clemencia zadzwoniła jeszcze raz.

Wreszcie otworzył jej policjant w mundurze. Clemencia wylegitymowała

się i poszła za nim do salonu, który był co najmniej dwa razy większy niż cały dom jej rodziny. Choć drzwi i okna były pootwierane, zasłaniała je tylko moskitiera, w pomieszczeniu panowała temperatura, jakby słońce zaszło właśnie tutaj. Mimo gorąca dziewczyna leżała z podwiniętymi nogami, wtulona w kąt sofy. Ramionami obejmowała skórzaną poduszkę i cicho chichotała sama do siebie. A może był to tłumiony szloch?

– Lekarz dał jej zastrzyk na uspokojenie – wyjaśnił szeptem policjant – ale się nie uspokoiła. Nie odpowiada na pytania i zaczyna krzyczeć, gdy tylko się do niej podejdzie. Nawet własna matka nie może się do niej zbliżyć.

Wokół stołu siedzieli jeden mężczyzna i cztery kobiety. Sami biali. Od razu było jasne, która z nich jest matką dziewczyny. Kobieta była blada, jej twarz sprawiała wrażenie stępszałej. Oczy wbiła w stojącą przed nią na stole popielniczkę. Tylko kiedy podnosiła do ust papierosa, by się łapczywie zaciągnąć, można było zauważyć drżenie jej dłoni. Clemencia przedstawiła się, ale kobieta ledwie na nią spojrzała.

– To pani prowadzi śledztwo? – zapytał po afrykanersku mężczyzna siedzący obok i zmierzył Clemencję wzrokiem.

– Świetnie, że już się pani pofatygowała, trzy i pół godziny po zabójstwie – powiedziała z goryczą jedna z przyjaciółek.

Clemencia poprosiła o krótki opis zdarzeń.

– Proszę posłuchać, *mevrouw*<sup>8</sup> van Zyl nic nie widziała – odezwał się mężczyzna. – Nie zamierza pani chyba zadawać jej tych samych cholernych pytań, na które już odpowiadała policjantom z patrolu.

Clemencia przyglądała się, jak pani van Zyl niezgrabnie gasi papierosa i zaraz zapala nowego. Przecież to nie była wina Clemencji, że zjawiała się tak późno. Rozumiała, że dla rodziny sytuacja nie była łatwa, ale czy nie



miała prawa spodziewać się większej chęci współpracy? Clemencia zapytała policjanta o miejsce znalezienia zwłok. Zaprowadził ją na taras, gdzie czekało dwóch jego kolegów, udając, że trzymają straż. Kiedy zebrani w salonie nie mogli ich słyszeć, zwróciła się do funkcjonariuszy z pretensjami. Dlaczego nie została zawiadomiona wcześniej? Ale trzech policjantów tylko wzruszyło ramionami.

– Tam!

Jeden z nich wskazał na ciemny ogród. Clemencia podeszła do kilku niewysokich drzew. Jeden z mężczyzn, którzy za nią poszli, włączył latarkę. Na trawniku wił się wąż ogrodowy. Wielka ciemna plama, widoczna w snopie światła, mogła być skrzepniętą krwią. Brakowało jakiegokolwiek oznakowania miejsca zbrodni. Nie mówiąc już o samych zwłokach.

– Ciało nie powinno tak leżeć godzinami – powiedział jeden z policjantów, tłumacząc się.

– Ach tak? – zapytała Clemencia.

– To sprowadza nieszczęście – wyjaśnił mężczyzna w mundurze policyjnym.

– Bo potem trup będzie straszyć? – zapytała Clemencia. Policjant zagryzł wargi.

No tak, skoro to sprowadzało nieszczęście, można było sobie darować porządne oznakowanie miejsca zbrodni. Wtedy lepiej zadzwonić po karawan, który zabierze zwłoki, jeszcze zanim odpowiedzialny inspektor zostanie zawiadomiony.

– Sprawca strzelał stamtąd. – Policjant oświetlił kawałek zbrocza za murem ogrodu. Światło latarki niknęło w szarych chaszczach.

– Przypuszczalnie z broni automatycznej – powiedział drugi z policjantów. Z kieszeni spodni wyciągnął plastikowy worek pełen łusek. Przynajmniej nie trzymał ich tam luzem, ale w jaki sposób je zbierał, tego Clemencia wolałaby nie wiedzieć. Zapytała, czy są jacyś świadkowie.

– Córka była przy tym, ale ona nie mówi – wyjaśnił jeden z policjantów.

– Przesłuchanie sąsiadów zostawiliśmy pani – dodał jego kolega.

Z tego, co dało się zobaczyć, w sąsiednich domach było ciemno. Biali chodzili wcześniej spać. Przecież mieli powód, żeby rano wstawać. W jej dzielnicy, w townshipie Katutura, mniej więcej pięćdziesiąt procent mieszkańców było bez pracy. Dokładnymi danymi nie dysponował nikt.

Clemencia oceniła na oko wysokość muru okalającego ogród. Około dwóch i pół metra. W świetle latarki zobaczyła przewody pod napięciem biegnące wzdłuż jego szczytu. Okazało się, że nie zdołały ochronić mężczyzny, podobnie jak system alarmowy.

Wokół panowała cisza. Tylko głośny wiatr szeleścił wśród liści drzewek cytrynowych. Clemencia wróciła do domu. Córka zamordowanego spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. Gdy Clemencia zapytała ją, jak ma na imię, dziewczyna znów zaczęła cicho kwilić. Clemencia zwróciła się do jej matki.

– Gdyby potrzebowała pani pomocy, mam tu numer psycholożki, która...

– Sam jestem lekarzem – wpadł jej w słowo mężczyzna siedzący przy stole.

– ...która specjalizuje się w tego rodzaju traumach – dokończyła Clemencia.

– Dziewczyna potrzebuje tylko spokoju! – rzucił lekarz. Zabrzmiało to raczej jak: „Niech się pani wreszcie stąd wynosi!”.

Clemencia usiadła naprzeciwko pani van Zyl.

– Bardzo mi przykro, ale niestety muszę zadać pani kilka pytań.

Pani van Zyl zaciągnęła się dymem.

– Sam na sam – dodała Clemencia. Zaczekała, aż mężczyzna i pozostałe kobiety wyjdą do kuchni, a potem zapytała: – Czy pani mąż dostawał jakieś pogróżki?

Pani van Zyl pokręciła głową i dwa, trzy razy postukała papierosem o popielniczkę. Przyjrzała się niedopałkowi, z którego unosiła się cienka smużka dymu. Na wysokości dwudziestu centymetrów zaczynała się wic i wyginać, jakby dopadły ją jakieś bóle, potem rozwiewała się i znikła powoli w coraz bledszych oparach.

Clemencia pytała dalej, choć to było męczące przedsięwzięcie. Każde słowo trzeba było z pani van Zyl niemal wyduszać, zresztą nawet wtedy nie dawało to żadnych przydatnych rezultatów. Jej mąż prowadził całkiem zwyczajne życie. Urodzony w Pretorii, szkoła, służba wojskowa, dalsza edukacja. Ponieważ pani van Zyl nie chciała opuścić swojej ojczyzny, on przeprowadził się do Windhuku. Założyli rodzinę, on doszedł do kierowniczego stanowiska, po pracy zajmował się pielęgnacją ogrodu, a w niedzielę chodził na mszę do NG Kerk<sup>9</sup>.

– Miał jakieś zainteresowania, pasje, namiętności?

Pani van Zyl wzruszyła ramionami.

– Lubił polować. I regularnie oglądał w telewizji mecze rugby klubu Springbokke.

– Coś jeszcze?

– To wszystko.

– Zaangażowanie polityczne, spekulacje giełdowe, hazard, karalność?

– Nie, nie, nie i jeszcze raz nie. – Pani van Zyl kategorycznie odrzucała każdy ewentualny motyw zbrodni, jakby przez to mogła przywrócić męża do życia.

– Najwidoczniej jednak ktoś był przekonany, że ma powód, by go zastrzelić – powiedziała cicho Clemencia.

Pani van Zyl zapaliła kolejnego papierosa. Benson & Hedges. Położyła paczkę na stole i po raz pierwszy popatrzyła Clemencji prosto w oczy. To było przelotne spojrzenie, ale policjantka wyczytała w nim wystarczająco dużo: *mevrouw* van Zyl kłamała, a przynajmniej ukrywała coś ważnego. I nadal będzie ukrywała, bo już oceniła Clemencję i uznała, że jest ona za słaba. Za młoda, zbyt niedoświadczona, przynależąca do policji, która nie budziła zaufania, i niewłaściwej rasy. To było całkiem dużo, jak na jeden raz. Clemencia wiedziała, że nic na to nie poradzi.

Najłagodniej, jak tylko potrafiła, powiedziała:

– Obiecuję, pani van Zyl, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby sprawca...

– Zastrzelcie go! – rzuciła cicho pani van Zyl.

– Postaramy się...

– Wszystko mi jedno, kto i dlaczego to zrobił. – Pani van Zyl zerwała się z krzesła i krzyczała łamiącym się głosem: – Znajdźcie go i zastrzelcie! Natychmiast! Czego pani tu jeszcze chce? No już, niech pani idzie! Niech pani zabije tego bydlaka!

Córka na sofie wydała z siebie głośniejszy jęk, a potem histeryczny wrzask zakończony rżeniem, który zdawał się odbierać jej powietrze. Lekarz, który przedtem tak ostro zrugął Clemencję, jednym szarpnięciem otworzył drzwi od kuchni i podbiegł do sofy. Za nim ukazały się kobiety, które

zaczęły uspokajać panią van Zyl.

Wprawdzie Clemencia zdawała sobie sprawę, że to niesprawiedliwe, ale wszystko wydawało jej się pozbawione sensu. Dzień w dzień biali uskarżali się, że procedury prawne są niedostatecznie przestrzegane, ale gdy tylko sami padali ofiarą przestępstwa, wszystko szło w zapomnienie. Wtedy chcieli zemsty, pragnęli widzieć lejącą się krew. A przecież wśród czarnych ryzyko śmierci w wyniku zabójstwa było dziesięć razy większe. Tylko nikt nie rwał włosów z głowy, kiedy w Kataturze szesnastolatka w drodze do ustępu padała ofiarą gwałtu i morderstwa. Albo kiedy znajdowano staruszkę zadźganą, bo nie od razu oddała trzydzieści namibijskich dolarów, za które chciała przeżyć następny tydzień. Z pewnością jednak fakt, iż *meneer*<sup>10</sup> van Zyl padł ofiarą morderstwa, zostanie nagłośniony w prasie.

– Co teraz? – zapytał jeden z policjantów z patrolu.

Clemencia wiedziała, jak się prowadzi śledztwo. Ukończyła z wyróżnieniem nie tylko wewnętrzne szkolenie w Iyambo Police College, ale jako jedyna mogła się pochwalić tytułem magistra kryminalistyki. Otrzymała stypendium, które umożliwiło jej studia w RPA. Niedawno wróciła z półrocznego pobytu w Helsinkach, opłaconego przez fiński rząd w ramach programu mającego na celu zwiększenie profesjonalizmu funkcjonariuszy państwowych z krajów Trzeciego Świata. Clemencia przyglądała się różnym wydziałom tamtejszej policji kryminalnej, zapoznawała się z technikami kryminalnymi i medycyną sądową, jeździła na miejsca zbrodni i studiowała akta wydziału zabójstw. Ale ta wiedza teraz na nic jej się nie przydawała. Teraz nie była w Finlandii, tylko w Windhuku. W Afryce Południowej. W zupełnie innym świecie.



– Zaraz kończymy zmianę – szepnął do niej policjant. – Zresztą tutaj i tak już nic nie możemy zrobić.

Clemencia wybrała numer wydziału odpowiedzialnego za badanie śladów z miejsca zbrodni. Przypuszczalnie powiedzą, że równie dobrze można zaczekać do jutra rana, skoro i tak upłynęło już tyle czasu. Ale nawet tego nie zrobili. Po prostu nikt nie odebrał telefonu. Clemencia nie wiedziała, czego nienawidzi bardziej: braku profesjonalizmu swoich kolegów czy ledwie maskowanego rasizmu białych.

Siedział w poczekalni lotniska Hosea Kutako na jednym z krzesełek połączonych w długie rzędy. Wybrał miejsce w środku, bo te cieszyły się najmniejszą popularnością. Gdyby się to opłacało, zastanowiłby się nad tym, dlaczego ludzie, którzy lubili być w centrum uwagi, w lotniskowych poczekalniach woleli siadać z boku. I dlaczego krytycznie przyglądali się każdemu, kto im te miejsca zabierał.

Nie chciał, żeby jemu też się przyglądano. Poza tym było mu obojętne, gdzie siedzi. Zresztą uznawanie za swoje miejsca, na którym siedziały już przedtem tysiące innych ludzi, i tak było nieporozumieniem. Każdy był ciągle w drodze, siedł na oślep raz tu, raz tam, tylko cel był pewny, tylko to jedno. Śmierci nie uniknie nikt.

Wstrząsnął nim kaszel. Usiadł nie dlatego, że był zmęczony czy czuł się słabo. Siedział, bo na stojąco bardziej rzucałby się w oczy. Poza tym stąd miał dobry widok na szklane drzwi, których skrzydła rozsuwały się automatycznie, kiedy pasażer mijał strefę kontroli celnej. Jakies pięć metrów przed drzwiami ustawiona była taśma, za którą gromadzili się oczekujący. Niektórzy mieli tabliczki z napisami „SWA Safaris” czy

„Karivo Lodge” albo „Rodzina Beyer”. Młodzi mężczyźni unosili swe tabliczki, ilekroć jakiś świeżo przybyły pasażer rozglądał się pytającym spojrzeniem, wszyscy prezentowali się podobnie: farmerskie kapelusze, koszule w kolorze khaki i o wiele za ciężkie buty ze skóry antylopy kudu. Żaden nie miał na sobie uniformu Group-4-Securicor.

On też miał nazwisko napisane na wielkiej kartce papieru. Położył ją na udach napisem do dołu. Między stopami postawił podłużną niebieską torbę.

– Idealna do tenisa – powiedziała ekspedientka w Sports Warehouse. – Zmieszczą się w niej nawet trzy rakiety i zostanie jeszcze wystarczająco miejsca na inne rzeczy, których pan potrzebuje.

– Doskonale – odpowiedział.

Czekał. Widział kilku turystów-myśliwych o czerwonych twarzach, jak przechodzą przez drzwi, a potem zdecydowanym krokiem zmierzają do okienka, w którym dostawali z powrotem swoją broń. Przemęczona matka niosła w ramionach jedno dziecko, a drugie ciągnęła za rękę, podążając za mężczyzną, który kierował przeładowany wózek bagażowy w stronę stanowiska firmy Avis. Za tabliczką „SWA-Safaris” powoli zbierały się barany, spoglądające po sobie wzrokiem, w którym zdawało się kryć pytanie, kto pierwszy pójdzie na rzeź.

A potem nadszedł mężczyzna, którego nazwisko widniało na jego kartce papieru. Ciągnął za sobą walizkę na kółkach, a w drugiej ręce trzymał niewielką aluminiową aktówkę. Mężczyzna był wysoki i muskularny. Choć musiał się już zbliżyć do pięćdziesiątki, był w dobrej formie. Widać było po nim, że regularnie uprawia sport. Przypuszczalnie każdego dnia po pracy spędzał dwie godziny w siłowni, zawsze o tej samej porze, zaliczał

swój stały program: rower stacjonarny, sztanga, dwadzieścia długości basenu. Mężczyzna z zasadami. Albo przynajmniej z przyzwyczajeniami.

On sam był inny. Nie pielęgnował przyzwyczajień – dawały tylko złudzenie, że życiu można narzucić jakieś zasady. Dla niego była to bezsilna próba uczynienia przyszłości przewidywalną poprzez powtarzanie ciągle tego samego. Wszystko to kłamstwo, samooszukiwanie się. Jego interesowała prawda, a prawda nie dawała się naginać. Była gorzka i niepowtarzalna, jak jej się podobało. Odkaslnął krótko, wstał, zarzucił torbę na ramię i ruszył w stronę przybysza, trzymając przed sobą kartkę z nazwiskiem.

Mężczyzna spojrział na napis, potem popatrzył nieznajomemu w oczy i zapytał:

– Czego pan sobie życzy?

– *Meneer van Zyl* mnie wysłał, żeby...

– Gdzie on jest?

– Jest mu bardzo przykro, ale nie mógł przyjechać osobiście. Mam pana do niego zawieźć.

Mężczyzna postawił walizkę i zmierzył go od stóp do głów. Zapytał:

– Prywatna firma ochroniarska?

– W Windhuku zrobiło się niebezpiecznie.

Mężczyzna posłał mu uśmiech.

– No, to dobrze, że mam pana u boku. Ruszajmy więc!

Mężczyzna chwycił rączkę walizki. Nie oglądając się, zaczął iść w stronę wyjścia z hali lotniska.

Ruszajmy więc! Jak gdyby człowiek w życiu mógł zawsze sam decydować, kiedy coś się ruszy z miejsca. Znów poczuł to samo, co

poprzedniego wieczora, złość, kiedy zobaczył, że tamten gruby Bur ma na sobie biały podkoszulek. Ten tutaj był bardziej sprężysty, miał swoje zwyczaje i nosił aluminiową walizeczkę, ale poza tym byli przecież podobni. Jacyś tam mężczyźni, którzy nie mieli pojęcia, jak bardzo się mylą w swojej ocenie, co jest naprawdę ważne.

Na parkingu otworzył bagażnik corolli i włożył do środka walizkę mężczyzny. Swoją niebieską torbę wrzucił na tylne siedzenie. Kiedy zapłacił w budce i minął szlaban, siedzący obok mężczyzna zapytał go, od jak dawna pracuje dla van Zyla.

– To tylko zlecenie – odparł.

Co van Zyl miał takiego ważnego do załatwienia? Tego nie wiedział. Tak, rzeczywiście, ten upał jest straszny. To prawda, po południu będzie jeszcze goręcej. Nie, nie ma pojęcia jak bardzo. Tak, może włączyć klimatyzację.

– Nie jest pan zbyt rozmowny? – zapytał mężczyzna.

– Chwileczkę – odparł, kierując samochód na pas piasku na poboczu. Wsiadł, otworzył sportową torbę leżącą z tyłu, wyjął kałasznikowa, przyłożył go do głowy mężczyzny na przednim siedzeniu i powiedział: – Czy teraz pan może prowadzić, *meneer* Maree?

Z węża ogrodowego kapała krew. Trawnik był czarny. Drzewka cytrynowe podzwaniały na wietrze. Zamiast owoców miały na gałęziach łuski po nabojach. Biała dziewczynka przyciskała do siebie skórzaną poduszkę i krzyczała. Jakiś mężczyzna z szyderczym uśmiechem na twarzy podchodził coraz bliżej i bliżej. Nachylił się. Tak bardzo, że jego twarz stała się nieostra, rozplynęła się. Zamiast niego nagle pojawiła się noc z jej przemykającymi cieniami, a gdzieś niedaleko rozlegało się głucho

dudnienie obciągniętych kozią skórą bębnów. Rytmiczne, monotonne, nieustające, jakby chodziło o to, żeby wypełnić jakiś mroczny rytuał, przetańczyć ciemną noc nowiu, żeby rankiem paść w stanie całkowitego wyczerpania i zasnąć obok popiołu dawno wygasłego ogniska.

Clemencia Garises otworzyła oczy. Leżała naga na łóżku. Musiała upłynąć chwila lub dwie, żeby odzyskała orientację. Nie była ani na odludziu pustyni Kalahari, ani przy ognisku w pasterskiej osadzie w Kaokoland. Była w swoim pokoju, w domu, w którym dorastała. W Kataturze, ojczyźnie stu siedemdziesięciu tysięcy ludzi, w której kipiało życie, a śmierć była wszechobecna, i w której było wiele, niemal wszystko, ale nie było nikogo, kto bębniłby na tam-tamach jak w hollywoodzkim filmie o safari w dzikich ostępach Afryki. Clemencia usiadła na łóżku. Bębnienie dochodziło od strony drzwi.

– Otwórz! – krzyczała *miki* Matilda, szarpiąc za klamkę z drugiej strony.

Clemencia zawsze zamykała się na klucz. Nie dlatego, że bała się napadów, ale musiała bronić zębami i pazurami swojego małego królestwa przed próbami inwazji ze strony rodziny. To prawda, domek miał tylko dwa pokoje, więc nadużyciem mogło się wydawać anektowanie jednego z nich tylko dla siebie, podczas gdy jej ośmiu, w porywach do dwunastu, krewnych mieszkających pod jednym dachem musiało dzielić się jednym pokojem i blaszanymi barakami, którymi przez lata zastawiono ogród i teren przed domem. Ale Clemencia po prostu potrzebowała własnego kąta.

Są dwie możliwości, oświadczyła, kiedy dostała pracę w policji: albo wynajmę sobie małe mieszkanie w centrum i wydam na to dwie trzecie mojej pensji, albo będę dokładać te pieniądze do domowego budżetu, ale



wtedy chcę mieć pokój tylko dla siebie. Rada rodzinna przegłosowała drugą propozycję, co jednak nie oznaczało, że warunek Clemencji naprawdę został zaakceptowany. Wręcz przeciwnie, dzień w dzień musiała walczyć o odrobinę prywatności. Coraz częściej miała tego dość i była prawie zdecydowana się wyprowadzić, ale to było niemożliwe, jeśli nie chciała zepchnąć swojej rodziny w nędzę. Niewielki stragan z warzywami, który *miki* Selma prowadziła przed domem, prawie nie przynosił zysków. Siostra Clemencji Constancia dwa razy w tygodniu chodziła sprzątać w Klein Windhoek, ale poza tym nikt nie miał regularnych dochodów. Bez pieniędzy Clemencji byłoby ciężko. A jej brat z pewnością zszedłby na złą drogę. O ile już się na niej nie znajdował.

– Otwórz wreszcie te drzwi! – zawołała *miki* Matilda.

Clemencia narzuciła coś na siebie i otworzyła.

– Co jest?

*Miki* Matilda pogratulowała Clemencji zdrowego snu, na jednym oddechu dodając, że o tej porze roku poranki są najpiękniejsze, czy raczej są jedyną znośną częścią dnia. Nie wolno ich marnować, tylko trzeba z werwą zabrać się do dzieła, zwłaszcza kiedy człowiek ma tyle szczęścia, że cieszy się dobrym zdrowiem jak one obie, Clemencia i Matilda, czego, niestety, nie można powiedzieć o wszystkich bliźnich.

– Czego chcesz? – zapytała Clemencia.

– Chodzi o Josepha Tjironde. Nie znasz go. Przyjaciel Petrusa. Mieszka z rodziną na obrzeżach Wanahedy<sup>11</sup>.

– A co z nim? – pytała dalej Clemencia.

Tego *miki* Matilda tak dokładnie nie wiedziała. Przypuszczalnie było to coś poważnego, bo syn Josepha mówił bardzo przygnębionym głosem.

Niestety nie mógł tego wytłumaczyć, bo kończyły mu się impulsy, ale *miki* Matilda musi koniecznie natychmiast oddzwonić. I trach, zaraz odłożył.

– No to dlaczego nie oddzwonisz? – zdziwiła się Clemencia.

– Ja też już nie mam impulsów – przyznała *miki* Matilda.

Clemencia wróciła do pokoju po swoją komórkę. Pilnowała przy tym, żeby *miki* Matilda nie podejrziała kodu, który wpisywała przy włączaniu telefonu. Poprosiła, żeby rozmowa nie trwała długo.

Co niezwykle, *miki* Matilda darowała sobie rozwlekłe pogawędki i prawie wyłącznie słuchała. W porównaniu z tym nader zwięzłe zabrzmiało wyjaśnienie, które rzuciła po zakończeniu rozmowy:

– Joseph Tjironda jest chory.

– A co mu jest?

– Bóle.

– Głowa, klatka piersiowa, żołądek, lewe udo, prawy palec u nogi?

– Najpierw muszę go zobaczyć – odparła *miki* Matilda.

Wśród swoich znajomych, którzy wierzyli w tradycyjnych uzdrowiaczy, miała całkiem niezłą opinię, ale kiedy zwracał się do niej nowy pacjent, zwykle chciał najpierw sprawdzić jej umiejętności. Najważniejsza próba polegała na tym, żeby uzdrowiciel sam powiedział, co choremu dolega. Nie na odwrót, jak u lekarzy po studiach medycznych. Raz można było się pomylić, ale jeśli ktoś przy drugiej próbie nie rozpoznał źródła problemu, wtedy, co rozumiało, nikt nie wierzył w jego umiejętności.

– Jak rozpoznajesz, czy boli go głowa, czy żołądek? – zapytała raz Clemencia. *Miki* Matilda tylko się uśmiechnęła. To się po prostu widzi, kiedy ma się trochę doświadczenia. Mimo to Clemencia wolała chodzić do wykształconych lekarzy, kiedy była chora.

*Miki* Matilda oddała telefon i powiedziała:

– Muszę natychmiast jechać.

– Powodzenia! – rzuciła Clemencia i zamknęła za nią. Ona też musiała zaraz wyjść. Kiedy się ubrała i znów otworzyła drzwi, *miki* Matilda nadal stała przed jej pokojem.

– Możesz mi pożyczyć na taksówkę? – zapytała. – Zanim się tam dostanę pieszo, ten człowiek pewnie zdąży już umrzeć.

Przypuszczalnie było w tym wiele przesady, ale Clemencia nie miała ochoty potem tygodniami wysłuchiwać, jaką to jest pozbawioną serca morderczynią. Woląла więc poświęcić siedem dolarów pięćdziesiąt centów, tyle kosztowała jazda taksówką w obrębie miasta. Potem wyszła z domu i też wsiadła do taksówki, która zawiozła ją do kwatery głównej przy Bahnhofstrasse. Nie było jeszcze nikogo z wydziału kryminalnego. Mogła przynajmniej wybrać sobie sprawny i zatankowany do pełna samochód, którym pojechała do Ludwigsdorfu.

W pobliżu miejsca, z którego morderca oddał strzały, Clemencia czekała na techników policyjnych. Jeśli coś jeszcze da się tu znaleźć, będzie to naprawdę wielkie szczęście, bo wczoraj jej koledzy gruntownie zdeptali wszelkie ślady. Clemencia spojrzała w dół na ogród rodziny van Zyl. W świetle dnia wyglądał jak mały raj. Wielki cienisty taras i soczyście zielony trawnik. Drzewka cytrynowe, pod którymi znaleziono ciało.

Nagle usłyszała za plecami męski głos pytający, kim jest i czego tu szuka. Clemencia odwróciła się. W bramie posesji ocienionej palmami stał starszy biały mężczyzna ze strzelbą gotową do strzału. Celował w Clemencję. Podniosła ręce do góry i po początkowych trudnościach udało jej się przekonać go, że pokaże mu swoją legitymację policji kryminalnej, o ile jej

nie zastrzeli, gdy tylko ona sięgnie do kieszeni. Kiedy mężczyzna oglądał legitymację, Clemencia uświadomiła sobie, że musi pamiętać o patrolach. Co najmniej przez tydzień umundurowani policjanci powinni pokazywać się w tej dzielnicy. Wprawdzie nie przyczyni się to do wyjaśnienia zbrodni, ale może dzięki temu sąsiedzi nie będą się zapędzać za daleko w przekonaniu, że państwo nie potrafi i nie chce ich chronić. Już przedtem zdarzało się, że jakiś biedak szperający nocą w wystawionych pojemnikach na śmieci zginął od strzału.

Kiedy zjawiała się ekipa techniczna, Clemencia poszła wypytać pozostałych sąsiadów. Strzałów do van Zyla oczywiście nie dało się nie słyszeć, ale zrozumiałe było to, że nikt natychmiast nie wybiegł na ulicę. Jeden z sąsiadów przynajmniej widział z tarasu, jak bezpośrednio po zabójstwie szybko przejechał tędy wóz Group-4-Securicor. Z daleka nie mógł jednak dojrzeć numerów rejestracyjnych ani osób siedzących wewnątrz. Przynajmniej to było coś na początek.

Clemencia wiedziała, że pracownicy tej firmy ochroniarskiej zarabiają na godzinę ledwie pięć dolarów namibijskich i sześćdziesiąt sześć centów, czyli mniej więcej równowartość puszki coli. Za takie pieniądze nikt by się nie rzucił na linię strzału mordercy. Ale przynajmniej można było oczekiwać, że ochroniarz natychmiast zawiadomi o tym centralę. Nic takiego jednak nie nastąpiło, czego Clemencia dowiedziała się po telefonie do firmy ochroniarskiej. Jedyne sygnały pochodziły od pani van Zyl. Kiedy usłyszała strzały, pobiegła do sypialni i nacisnęła przycisk alarmowy. Siedem minut później na miejscu zbrodni pojawił się pierwszy wóz G4S, na długo przed policją, ale i tak za późno, żeby schwycić mordercę. Od razu można było wykluczyć, że w chwili oddawania strzałów jakikolwiek

samochód należący do firmy znajdował się w bezpośredniej bliskości miejsca zbrodni. Centrala była w nieustannym kontakcie radiowym ze swoimi patrolami i każda zmiana pozycji wozu patrolowego musiała zostać zgłoszona.

Oczywiście mogło się zdarzyć, że jakiś kierowca z mniej lub bardziej niewinnych powodów zlekceważył ten przepis. Trzeba było to sprawdzić, tak samo jak ewentualność, że któryś z pracowników G4S w przeszłości mógł mieć jakieś zatargi z van Zylem. Clemencia podejrzewała jednak, że wóz patrolowy służył tylko do zmylenia. A to oznaczałoby, że morderca włożył dużo wysiłku w przygotowania. Również broń, z której został zabity van Zyl, świadczyła o tym, że było to dzieło profesjonalisty. Nie każdy trzymał w szafie karabin automatyczny.

Nie, to nie był przypadek przyłapanego na gorącym uczynku włamywacza, któremu puściły nerwy. Nie była to też zbrodnia w afekcie. Ktoś chciał zlikwidować Abrahama van Zyla, na zimno to zaplanował i przeprowadził. Do tego potrzebny jest jakiś istotny powód. Czy Abraham van Zyl stanowił dla kogoś zagrożenie? A jeśli tak, to w jaki sposób?

W komendzie nie było żadnych akt Abrahama van Zyla. A jeśli jakieś istniały, to nie można było ich znaleźć. To samo dotyczyło zresztą ciała. Kiedy lekarz sądowy chciał przeprowadzić obdukcję, żeby stwierdzić oficjalnie coś, co i tak było jasne, a mianowicie, że ten człowiek zginął od ran postrzałowych, zastał kostnicę pustą. Dyżurni z zeszłej nocy tłumaczyli się, że z powodu defektu instalacji chłodzącej musieli tymczasowo rozlokować ciała gdzie indziej. W przeciwnym razie zrobiliby się tam gigantyczny syf. Byli tak zajęci tą pracą, że odmówili przyjęcia nowych zwłok. Kto i gdzie umieścił w końcu ciało tamtego mężczyzny, tego nie

wiedzieli. Dopiero po kilku godzinach udało się odnaleźć worek z ciałem van Zyla w najdalszym zakamarku policyjnego garażu.

– Przynajmniej zwłoki nie leżały w pełnym słońcu – stwierdziła sarkastycznie Clemencia, zdając raport swojemu szefowi.

Oshivelo ze spokojem wysłuchiwał relacji o pozostałych wypadkach, czasami tylko coś notując. Clemencia podzielała jego zdanie, że pewne procedury należałoby zorganizować bardziej efektywnie. Za jego namową spisała swoje pomysły w formie programu zawierającego najniezbędniejsze działania w dziedzinie komunikacji, organizacji i poprawy kwalifikacji. Bez specjalnych funduszy i politycznego *placet* oczywiście nic się nie dało zrobić, ale Oshivelo obiecał, że będzie się starał. A mógł to zrobić nie tylko jako zastępca komisarza głównego i równocześnie szef wydziału kryminalnego, zajmującego się zabójstwami. Był także prominentnym działaczem SWAPO<sup>12</sup> w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, dzięki czemu miał świetne kontakty osobiste w kadrach partyjnych, których przedstawiciele zajmowali obecnie kluczowe pozycje w rządzie i administracji.

Relacjonując postępy w aktualnym śledztwie, Clemencia przyglądała się dwóm portretom wiszącym na ścianie za plecami szefa. Jeden przedstawiał prezydenta Hifikepunye Pohambę, drugi ojca założyciela kraju Sama Nujomę.

– Sądzę, że musimy się skoncentrować na motywie. Jeśli będziemy wiedzieli, dlaczego Abraham van Zyl został zastrzelony...

– Kto? – zapytał Oshivelo.

– Abraham van Zyl. Ofiara.

Oshivelo skinął głową i pogładził swoją siwą brodę. Kiedy tak odchyłał się

w fotelu, przypominał trochę dawnego prezydenta Nujomę.

– Czy to nazwisko coś panu mówi? – spytała Clemencia.

– Nie – Oshivelo zdecydowanie zaprzeczył. – Proszę mówić dalej!

Nie miała już wiele do powiedzenia. Potrzebowała kilku ludzi, którzy mogliby się rozejrzeć wśród najbliższego kręgu ofiary – rodziny, przyjaciół, kolegów z pracy – a także prześwietlić transakcje finansowe zabitego. Normalne postępowanie. Ponadto należałoby popytać w pewnych miejscach, czy ktoś nie kupił niedawno karabinu automatycznego. Oshivelo przydzielił jej czterech funkcjonariuszy. Więcej, mimo najlepszych chęci, nie mógł.

Godzinę później Clemencia siedziała już ze swoim zespołem. Przynajmniej znalazł się w nim Angula. Wyraz twarzy trzech pozostałych mężczyzn mniej lub bardziej dobitnie zdradzał, co myślą o komenderowaniu przez kobietę. Był wśród nich jeden biały, Bill Robinson, który kiedyś przy okazji dał do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko akcji afirmatywnej, która miała wspomagać niegdyś dyskryminowane rasowo osoby przy obejmowaniu stanowisk kierowniczych. Przeciwnie, wymagał tylko, żeby trzymano się litery prawa, ono zaś głosi, że należy dawać pierwszeństwo czarnym posiadającym kwalifikacje. Jego zdaniem kwalifikacje inspektora policji powinny obejmować kilka lat praktycznych doświadczeń w służbie – „na linii ognia”, jak powiedział – a nie tylko studia i dobre oceny na papierku. Zazdrość kryjącą się w tych słowach Clemencia była w stanie jakoś przełknąć. Wkurzało ją tylko, że Robinson przypuszczalnie naprawdę wyciągnąłby od *mevrouw* van Zyl więcej informacji, ale bynajmniej nie dlatego, że jest lepszym policjantem.

Oshivelo był obecny, kiedy Clemencia wprowadzała swoich ludzi



w sprawę. Wiedziała, że chciał sprawdzić jej zdolności przywódcze, ale nie zachowywała się inaczej niż zwykle. Najpierw przedstawiła swoje oczekiwania: żadnej samowolki, chce mieć obszerną wymianę informacji, kompletną dokumentację wszystkich działań, nieustający kontakt ze wszystkimi członkami zespołu, poza tym powinni pamiętać, że o tym, co się przedostaje do prasy, decyduje tylko ona w porozumieniu z szefem. Czowała, że jej przemowa zabrzmiała ostrzej, niż to było zamierzone, i pośpiesznie przeszła do omówienia aktualnego morderstwa. Dopiero gdy zabrała się do rozdzielania zadań, odezwał się Angula, najstarszy w zespole.

– Czy ofiarą nie jest przypadkiem Abraham „Slang” van Zyl?

– Slang, czyli wąż?

– Pracował kiedyś w Civil Cooperation Bureau<sup>13</sup> południowoafrykańskich służb specjalnych i podobno był zamieszany w morderstwo Antona Lubowskiego.

– W takim razie powinniśmy mieć jego akta – stwierdziła Clemencia.

– Wtedy nie mogliśmy go nawet przesłuchać. Zdążył uciec do RPA.

Clemencia miała dwanaście lat, kiedy zastrzelono Antona Lubowskiego. Nie rozumiała wtedy tamtych wydarzeń, ale pamiętała dobrze uroczystości pogrzebowe. Cała Katutura brała w nich udział, plac wokół Ephesian Lutheran Church nie mógł pomieścić żałobników. Wszędzie powiewały flagi SWAPO i w powietrzu słyhać było głuchy pomruk, bardziej wściekłość niż smutek. Clemencia tak jak inni trzymała w lewej ręce papierową chorągiewkę, głośno śpiewała ze wszystkimi hymn Afryki *Nkosi Sikelel’i Africa*, wznosząc w górę prawą dłoń zaciśniętą w pięść, jak to robili dorośli. Miała wrażenie, że w każdej chwili może się stać coś

wielkiego, niesłychanego. Późniejszy minister spraw zagranicznych Theo-Ben Gurirab wygłosił mowę pogrzebową, poza tym byli tam wszyscy ważni ludzie z partii. Do dzisiaj Clemencia miała przed oczami dzieci zamordowanego: syna w koszulce z logo SWAPO, a przede wszystkim córeczkę, która była ubrana w sukienkę w czerwone, niebieskie i zielone paski, o jakiej ona sama marzyła.

– Dlaczego w takim razie van Zyl wrócił do Windhuku? – zapytał Robinson.

Angula starł pot z czoła i wzruszył ramionami.

– Może w RPA zrobiło mu się za gorąco, kiedy w 1994 roku Mandela i ANC doszli do władzy. Van Zyl na pewno i tam miał na sumieniu dużo rzeczy, które mogły go kosztować głowę. A po pięciu latach sprawa Lubowskiego i tak pokryła się kurzem.

– I my przyznaliśmy mu prawo pobytu? – Robinson potrząsnął głową, choć pewnie wiedział, że urzędy imigracyjne mają u siebie jeszcze większy bałagan niż policja.

– Ofiara pochodzi z Afryki Południowej, jego żona jest Namibijką. – Clemencia czuła, że są na właściwym tropie.

– O ile dobrze pamiętam, Lubowski został zastrzelony z AK-47 – przypomniał Angula.

– Wtedy prawie każdy miał dostęp do AK-47 – wtrącił Robinson – bojownicy SWAPO, ludzie z Koevoet<sup>14</sup> i każdy, kto znał kogoś z jednej ze stron.

– Ale dzisiaj jest inaczej – odparł Angula – a jeśli ktoś próbuje przywracać dawne czasy...

– Nowy przydział obowiązków! – oznajmiła Clemencia. – Angula i van

Wyk poszukają wszelkich dostępnych informacji o sprawie Lubowskiego, zwracając szczególną uwagę na „Slanga” van Zyla. Robinson, ty pojedziesz do wdowy i upewnisz się, że Abraham van Zyl to ta sama osoba.

– A nie wystarczy, żebym zadzwonił i zapytał o jego datę urodzenia? – burknął Robinson.

Nie, to nie wystarczało, jeśli przypuszczenia były słuszne, trzeba porządnie przycisnąć *mevrouw* van Zyl. To oznaczało możliwy motyw. Albo przynajmniej coś, co odróżniało Abrahama van Zyla od jego sąsiadów. Żaden z nich nie był zamieszany w najsłynniejsze morderstwo polityczne w historii Namibii.

– Spokojnie – rzucił Oshivelo. – Nawet jeśli to był „Slang” van Zyl, to wcale nie musi oznaczać, że jego morderstwo wiąże się ze sprawą Lubowskiego. Przecież od tamtego czasu minęło dwadzieścia lat.

Niewątpliwie była to słuszna uwaga. Clemencia spojrzała do góry. Wentylator pod sufitem bezradnie mieszał upał. Klimatyzowany był tylko gabinet szefa.

– Dwadzieścia lat to szmat czasu – ciągnął Oshivelo. – Dzisiaj żyjemy w innym kraju i rany z tamtego okresu może jeszcze nie całkiem się wygoiły, ale przynajmniej zblizniły.

– Możliwe – zgodziła się Clemencia. Zastanawiała się równocześnie, dlaczego Oshivelo się w to miesza. Zwykle tak nie postępował. Ciągnęła: – Ale to jest ślad, który powinniśmy...

– Naturalnie – przerwał jej Oshivelo. – Nie powinna pani przy tym zapominać, że morderstwa popełnia się z różnych powodów. Dlaczego nie może całkiem przypadkowo paść na byłego rasistę?

Może dlatego, że *mevrouw* van Zyl była taka małowówna, kiedy chodziło o przeszłość jej męża? Może dlatego, że owa przeszłość wcale nie była tak bardzo odległa? Może dlatego, że van Zylowie, krąg ich znajomych i przypuszczalnie cały świat, w którym się obracali, w gruncie rzeczy nadal był tak samo rasistowski jak w czasach apartheidu? Ale Clemencia żadnej z tych myśli nie wypowiedziała na głos.

Bill Robinson wstał z miejsca. Chciał już jechać. Nie zdążył jeszcze dojść do drzwi, kiedy do pokoju wszedł dyżurny z centrali telefonicznej i chciał pilnie rozmawiać z szefem. Dzwonili z Group-4-Securicor. Dostali informację, że na sawannie koło Heja-Lodge znaleziono spalony wrak jednego z ich samochodów. Wysłali tam kilka patroli, które znalazły zwęglone zwłoki na miejscu kierowcy. Najdziwniejsze jednak jest to, że nie brakuje im żadnego z pojazdów. Ani żadnego pracownika.

– Niech to diabli! – krzyknął Oshivelo. – Czy zwłoki zostały zidentyfikowane?

Mężczyzna potrząsnął głową.

Upał w pokoju numer 214 był nie do zniesienia. Trup w fałszywym wozie patrolowym G4S! Takim samym, jakim przypuszczalnie odjechał z miejsca zbrodni morderca van Zyla. Clemencia przyjęła to do wiadomości, ale nie była całkowicie skoncentrowana. Nie mogła przestać myśleć o swojej rozmowie z szefem. Czy to było naprawdę możliwe, żeby Oshivelo nigdy nie słyszał nazwiska Abrahama van Zyla? Człowiek, który w czasach morderstwa Lubowskiego stał na pierwszej linii walki politycznej. Który od momentu uzyskania niepodległości był w policji kryminalnej i na pewno musiał przyglądać się z bliska dochodzeniu w sprawie Lubowskiego. Czy o czymś takim można było tak po prostu zapomnieć?

Ndangi Oshivelo, zastępca komisarza głównego namibijskiej policji:

*Pierwszy raz spotkałem Antona Lubowskiego w 1983 roku w obozie dla internowanych Osire. Afrykanerzy oskarżyli mnie o podłożenie ładunku wybuchowego w Klein Windhoek i zabrali mnie do Osire, żeby tam w spokoju biciem wymusić na mnie przyznanie się do winy. Oczywiście nie pozwolili mi wziąć adwokata, ale tym zajęli się towarzysze. Jak Lubowskiemu udało się do mnie przedostać, nie mam pojęcia. Przypuszczalnie Afrykanerzy ze względów politycznych chcieli jak najszybciej doprowadzić do skazania kogoś, a nie mogli rozpocząć procesu bez obrońcy, jeśli chcieli utrzymać fasadę państwa prawa.*

*Kiedy Lubowski pojawił się u mnie w celi, byłem oczywiście ucieszony, że w ogóle kogoś widzę, ale też pomyślałem, że ten człowiek z całą pewnością mi nie pomoże. Po prostu było po nim widać, że pochodzi z zupełnie innego świata. Nienaganny szary garnitur, dopasowany krawat, na palcu sygnet, w lewej dłoni aktówka. Do dyskretnego stroju nie do końca pasowały trochę przydługie kręcone włosy. Jakby chciał w ten sposób powiedzieć, że jest nie tylko adwokatem. Wtedy był jeszcze młody, miał trzydzieści jeden lat, i sprawiał wrażenie, jakby myślał, że wszystko w oczywisty sposób mu się należy. Jakby jego jedynym zadaniem było smakowanie życia w jego wszystkich przejawach.*

*Potem okazało się, że miał też zupełnie inną stronę. Kiedy było trzeba, brał sprawy, których jemu podobni za wszelką cenę unikali. Afrykanerzy uwięzili go w sumie sześć razy. W 1987 roku sam siedział w obozie Osire. Ponad trzy tygodnie izolacji w rdzewiejącym blaszanym baraku. Na własnej skórze się przekonałem, że to nic przyjemnego. Małe okienko pod dachem dawało akurat tyle światła, żeby odróżnić noc od dnia. Ściany celi*

w dzień nagrzewały się nieznośnie, podczas gdy w nocy panował w niej przejmujący ziąb. Człowiek dostawał jeden koc, na sobie miał tylko gacie, resztę ubrań zabierali. Siedzisz tak dzień w dzień, noc w noc, gapisz się gdzieś przed siebie, czujesz, jak twoje ciało drży i dygocze, i najchętniej byś zwariował, gdyby to nie było to, o co właśnie twoim prześladowcom chodzi. W każdym razie wtedy w Osire Lubowski podszedł do mnie, zatrzymał się. Jeszcze zanim się przywitał, wskazał sińce na mojej twarzy i zapytał strażnika, który nadzorował naszą rozmowę:

– Ten to chyba uderzył się o drzwi, prawda?

Strażnik zwlekał z odpowiedzią, w końcu wzruszył ramionami.

– Chcę mieć imię, nazwisko i stopień służbowy tych drzwi – rzucił Lubowski.

Strażnik nie odezwał się, ale potem w jakiś sposób Lubowskiemu udało się zidentyfikować dwóch sadystów i wezwać na mój proces. Solidnie ich przycisnął i zdołał udowodnić, że byłem torturowany. Sfałszowane zeznanie, które podpisałem, stało się dzięki temu bezwartościowe. To plus alibi, które miałem na czas zamachu, wystarczyło. Musieli mnie uwolnić.

Od tego czasu przyjaźniłem się z Lubowskim, choć jego świat nadal pozostawał dla mnie obcy. Gustowne garnitury, jedwabne koszule, śnieżnobiały płaszcz kąpielowy, w którym często chodził jeszcze po domu, kiedy rano do niego zaglądałem. Lubowski był typem, któremu nie wystarczał pool w ogrodzie. Jeszcze na krótko przed śmiercią, kiedy wszyscy – łącznie z nim – pracowaliśmy na rzecz partii po dwadzieścia godzin dziennie, kazał sobie wybudować saunę. Z nim pierwszy raz w życiu jechałem mercedesem, u niego po raz pierwszy jadłem ostrygi. Z Lüderitzbucht, jego miasta rodzinnego. Te są najlepsze, jak mi wyjaśnił.

*W 1984 roku wstąpił oficjalnie do SWAPO. Był pierwszym białym w szeregach partii, więc jego krok wzbudził ogromne zainteresowanie opinii publicznej.*

*Także góra partyjna zacierała ręce. Jako żywy dowód na to, że nie chodziło nam o partykularny interes rasowy, oraz jako pomost do białych, liberalnych ugrupowań, Lubowski był wprost bezcenny. Odpowiednio wysoko zaszedł też w hierarchii, latał do przywództwa emigracyjnego w Luandzie, bywał na międzynarodowych kongresach i przypuszczalnie był po Samie Nujomie drugim przedstawicielem SWAPO, najczęściej udzielającym wywiadów. W swoich kręgach Lubowski został okrzyknięty zdrajcą, prywatnie był izolowany, zawodowo spotykał się z bojkotem. Po trzydziestym anonimowym liście z pogrózkami przestał je liczyć, jak mi powiedział kilka tygodni przed śmiercią.*

*Każde morderstwo polityczne jest godne potępienia, ale to, co 12 września 1989 roku zrobiono Antonowi Lubowskiemu, było ponadto bezsensowne. Przecież wszelkie decyzje już dawno zapadły. Afrykanerzy wreszcie przyjęli oenzetowską rezolucję numer 435<sup>15</sup>, droga do niepodległości Namibii była wytyczona, harmonogram przyjęty, wkrótce miały się odbyć wybory do konstytuanty. Czy ktoś poważnie myślał, że uda mu się cofnąć koło historii?*

*Torbę postawił przy swoich stopach. W środku znajdował się AK-47. Rozłożył karabin, części owinał brudnymi ubraniami. Pieniądze nosił na ciele. Siedemdziesiąt tysięcy południowoafrykańskich randów<sup>16</sup>. Takiej sumy nigdy dotąd nie widział, nie mówiąc już o posiadaniu jej. Zastanawiał się, ile przyszłości oznacza siedemdziesiąt tysięcy randów. Dla zwykłego człowieka przypuszczalnie to dość dużo, ale on nie był zwykłym*



człowiekiem. On był czymś innym.

Przykucnął na parkingu stacji OK powyżej Independence Avenue w Windhuku, oparł się plecami o landrovera, w którego cieniu chronił się przed słońcem, i czekał na autobus linii Intercape do Upington w RPA. Autobus miał odjechać o 18.00, teraz była już 18.45, ale czekanie go nie denerwowało. Ta godzina czy dwie nie robiły różnicy. Prawda, śmierć i on sam mieli jedną wspólną cechę. Umieeli być cierpliwi, bo wiedzieli, że na końcu racja będzie po ich stronie.

Podzielona fasada Supreme Court ponad parkingiem zdawała się żarzyć w wieczornym słońcu. Mimo to budynek wyglądał jak grobowiec dla jakiegoś księcia podziemi. Ogień i śmierć. Pokiwał głową. Prawdziwa sprawiedliwość nie znała łaski. Niebo nad gmachem sądu było bezchmurne, odznaczało się bezlitosnym błękitem. Może będzie padało, kiedy wróci. Za dwa, trzy, cztery dni.

Pracownica firmy autokarowej z notatnikiem w ręce podeszła do niego i zaczęła rozmowę. Autokar za chwilę będzie. Czy nie chciałby oddać bagażu. Potrząsnął głową. Torba jest mu potrzebna w autobusie. W środku jest tylko koc, trochę wody i lekarstwa. Kobieta zapytała, czy jest chory.

– To tylko przeziębienie – wyjaśnił, odkaszlnąwszy.

– Coś wisi w powietrzu – powiedziała kobieta – jakiś wirus.

– To przejdzie – odparł.

– Na północy wybuchła cholera – dodała kobieta.

– Ja jestem tylko przeziębiony – powtórzył. Próbował się uśmiechnąć i poczuł, jak pot spływa mu z czoła. To tylko przez upał, pomyślał, to wyłącznie wina upału. Poza lekkim kaszlem nic mu nie dolegało. Czuł się silny. Miał dość czasu, żeby sobie pozwolić na cierpliwość.

Kiedy słońce schowało się za budynkiem Kalahari Sands Hotel, na parking zajechał autokar. Piętrowy, z przyczepą na bagaże. Przyglądał się, jak pracownicy przenoszą wielką górę walizek i toreb, którą wcześniej ułożyli na asfalcie. Większość pasażerów przepychała się już obok pilota na górę, gdzie podobno były najlepsze miejsca. Na dole było jeszcze dużo wolnych foteli. Wcisnął swoją torbę pod siedzenie blisko drzwi i usiadł przy oknie. Po drugiej stronie przejścia mościła się młoda kobieta z małą dziewczynką. Kiedy spojrzała w jego stronę, odwrócił wzrok. Koncentrował się na samochodach przejeżdżających po Independence Avenue. Mniej więcej dwie trzecie miały już włączone światła.

Dzień szybko się kończył. Poświata słońca wyparowywała spomiędzy domów, rozpływała się w powietrzu, znikąca. Nagle uświadomił sobie, że noc jest stanem pierwotnym, bo nie potrzebuje niczego. Dzień potrzebował słońca, ale gdy tylko ono kończyło aktywność, okazywało się, co panowało tak naprawdę. Mrok.

Autobus ruszył, sunął łagodnie przez niemal opustoszałe ulice Windhuku. Kiedy minęli posterunek policji na wysokości Heldenacker<sup>17</sup> i autobus zaczął się wspinać na wzniesienia gór Auas, poświata nad miastem została z tyłu. Jasny snop z reflektorów pokazywał kawałek drogi z przodu, a na bokach po kilku metrach nieprzenikniona czerń wchłaniała światło.

– Jadę do Keetmanshoop odwiedzić krewnych – powiedziała siedząca obok kobieta. Dziewczynka położyła głowę na jej kolanach i podnosiła na niego swoje wielkie oczy.

– Hmm – mruknął w odpowiedzi.

– A pan? – zapytała kobieta.

– Do Afryki Południowej – odparł.

– Za pracą?

– Hmm – powtórzył.

Nie było żadnego powodu, żeby z nią nie rozmawiać, przecież nic mu nie zrobiła. A tym bardziej jej córka. Mógłby na przykład zapytać, czy jadą do ojca dziewczynki, czy w ogóle jest jakiś ojciec, a nie tylko przypadkowy sprawca ciąży. Ale zamiast tego zamknął oczy i oparł głowę o szybę. Lekko drżała. Kobieta nie odezywała się więcej.

W pewnej chwili musiał się zdrzemnąć. Kiedy się obudził, trząśnięcie się z zimna w powiewie klimatyzacji. Odkaslnął. Teraz przydałby mu się koc z torby. Kobieta z dziewczynką na siedzeniach obok były ciepło opatulone i spały twardo. Szyba drżała, a za nią panowała noc. Gwiazdy były daleko stąd. Tak daleko, że nie było pewności, czy w ogóle istnieją.

Przedpołudnie było tak samo upalne jak poprzedniego dnia. Słońce z góry paliło Windhuk, jakby chciało zniszczyć wszelkie życie. Świeży powiew pojawił się przynajmniej w śledztwie, które Clemencia prowadziła ze swoimi ludźmi. Mężczyzna, którego ciało znaleziono w spalonej corolli, nazywał się z dziewięćdziesięciodziewięcioprocentową pewnością Leon André Maree. Wprawdzie zwłoki były tak zwęglone, że nawet najbliższa rodzina nie mogłaby go zidentyfikować, ale w bagażniku samochodu ocalała z ognia aluminiowa aktówka. Znaleziono w niej południowoafrykański paszport i bilet lotniczy na nazwisko Maree.

Ciotka Clemencji Selma sugerowała, że morderca mógł świadomie zostawić aktówkę, żeby podsunąć policji fałszywy trop albo upozorować własną śmierć, ale coś takiego zdarzało się tylko w wyświechtanych kryminałach Agaty Christie, które *miki* Selma wypożyczała z miejskiej

biblioteki. Żeby wykluczyć wszelkie wątpliwości, Clemencia wysłała próbkę tkanek do RPA i poprosiła kolegów z Bloemfontein o zebranie porównawczych śladów DNA pod adresem widniejącym w paszporcie. Ale na wyniki analizy DNA trzeba było czekać co najmniej dziesięć dni.

Clemencia była pewna, że tożsamość mężczyzny zostanie potwierdzona, ponieważ istniała kolejna przesłanka, bardziej znacząca niż aluminiowa aktówka. Teraz, kiedy pojawił się punkt zaczepienia, kiedy wiedzieli, czego szukać, szybko okazało się, że Leon André Maree tak samo jak Abraham van Zyl należał do grupy CCB, która przypuszczalnie ponosiła odpowiedzialność za śmierć Antona Lubowskiego. Maree miał pseudonim „Chappies”, od nazwy popularnej wówczas w Afryce Południowej gumy do żucia, od której był wręcz uzależniony.

Jeszcze więcej informacji niż paszport dostarczył bilet lotniczy. Maree wystartował przedwczoraj w nocy z Frankfurtu samolotem linii Air Namibia, lot SW 286, co znaczyło, że około dziewiątej rano musiał przejść kontrolę paszportową na lotnisku Hosea Kutako. Miejsce, w którym znaleziono ciało, znajdowało się w połowie drogi między lotniskiem i miastem, niedaleko posterunku kontrolującego samochody zmierzające do Windhuku. To łącznie z faktem, że w aucie znajdował się bagaż zamordowanego, przemawiało za tym, że sprawca odebrał ofiarę z lotniska i pojechał z nią prosto na miejsce zbrodni. Ale skoro „Chappies” Maree w tak uczęszczanym miejscu jak lotnisko wsiadł z kimś do samochodu, oznaczało, że nie żywił żadnych podejrzeń, a może nawet znał tego kogoś. Kamery przemysłowe na lotnisku Hosea Kutako spełniały standardy międzynarodowe. Zdaniem kierownictwa działały też bez zarzutu, niestety nagrania z poprzedniego dnia zostały już skasowane. Przesłuchanie

personelu lotniska też nic nie dało. Najpewniej zwracali uwagę tylko na turystki z Europy pozbywające się zimowych swetrów. W każdym razie nikt nie pamiętał „Chappiesa” Maree, nie mówiąc o osobie, która oczekiwała go na lotnisku. Clemencia dowiedziała się przynajmniej, że przy wypełnianiu formularza wjazdowego należy podać cel pobytu w Namibii. To mogło się okazać interesujące. Po mniej więcej godzinie urzędnicy imigracyjni odnaleźli właściwy dokument, ale Maree nie popisał się fantazją i zaznaczył tylko rubrykę „turystyka”. Przypadkiem wzrok Clemencji padł na adres, który też trzeba było podać w formularzu. Przecież go znała! Właśnie tam przedwczoraj była. I w to samo miejsce zamierzała zaraz znów pojechać.

Po drodze odebrała telefon od lekarza sądowego. Tym razem trup nie tylko nie zaginął, ale nawet dokonano już oględzin. „Chappies” Maree już nie żył, kiedy samochód zaczynał płonąć. Zastrzelony, pięć kul w klatkę piersiową. Pociski trzeba jeszcze dokładnie zbadać, ale miały taki sam kaliber jak broń, z której zabito van Zyla.

Oczywiście pochodziły z tej samej broni. Clemencia przebiegła w myślach kolejność wydarzeń. Lot z Frankfurtu do Windhuku trwał dziesięć godzin. Kiedy strzelano do van Zyla, Maree na pewno był już po odprawie, albo nawet siedział w samolocie. Jego komórka była wyłączona. Morderca chciał mieć pewność, że nikt nie ostrzeże jego kolejnej ofiary.

Clemencia przejechała ostatnie metry przez Ludwigsdorf i zaparkowała samochód przed wjazdem na posesję. *Mevrou* van Zyl przyjęła ją z podobnym entuzjazmem, jakim nocą reaguje się na brzęczenie moskita. Clemencia była skłonna uwierzyć jej, że nie myślała o ostrzeganiu nikogo. Mąż był martwy, córka bliska postradania zmysłów, naprawdę mogła mieć

inne rzeczy na głowie. Clemencia zapytała ją o „Chappiesa” Maree. To dawny znajomy męża, który zapowiedział się z krótką wizytą.

– Żeby odświeżyć wspomnienia z pracy w Civil Cooperation Bureau? – zapytała Clemencia.

Pani van Zyl przyznała wreszcie to, czego nie dało się dłużej ukrywać. Tak, Maree służył w CCB, jej zmarły mąż też. Ale w związku ze sprawą Lubowskiego żaden z nich nie stanął przed sądem, dlatego obu należy uznać za niewinnych. Nie potrafi podać żadnych szczegółów, nigdy nie wypytywała męża o jego interesy.

– Interesy? – powtórzyła Clemencia.

Jej mąż w żadnym razie nie był mordercą, ciągnęła niezrażona pani van Zyl. W latach osiemdziesiątych na zlecenie rządu bronił swojego kraju, który był zagrożony nie tylko przez lokalnych terrorystów. W Angoli umocnili się komuniści Fidela Castro, także w Mozambiku doszli do władzy komuniści, właśnie całe sąsiedztwo aż do równika tworzyło wspólny front do walki przeciwko Afryce Południowej. Toczyła się wojna, tłumaczyła Clemencji, jakby ta pochodziła z innej galaktyki, a potem dodała zadziornie:

– Fakt, że przegraliśmy tę wojnę, nie musi wcale znaczyć, że nie mieliśmy racji.

– Przez dziesięciolecia nieustająco udowadnialiście, że nie macie racji – Clemencia nie mogła sobie darować tej uwagi.

Matti Jurmela, jej fiński opiekun, powiedziałby, że zachowała się nieprofesjonalnie, ale w Finlandii nie musieli się zmagać z apartheidem. Pani van Zyl milczała, a Clemencia przyglądała się zdjęciom rozwieszonym nad sofą. Szeroko uśmiechnięty Abraham van Zyl

w mundurze. Van Zyl z bronią na ramieniu i ustrzeloną antylopą. Van Zyl przy piwie w gronie kompanów. Abraham van Zyl, Abraham van Zyl. Jego żony nigdzie nie było widać. Nie było tam nawet ich zdjęcia ślubnego.

Fotografie ślubne rodziców to były jedyne zdjęcia, na których można było zobaczyć matkę Clemencji. Tamtego dnia jej ojciec, chociaż tak naprawdę nie było go na to stać, wynajął fotografa, który zrobił czarno-białe zdjęcia przed kościołem i pod drzewami jakarandy w ogrodzie Pałacu Atramentowego. Clemencia do dzisiaj nie jest pewna, czy naprawdę ma własne wspomnienie twarzy matki, czy tylko ożywia w głowie te zdjęcia. Miała zaledwie cztery lata, kiedy jej matka zginęła. Zbłąkana kula, za którą nikt nie ponosił odpowiedzialności. To były podobno strzały ostrzegawcze. Jednostki południowoafrykańskie, które wówczas przeczesywały Katuturę w poszukiwaniu terrorystów ze SWAPO, działały w stanie podwyższonego napięcia, jak wyjaśniono jej ciotce. Ojciec Clemencji nie był w stanie iść na policję. Całymi dniami ze skamieniałą twarzą siedział na ławce przed domem, oniemiały, nieruchomy. Właściwie do dzisiaj się z tego nie otrząsnął.

Clemencia zastanawiała się przez chwilę, czy powinna opowiedzieć to *mevrouw* van Zyl. Potem stwierdziła tylko:

- Było, minęło. Teraz chcemy znaleźć podwójnego mordercę.
- Doprawdy? – zapytała *mevrouw* van Zyl, a na jej twarzy pojawił się uśmiezek powątpiewania.
- Tak – zapewniła ją Clemencia, ale kiedy kilka godzin później przeglądała w internecie informacje o CCB, nie była już taka pewna. Civil Cooperation Bureau to była banda bezwzględnych morderców, których głównym celem była eliminacja przywódców walki z apartheidem. Oprócz tego mieli



niszczyć placówki ANC i obchodzić embargo na broń nałożone przez ONZ. W ciągu niecałych pięciu lat istnienia Bureau przeprowadziło od dziewięćdziesięciu do stu operacji przestępczych i jeszcze więcej miało w planach, od egzekucji wykonywanych w biały dzień na ulicy, przez zamachy bombowe na przedszkola ANC, aż do perwersyjnych prób zastraszenia, jak na przykład akcja przeciwko biskupowi Desmondowi Tutu – w 1989 roku do ogrodu jego kapsztadzkiego domu podrzuciono powieszony płód pawiana.

CCB zostało powołane do życia w 1986 roku przez ówczesnego ministra obrony Magnusa Malana, ale działało niezależnie i w konspiracji. Zakładano fikcyjne firmy służące za przykrywkę, grupy były nieumundurowane i najwyraźniej niektórzy z werbowanych członków nawet nie wiedzieli, że pracują dla południowoafrykańskich służb specjalnych. Czyli mordowali albo dla pieniędzy, albo powodowani rasistowskimi przekonaniem, co wcale nie czyniło sprawy mniej obrzydliwą. W świetle tego wszystkiego wydawało się zrozumiałe, że ktoś mógł teraz zechcieć odegrać rolę mściciela.

Clemencia nie była zwolenniczką samosądów, ale oczywiste było, że w tym przypadku ofiarami nie padali niewinni. Zabójca likwidował złych ludzi. I to bynajmniej nie zwyczajnych przestępców. Oddziały kolonialne czy naziści, Idi Amin czy też Pol Pot, niewykluczone, że istnieli jeszcze gorsi, ale dla Clemencji system segregacji rasowej był najgorszym przejawem pogardy dla drugiego człowieka. To było piekło, w którym się urodziła, na które skazana była jej rodzina, a jego ofiarą padła nie tylko jej matka.

Zamach na Antona Lubowskiego przypisywano 6. grupie regionalnej CCB

z RPA. Do tej właśnie grupy należeli „Slang” van Zyl, „Chappies” Maree i jeszcze kilku innych, wśród nich irlandzki najemnik nazwiskiem Donald Acheson, który miał być wykonawcą zamachu i krótko potem został aresztowany, ale w końcu wypuszczono go na wolność. Więcej informacji Clemencia spodziewała się znaleźć w aktach policyjnych i sądowych, ale to, co jej ludzie zebrali, przerosło jej oczekiwania. Segregatory ustawione pionowo w rzędzie tworzyły mur długości około dwóch i pół metra.

– Lata: 1989, 1990, 1994, 1998, 2001, tam jest wszystko, co można znaleźć na temat sprawy Lubowskiego – powiedział Angula. – Mieliśmy szczęście, prokuratura znów sprawdza, czy nie da się wznowić postępowania. Oni zebrali całą dokumentację.

Clemencia otworzyła pierwszy segregator i natknęła się na protokół z sekcji zwłok. Anton Lubowski został zastrzelony siedmioma kulami z AK-47. Do tego ktoś jeszcze strzelił mu w głowę z bliskiej odległości, tym razem z innej broni, małego kalibru. To przemawiało za tym, że zamach nie był dziełem jednej osoby. Dlaczego ktoś miałby odłożyć kałasznikowa, żeby wyciągnąć pistolet, odbezpieczyć i znów wycelować? Dlaczego nie podszedł kilka kroków bliżej z karabinem w dłoni, jeśli chciał mieć pewność?

Clemencia przejrzała drugi segregator. W dokumencie z roku 1990 sędzia na dwudziestu czterech stronach maszynopisu wyjaśniał, dlaczego Donald Acheson zostaje wypuszczony z aresztu śledczego za kaucją i z obowiązkiem meldowania się na policji. Między wierszami można było wyczytać, że zebrane dowody były niewystarczające i potrzebne są dodatkowe zeznania, żeby śledztwo mogło ruszyć dalej. Wcześniej doszło także do sporu między prokuraturą i pełnomocnikiem podejrzanego, czy

można wierzyć, że członkowie biura 6. grupy regionalnej CCB, którzy uciekli do RPA, dobrowolnie stawiają się przed namibijskimi władzami w celu złożenia zeznań. Problem polegał na tym, że w czasie, kiedy toczyło się postępowanie, Namibia uzyskała niepodległość. Przymusowe wezwanie na przesłuchanie obywateli innego państwa z ich ojczyzny było prawnie niewykonalne. Bez ich zeznań wnoszenie oskarżenia przeciwko Achesonowi miało niewiele sensu, więc sędzia, mimo że społeczne zainteresowanie wyjaśnieniem morderstwa było silne, nie chciał odpowiadać za przetrzymywanie Achesona w areszcie w nieskończoność.

– Oczywiście przy pierwszej nadarzającej się okazji Acheson uciekł do RPA – dodał Angula, kiedy Clemencia skończyła czytać.

Odstawiła segregator. Przejrzenie tego wszystkiego, nawet powierzchowne, zajmie jej wiele dni. Wzięła sobie pięć pierwszych segregatorów z biurka, resztę rozdzieliła wśród pozostałych pracowników. Angula zasugerował, że może szybciej do czegoś dojdą, jeśli Clemencia osobiście porozmawia z tamtym sędzią. Teraz jest już na emeryturze i mieszka na farmie Lewensvrede pół godziny drogi od Windhuku.

Clemencia skinęła głową.

– Może mógłbyś mi znaleźć numer tego sędziego...

– Fourie. Hendrik Fourie – powiedział Angula. Podsunął Clemencji kartkę z numerem i niemal przepaszająco wyjaśnił, że pozwolił sobie zapytać o niego w Sądzie Najwyższym.

Clemencia wiedziała, że Angula zachowywał pewien dystans w stosunku do SWAPO, ale to nie tłumaczyło, dlaczego utknął na pozycji zaledwie zwykłego konstabla. Może nie był wybitnym umysłem koncepcyjnym, ale tego nie można było powiedzieć też o wielu innych, którzy zrobili większe

kariery. Angula był przynajmniej solidny, miał pamięć isticie słoniową i jeśli się do czegoś zabierał, miało to sens. Clemencia była wdzięczna, że ma go w swoim zespole.

Zadzwoiła do Fouriego, sędziego w stanie spoczynku.

– Chodzi o Lubowskiego, nieprawdaż? – zapytał Fourie.

– Skąd pan to wie?

– Słyszałem w radiu, że „Slang” van Zyl został zastrzelony.

– Poza tym ostatnio jeszcze „Chappies” Maree.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza. Potem Fourie rzucił:

– Niech pani do mnie przyjedzie!

Clemencia pojechała B1 na południe. Klimatyzacja nie działała, ale póki mogła z otwartym oknem dodawać gazu na asfaltowej drodze, pęd powietrza przynosił trochę ochłody. Kiedy skręciła w lewo na piaszczystą polną drogę, jej komórka zasygnalizowała nadejście SMS-a. To była *miki* Matilda. Napisała: „Zadzwoń do mnie!”.

Clemencia wybrała numer i zwolniła, jadąc przez koryto wyschniętej rzeki. *Miki* Matilda opowiedziała, że stan jej pacjenta Josepha Tjirondy jest gorszy, niż się obawiała. Nie wiedziała, kto za tym stoi, w każdym razie cały dom Tjirondy był dotknięty złym urokiem. Poczyniła już odpowiednie kroki zaradcze, ale zanim zaczną działać, Tjironda w żadnym wypadku nie mógł tam pozostać. Był jeszcze bardzo osłabiony, potrzebował spokoju, więc Matilda pomyślała, że skoro Clemencia przebywa tak dużo poza domem, można by jednorazowo i wyjątkowo wykorzystać jej pokój, by...

– Nie – rzuciła Clemencia i rozłączyła się. Zły urok, wielki Boże! Potrząsnęła głową.

Na ukos przed nią na tle nieba rysowała się sylwetka gór Auas. Błękit

ponad nimi przez ciemne szkła jej okularów słonecznych sprawiał wrażenie jeszcze pełniejszego i intensywniejszego. Wzdłuż drogi kilometrami ciągnęło się ogrodzenie chroniące przed dzikimi zwierzętami. W końcu dotarła do wjazdu na farmę. Przejechała przez bramę i z powrotem zamknęła ją na łańcuch. Jak okiem sięgnąć nikogo. Droga zaczęła się wspinać pod górę, stawała się coraz bardziej kamienista. Resztki suchych traw straciły kolor, niewysokie szare krzaki przy koleinach wyglądały, jakby od tygodni żywiły się tylko pyłem. Tu i tam spomiędzy skał wystrzelała niepokornie akacja.

Odgłos silnika spłoszył stadko perliczek. Zamiast schronić się w krzakach, w panicznym strachu gnały przed samochodem i z trzepotem rzucały się na bok, kiedy koła auta prawie ich dosięgały. Z korony jakiegoś drzewa poderwał się drapieżny ptak i odleciał, ciężko łopocząc skrzydłami. Może to gadożer. Gdyby siedział spokojnie, Clemencia wcale by go nie zauważyła.

Kiedy wjechała na szczyt wzniesienia, na łagodnie opadającej równinie zobaczyła w dali dwa cyprysy. Pod nimi rozpościerała się gęsta jasna zieleń, przez którą tu i ówdzie prześwitywała biel murów domu farmera i zabudowań gospodarczych. Tuż ponad linią gruntu oaza zdawała się rozpływać w wąskim pasie rozedrganego gorącego powietrza, jakby unosiła się w nicości albo w ogóle była tylko fatamorganą wyczarowaną przez upał.

Dopiero gdy Clemencia podjechała bliżej, zarysy stały się solidniejsze. Tuż przed pierwszymi drzewami drogę zagradała kolejna bramka. Otworzyło ją dwoje dzieci, które potem biegły za samochodem aż pod sam dom. Na zadaszonej werandzie stał biały starszy mężczyzna. Był szczupły, miał

mocno opaloną twarz, a jego białe włosy miały żółtawy odcień.

– Sędzia Hendrik Fourie? – Clemencia wyciągnęła rękę.

– Emerytowany sędzia – uściślił Fourie. Uścisnął dłoń Clemencji i zwrócił się do obojga dzieci, które nadal stały przy radiowozie: – No, dzieci, pytajcie!

Dziewczynka mogła mieć około pięciu lat, chłopiec był trochę starszy. Spuścił głowę, wpatrując się w swoje bose stopy.

– Przecież pani policjantka was nie zje!

Clemencia próbowała się uśmiechnąć. Dziewczynka nie odrywała od niej oczu. Chłopiec grzebał stopą w piasku. Oboje mieli bardzo ciemną skórę. Clemencia zapytała:

– Czy mogę w jakiś sposób...?

Fourie powstrzymał ją. Nie, oni muszą sami poprosić. Muszą się nauczyć, że w życiu rzadko coś przychodzi samo. Mimo piętnastu tysięcy hektarów nie ma na farmie wielu pracowników, bo cele komercyjne go nie interesują. Hodowla bydła i tak już się nie opłaca. W każdym razie Taleni i Nangolo są tu jedynymi dziećmi, a on trochę pomaga przy ich wychowaniu. Dzieciaki są bystre. Fourie nawet nosił się z zamiarem wysłania ich do jakiejś dobrej szkoły w Windhuku.

Clemencia zapytała o rodziców dzieci. Matka prowadzi dom sędziego Fouriego i mieszka z dziećmi w pierwszym z trzech domów za głównym budynkiem. A jeśli chodzi o ojca, to nie wiadomo, gdzie się podziewa i czy w ogóle jeszcze żyje. Już wcześniej znikał czasem na kilka dni, ale teraz nie pokazywał się od wieków.

– Może tak nawet lepiej – powiedziała matka, która właśnie wyszła na werandę z dwiema szklankami mrożonej herbaty.

Chłopiec nadal stał przy radiowozie. Dziewczynka przestała się interesować Clemencją i tarłosiła teraz wielkiego wyżła weimarskiego, który leżał w cieniu drzew owocowych z wyciągniętymi przed siebie łapami. Pies leniwie machnął dwa razy ogonem. Mrożona herbata orzeźwiała znakomicie, a pod dachem werandy było stosunkowo chłodno. Z różanego żywopłotu dobiegał świergot jakiegoś ptaka. Kawałek dalej wokół małej sadzawki dumnie spacerowały pawie i indyki. Prawie można by uwierzyć, że tutaj świat był w porządku.

Clemencia zapytała w końcu:

– Wiem, że materiał dowodowy był niewystarczający. Pytam pana o zdanie jako osobę prywatną, panie Fourie: czy van Zyl i Maree naprawdę byli odpowiedzialni za śmierć Lubowskiego?

Fourie odstawił swoją szklankę na poręcz werandy. Spojrzał Clemencji w oczy i powiedział:

– Van Zyl i Maree, tak, ale w tę sprawę zamieszanych było więcej osób: Donald Acheson, „Staal” Burger, Ferdi Barnard i co najmniej jeszcze jeden człowiek, którego prawdziwego nazwiska nie znam. Oni tu, w Windhuku, załatwili brudną robotę. Do tego dochodzą jeszcze oczywiście zleceniodawcy w Pretorii, gdzie rezydowała 6. grupa regionalna CCB. Proszę mi wierzyć, że gdyby doszło do procesu, skazałbym ich wszystkich. Fourie był przekonany o swojej racji, właśnie takiego człowieka Clemencia potrzebowała. Zabójstwo Lubowskiego przypuszczalnie było największą sprawą w jego całej karierze zawodowej. Nie zapomniał z niej żadnego najmniejszego szczegółu. Clemencia musiała tylko zadawać właściwe pytania. Najpierw o członków tamtego komanda śmierci. Jeśli zamordowano dwóch z nich, znaczyło to, że życie pozostałych jest



zagrożone.

Fourie wzruszył ramionami.

– Może „Staal” Burgera. Mieszka gdzieś w RPA i udaje farmera o nieposzlakowanej opinii. Ale to, w jaki sposób zabójca mógłby dotrzeć do pozostałych, jest dla mnie zagadką.

Clemencia pytała dalej. Miejsce pobytu Ferdiego Barnarda było znane, ale potencjalnemu mordercy niewiele to pomagało, bo musiałyby wpierw sforsować mury więzienia o zaostrozonym rygorze w Pretorii. Barnard został w 1991 roku skazany na dożywocie za zamordowanie bojownika przeciw apartheidowi Davida Webstera. RPA deportowała Achesona do Londynu w 1991 i od tego czasu nie widziano go tutaj. Jeśli chodzi o tajemniczego szóstego członka grupy, Fourie znał tylko jego pseudonim, „Donkerkop”, przypuszczalnie był to ktoś mieszkający wtedy w Windhuku.

– Dlaczego? – zapytała Clemencia.

– W strukturach CCB działała też 8. grupa regionalna, operująca w dawnej Afryce Południowo-Zachodniej. Najwyraźniej uznano, że jej członkowie nie nadają się do tak dużej sprawy jak zamordowanie Lubowskiego, i sprowadzono zabójców z Pretorii. Ale raczej mało prawdopodobne jest, żeby oni mogli działać bez lokalnego wsparcia z zewnątrz. Trzeba było zdobyć broń, samochód do ucieczki, potrzebna była osoba znająca teren, która mogła dyskretnie zakwaterować gdzieś Afrykanerów. Donald Acheson dostał nawet pracę w „Windhoek Observer”.

Donald Acheson. I „Donkerkop”, czarna głowa. Może on nadal mieszka w Windhuku.

– Może się pani ze mnie śmiać – mówił dalej Fourie, ocierając pot

z czoła. – Jeszcze przez długie lata, kiedy mijalem na ulicy przechodnia z czarnymi włosami, zastanawialem sie, czy to przypadkiem nie jest on.

Clemencia sie nie smiala. Zapytala, czy Fourie sie domysla, kto mogl pragnac tak krwawej zemsty.

– Z pewnoscia nie rodzina Lubowskiego – stwierdzil Fourie. – Poznalem ich wszystkich, rodzicow, siostry, jego byla zona i dzieci. Od tamtego czasu nieustannie walcza o wyjasnienie tej sprawy. Oni szukaja sprawiedliwosci, a nie zemsty. Chca nie tylko dowiedziec sie prawdy, ale zalezy im, by ona oficjalnie wybrzmiala w uzasadnieniu wyroku sadowego. Zreszta nie beda przeciez zabijac podejrzanych akurat teraz, kiedy prokuratury w Namibii i RPA znow przygladaja sie tej sprawie. Bez domniemanych winnych postepowanie zostanie natychmiast zamkniete, a bez postepowania sprawa nigdy nie zostanie do konca wyjasniona.

– A wiec kto? – zapytala Clemencia. – Kto moze byc tak zawziety...?

– Nie mam pojecia. – Fourie przygladal sie dziewczynce, ktora postawila psa na nogi i teraz probowala wsiasc mu na grzbiet. – W kazdym razie minelo juz dwadziescia lat. Moze tu wcale nie chodzi o odwet.

– O co w takim razie? – zapytala Clemencia. Jej komorka zapikala. SMS od *miki* Matildy z zadaniami, by natychmiast oddzwonila. Nie teraz, *miki* Matilda, nie teraz!

– Tego musi sie pani dowiedziec – powiedzial Fourie. – Chetnie pani opowiem wszystko, co wiem.

– Dobrze, zacznijmy wiec od...

Znow odezwala sie jej komorka. Tym razem otrzymala wiadomosc tresci: „To naprawde wazne!”. Clemencia przeprosila i zesla po trzech schodkach werandy na dol, zeby zatelefonowac. Odwrócila sie w lewo,

w stronę ogródka skalnego z wilczomleczem. Przednią część opanowały sukulenty, które wyglądały jak posklejane pierogi, tylko zielone i z kolcami. Kiedy *miki* Matilda odebrała, Clemencia zaczęła:

– Choćbyś nawet pytała mnie jeszcze sto razy, nie dostaniesz mojego pokoju! Mamy umowę i...

– Chodzi o Melvina.

– Co takiego?

– Policja zabrała twojego brata.

Do diabła! Clemencia wiedziała, że kiedyś to nastąpi. Krok za krokiem Melvin stopniowo zbaczał z uczciwej ścieżki. A ona nie potrafiła nic na to poradzić.

– Co on takiego zbroił?

Ciężkie uszkodzenie ciała, tak podobno powiedzieli funkcjonariusze. Najwidoczniej Melvin sprzął kogoś w knajpie. *Miki* Matilda nie znała szczegółów.

– Wyciągniesz go stamtąd, Clemencio, prawda?

Nadzieja, że oto Clemencia wreszcie zacznie sensownie wykorzystywać swoją pozycję w policji, była wyraźnie słyszalna w jej głosie, towarzyszył jej ton lekkiej pretensji. A przynajmniej niezrozumienia, jak Clemencia mogła pracować z ludźmi, którzy potrafili aresztować jej rodzony brata.

Clemencia nie wiedziała, ale co miała powiedzieć. Spojrzała w dół na kwiaty wilczomlecza. Pomiedzy roślinami pierogopodobnymi rosły inne, które wyglądały jak świńskie uszy. Nieco z tyłu znajdowało się niezbyt wysokie drzewo kołczanowe, którego kora odłaziła w kilku miejscach.

– Melvin siedzi w areszcie. Tutaj, na posterunku w Kataturze – powiedziała *miki* Matilda.

– Dobrze – potwierdziła Clemencia. Sędziemu powiedziała, że niestety musi już jechać do miasta. Ale chciałyby jak najszybciej wrócić do tej rozmowy. Okazało się, że Fourie i tak następnego dnia wybierał się do Windhuku, umówili się więc w kawiarni na początku Post Street Mall.

Kiedy Clemencia dotarła do swojego samochodu, przy drzwiach kierowcy stał bosy chłopiec. Zapytał:

– Czy mógłbym się kawałek przejechać, *ma'am*? A włączy pani koguta i syrenę?

„Donkerkop”:

*Noc, kiedy zginął Lubowski, zmieniła wszystko. Już nie chciałem więcej słyszeć o polityce, zacząłem unikać kręgów, w których wcześniej się obracałem. Miałem poczucie, że muszę wymazać całe moje poprzednie życie, bo nie udawało mi się wyprzeć z pamięci obrazów tamtej nocy. Przez niemal dwadzieścia lat budziłem się co chwilę zlany potem i w ciemnościach mojego pokoju słyszałem echo tamtych strzałów. Doskonale wiedziałem, że to tylko koszmar senny i to wszystko dawno minęło, ale nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko zapalić światło i sprawdzić, czy na moich rękach nie ma krwi. A mimo to nigdy poważnie nie myślałem o tym, żeby się zgłosić na policję. Co by to dało? Lubowskiemu nie przywróciłoby to życia, a tego, co zrobiłem, i tak nie dałoby się cofnąć.*

*Na Boga, miałem wtedy dwadzieścia dwa lata, a w głowie tylko szybkie samochody i niewiele więcej, kilka niedojrzałych myśli i dużo głuchej wściekłości. Nie znałem niczego innego. Moi przyjaciele, rodzice i ich znajomi, wszyscy mówili, że tylko jedna rzecz jest gorsza niż czarnuchy,*

*które miały zrujnować nasz kraj. Gorsci byli biali, którzy chcieli im w tym pomagać. Bo oni powinni pewne rzeczy rozumieć. Co było tutaj, zanim przyjechali pierwsi biali i zakasali rękawy? Żadnych szkół, szpitali, kolei, dróg, nie mówiąc o świetle elektrycznym czy murowanych domach. Tylko kozy, woły i kilka tubylczych plemion, które – o ile właśnie połowa ich ludności nie wymierała w czasie suszy – z zapalem prały się po łbach. Przecież to niemożliwe, żeby ktoś chciał powrotu do tej sytuacji. A już na pewno żaden biały.*

*Tylko najgłupsze cielęta same szukają sobie rzeźnika, tak się wtedy u nas mawiało. Ale nikt nie mógł powiedzieć, żeby Lubowski był głupi, a to tylko pogarszało sprawę. On był gorszy niż ptak kalający własne gniazdo, który ze strachu robi w gacie. On dobrze wiedział, co robi. Był zdrajcą, dezertorem. I w ten sposób wydał na siebie wyrok. Żadna armia świata nie pozwala na to, by jej ludzie przechodzili na stronę wroga.*

*Tym, co mnie osobiście najbardziej u niego wkurzało, była arogancja, z jaką przemawiał. Jakby pozjadał wszystkie rozумы świata. Jak stawał w tym swoim eleganckim garniturku i kpił sobie z tępych Burów, którzy bali się nieuchronnych zmian! Raz – już nie wiem, co to była za impreza – mówił o przyszłości, w której czarni i biali będą mieli równe prawa, w wolnej i niepodległej Namibii...*

*– W Afryce Południowo-Zachodniej! – krzyknąłem z tyłu.*

*– Południowy zachód to określenie kierunku, a nie nazwa kraju – odpowiedział Lubowski spokojnie do mikrofonu. To był jedyny raz, kiedy zamieniłem z nim słowo. Poza tym widziałem go ze dwa, trzy razy, ale oczywiście dużo o nim wiedziałem. Nie tylko dlatego, że ciągle pisały o nim gazety i wszyscy urodzeni tu biali znali się tak czy inaczej. Mój*

ojciec był sąsiadem Lubowskich w Lüderitz, mieszkał zaledwie kilka domów dalej, zanim przeniósł się do Windhuku.

*W każdym razie dałem się wciągnąć w nagonkę na Lubowskiego i wkrótce miałem już dość wysłuchiwania ciągłego marudzenia pod hasłem „coś-wreszcie-trzeba-zrobić”. Zgadaliśmy się z kilkoma kolegami o podobnych poglądach, na początku chodziło o anonimowe pogróżki, czasem też szły w ruch pięści, kiedy natykaliśmy się na pojedynczego zwolennika SWAPO. Po kilku takich akcjach CCB postrzegało mnie już jako kogoś w rodzaju wolnego współpracownika, na długo zanim się dowiedziałem, że taka organizacja w ogóle istnieje.*

*„Slanga” van Zyla i Ferdiego Barnarda poznałem w sierpniu 1989 roku. W mroźny zimowy wieczór poszedłem z paroma kumplami zagrać w darta w Starym Szykarzu. Nie pamiętam już, kto mi przedstawił tamtych dwóch, w każdym razie wypiliśmy tak dużo Windhoek Lager i wódki ziołowej, że w tarczę trafialiśmy tylko przypadkiem. A potem ktoś krzyknął, że to wina tych głupich kręgów, które tylko zlewają się przed oczami. Potrzebny jest konkretny cel, który będzie lepszą motywacją do rzutów, na przykład zdjęcie Lubowskiego. Wtedy by nam pokazał, jak pakuje temu draniowi strzałkę dokładnie między oczy.*

*Wszyscy ryknęli śmiechem, tylko ja wzruszyłem ramionami i powiedziałem:*

– Gadać każdy może.

– A ty jesteś z tych, co nie tylko gadają? – zapytał mnie szyderczo Ferdi Barnard.

– Tak, to prawda.

– Tak mówisz. – Barnard uniósł dłoń i pokazał gest kłapania dziobem.

– Przypadkiem obilo mi się o uszy, że niedawno Lubowski dostał pocztą

swoje powiększone zdjęcie – powiedziałem. – Może się nawet na nim rozpoznał, choć ktoś strzelał do fotografii z wiatrówki.

– Tak przypadkiem o tym usłyszałeś? – zapytał „Slang” van Zyl.

– Możesz się założyć o własną dupę – odparłem.

– Już dobrze, chłopie – powiedział van Zyl.

*Poklepał mnie po plecach i postawił wszystkim kolejkę. Tamtego wieczora nic więcej się nie zdarzyło, przy kolejnych spotkaniach Barnard i van Zyl również zachowywali ostrożność. Sprawdzali moje poglądy polityczne, pozwalali gadać. Słuchali z uśmiechem, jak razem z kumplami układamy czarne listy ludzi, których najpilniej należałoby sprzątnąć. Zresztą były to raczej czarno-białe listy, bo znalazł się tam Lubowski i kilku innych zdrajców.*

*Poznałem Donalda Achesona, potem „Chappiesa” Maree i „Staal” Burgera. To on mnie zapytał, czy naprawdę jestem tak dobrym kierowcą, jak się mówi.*

– Człowieku – powiedziałem – ja po prostu czuję silnik. Gdy tylko przekręcę kluczyk, wiem od razu, co siedzi pod maską. Czy coś tej maszynie dolega, ile wyciąga i jak można ją maksymalnie przydusić. Po kilku metrach jazdy auto i ja stapiamy się w jedno. Do tego stopnia, że sam się czasem dziwię, dlaczego nie chleję benzyny.

– Świetnie – rzucił Burger. – Akurat potrzebujemy kierowcy.

*To było dwa dni przed zamachem. Dopiero tuż przed akcją powiedzieli mi, że zamierzają zabić Lubowskiego.*

– Zabić? – upewniłem się.

– Co, teraz chcesz podkulić ogon, młody? – zapytał Ferdi Barnard. „Staal” Burger się zaśmiał.

– Srał to pies – powiedziałem. – Ten kutas na nic innego nie zasłużył.

W jasnych promieniach słońca posterunek policji na Mungunda Street wyglądał nieco przyjaźniej niż nocą. Starannie otynkowane cegły sięgały ponad głowę, powyżej mur pokrywała niedawno odświeżona farba i ornamenty w kształcie rombów. Kraty przed obydwoma wejściami były otwarte. Clemencia zatrzymała się przed drzwiami po prawej stronie, nad którymi wisiała fioletowa latarnia z napisem „Police”. W nocy jej przytłumione światło zapowiadało coś wręcz odwrotnego niż ochronę i bezpieczeństwo. Na ceglany murze przy drzwiach było widać odcisk buta. Na wysokości prawie półtora metra! Clemencia wolała nie wiedzieć, skąd on się tam wziął.

Czekała. Von Fleckenstein obiecał, że będzie tu o dziewiątej. Clemencia nie wiedziała, czy w sprawach karnych był z niego jakiś pożytek, ale był najlepszy, jeśli chodziło o wyciąganie ludzi za kaucją z paki. Wczoraj wieczorem von Fleckenstein jeszcze się telefonicznie upewnił, czy jej brat Melvin nie był wcześniej karany i czy drugi uczestnik bójkki jest żywy. Jeśli tak, to sprawa nie stanowiła większego problemu. Ale trzeba odczekać jedną noc. I tak mieli szczęście, że z powodu wakacyjnej kampanii na drogach wyznaczono dodatkowe terminy prac sądu, bo inaczej cele nie pomieściłyby wszystkich pijanych kierowców. Prawdziwym powodem tej niezwyklej aktywności sędziów był raczej fakt, że koledzy z drogówki czasem się zapędzali i mogli zgarnąć jakieś ważne figury, których nie powinno się zbyt długo przetrzymywać w areszcie. Z doświadczenia Clemencji wynikało, że nikt się specjalnie nie przejmował, czy w mikroskopijnej celi siedzi dwadzieścia, czy trzydzieści osób.



Poprzedniego wieczora nie udało jej się dostać do Melvina. Na widzenie musiał osobiście wyrazić zgodę szef odpowiedniego wydziału, a ten oczywiście był już nieosiągalny. Clemencia mogła próbować różnych metod nacisku, prawdopodobnie tak uczyniłaby większość jej kolegów, ale oni nie podkreślali przy każdej okazji, że przepisy są po to, żeby ich przestrzegać. Clemencia poprosiła dyżurnego, żeby przynajmniej przekazał Melwinowi środek przeciw pchłom, który ze sobą przyniosła. Solennie jej to obiecał.

Z drzwi posterunku wytoczyły się trzy dziewczyny w minispódniczkach. Mogły być najwyżej po dwudziestce, ale wyglądały, jakby przepracowały na ulicy już kilka lat.

Clemencia właśnie sięgała po komórkę, żeby zadzwonić do adwokata, kiedy von Fleckenstein zajechał swoim zabytkowym mercedesem 200 z siedzeniami z czerwonej skóry i wyłożoną drewnem deską rozdzielczą. Zaparkował w jednej z zatoczek przed drzwiami posterunku, dźwignął swoje ciężkie ciało z fotela i z nieoczekiwaną szybkością popędził do budynku. Kiedy Clemencia ruszyła za nim, ten już znów był w drzwiach. Prowadził ze sobą praktykanta, któremu surowo przykazał uważać na swoje cacko na kółkach. Potem zwrócił się do Clemencji:

– No to do dzieła!

Kwadrans później naprzeciwko nich w służbowym pokoju siedział Melvin. Jego prawe oko było zapuchnięte, miał też rozciętą wargę. Poza tym na jego twarzy malowała się ta sama przekora, jaką prezentował już w dzieciństwie, kiedy czuł się niesprawiedliwie potraktowany. Do cholery, braciszku! Życie samo w sobie jest wystarczająco trudne, nie trzeba jeszcze dodatkowo samemu ciągle pakować się w tarapaty.

- Dobrze się pan miewa? – zapytał von Fleckenstein.
  - W tej zasranej norze? – odpowiedział pytaniem Melvin i podrapał się w zgięcie łokcia. Całe jego ramiona, wystające z rękawów koszulki, były usiane zaczerwienionymi śladami ukąszeń.
  - Nie dali ci tego proszku? – zapytała Clemencia.
  - Jakiego proszku?
  - Kogo gryzą pchły, ten potem kiepsko śpi – zarżał von Fleckenstein radośnie. Potem dodał: – Twój partner sparingowy ma dwa złamane żebra.
  - Tylko tyle? – zdziwił się Melvin.
  - Na nokaut techniczny wystarczy.
  - Mógłbym go zatłuc, gdyby mnie nie powstrzymali – powiedział chłopak.
  - Posłuchaj, młodzieńcze! – Von Fleckenstein skrzyżował tłuste ramiona. – Jeśli w pierdłu tak ci się podoba, możesz dalej odstawiać takie numery!
- Melvin wpatrywał się w pojemnik z wodą stojący w kącie pokoju. Na półeczce obok piętrzyły się plastikowe kubki. Kawalek dalej na lewo stał umundurowany policjant.
- No to opowiadaj! – powiedział von Fleckenstein. – Tylko wszystko ładnie po kolei!
  - Czy mogę dostać szklanek wody? – zapytał Melvin.
  - Nie – rzucił von Fleckenstein.

Melvin niepewnie zaczął mówić. Siedział w barze Mshasho od jedenastej przed południem, pił, gadał z kumplami, potem znowu pił. W pewnej chwili przysiadł się do niego jakiś facet i zapytał, czy nie potrzebuje forsy. Melvin w odpowiedzi tylko się zaśmiał. Przecież widać gołym okiem, że jest milionerem! Tamten się nie śmiał, tylko wyjął z kieszeni dwie setki, pomachał nimi przed oczami Melvina i schował je z powrotem.

Chłopak zapytał go, o co chodzi.

Obcy mężczyzna zamówił dwa piwa i zaczął wypytywać o rodzinę Melvina. Jak się czują ojciec i siostry?

– W porządku – odparł Melvin.

– Jedna z sióstr ma dwoje dzieci, prawda?

– Jessicę i Timothy’ego – powiedział Melvin.

– Czy Jessica ma już chłopaka?

Melvin wybuchnął śmiechem. Jessica dopiero co skończyła jedenaście lat.

Ach tak? Tamten pokiwał głową i zapytał, czy Melvin jako wujek czasami opiekuje się dziećmi.

– Ale że co? – zdziwił się Melvin.

No, czy chodzi z nimi może na spacerunki albo na mecze piłkarskie, kiedy gra Black Africa?

– Właściwie to nie – przyznał chłopak.

Obcy pociągnął duży łyk piwa z butelki. Potem powiedział, że on mógłby czasem przez godzinę lub dwie opiekować się Jessicą. Po czym od niechcienia dorzucił:

– Dwieście dolców!

Wtedy Melvin go walnął. Pierwszy cios nie był do końca celny, tak że i on sam oberwał raz czy dwa, ale w pewnej chwili tamten padł na podłogę, a Melvin kopał go po całym ciele. Gdyby inni go nie odciągnęli, pewnie by nie przestał, póki ta świnia nie...

– Dobrze, to już wiemy – przerwał mu von Fleckenstein.

Melvin podrapał się w ramię. Był ubrany w żółty T-shirt z zielonymi lamówkami. Podobny do strojów brazylijskiej reprezentacji. Plecy koszulki ozdobił napis „Kakà”. Melvin sam wyciął litery z kawałka jakiejś zielonej

tkaniny. Constancia, matka Jessiki, mu je naszyła.

– Czy chłopak może dostać trochę wody? – zapytał von Fleckenstein. Strażnik sięgnął po kubek i go napełnił.

– W knajpie mówili, że jak człowiek prześpi się z dziewczyną, to może się pozbyć HIV-a – powiedział Melvin – ale to nieprawda, co?

– Nie – potwierdziła Clemencia. – To kompletna bzdura.

– A nawet jeśli... – ciągnął Melvin. – Nawet jeśli by tak było, to przecież nie z Jessicą!

– Nic się jej nie stanie – zapewniła go Clemencia, choć wiedziała dobrze, że ona prawie niczego nie może obiecać, jak każdy inny.

W Kataturze nie dało się utrzymać dzieci cały dzień pod kluczem. Na to nie było nawet miejsca. Musiały wychodzić na ulicę, wędrowały z kolegami od jednego domu do drugiego, bawiły się nad rzeką, zapuszczały się aż do ONZ-Plaza. Tak, trzeba będzie pouczyć Jessicę, żeby trzymała się z dala od obcych mężczyzn. Należałoby też mieć ją na oku. Przez te dwa dni, kiedy Constancia szła sprzątać, musiał to robić ktoś inny z rodziny.

– Czy wyglądam na kogoś, kto sprzedałby swoją małą siostrzenicę? – zapytał Melvin. Jego usta drżały z gniewu.

– Nie – uspokoiła go Clemencia.

Melvin wyglądał jak obdarty, pogryziony przez pchły dzieciak, który nie skończył szkoły i teraz błąkał się bez celu. Chłopak, który od czasu do czasu zarabiał parę dolarów przy różnych podejrzanych zajęciach, o których nie chciał nic bliższego powiedzieć. Który od razu biegł z zarobionymi pieniędzmi do swojej ulubionej knajpy i następnego dnia w południe skacowany toczył się do domu. Który – gdy tylko

wytrzeźwiał – potrafił usiąść i zmajstrować z drutu piękne autko dla swojego bratanka. Który pewnego razu przyznał się Clemencji, że właściwie to nie wie, co tak naprawdę może znaczyć słowo „przyszłość”. Którego największym marzeniem było obejrzenie meczu Brazylijczyków na mistrzostwach piłkarskich w RPA. Który na dodatek miał pewność, że to na zawsze pozostanie tylko marzeniem. Melvin był młodszym bratem Clemencji. Tak zawsze było i będzie.

– Rozpatrzenie odwołania jest wyznaczone na dwunastą – powiedział von Fleckenstein. – Sędzia ustali wysokość kaucji na trzysta do pięciuset dolarów. O dwunastej trzydzieści będziesz wolny, jeśli...

– Nie mam trzystu dolarów – wtrącił Melvin.

– ...jeśli obiecasz, że nigdy więcej nie tkniesz tamtego faceta. Zresztą on już dostał nauczki.

On może tak, pomyślała Clemencia, ale co z tysiącami innych, którzy nie dostawali leków antyretrowirusowych? Którzy bez powodzenia próbowali się leczyć sokiem z buraków i innymi cudownymi środkami? Którzy chwyтали się każdej, nawet najbardziej idiotycznej nadziei, bo nie mieli nic do stracenia?

– Nie mam nawet dziesięciu dolarów – powiedział Melvin.

– W razie potrzeby służę pożyczką – zaproponował von Fleckenstein i wstał z ciężkim westchnieniem. Przy drzwiach jeszcze raz się odwrócił. – A tak na marginesie, pożyczanie oznacza, że dostaje się swoje pieniądze z powrotem.

Melvin nie odzywał się, kiedy policjanci prowadzili go z powrotem do celi, ale sprawiał wrażenie tak zagubionego, że Clemencia obiecała przyjść na rozprawę o dwunastej. Będzie musiała przełożyć rozmowę z Fouriem. Nie

dodzwoniła się do sędziego, ale zostawiła mu nagraną wiadomość.

W drodze do komendy Clemencia zajrzała do rodziny. Na straganie przed domem leżały równo ułożone pomidory, cebula i papaje. Za nimi piętrzyły się jeszcze małe paczuszki czipsów ziemniaczanych. Tyle zostało z całego kartonu, który Melvin przytaszczył kilka tygodni temu. Twierdził, że pudło wypadło z ciężarówki. *Miki Selma* ustawiała swój niewielki stołeczek w plamie cienia, który rzucała rozpięta nad stołem plandeka. *Constancia* była w pracy w Klein Windhoek, a jej dzieci gdzieś się włóczyły. *Miki Selma* powiedziała, że pójdzie ich zaraz poszukać, przy okazji chciała przejść się po sąsiadach i pozbierać trochę pieniędzy na kaucję Melvina. W tym czasie przy straganie z warzywami miał posiedzieć ojciec Clemencji.

Clemencia pojechała dalej. Okolice domu wyglądała tak samo jak zawsze. Nic nie wskazywało na to, że tutaj małe dziewczynki były warte dwieście dolarów, policjanci kradli proszek na pchły i nie można było nawet na chwilę zostawić bez dozoru stoiska z warzywami. Wszędzie na ulicach bawiły się dzieci, jakby to było coś zupełnie normalnego. Jessiki i Timothy'ego nigdzie nie było widać. Ale to nic nie znaczyło, zupełnie nic. Nie trzeba od razu wpadać w panikę. Na światłach przed Independence Avenue Clemencia zamknęła na chwilę oczy. Bez skutku usiłowała uwolnić umysł.

Dopiero w biurze wydziału kryminalnego Clemencia wróciła myślami do świata zewnętrznego, w którym ludzie mordowali się przy użyciu kałasznikowów. Na swoim biurku znalazła aktualne wydanie gazety „The Namibian” z tytułem *Spóźniona zemsta za Lubowskiego?* Obok leżał raport z kryminalistyki. Zawierał potwierdzenie faktu, że van Zyl i Maree zostali

zabici z tej samej broni. Do spalenia corolli sprawca wykorzystał benzynę. Odciski palców ani żadne inne ślady nie zostały zabezpieczone. A więc pozostawała tylko droga, którą Clemencia już i tak podążała. Przeszłość ofiar. Kto wiedział o tym, że „Chappies” Maree ma przylecieć do Windhuku? Co ten były agent miał do załatwienia w Niemczech? I dlaczego chciał się spotkać z van Zylem? Czy pozostali członkowie grupy, o ile nie odsiadawali jakichś wyroków, też mieli do nich dołączyć? Trzeba jak najszybciej odszukać „Staal” Burgera w RPA. Może puści farbę, kiedy zrozumie, że jego życie jest w niebezpieczeństwie.

Podczas odprawy Oshivelo uznał słusność planu Clemencji i polecił, żeby wszystkie dostępne siły i środki wykorzystać do wyjaśnienia tej kwestii oraz wynikających z niej pytań. Zgłębianie akt sprawy Lubowskiego mogło poczekać. Doświadczenie podpowiadało mu, że morderstwo sprzed dwudziestu lat raczej nie dostarczy przydatnego motywu. Zamiast tego należało się skoncentrować na niedawnej przeszłości ofiar. Oshivelo nie mógł sobie wyobrazić, by mężczyźni z kryminalną historią mogli nagle stać się praworządnyimi obywatelami, tylko z powodu zmiany sytuacji politycznej. Trzeba sprawdzić, czy banda byłych agentów w ostatnich latach nie prowadziła ciemnych interesów na własny rachunek.

– Przemysł broni, diamentów, narkotyki – podsunął Robinson. – Dawne kontakty mogły się tu świetnie przydać.

Może chodziło o jakieś wielkie pieniądze, którymi jeden z nich nie chciał się podzielić z resztą.

– „Staal” Burger? Donald Acheson? A może ten „Donkerkop”?

– Albo jakiś wspólnik czy partner, który poczuł się oszukany – dodał Oshivelo.

Clemencia się nie odzywała. Słuchała tylko, jak Robinson mnoży hipotezy, a Oshivelo konsekwentnie kreśli szlaki, którymi powinno toczyć się śledztwo. Przy czym z każdym słowem coraz bardziej ulatniało się polityczne tło sprawy, które było ich punktem wyjścia. Wydawało się coraz bardziej nieprawdopodobne, by zemsta za morderstwo opisywane w podręcznikach do historii mogła być motywem, który należy traktować poważnie. Nawet fotografia Antona Lubowskiego, którą Clemencia wyjęła z akt, była bardziej pożątkła, niż wskazywałby na to upływ dwudziestu lat. Czy naprawdę w tym przypadku chodziło wyłącznie o brutalne porachunki między przestępcami? Clemencia nie mogła zaprzeczyć, że wiele za tym przemawiało. Jednak zachowywała sceptycyzm, może dlatego, że irytowało ją, kiedy ktoś popychał ją w określoną stronę. Jasne, podwójny mord wzbudził duże zainteresowanie, opinia publiczna oczekiwała wyników, na Oshivelę też naciskano. Ale przecież to ona miała prowadzić tę sprawę. Powinna więc przynajmniej mieć możliwość zajmowania się nią w taki sposób, jaki uznawała za najwłaściwszy.

Clemencia zerknęła na Angulę. Siedział nieruchomo jak kamienny posąg, ale na twarzy miał wypisane jedno wielkie „nie”. Clemencia zdobyła się na uśmiech. Teraz nie można sobie pozwolić na żadne fochy! Nie można okazać słabości! Pewność siebie i nieustępliwość! Powiedziała więc:

– Panowie, dziękuję za wasze cenne wskazówki. Od razu przystąpimy do szukania wszelkich przydatnych w tej sprawie informacji na temat przestępczości zorganizowanej. Jestem pewna, że wkrótce pojawią się konkretne wyniki. A zatem do pracy!

Oshivelo skinął, wszyscy wstali z miejsc. Clemencia zaczekała, aż znaleźli się przy drzwiach.



– Tylko Angula i ja pozostaniemy przy aktach Lubowskiego – powiedziała wtedy, wskazując palcem na tytuł z „Namibiana”. – Tak dla pewności. Prasa już coś wyniuchała. Nie chcemy chyba wysłuchiwać zarzutów, że upieramy się tylko przy jednym kierunku w śledztwie.

Przy ostatnim zdaniu spojrzała prosto w oczy Oshiveli. Jeśli teraz zaatakuje ją w obecności podwładnych, równie dobrze może ją zwolnić. Albo pozwoli jej pracować, albo to nie ma sensu. Musiał się zdecydować, ile jej praca jest dla niego warta.

Oshivelo wahał się przez chwilę. Potem rzucił:

– Proszę mnie informować na bieżąco, pani inspektor!

Kiedy wreszcie wszyscy wyszli, komórka Clemencji pokazywała godzinę 11.43. Musiała jechać, jeśli chciała zdążyć na rozprawę Melvina. Jeszcze tylko szybki telefon do Fouriego! Czekwała, aż włączy się poczta głosowa. Nic, nikogo. Potem usłyszała pukanie i w drzwiach stanął Angula. Znalazł coś, co mogło okazać się ważne. Podczas odprawy słowem się nie odezwał. Najwyraźniej wiadomość była przeznaczona tylko dla uszu Clemencji.

– Co takiego? – zapytała.

– Magnus Malan, były minister obrony RPA, w 1990 roku na forum parlamentu oświadczył, że Anton Lubowski pracował dla służb specjalnych na rzecz apartheidu. Podobno dostarczał dane o SWAPO, polityczne i wojskowe, szczególnie ważne informacje. Oskarżenia te zostały potwierdzone później z dwóch różnych stron. Przez dawnego członka South West African Police Force i przez znanego południowoafrykańskiego reportera, który miał wtyki w policji.

– Lubowski miałby być szpiclem? – zapytała Clemencia z niedowierzaniem.

- Oczywiście jest też masa zeznań mówiących coś przeciwnego.
  - Przecież Afrykanerzy ciągle wsadzali go do pudła.
  - Sześć razy. – Angula skinął głową.
  - Ale...? – zapytała Clemencia.
  - Sześć razy do roku 1987. Potem już nie.
  - Co to ma znaczyć, Angula? Co ty tak naprawdę chcesz przez to powiedzieć?
  - Nic. Tylko tyle, że nie należy wykluczać żadnej ewentualności. I skoro przez dwadzieścia lat nie udało się udowodnić, że tej zbrodni dokonało Civil Cooperation Bureau, może to teoretycznie oznaczać, że nie ma tu nic do udowodnienia.
  - Kto miałby w takim razie...? – Clemencia zawiesiła głos.
- Angula w geście obrony podniósł dłonie, ukazując ich jasne wnętrza. Rzucił:
- Ja jestem tylko prostym konstablem.
- To, co zasugerował Angula, było czystym szaleństwem. Przecież to oczywiste, że Malan na forum parlamentu próbował oczyścić siebie i swoją bandę morderców. Stwierdzenie, że Lubowski był agentem reżimu RPA, świadczyło o tym, że CCB nie miało żadnego interesu w tym, żeby go wyeliminować. Wręcz przeciwnie. Wtedy logiczne wydawało się, że to wróg, a więc SWAPO zlikwidowała zdrajcę w swoich szeregach. Wypowiedź Malana była tylko brzydkim politycznym zagranem, paskudną sztuczką mającą na celu destabilizację sprawującego od niedawna władzę rządu SWAPO.
- Czyli skupiamy się raczej na teorii o przemyśle diamentów? – zapytał niewinnie Angula.

SWAPO wywalczyła niepodległość. Stosowała również przemoc, a także knuła intrygi, ale nie korzystała z tego w stopniu większym, niż wymagała wojna z panującą ideologią poniżenia i pogardy dla człowieka. O tym Clemencia była przekonana. Martwiło ją tylko, że Oshivelo na wszelkie sposoby starał się zbagatelizować znaczenie tropu z Lubowskim. Jej szef odegrał znaczącą rolę w walce niepodległościowej, należał do partyjnych kadr, które znały różne zakulisowe sprawy. Morderstwo Lubowskiego było naprawdę wielkim ciosem. Oshivelo musiał wiedzieć, co się wtedy działo. Nie mógł tak po prostu udawać, że słyszy nazwiska agentów CCB po raz pierwszy w życiu. Ale skoro udawał, to musiał mieć jakiś powód.

– Będziesz się tym dalej zajmował, Angula – powiedziała Clemencia – i jeśli coś znajdziesz, idziesz z tym prosto do mnie. Ani słowa nikomu poza mną!

– Może być gorąco, szefowo – stwierdził Angula.

Przydałaby się teraz jakaś błyskotliwa odpowiedź. Że w tym cholernym biurze i tak wszyscy się ciągle pocą. Że, dzięki Bogu, zbliża się pora deszczowa. Że tylko ten ma poparzone palce, kto za szybko sięga. Że... W końcu Clemencia rzuciła tylko:

– To niewykluczone, Angula.

Kiedy wreszcie wyszła z biura, było już oczywiście za późno. W sądzie ani śladu Melvina. Adwokat von Fleckenstein był na miejscu, zajęty wyciąganiem z kicia kolejnego delikwenta. Kiedy skończył, wcisnął Clemencji swoją wizytówkę i szepnął:

– Jest mi pani winna dwieście pięćdziesiąt dolarów!

Clemencia wróciła do Katutury. Ojciec siedział na ławce przed domem. Jessica i Timothy nie odstępowali go na krok, prosząc go bezskutecznie,

żeby im coś opowiedział, jakąś historię z dawnych czasów. *Miki Selma* oświadczyła z dumą, że zebrała czterdzieści trzy dolary i dwadzieścia pięć centów na kaucję.

– Gdzie jest Melvin? – zapytała Clemencia.

*Miki Selma* wskazała kciukiem w dół ulicy. W stronę baru Mshasho, z którego na całą dzielnicę dudniło *kwaito*.

– Świętuje swoje uwolnienie – powiedziała *miki Selma*.

Emerytowany sędzia Hendrik Fourie:

*Decyzja, którą podjąłem w 1990 roku w sprawie zwolnienia za kaucją Donalda Achesona, jest przypuszczalnie największym błędem w całej mojej karierze zawodowej. Ale na podstawie znanych mi wówczas faktów nie miałem wyboru. Nie wiedziałem przecież, że nasze władze – zarówno prokuratura, jak i policja – tak niedbale zajmowały się egzekwowaniem prawa, że graniczyło to niemal z sabotażem. Najpierw uznałem za opieszałość fakt, że prokurator kilka razy prosił o przesunięcie rozpoczęcia procesu Achesona. Zgodziłem się raz, potem drugi, ale przy trzecim wniosku moja cierpliwość się wyczerpała. Niech oni wreszcie doprowadzą to do końca! Wyzaczyłem ostateczny termin złożenia aktu oskarżenia.*

*Jakież było moje zdumienie, gdy prokurator wkrótce potem wycofał zarzuty, twierdząc, że nie znaleziono dość dowodów przeciwko Achesonowi. Jednak cały rozmiar katastrofy uzmysłowiłem sobie dopiero wiele lat później, kiedy w prasie zaczęły się pojawiać podejrzenia, że w morderstwo Lubowskiego mogli być zamieszani wysoko postawieni funkcjonariusze policji. Objąłem nadzór nad postępowaniem przygotowawczym i wtedy po wnikliwym przejrzeniu akt stwierdziłem*

*z niezbitą pewnością, że było dość dowodów nie tylko przeciwko Achesonowi, ale i przeciwko pozostałym członkom grupy CCB, żeby bez problemu sformułować akty oskarżenia. Moim zdaniem wystarczyłoby tego nawet na wyrok skazujący. Wielu zarzuca mi, że użyłem wtedy w stosunku do prokuratury określenia „szczyt niekompetencji”, a przecież, zważywszy na powagę sytuacji, są to stosunkowo łagodne słowa.*

*W każdym razie upubliczniłem efekty swojej pracy. We wnioskach końcowych wymieniłem z nazwiska wszystkich po kolei, ustaliłem, że strzelał nie kto inny, tylko Acheson, zaś van Zyl i Maree, a także ich kompani i wspólnicy aktywnie uczestniczyli w całej sprawie oraz że zabójstwo zleciła centrala CCB w Pretorii. Następnie przeszedłem do wniosków o politycznym celu tego zabójstwa i obaliłem kłamstwa Malana z jego słynnego wystąpienia w parlamencie oraz zdemaskowałem kilka innych zasłon dymnych wypuszczonych z różnych stron. Jednemu z oficerów policji udowodniłem nawet, że zataił ważne wskazówki dotyczące morderstwa Lubowskiego.*

*Krótko mówiąc, podsunąłem im pod nos wyjaśnienie sprawy, żeby nie mieli innego wyjścia, jak tylko wznowić śledztwo. Tak to sobie wyobrażałem. Ale okazało się, że oni mogą wszystko. Kiedy pierwsza wrzawa ucichła, prokurator wystosował odpowiedź. Moja analiza dowodów i argumentacja go nie przekonały. Wprost przeciwnie, uważał, że Donald Acheson – którego przydomek „Cleaner” (Sprzątacze) był powszechnie znany – był niewinny. Poszlaki, które przemawiają przeciwko niemu, świadczą raczej o tym, że ktoś chciał go obciążyć. Jakieś zagadkowe siły chciały go zrobić w to morderstwo. To było niewiarygodne, ale prokuratura otwarcie odmówiła wniesienia oskarżenia. Przynajmniej dopóki część podejrzanych*

*przebywała w RPA, a ich ekstradycja była niemożliwa. Wiceminister sprawiedliwości obiecał się tym zająć, ale wkrótce sprawa przycichła i nic z tego nie wyszło. Namibijskie władze nigdy nie wystosowały oficjalnego wniosku o ekstradycję.*

*Dalszy ciąg można streścić krótko. W 1998 roku doszło do kolejnego postępowania przed Sądem Najwyższym, które nie wykazało ani mniej, ani więcej niż moje dochodzenie. Rodzina Lubowskiego zgłosiła wreszcie tę sprawę do południowoafrykańskiej Komisji Prawdy i Pojednania<sup>18</sup>. Po latach tamtejszy Krajowy Urząd Śledczy sprawdził rezultaty jej pracy, by stwierdzić, czy istnieją szanse na wznowienie procesu, a teraz nad tymi aktami siedzi znów namibijska Prokuratura Generalna. Do procesu nigdy nie doszło. Ani tutaj, ani w RPA.*

*Jak to w ogóle było możliwe? Cóż, rozpatrując sprawę teoretycznie, mogłem się przecież pomylić. Może dowody naprawdę są niewystarczające. Albo może zbyt dużo ludzi straciłoby wiele, gdyby prawda wyszła na jaw.*

## Głosy

Prawie nie jadł od ponad dwudziestu czterech godzin. Kiedy przesiadał się na autobus do Johannesburga, zamówił w Upington porcję skrzydełek kurczaka, ale po pierwszym kęsie zostawił. Potem pił tylko wodę. Wodę z kranu, którą napełnił butelkę, bo dwutlenek węgla palił go w trzewiach żywym ogniem. Woda stołowa była w porządku. Czego potrzeba więcej? Głód przecież i tak go nie dręczył. Nie, czuł się dobrze, przytomny, lekki jak piórko na wietrze.

Na dworcu autobusowym w Johannesburgu pożyczył książkę telefoniczną, ale tak jak się spodziewał, nie znalazł w niej tego nazwiska. Wiedział o niej tylko tyle, że nazywa się Mandisa Khawuta, mieszka w Soweto, a jej mąż zwykł strzelać do pracowników stacji benzynowych, które potem rabował. Mimo to pojechał do Soweto i wysiadł przy kolorowych wieżach chłodniczych. Na stacji zagadnął kilku leniuchujących młodzieńców i zaproponował im tysiąc randów, jeśli zaprowadzą go do Mandisy Khawuty.

– To jest Soweto, człowieku – odezwał się jeden w czarnej wełnianej

czapeczce. – Tutaj mieszka milion ludzi.

– Dwa tysiące randów – odpowiedział.

Zajęło im to pół godziny. Najpierw upewnił się, że to jest właściwa Mandisa Khawuta, wyprosił z chaty czwórkę jej dzieci i powiedział to, co miał do powiedzenia. Kobieta, niemal nie odrywając wzroku od paleniska, na którym gotowała kaszę kukurydzianą, zapytała:

– A skąd mam wiedzieć, że to nie jest jakiś żart?

Odkaslnął. Żarty naprawdę nie były jego specjalnością. Żarty to było coś dla ludzi przywiązanych do życia. Którzy chętnie zapomnieliby, że tuż za rogiem czyha na nich śmierć. Śmierć nie śmiała się z żartów, tylko z tego, co ludzie przywiązani do życia traktowali poważnie. A był to dziki, szyderczy, bezlitosny śmiech, który mógł wszystkich pogrzebać.

Wyjął kałasznikowa ze swojej niebieskiej torby, podszedł do drzwi blaszanego baraku i odpowiedział pytaniem:

– Czy mam zastrzelić tego starca, który stoi tam, kawałek dalej?

Kobieta przyglądała mu się z uwagą. Potem potrząsnęła głową.

– Bez zaliczki nie ma o czym gadać.

Odliczył trzy tysiące randów i upuścił banknoty na klepisko. Resztę pieniędzy schował. Załadował broń i powiedział:

– Raz cię znalazłem, drugi raz też cię znajdę, Mandiso Khawuto.

Skinęła. Najwyraźniej zrozumiała, że to nie były żarty. Powtórzył jeszcze, że nie wolno jej marnować czasu. Za każde pięć godzin odejmie kolejne dwa tysiące randów.

– Jasne?

– Jasne.

Po wyjściu z chaty pogłaskał po głowie jednego z jej synów. Nie musiał się



odwracać, żeby wiedzieć, że kobieta go obserwowała. Potem znów pojechał do centrum Johannesburga i wsiadł w pierwszy autobus jadący na południe. Choć średnia tutejsza temperatura była niższa niż w Windhuku, on się nadal pocił. Na którymś przystanku do autobusu wsiadł kaznodzieja i zaczął wygłaszać mowę. „O Kainie i Ablu, Księga Rodzaju 4. Rzekł Bóg do Kaina: *Vervloek is jy dan nou...* »Niech będzie przeklęty na tej ziemi, która nasiąkła krwią braterską. I nic nie będzie rodzić tam, gdzie on będzie uprawiał rolę. I jego losem będzie tułaczka po świecie. Kain, tchórz, obawia się, że teraz byle kto może go zabić. Na co Bóg odrzekł: – O, nie! Ktokolwiek by zabił Kaina, siedmiokrotną pomstę poniesie«”.

W tym momencie miał ochotę się rozeźmiać, przeszkadzał mu tylko ból w piersi. Bóg też robił pewne rzeczy na raty. Tak samo jak jego twory zrozumiał, że trzeba dokończyć to, co się kiedyś zaczęło. Do bolesnego końca. Umrzeć mieli wszyscy, on i Bóg, a po drodze jeszcze kilku innych. Potem dotarli do prowincji KwaZulu-Natal. Jeszcze nigdy tu nie był, a pilot autokaru wydawał się powołany do roli przewodnika i bez końca paplał coś do mikrofonu. I tak dowiedział się, że w tej okolicy walczyły i mordowały się nawzajem najróżniejsze plemiona. Dlatego są tu miasta, które nazywają się na przykład Vryheid, czy rzeki o nazwie Blood River. W jakiś sposób wydawało mu się to logiczne.

Fourie wyjechał. Do RPA. Jego gospodyni nie wiedziała dokładnie, kiedy wróci, ale najwyraźniej zabrał tylko niewielki bagaż. Clemencia zapytała kobietę, jak się miewają jej dzieci.

– Syn chce teraz zostać policjantem – odpowiedziała kobieta.

– Jeszcze mu przejdzie – uspokoiła ją Clemencia i poprosiła o wiadomość,

gdy Fourie wróci. Potem usiadła przy biurku, żeby przygotować konferencję prasową. Główny komunikat omówiła wcześniej z Oshivelą. Śledztwo toczy się wielokierunkowo, ale jest jeszcze za wcześnie na spekulacje. Zamierzali zneutralizować spodziewane i zrozumiałe niezadowolenie przedstawicieli prasy, prosząc ich o pomoc. Może ktoś na przykład zauważył człowieka, który odebrał z lotniska „Chappiesa” Maree. Wszedł Robinson, żeby zdać raport. Uśmiechał się od ucha do ucha, co najmniej jakby morderca zgłosił się do niego osobiście. Ale w rzeczywistości efekty pracy jego i reszty zespołu były o wiele mniej spektakularne. Van Zyl wziął tydzień urlopu w swojej firmie, i to od dnia, w którym „Chappies” Maree przyjechał do Windhuku. Koleżanka z pracy zeznała, że van Zyl zamierzał wybrać się na polowanie z przyjacielem. Gdzieś na Kalahari. Wdowa po van Zylu zasadniczo potwierdziła te słowa, ale jako cel planowanego wyjazdu mężczyzn podała farmę myśliwską leżącą zupełnie gdzie indziej, mianowicie w górach Erongo.

– I co? – zapytała Clemencia.

Robinson odchylił się na krześle i założył nogę na nogę. Po pierwsze, teraz trwa okres ochronny i obowiązuje zakaz polowania na większość dzikich zwierząt, po drugie, sprawdził na lotnisku Hosea Kutako, że Maree nie miał ze sobą broni myśliwskiej, a po trzecie, na wymienionej farmie nikt nie słyszał o ewentualnym przyjeździe van Zyla i Maree.

– Polowanie... – powiedział Robinson z wyraźnym zadowoleniem. – Też wymyśliłbym coś takiego, gdybym chciał wyrwać się od żony i dzieci i żeby nikt nie interesował się moimi kryminalnymi interesami.

Reszta sprawozdania składała się z najśmielszych spekulacji. Robinson rzeczywiście podejrzewał nielegalny handel diamentami. Zaczął już

sprawdzać rezerwacje w hotelach Klein-Aus w Lüderitzu i w okolicach parku narodowego Sperrgebiet. Dotychczas bez rezultatu. Teraz zamierzał zwrócić się do wydziału ochrony zasobów naturalnych, odpowiedzialnego za nadzór nad kopalniami diamentów. Jeśli ostatnio zawieruszyła się gdzieś garść świecidełek, można było od tego zacząć poszukiwania. Clemencia uznawała to za marnowanie czasu, ale Oshivelo już wyraził zgodę, więc tylko pokiwała głową. Jednak kiedy Robinson zaczął głośno rozważać konieczność służbowego lotu do Sperrgebiet, wyrzuciła go z biura.

Na konferencji prasowej zjawili się stali goście – NBC Radio, „The Namibian”, „The Sun”, „Die Republikein”. Przed damą reprezentującą „Windhoek Observer” trzeba się było mieć na baczności. Do perfekcji opanowała sztukę wyrywania cytatów z kontekstu. Zjawił się też młody reporter z niemieckojęzycznej „Allgemeine Zeitung”. Był jedyną osobą zwracającą się do Clemencji nie „pani inspektor” czy „*ma’am*”, tylko „*miss Garises*”. Z jakichś powodów wyraźnie okazywał jej sympatię. W każdym razie już wcześniej zadawał jej pytania uprzejmie i grzecznie, co raczej nie było normą wśród jemu podobnych. Clemencia odnosiła wręcz wrażenie, że chciałby ją wesprzeć w trudnej sytuacji.

Oshivelo w kilku słowach powitał zebranych i oddał głos Clemencji. Mówiła krótko i rzeczowo. Dwa morderstwa, jedna broń, jeden zabójca. Kilka szczegółów na temat okoliczności zbrodni. Potwierdzenie faktu, że obie ofiary wcześniej należały do CCB. Zastrzeżenie, że bada się także inne tropy, które ze względu na bezpieczeństwo śledztwa na razie muszą pozostać objęte tajemnicą. A potem miód dla prasy: prośba o pomoc. Współpraca mediów. Odpowiedzialność. Społeczeństwo obywatelskie. Kooperacja między obywatelem i państwem. To, co zwykle. Do tego

Clemencia rozdała przygotowane zdjęcia „Chappiesa” Maree. Nieliczne pytania dotyczące zaniedbań policji czy politycznego tła sprawy umiejętnie zbywała. Spotkanie trwało niecałe pół godziny. Oshivelo skinął jej z uznaniem.

Za drzwiami podszedł do niej reporter „Allgemeine Zeitung”. Zapytał, czy może mu poświęcić chwilę. Był od niej wyższy o głowę, szczupły, jego skóra była tak jasna, że przypuszczalnie nawet nocą potrzebował kremu przeciwsłonecznego. Przedstawił się jako Claus Tiedtke, przejechał dłonią po swoich jasnych włosach i szybko przeszedł do rzeczy:

– Kilka miesięcy temu zgłosił się do mnie do redakcji starszy niemieckojęzyczny mężczyzna i powiedział, że widział w centrum Windhuku Donalda Achesona.

– Achesona, „Sprzątacza”? – zapytała Clemencia z niedowierzaniem. Przecież on zniknął w 1991 roku, kiedy RPA deportowała go do Londynu. W tej chwili mógł być wszędzie: w Australii, Ameryce Południowej czy jakimś innym odległym miejscu na świecie. Oczywiście, zakładając, że jeszcze żył.

– Poradziłem mu, żeby poszedł z tym na policję, ale on już tam był. Pani koledzy najpierw kazali mu czekać, a potem poinformowali, że przeciwko Donaldowi Achesonowi nie mają żadnych podejrzeń ani zarzutów. Facet zaczął się upierać, próbował tłumaczyć, że Acheson jest jednym z najsłynniejszych płatnych morderców pracujących dla CCB, ale oni go odesłali. Wtedy wściekły przyszedł do nas do redakcji i domagał się, żebyśmy to nagłośnili w gazecie. Chyba mniej ze względu na samego Achesona, chodziło mu raczej o napiętnowanie nieudolności namibijskiej policji.

– Na co pan się oczywiście nie zgodził – dodała Clemencia. Nie czytała niemieckojęzycznej prasy, ale mogła sobie wyobrazić, jak oceniano w niej pracę lokalnej policji.

– W rzeczy samej, *miss Garises*. – Claus Tiedtke uśmiechnął się. – Mamy do tego wiele lepszych okazji. W każdym razie tamta sprawa nie wydawała mi się dość pewna i szczerze powiedziawszy, niezbyt aktualna, żeby o niej pisać. Poza tym tamten mężczyzna nie chciał ujawnić swojego nazwiska. Powiedziałem mu, że bez potwierdzenia z innego źródła niewiele mogę zrobić i wkrótce zapomniałem o całej sprawie.

– Póki nie zamordowano van Zyla i Maree – dokończyła Clemencia. Była ciekawa, dlaczego żaden z policjantów, którzy wtedy odesłali świadka, nie wpadł na pomysł, żeby ją o tym poinformować.

– Może to też nic ważnego – dodał Claus Tiedtke.

– Ależ tak, oczywiście, dziękuję bardzo! A nie dowiedział się pan, jak się nazywał tamten świadek?

Tiedtke potrząsnął głową.

– Wiem tylko tyle, że zauważył Achesona w sklepie z bronią, kiedy tamten kupował naboje. W Rosenthal Guns.

Ukrywający się killer widziany w sklepie z bronią. To pasowało aż za dobrze, żeby mogło być prawdą. Przypuszczalnie to jakaś bzdura, a rzekomy świadek okaże się jednym ze świrów, którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko przez całe dni absorbować innych swoimi urojeniami. Poza tym musiałyby bardzo dobrze znać Achesona, skoro rozpoznał go podczas przypadkowego spotkania, i to po dziewiętnastu latach. Z drugiej strony takie typki zjawiają się zwykle, kiedy sprawa jest nagłośniona w prasie. Gdyby ten facet przyszedł wczoraj albo dzisiaj,

Clemencia nie marnowałaby na niego czasu. Ale kilka miesięcy temu? Wtedy jeszcze nikt nie mówił o Lubowskim, CCB czy Achesonie.

– Zajmę się tą sprawą – obiecała Clemencia.

Skinieniem głowy pożegnała Clausa Tiedtkego i poszła do swoich ludzi. Angula siedział pośród stosów akt, które zawzięcie wertował. Na pytanie, czy zrobił jakieś postępy, udzielił niejasnej odpowiedzi, że największy problem stanowią powiązania w poprzek. Więcej nie mógł powiedzieć. Robinson dzielił się z van Wykiem złością na koleśki od diamentów, którzy zawsze uważają się za kogoś lepszego. Tjikundu telefonował. Mówił przy tym tak służbowym tonem, że na sto procent była to rozmowa prywatna.

– Po prostu odłóż słuchawkę! – szepnęła mu Clemencia do ucha, wychodząc z biura. Choć południowe słońce paliło bezlitośnie, wolała iść piechotą. Wypełnienie wszystkich papierków, żeby dostać samochód służbowy, zajęłoby jej tyle samo czasu, co dojście do celu. A tak mogła przynajmniej spokojnie pomyśleć. Jeśli Acheson rzeczywiście znów był w kraju, trzeba go jak najszybciej odszukać. Jeśli to w ogóle możliwe, zanim padnie ofiarą serii z AK-47. Przynajmniej przy drugim zabójstwie sprawca wykazał się dużą znajomością faktów. Czy wiedział też, gdzie zaszył się Acheson?

Acheson, dawny żołdak w kolonialnej Rodezji, policjant w służbie południowoafrykańskiego reżimu apartheidu i potem – widocznie to było nie dość krwawe – płatny morderca na usługach CCB. Człowiek, który zawsze stał po stronie historycznych przegranych, który wciąż upadał, by znów stanąć na nogi. Człowiek, który nie wiedział, co to skrupuły.

A może nie był kolejną potencjalną ofiarą? Może van Zyl i Maree z jakichś względów postanowili jednak zeznawać. Jeśli byli tylko pośrednio

zamieszani w zamach na Lubowskiego, ich czyny dawno uległy przedawnieniu. Ale w przypadku mężczyzny, który nacisnął spust, nie było o tym mowy. Dawni kompani mogli szantażować Achesona! Może Maree przyleciał do Windhuku, żeby omówić z van Zylem szczegóły planu przekazania pieniędzy i zainkasować swoją część? Może naprawdę nie chodziło o zemstę. Może główny winowajca tamtej zbrodni chciał się pozbyć współników, którzy stanowili dla niego zagrożenie? Raz zabójca, zawsze zabójca?

Clemencia przeszła przez skrzyżowanie, minęła pomnik Kudu. Trzymała się blisko ścian domów Independence Avenue, choć i tam tylko niektóre miały zadaszone od słońca wejścia. Salony sieci komórkowych, sklepy fotograficzne, jubilerskie, biura podróży. Przy Kentucky Fried Chicken sprzedawca losów wcisnął jej kilka karteluszków. Mali gazeciarze już się wycofali, ale przed budynkiem Telecomu jak zwykle siedział rastafarianin z figurkami zwierząt z drutu i koralików. Na przejściu przed Post Street Mall zapaliło się czerwone światło. Kobieta z plemienia Herero mimo wszystko ciągnęła swoje dziecko na drugą stronę. Parkingowy w wyblakłej kamizelce wrzucał monetę do parkometru, choć w pobliżu nie było widać straży miejskiej. Przypuszczalnie wyliczy potem posiadaczowi nowiutkiego isuzu, że to ciągle dobry interes płacić mu dziesięć dolarów, kiedy zaoszczędzi trzydzieści na mandacie.

Clemencia zanurzyła się w cień wielkiego figowca przed kawiarnią Zoopark-Café. Na sąsiadującym z nią skwerku siedzieli renciści i czytali gazety. Po trawniku raczkowało niemowlę. Pod drzewami kilku pracowników okolicznych biur spędzało na drzemce przerwę obiadową. Park sprawiał wrażenie idylli, w której jednak coś się nie zgadzało. Nie

chodziło o plastikowe reklamówki unoszące się na powierzchni stawu. To była świeża, soczysta zieleń trawy, możliwa tylko dzięki codziennemu podlewaniu. W takim upale nie miała ona prawa bytu i dlatego stanowiła bolesne przypomnienie o tym, że gdzieś może być piękniej, bardziej miękko i żywotnie. Przede wszystkim jednak gdzie indziej, nie tu. W kraju, w którym regularnie pada deszcz. W którym po miesiącach suszy nie tęskni się za pierwszą burzą jak...

Clemencia potrząsnęła głową. Na skrzyżowaniu z ulicą Fidela Castro przeszła na drugą stronę i dalszą część drogi trzymała się pod arkadami. Przy bankomacie Nedbanku stała kolejka turystów w strojach safari. W pobliżu parkował samochód Group-4-Securicor. Clemencia dotarła do ulicy Venninga i skręciła w prawo. Po przejściu trzydziestu metrów widziała już budynek Rosenthal Guns. Pozbawiona okien fasada od strony Talstrasse przypominała bunkier. Za rogiem na skraju chodnika siedział ochroniarz. Broń ustawił pionowo między nogami. Kilka metrów dalej parkował citi golf. Reporter Claus Tiedtke stał oparty o drzwi auta i pocił się w pełnym słońcu.

– Mógłbym panią podwieźć, gdyby tylko pani coś powiedziała, *miss Garises* – rzucił na powitanie.

– Czy to ma być jakiś test? – zapytała Clemencia.

– Człowiek ma różne doświadczenia z instytucjami – wyjaśnił Tiedtke – ale od razu zauważyłem, że pani jest zupełnie inna.

– Jeśli zamierza pan dalej tu stać, powinien się pan nasmarować kremem – ostrzegła go Clemencia.

– *Black is beautiful* – odparł Tiedtke.

– Ale pan będzie co najwyżej czerwony jak rak – stwierdziła Clemencia.



Weszła na schody do Rosenthal Guns, zadzwoniła i kiedy rozległo się brzęczenie, pchnęła drzwi. Bez słowa pokazała legitymację pracownikowi przy kontuarze. Mężczyzna powiedział:

– Niech zgadnę, *ma'am*. Chce pani pójść na naszą krytą strzelnicę, bo w policji znów skończyła się amunicja?

– Chcę rozmawiać z szefem – wyjaśniła Clemencia.

– Tak tylko żartowałem – wytłumaczył się pracownik i zaraz zaprowadził ją do przełożonego.

Ten zapewnił Clemencię, że ustawowo wymagane listy były prowadzone w Rosenthalu komputerowo i z taką skrupulatnością, z jaką prowadzi się chyba tylko pomiary opadów w Namibii. Żaden Donald Acheson niczego tu nie kupował w ciągu ostatnich lat. To jeszcze nie musiało o niczym świadczyć. Jeśli ktoś się ukrywał, często przyjmował nowe nazwisko i zmieniał dokumenty.

– Czy może pan stwierdzić, kto w ciągu ostatnich kilku miesięcy kupował naboje kalibru 7,62? – zapytała Clemencia.

To było możliwe. Ale akurat ta amunicja była dość popularna, wcale nie służyła tylko do AK-47. Odpowiednio długa była też lista kupców. Clemencia poprosiła o wysłanie jej mailem na policję. Potem zadzwoniła do Tjikundu. Miał się skontaktować ze wszystkimi klientami o anglosasko brzmiącym nazwisku. Mało prawdopodobne było, żeby Acheson, Irlandczyk z pochodzenia, wybrał sobie tożsamość Afrykanera lub Niemca. Przynajmniej warto było podjąć taką próbę.

– Ale jak mam poznać przez telefon, że jeden z nich to nasz poszukiwany? – zapytał Tjikundu. Raczej kiepsko znał angielski. Chyba nie potrafiłby odróżnić irlandzkiego akcentu.

– Mów w afrikaans! – poleciła Clemencia. – Kto nie zna tego języka, nigdy nie pracował dla południowoafrykańskich służb specjalnych. Pytaj najpierw o dane i wykreśl wszystkich poniżej sześćdziesiątego roku życia! Acheson ma teraz około sześćdziesięciu dziewięciu lat i nie może się za bardzo odmłodzić. Odpadają także wszyscy, którzy dostali pozwolenie na broń po 1991 roku. I zapytaj jeszcze, gdzie dana osoba się znajdowała w czasie, kiedy popełniono morderstwa.

– Trochę tego dużo – mruknął Tjikundu.

Clemencia darowała sobie uwagę, że przecież on lubi telefonować, powiedziała tylko, że zajrzy do niego po południu. Kiedy wyszła ze sklepu, Claus Tiedtke nadal stał na chodniku, choć tym razem w skąnym cieniu znaku drogowego. Spojrzał wyczekująco na Clemencję.

– Jeśli nie ma pan innych planów, może mnie pan zawieźć do domu – powiedziała.

W drodze do Katutury reporter próbował ją wypytywać, ale Clemencia odpowiadała zdawkowo. Najpierw trzeba sprawdzić tę historię. Na Frans Hoesenab Straat Tiedtke wyłączył silnik i wysiadł razem z nią.

Stragan z warzywami przed domem był pusty i opuszczony, z baru Mshasho dochodziła głośna muzyka, sąsiad majstrował przy swojej taksówce, a *miki* Matilda przez płot skarżyła się sąsiadce, że lekarz w Katutura Hospital tak po prostu podał jej pacjentowi Josephowi Tjirondzie antybiotyki, nie pytając wcześniej – najlepiej samej *miki* Matildy – jak to możliwe, że do niedawna zupełnie zdrowy mężczyzna nagle zapadł na zapalenie płuc. Clemencia zapytała Tiedtkego, czy chce wejść na chwilę. Szklanka wody powinna mu dobrze zrobić. Dziennikarz zamknął samochód i poszedł za nią.

Melvin był w domu, i nawet do tego stopnia trzeźwy, że próbował pokazywać Jessice i Timothy'emu jakieś techniki kung-fu własnego pomysłu. Dzieciaki były zachwycone. *Miki* Selma ostrzegła tylko, żeby nie zerwali świeżo powieszonych prania, Constancia też nie miała nic przeciwko bojowemu szkoleniu swoich dzieci. To nie było oczywiście żadne rozwiązanie, ale na ulicach Katutury na pewno nikomu nie zaszkodzi trochę znać sztukę samoobrony.

Tiedtke sterczał trochę zagubiony na podwórku, aż Clemencia powiedziała, żeby usiadł na ławce obok jej ojca. Kiedy wróciła ze szklanką wody, cała jej rodzina stała w rzędzie pod ścianą, gapiąc się na spoconego białego. Claus Tiedtke mrugnął do Timothy'ego i zapytał go o imię. Chłopak przytulił się do *miki* Matildy i nie zareagował nawet wtedy, kiedy ta trzepnęła go lekko w potylicę, mówiąc:

– No powiedz wreszcie temu panu, jak się nazywasz!

Clemencia podała Tiedtkemu wodę. Kiedy pił, jej krewni przyglądali mu się, jakby nikt z nich nie wyobrażał sobie, że biali też muszą przyjmować płyny. Tiedtke odstawił szklanę na ławkę. Po chwili oświadczył:

– Dobrze mi to zrobiło.

– Bo dzisiaj jest gorąco – stwierdziła *miki* Matilda.

– Nie do zniesienia – dodał Tiedtke.

– To z powodu lata – wyjaśniła *miki* Selma.

– Miejmy nadzieję, że wkrótce spadnie deszcz – zauważył Tiedtke.

– Oby – zgodziła się *miki* Matilda.

Na tym temat się wyczerpał.

– Czy wy nie macie nic do roboty? – zapytała Clemencia.

– Ależ tak – powiedziała *miki* Selma.

– Nawet dużo – uzupełniła *miki* Matilda.

Ale nie ruszyła się z miejsca tak samo jak pozostali.

– W takim razie... – zaczął Tiedtke, wstając. Clemencia odprowadziła go do samochodu. Pozostali tym razem ustawili się rzędem przy płocie. – Miła rodzina – powiedział Tiedtke. W jego słowach nie było żadnej ironii.

Clemencia zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią, kiedy zadzwoniła jej komórka. To była centrala. W RPA odnaleziono „Staal” Burgera. Mieszka teraz w prowincji KwaZulu-Natal, ma plantację trzciny cukrowej. Czy Clemencia chce zadzwonić do niego osobiście?

Tiedtke siedział już w swoim citi golfie. Clemencia nachyliła się do otwartego okna i zapytała:

– Czy mógłby pan zawieźć mnie z powrotem do komendy?

Dom leżał kawałek za Hluhluwe. Musiał iść ponad godzinę pieszo, najpierw po drodze asfaltowej, potem po polnej, ale to mu nie przeszkadzało. Wprost przeciwnie, wystarczająco długo wysiedział się w autobusie. Jego butelka znów była napełniona wodą. Kiedy czuł przeszywający ból, zatrzymywał się i brał łyk płynu. Potem szedł dalej. Przelotne dreszcze były w palącym słońcu nawet przyjemne. Tylko kaszel brzmiał teraz inaczej. Bardziej głucho, głębiej? Lekarz zapewne powiedziałby, że jest chory, ale on wiedział lepiej. Nie był chory i nigdy nie będzie. Do samego końca pozostanie zdrowy. A potem umrze, tak po prostu.

Najpierw minął plantację ananasów, teraz szedł wzdłuż pól trzciny cukrowej. Po lewej i po prawej stronie w gęstych szeregach stały rośliny przewyższające człowieka. Ich czubki skłaniały się w gorącym wietrze. Ich

szmer przypominał odległe morze.

Kiedyś już był w szpitalu. Wiedział, jak to jest. Wokoło ciebie ludzie powoli zdychają na rozklekotanych łózkach, w zaduchu z potu, rozpaczy i środków do dezynfekcji. Umrzeć musieli wszyscy, ale nie w taki sposób! Uciekł stamtąd i przysięgł sobie, że nigdy więcej jego noga nie postanie w szpitalu. Dlaczego w ogóle miałyby tam trafić? Nie będzie przecież chorował. Po prostu umrze. Kaszlnął.

Kiedy wreszcie zobaczył stojący przy zakolu drogi dom, zatrzymał się. Napił się wody, zarzucił na ramię niebieską sportową torbę i zaczął się przedzierać bokiem przez plantację. Ostrożnie brnął przez gąszcz grubej trzciny, równocześnie mocno stawiając stopy na ziemi. Gdzie była trzcina cukrowa, nie brakowało myszy, a gdzie są myszy, w pobliżu na pewno czają się węże. Węży się bał. W Ovambolandzie<sup>19</sup> widział raz atak czarnej mamby. Raz, drugi, trzeci. Jego kompan umarł wtedy ze strachu, o tym był przekonany, a nie z powodu trucizny. A teraz on był tym, który szerzy strach. I śmierć. Był ciekaw, czy węże też by się go bały.

Usłyszał śmiech, zatrzymał się i wyjrzał spomiędzy łodyg. Przed nim znajdowała się wydeptana droga prowadząca do niskiego żywopłotu, a tuż za nim niemal do starej wiejskiej willi rozpościerał się zielony trawnik. Przez całą szerokość budynku ciągnęła się zadaszona weranda, na której stał długi nakryty stół. Siedziało przy nim około dwóch tuzinów ludzi, dzieci, kobiety, mężczyźni, tylko u jednego końca ktoś stał i wygłaszał mowę. Wpatrywał się przez chwilę w twarz mówiącego. Tak, nie ma żadnych wątpliwości. Odłożył niebieską torbę i przykucnął. Czterdzieści metrów. Nie więcej. Jedna seria i zanim goście zorientują się, że ocaleli, on zniknie w gąszczu trzciny. To takie proste. Ale nie powinien działać

pośpiesznie.

Drzwi werandy były otwarte na oścież. Okna również. Może po drugiej stronie było tak samo. Zaczął przedzierać się przez gęstwinę w prawo, ale tak, żeby nie szeleścić liśćmi, pamiętał też, żeby nie wyginać łodyg w stronę przeciwną do kierunku wiatru. W miejscu, gdzie żywopłot pod kątem prostym skręcał na zachód, wyszedł z ukrycia, schylony przeciął drogę i znów skrył się za żywopłotem. Posuwał się na czworakach, póki nie znalazł się na wysokości boku werandy. Wzdłuż bocznej ściany domu rosły drzewa owocowe, których cień chciał wykorzystać. Wybrał okno, przez które będzie mu najlepiej wejść do środka. Dziesięć szybkich kroków, skok przez barierkę i załatwione. Zamknął oczy, wizualizując sobie niezbędne działania. Mogła być nawet ciemna noc, a on i tak by przeszedł, z pewnością lunatyka. Wprawnymi ruchami złożył karabin. Potem czekał. Na okazję. Jeśli się ma cierpliwość, zawsze się jakaś trafi. Trzeba tylko być przygotowanym na to, żeby ją wykorzystać.

Mężczyzna przy stole zakończył przemowę. Rozległy się oklaski. Jakiś głos zawołał, że już nigdy nie spotkają się tak młodo. Przesunął dłonią po łufie kałasznikowa. Gwar głosów, rozmowy. Ktoś, kto go nie interesował, opowiadał historie, które go nie interesowały, o kimś, kto był mu serdecznie obojętny. Żadnych kłamstw więcej – to sobie poprzysiągł. Śmierć była prawdą, a w jej obliczu żadna historia nie była warta tego, żeby jej wysłuchiwać.

Nie wiedział, jak długo obserwował werandę, kiedy w domu zadzwonił telefon, ale wiedział, że to była dla niego świetna okazja, bo sygnał dobiegał z otwartego okna, przez które zamierzał wejść. Ktoś zawołał:

– Telefon!

Kiedy mężczyzna, który właśnie skończył przemawiać, ruszył do drzwi domu, także i on zaczął się przemieszczać. Przemknął wzdłuż żywopłotu, aż róg budynku zasłonił go przed towarzystwem na werandzie. Przeskoczył przez żywopłot, schylony dobiegł do okna. Kiedy telefon przestał dzwonić i niski, męski głos powiedział „Słucham?”, przełożył głowę nad barierką. Mężczyzna w pokoju był zwrócony do niego plecami i patrzył przez otwarte drzwi na zgromadzonych przed domem. Telefon stał na niewysokiej szafce przy drzwiach. Był to staroświecki czarny aparat ze słuchawką wiszącą na grubym, spiralnie zwiniętym kablu.

– Tak, mówi Daniel du Toit Burger – powiedział mężczyzna. – Z kim rozmawiam?

Na chwilę musiał odłożyć kałasznikowa na parapet. Potem oparł się obydwiema dłońmi, podciągnął tułów do góry i bezszelestnie wsunął się do środka.

– Wydział zabójstw w Windhuku? – zapytał mężczyzna przy telefonie i lewą ręką chwycił za klamkę, żeby zamknąć drzwi.

Daniel du Toit Burger. Niegdyś znany jako „Staal” Burger. Swego czasu w południowoafrykańskim radiu nadawano słuchowisko pod takim tytułem, ale przypuszczalnie przydomek nawiązywał do tego, że w służbie apartheidu Burger wykonywał swoje obowiązki, jakby był ze stali. Bezlitośnie, nie okazując ani odrobiny skrupułów, jakich można by się spodziewać po człowieku z krwi i kości.

– Czy znał pan „Chappiesa” Maree i „Slanga” van Zyla? – zapytała Clemencia.

Mężczyzna po drugiej stronie linii telefonicznej zdawał się przez chwilę

namyślać, w końcu powiedział:

– To było dawno temu.

Clemencia ustawiła telefon na tryb głośnomówiący, by także Robinson i van Wyk mogli słyszeć rozmowę. Robinson bezgłośnie, samymi ruchami ust, podpowiadał jej słowo „diamenty”. Clemencia powiedziała:

– Obaj pańscy koledzy z CCB zostali zastrzeleni w Windhuku, panie Burger.

– To niemożliwe – rzucił „Staal” Burger.

– Niemożliwe?

– Przynajmniej z Maree niedawno rozmawiałem. W poniedziałek rano, koło dziesiątej. A wtedy był w RPA. W Upington.

Upington leżało osiemset kilometrów od Windhuku. I jeszcze kilka kilometrów dalej od Heja-Lodge, gdzie Maree został zamordowany w poniedziałek przed południem. Clemencia powiedziała:

– Myślałam, że od dawna nie mieliście kontaktu.

– Maree do mnie zadzwonił. Przez lata się nie odzywał i właściwie to mi go nie brakowało. Zbudowałem sobie nowe życie i nie mam najmniejszej ochoty odgrzewać starych historii.

– Czy jest pan pewien, że rozmawiał z samym Maree?

– Oczywiście. – Po krótkim wahaniu Burger dodał: – Przez pewien czas miałem z nim dużo do czynienia.

Zwłoki Maree były w tak złym stanie, że trudno było ustalić dokładny czas zgonu. Clemencia zakładała przedtem, że zabójca nie prowadził z ofiarą długich pertraktacji. W każdym razie o godzinie dziesiątej Maree był w jego rękach. Trudno było przypuszczać, żeby on sam w takiej sytuacji postanowił zadzwonić do dawnego kumpla ze służb. Clemencia zapytała



więc:

– Maree chciał się spotkać z panem w Upington, prawda?

– Skąd pani to wie? – zdziwił się Burger.

– To nie była jego inicjatywa. Miał przystawiony do piersi AK-47. Mężczyzna, który zaraz potem go zamordował, chciał także i pana wciągnąć w pułapkę.

Gdyby Burger wyjechał, nie można by było tak łatwo się z nim skontaktować. Pojechałby na spotkanie ze swoim mordercą. Przypuszczalnie w tej chwili już by nie żył. Clemencia domyśliła się, że w tym właśnie momencie Burger uświadomił sobie, w jakim niebezpieczeństwie się znajduje. Może to była dobra okazja, żeby wyciągnąć od niego kilka informacji, których potem nie będzie chciał udzielić.

– Czego on chciał od pana? Jeśli zaproponował panu spotkanie w miejscu oddalonym o dzień jazdy autem, to chyba nie po to, żeby przy kawie powspominać dawne czasy?

Burger milczał przez kilka sekund. Potem stwierdził:

– Chodziło chyba o jakiś interes.

– Jaki interes?

– Nie mam pojęcia. Powiedziałem mu, że nie jestem zainteresowany jego propozycjami.

Robinson drukowanymi literami nagryzmolił na kartce słowo „diamenty”. Potem dopisał jeszcze trzy wykrzykniki.

– I to mu wystarczyło? – zapytała Clemencia. – Czy pan nie postarałby się trochę bardziej, gdyby to panu ktoś wymachiwał przed nosem karabinem Kałasznikowa? Jego życie zależało od tego, czy uda mu się namówić pana

na spotkanie.

– Nie mogę pani pomóc – stwierdził Burger.

– Czy może w tej rozmowie padło nazwisko Antona Lubowskiego? – zapytała Clemencia.

Robinson zabrał kartkę ze słowem „diamenty!!!”. Wyglądał, jakby chciał zgnieść ją w kulkę, ale potem tylko pogładził ręką.

– Co u diabła...? – zapytał Burger.

– Powinien pan powiedzieć prawdę – powiedziała Clemencia. – W swoim interesie. Po tym telefonie Maree jest bardzo możliwe, że morderca będzie próbował...

– On tu jest – stwierdził krótko Burger.

– Co? – krzyknęła Clemencia. – Kto tam jest? Panie Burger?

Pokój wyglądał, jakby pochodził z innej epoki. Obrazy wiszące między oknami przedstawiały scenki z wozami ciągniętymi przez woły i stacje misyjne. Na regale przy krótszej ścianie stały cynowe kubki i książki w skórzanych oprawach. Na sekretarzyku z polerowanego czerwonego drewna leżał nóż do listów, a obok kałamarz i pióro. Bujany fotel w rogu na pewno zacząłby skrzypieć, gdyby ktoś w nim usiadł, ale to nie szkodziło. Mężczyzna przy telefonie mógł spokojnie zauważyć, że ma gościa, któremu lepiej nie kazać czekać zbyt długo.

Przy odchyleniu do tyłu fotel rzeczywiście zaskrzypiał. Mężczyzna ze słuchawką w dłoni odwrócił się, zastygł nieruchomo:

– Co u diabła...?

– Musimy porozmawiać, „Stalu” Burgerze – odpowiedział cicho.

Kałasznikow kołysał się razem z nim – w górę i w dół. Gdyby teraz puścił

serię z karabinu, pociski przeszłyby ciało Burgera w pionie, od podbrzusza do gardła.

– On tu jest – wymamrotał Burger.

Oczywiście, że tu był. Cicho nakazał:

– Niech pan odłoży!

– Facet z kałasznikowem – wyjąkał Burger.

Był blady jak ściana i mocno przyciskał słuchawkę do ucha. Jakby aparat mógł go ochronić. Jakby nie mógł zostać zabity, dopóki rozmawia z tamtą osobą. Póki słyszy tamten głos, który dochodził nie wiadomo skąd i nie był mu w stanie nic, ale to nic pomóc.

– Niech pan odłoży słuchawkę, Burger! – powtórzył.

Czuł, że budzi się w nim coraz większa wściekłość. Czy naprawdę wszyscy musieli być tacy głupi? Dlaczego nie rozumieli, że ich życiem rządzi tylko jego palec wskazujący?

– To policja – powiedział Burger. – Inspektor policji, która cię szuka.

Dlaczego wszyscy próbują sztuczek i wymówek? Dlaczego nie mogą raz w obliczu śmierci wyznać prawdy? Ale nie, oni wili się, kłamali i oszukiwali.

– Tak – mamrotał Burger do telefonu. – Tak.

Dlaczego oni nie mogli po prostu wykonywać jego poleceń?

– Mówię to po raz ostatni: odłożyć słuchawkę!

– Pani inspektor chce z tobą rozmawiać. – Burger wyciągnął ku niemu dłoń z telefonem.

Tego już było za wiele. Wykorzystał przechylenie się fotela, żeby z niego wyskoczyć. Jeszcze nie stał pewnie na nogach, kiedy poczuł, że jego trzewia płoną. Zgiął się nad kałasznikowem, paroksyzm bólu wstrząsnął

jego ciałem. Mięśnie były porażone, nogi się ugiwały, palce się wyprostowały, karabin z łośkotem upadł na drewnianą podłogę. Jakby oglądał film w zwolnionym tempie, patrzył, jak z dłoni Burgera wypada słuchawka i kabel telefoniczny łagodnie się kołysze. Teraz Burger zaczął krzyczeć, nie wołał pomocy i nie wzywał policji, po prostu darł się na całe gardło, odwrócił się do drzwi, podczas gdy on musiał po omacku szukać kolby kałasznikowa. Ból już zelżał, a on odzyskał czucie w palcach. To był moment, tak krótki, że mogłoby go wcale nie być, zresztą i tak już minął. No, jednak wszystko mija szybciej, niż się niektórym wydaje. Ciągłe krzycząc, Burger gwałtownie otworzył drzwi. Z werandy wlało się światło słońca. Kałasznikow leżał pewnie w dłoniach. Lufa nie zadrżała.

– Panie Burger! – wołała Clemencia. Mimo jego krzyków usłyszała, że telefon o coś stuknął. – Panie Burger?

– Co się dzieje? Co się dzieje? – powtarzał Robinson podniecony.

Boże, przecież słyszał dokładnie to samo co Clemencia! Skąd mogła wiedzieć, co się teraz dzieje w odległości półtora tysiąca kilometrów? Poza tym, że najwyraźniej pojawiły się jakieś problemy. Zmuszając się do zachowania spokoju, powiedziała:

– Halo? Słyszysz mnie pan?

Dlaczego zabójca nie mógłby podejść do telefonu? Czym ryzykował? Był daleko stąd, w innym kraju, w którym i tak nie mogliby działać, nawet gdyby byli na miejscu.

– Jesteśmy świadomi – zaczęła Clemencia – że w sprawie Lubowskiego doszło do rażących nieprawidłowości. Może mi pan wierzyć, że...

To bez sensu. Przecież zabójca dobrowolnie nie ujawni policji swojego

głosu. I dlaczego miałyby coś mówić, kiedy jasne było, że każdą wskazówkę wykorzystają przeciwko niemu? Co mógłby zyskać, gdyby porozmawiał z Clemencią?

– Może mi pan zaufać. Moja matka też została zastrzelona. Tak samo jak Lubowski. Może nie przez tych samych typów, ale to była ta sama zbrodnicza banda, z której też nikt nigdy...

W tym momencie rozległ się klekot karabinu. Jedna seria, która tak wyraźnie zabrzmiała w ich słuchawce, że wszyscy instynktownie cofnęli głowy.

– Szlag by to! – syknął Robinson.

– Niech pan tego nie robi! – Clemencia zawołała do słuchawki, choć wiedziała, że jest o wiele za późno.

– To był AK-47, co najmniej piętnaście strzałów – stwierdził van Wyk.

– Co za bydlak! – krzyknął Robinson.

– Halo? – powiedziała Clemencia. – Słyszysz mnie pan?

Ciało Burgera leżało w sieni. Zrobił nad nim duży krok i podszedł do drzwi werandy. Druga seria nie była potrzebna, wszyscy goście uciekli w popłochu. Kilka krzeseł przy stole się wywróciło, na niektórych wisały jeszcze marynarki i kurtki. Przeszukał ich kieszenie, znalazł kluczyki do samochodu. Kiedy nacisnął przycisk blokady, rozjarzyły się światła białego bmw. Nadawał się, żeby szybko stąd uciec. Przy najbliższej okazji ukradnie jakieś inne auto.

Jeszcze raz wszedł do domu i omijając kałużę krwi w sieni, wrócił do pokoju z fotelem na biegunach. Schował kałasznikowa do niebieskiej torby, którą tam zostawił. Jego ciałem wstrząsnął krótki atak kaszlu.

Słuchawka telefonu spoczywała na deskach podłogi. Jeden z jej końców był lekko uniesiony przez elastyczny kabel. Pochylił się i wziął słuchawkę do ręki.

Przecież ktoś kaszlnął! Głuchy, szczekający, zabójczy kaszel. Morderca jeszcze tam był. Clemencia spróbowała jeszcze raz:

– Niech pan posłucha!

– Odłożyć! – nakazał Robinson. – Nasi tamtejsi koledzy...

Należało natychmiast zawiadomić kolegów. Trzeba było odgrodzić miejsce zbrodni, ustawić blokady na drogach. Tak, zaraz, natychmiast! Clemencia nasłuchiwała. Nie słyszała już kaszlu, nawet cichego oddechu, nie słyszała nic, ale wiedziała, że on był przy telefonie. Stał tam w KwaZulu-Natal nad trupem „Staala” Burgera i trzymał przy uchu słuchawkę. Clemencia powiedziała:

– Nazywam się Clemencia Garises, inspektor kryminalny z Windhuku. Pan pewnie nie chce się przedstawiać, prawda?

Robinson pokazał palcem swoją komórkę.

– Zresztą nie musi pan zdradzać swojego nazwiska – ciągnęła Clemencia. – I tak w końcu je poznamy. Ale chciałabym wiedzieć jedno...

– Informacja? – mówił szeptem Robinson do komórki. – Dajcie mi numer do policji w Hluhluwe, KwaZulu-Natal, RPA! I to szybko!

– Dlaczego? – zapytała Clemencia. – Dlaczego taka jatka?

– Hluhluwe, H-L-U-H-L-U-W-E, Afryka Południowa – syczał Robinson do komórki.

– Dlaczego teraz? – zapytała Clemencia. – Dwadzieścia lat po śmierci Lubowskiego?

Zabójca był przy aparacie. Czowała jego obecność, czowała pot na dłoni, w której trzymał słuchawkę. Musiała tego mężczyznę jakoś wyprowadzić z równowagi. Sprowokować, żeby zareagował. Nawet jeśli miałyby się tylko szyderczo roześmiać. Chciała usłyszeć jego głos. Chciała wiedzieć, jak brzmi ktoś, kto właśnie zastrzelił człowieka.

– To po co każe mi pani literować, jeśli... – Robinson podniósł głos. – W takim razie połączcie mnie z informacją międzynarodową!

Czy Clemencia powinna próbować okłamać zabójcę? Mogła na przykład powiedzieć, że van Zyl przeżył zamach. Mogłaby go zapytać prowokująco, czy nie zamierza wrócić, żeby dokończyć dzieła. Może powinien sobie sprawić dział artyleryjskie, jeśli nie może sobie poradzić z kałasznikowem z odległości dwudziestu metrów...

Powiedziała jednak:

– Dla mnie to niepojęte, jak ktoś może zamordować trzech ludzi, ale wiem, że ma pan swoje powody. Mocniejsze niż zemsta. A może jest tak, że nie ma pan wyboru?

– Czekać na połączenie! – zawył załamany Robinson. – Można się... No wreszcie!

– Być może nigdy pana nie schwytemy – mówiła dalej Clemencia. – Albo już za dziesięć minut zostanie pan zastrzelony przez kolegów z policji południowoafrykańskiej. Może jestem ostatnią osobą, z którą pan rozmawia. Może to pańska ostatnia szansa, żeby wyjawić prawdę. – Clemencia wsłuchiwała się w echo swojego głosu, czekała na odpowiedź, reakcję, cokolwiek, a potem doleciał ją cichy trzask. – Słyszysz mnie pan? – zapytała.

Teraz cisza brzmiała inaczej. Połączenie zostało przerwane. Killer odłożył

słuchawkę na widełki. Powoli, uważnie. Clemencji wydawało się, że widzi tamten telefon. Zastanawiała się razem z mordercą, czy powinien zetrzeć swoje odciski palców. Nie, to było mu obojętne. Nie miało znaczenia.

– H-L-U-H-L-U-W-E! – literował znów Robinson, z coraz większym trudem tłumiąc złość.

– Chyba byłby głupi, gdyby odpowiedział, szefowo – powiedział van Wyk. Clemencia skinęła głową, choć nie do końca się z nim zgadzała. Zabójca zareagował. Jej zdaniem to nie był przypadek, że odłożył słuchawkę, kiedy zażądała od niego wyznania prawdy. To nie był zabójca pracujący na zlecenie, który za pieniądze załatwia brudne sprawy innych. Nie, on miał motyw, który dla niego samego był ważny. Sądził, że nikt nie musi o nim wiedzieć, a już na pewno nie policja. Może tak go obciążał, że sam nie chciał się z nim konfrontować?

Oczywiście to były tylko spekulacje. I nawet gdyby naprawdę tak było, w tej chwili i tak nic to nie dawało. Robinson słusznie zaklinał kolegów z Hluhluwe, żeby nie tracili ani sekundy. Jasne, że mogli sprawdzić miejsce zbrodni, zresztą nie tylko sprawdzić, ale przeczesać je wzdłuż i wszerz, i z powrotem w poszukiwaniu wszelkich śladów. Choć na początek powinni zablokować drogi. Wszystkie. Każda polna droga musi zostać zablokowana. Od morderstwa upłynęło nie więcej niż dziesięć minut, dwie minuty temu zabójca jeszcze był w domu, nie mógł uciec daleko. Nie mają dość ludzi? To niech wezwą straż pożarną, drużynę rugby albo – jeśli o niego, Robinsona, chodzi – nawet chór kościelny. To naprawdę wyjątkowo ważne...

– Rozłączyli się. – Robinson nie mógł tego pojąć. – Po prostu się rozłączyli!



– Będziemy mieć szczęście, jeśli wyślą do domu Burgera jakiś nędzny radiowóz.

– O ile w ogóle go mają – burknął Robinson.

Nacisnął guzik ponownego wybierania. Tym razem Clemencia porozmawiała z południowoafrykańskimi kolegami, ale zdołała uzyskać tylko ogólne zapewnienie, że zastosują wszelkie niezbędne środki. Półtorej godziny później przyszło potwierdzenie, że „Staal” Burger rzeczywiście został zastrzelony. Co najmniej dziesięć ran w okolicy klatki piersiowej i brzucha. Wiadomo było, jakim autem ucieka zabójca, właśnie ustawiane są blokady. Trzy godziny później nadal nie było żadnych wiadomości. Killer się wymknął.

Clemencia wróciła taksówką do Katutury. Kiedy otworzyła furtkę do domu, połowa rodziny wyszła jej naprzeciw. To nie było normalne.

– Czy coś się stało? – zapytała.

Odkąd Melvin wdał się w tamtą bójkę, ciągle obawiała się nowych hiobowych wieści.

*Miki* Matilda wyjrzała na ulicę, popatrzyła w jedną, potem w drugą stronę, w końcu zapytała:

– Czy on tym razem nie przywiózł cię do domu?

– Kto? – odpowiedziała pytaniem Clemencia.

– No ten blondyn, Niemiec. – *Miki* Matilda mrugnęła do niej i zachichotała z zadowoleniem.

– Czy to koniecznie musi być biały? – zapytała *miki* Selma.

– A dlaczego nie? – zaprotestowała głośno *miki* Matilda. – Biali to też ludzie. U nich jest dokładnie tyle samo porządnych i łobuzów co u nas.

– Byliście w kinie? – zapytała Jessica.

– Słuchaj no ty, marsz do domu! Jesteś o wiele za mała na takie rzeczy – zrugła ją *miki* Selma i znów zwróciła się do Clemencji: – To, że jest wysoki, ma jasne włosy i robi do ciebie słodkie oczy, nie musi wcale znaczyć, że...

– Mnie on też by się podobał – wtrąciła się *miki* Matilda.

– Nie wyciągaj łap do młodych facetów, ty stara wiedźmo! – zawołała sąsiadka z naprzeciwka.

Jessica pociągnęła Clemencję za rękaw.

– A całowaliście się, jak zgasły światła?

– Jessica! – krzyknęła *miki* Selma i lekko trzepnęła dziewczynkę.

– Wy chyba poszaleliście! – stwierdziła Clemencia. – Naprawdę mam ważniejsze sprawy na głowie niż...

Jessica zachichotała.

*Miki* Matilda wybuchnęła głośnym śmiechem.

*Miki* Selma stwierdziła, że trochę ostrożności nigdy nie zawadzi. Bo jak słusznie mówi przysłowie: Nie chwal dnia...

Sąsiadka z naprzeciwka zaintonowała pieśń w języku oshivambo, której tekst składał się głównie ze słów „miłosna udręka” i „radość serca”.

„Donkerkop”:

*To był wieczór 12 września 1989 roku. Siedziałem za kierownicą, obok mnie Acheson z AK-47. „Chappies” Maree i Ferdi na tylnym siedzeniu byli uzbrojeni w pistolety. Van Zyla i „Staala” Burgera nie było na miejscu. Przez radio mieli nam dać sygnał, kiedy Lubowski opuści swoje biuro. Do tego czasu czekaliśmy w aucie przy wjeździe na niezabudowaną działkę kilkaset metrów od domu Lubowskiego. Na zboczu Luxsushügel od strony*

południowej. Na zachodzie, za wyżyną Khomas, słońce już się schowało. Samochód, czerwoną toyotę conquest, Acheson wziął z wypożyczalni. Stwierdziłem, że raczej nie jest to fura godna Jamesa Bonda, na co Ferdi Barnard wygłosił wkurzającą przemowę, jak ważne jest, żeby nie rzucać się w oczy. Nie jesteśmy w jakimś cholernym filmie akcji, tylko w sennym Windhuku, a gdyby tu gdzieś w okolicy stał jakiś jaguar albo porszak, to wtedy...

– Już dobrze, rozumiem – przerwałem mu. – Tylko żartowałem.

– Ale to nie był śmieszny żart – powiedział Barnard. – Zresztą nie ma już czasu na żarty. Teraz robi się poważnie, śmiertelnie poważnie, chłopcze! Nie odzywałem się już. Maree wyglądał przez okno i żuł gumę. Acheson przez cały czas bawił się swoim kałachem. To był wariat, który broń darzył o wiele silniejszymi uczuciami niż jakiegokolwiek człowieka. Gadał tylko Ferdi Barnard. Przez cały czas pouczał mnie z tylnego siedzenia. Przy takiej akcji nie można sobie pozwolić na żaden błąd. Trzeba zachować pełną koncentrację. Przede wszystkim nie wolno myśleć o niczym poza zadaniem, które mamy do wykonania. Właściwie nie powinno się myśleć w ogóle, trzeba się stopić w jedno z tym zadaniem. Połączenie musi być tak ścisłe, że nie zmieściłaby się nawet kartka papieru.

– Ty jesteś robotą! – powiedział Barnard. – Prawda, „Chappies”?

– Mhm – mruknął Maree.

– Przecież to jasne – powiedziałem.

– Ten chłopak mówi „przecież to jasne”! – Barnard się zaśmiał. – Co jest jasne? Nic nie jest jasne! Ile razy robiłeś coś takiego, hę? Ten młody zachowuje się tak, jakby na własną rękę wygrał co najmniej dwie wojny światowe. Posłuchaj, mamy w dupie twoje gadki. Chcemy tylko moc na

tobie polegać.

– Możecie – odparłem. Moja robota to było prowadzenie auta, to właśnie zamierzałem zrobić. Barnard działał mi na nerwy.

– Ale przez cały czas – dorzucił Barnard. – Teraz, jutro i za dziesięć lat. Chyba rozumiesz, co się stanie, jeśli potem zaczniesz się mazgaić? Jeśli polecisz do jakiegoś klechy czy cholera wie kogo, żeby się wypowiedać?

– Człowieku, ja nie jestem zdrajcą – zapewniłem go.

– Powiem ci, kim ty jesteś, dziecko – powiedział Barnard. – Jesteś mięczakiem. Takim, co to najpierw dużo kłapie dziobem, a potem ucieka z podkulonym ogonem. Wiesz, dlaczego ludzie zostają zdrajcami? Nie wiesz? Powiedz mu, „Chappies”!

– Sam mu powiedz – burknął Maree.

– Bo ktoś daje im za to kupę forsy albo są mazgajami. A ty jesteś mazgajem!

– Odwał się – rzuciłem w końcu, ale Barnard pastwił się nade mną dalej, chciał mnie ośmieszyć, wdeptać w błoto.

*Tchórz, mocny tylko w gębie, żółtodziób, maminsynek, mięczak. I tak przez cały czas. Nie miałem pojęcia, dlaczego on się tak zachowuje, nawet się nad tym nie zastanawiałem. Pewnie pomyślałbym wtedy, że to jego sposób radzenia sobie z napięciem.*

*Dopiero potem zrozumiałem, że wszystko, co mówił, było wykalkulowane, że chodziło mu o to, żeby mnie urobić do tego, w co zamierzali mnie wciągnąć. I to rzeczywiście zadziałało. Nie pozwalał mi ani na chwilę zebrać myśli. Byłem doprowadzony do ostateczności, krzyknąłem do tyłu, że mogą sobie sami prowadzić tę swoją zasraną akcję, jeśli on nie przestanie mnie wkurwiać.*

– No i co, nie mówiłem tak od razu, „Chappies”? – Głos Barnarda ociekał szyderstwem. – Szczeniak chce się wycofać, zanim jeszcze do czegośkolwiek doszło. Jak myślisz, co się stanie, jak on zobaczy tryskającą krew? Narobi w gacie i jeśli w ogóle będzie w stanie wrzucić pierwszy bieg, pojedzie prosto na policję, żeby się im pożalić, że on wcale tego nie chciał.

– Nie wycofa się – zaprzeczył Maree. – Widać, że się nie wycofa.

– Już większych chojraków widziałem, jak rzygali – powiedział Barnard.

– Zamknij się wreszcie! – wrzasnąłem do tyłu.

*Acheson przeładował AK-47 i zażądał, żebyśmy przestali gadać. Jak mówiłem, to był wariat, po którym wszystkiego można się spodziewać. Nawet Barnard czuł przed nim respekt. Od tej chwili tylko mruczał do siebie pod nosem coś niezrozumiałego. Czasami chichotał zniechęca, a kiedy patrzyłem na niego w lusterku wstecznym, szczyrzył się głupio. To mnie wkurzało jeszcze bardziej. Potem dostaliśmy cynk od Burgera i van Zyla. Pojawienie się Lubowskiego przed domem było już tylko kwestią minut. Włączyłem silnik, chciałem właśnie z piskiem opon podjechać do przodu, kiedy „Chappies” Maree powiedział:*

– Zaczekaj chwilę! – Opuścił boczną szybę, wypluł starą gumę i natychmiast wsunął do ust nową. Potem położył mi na kolanach pistolet. Powiedział: – Jest już odbezpieczony.

– Co mam z nim zrobić? – zapytałem.

– Tak na wszelki wypadek – powiedział Maree.

– Uważaj tylko, żebyś sobie nie odstrzelił jaj! – rzucił z tyłu Barnard. – O ile je w ogóle masz, chłopcze!

Robinson wręcz dygotał z podniecenia. Jego twarz była jeszcze bardziej czerwona niż zwykle, raz po raz powtarzał, że pojmał mordercę, na sto procent, udało mu się to, jemu, Robinsonowi, czuje to przez skórę. Wszystko pasuje tak dobrze, że to aż niepojęte.

Mężczyzna został aresztowany, kiedy chciał wjechać na teren Namibii przez Ariamsvlei. W jego bagażu znaleziono kałasznikowa.

Robinson trąbił na wszystkie strony, że domyślał się, iż morderca po zabójstwie „Staal” Burgera będzie chciał wrócić do domu. Dlatego zaalarmował posterunki graniczne na południu, a oni natychmiast go zawiadomili. Poruszył potem niebo i ziemię, żeby jeszcze tej samej nocy przewieźć podejrzanego do Windhuku jedynym policyjnym helikopterem, jakim dysponowała Namibia.

– A w jaki sposób ten człowiek tak szybko dotarł z KwaZulu-Natal do granicy? – zapytała Clemencia.

– Tego jeszcze się dowiemy – powiedział Robinson.

Już zdobył informację, że aresztowany przed siedmiu laty pracował jako ochroniarz w Proforce, firmie poprzedniczce dzisiejszej Group-4-Securicor. Został zwolniony po tym, jak wysunięto przeciwko niemu oskarżenie o przemyt diamentów, czego mu jednak nie udowodniono. Nie miał też porządnego alibi na czas, kiedy popełniono dwa pierwsze morderstwa. Jeszcze nie stwierdzono na pewno, czy to jego kałasznikow był narzędziem zbrodni. Na wyniki ekspertyzy trzeba było poczekać.

– Czy on ma jakieś powiązania z agentami CCB? – zapytała Clemencia.

– Tego też się jeszcze dowiemy – zapewnił Robinson. – Gwarantuję.

Clemencia poszła za nim do sali przesłuchań. Podejrzany był chudym mężczyzną w znoszonych ubraniach. Angolczyk. Siedział zgarbiony na

krześle i sprawiał wrażenie wyczerpanego. Czy ktoś jest mordercą, tego na pierwszy rzut oka nie widać, ale z całą pewnością temu mężczyźnie Clemencia nie mogła przypisać takiego chłodu i zimnego nieprzejednania, jakie było potrzebne do wykonania trzech egzekucji. Wyglądał raczej jak ktoś, kto próbuje sobie jakoś radzić w życiu, ale wie z doświadczenia, że prędzej czy później i tak się potknie. Clemencia zastanawiała się przez chwilę, czy jej brat Melvin za dwadzieścia lat będzie siedział tak samo brudny i zapuszczony przed jakimś inspektorem.

– Jak się pan czuje? – zapytała.

– Nie mam pojęcia, czego ode mnie chcecie – odpowiedział mężczyzna. Mówił po angielsku z portugalskim akcentem.

– Czy skontaktował się pan z adwokatem? – pytała dalej Clemencia.

– Adwokatem?

– Nie zażądał adwokata – wyjaśnił Robinson z szerokim uśmiechem. – Przecież we dwójkę i tak rozmawia się lepiej. I intensywniej.

Żadne rozmowy nic tu nie dadzą. Facet nie miał o niczym pojęcia, przypuszczalnie nie zrobił też niczego, co mogłoby obchodzić wydział kryminalny. Ślepy by to zauważył. Clemencia szepnęła Robinsonowi do ucha:

– Jeśli o mnie chodzi, możesz się dalej bawić, póki nie dostaniemy wyników badania broni. Ale powiem ci jedno: jeśli spróbujesz wymusić coś na nim siłą, jeśli tylko go tkniesz, to pošlę cię za kratki, zgnijesz w pierdłu.

– Ja? Ależ skąd! – powiedział Robinson i nie było jasne, czy ma na myśli bicie podejrzanego, czy to drugie.

W pokoju obok Tjikundu przedzierał się przez listę kupujących naboje

kalibru 7,62. Została tylko garstka mężczyzn, których nie można było jeszcze ostatecznie wykluczyć jako podejrzanych, ale nic nie wskazywało, żeby ich poszukiwany był wśród nich. Van Wyk siedział obok i przepisywał raporty o zabójstwach van Zyla i Maree, o które poprosili koledzy z Hluhluwe. Potem miał zmienić Robinsona. Z biura, które dzielił z Angulą, musiał uciekać. Obrona konieczna, jak stwierdził.

Kiedy Clemencia zajrzała do tamtego pokoju, od razu zrozumiała, co miał na myśli. Angula siedział na piętach, oparty plecami o ścianę. Nie tylko obydwie biurka zawałone były segregatorami, ale cała masa akt leżała porozkładana po całej podłodze. Tylko kilka ścieżek umożliwiło dotarcie do odległych stert papieru. W pomieszczeniu było duszno, ale okno musiało być zamknięte. Gdyby ktoś zniecierpliwiony otworzył drzwi, przeciąg pomieszałby dokumenty i cały porządek diabli by wzięli. Angula obdarzyła Clemencję niechętnym spojrzeniem.

Clemencia przyjrzała się rozpościerającemu się przed nią chaosowi i powiedziała:

- To nie są twoje dokumenty, Angula.
- W każdym razie – przyznał – jest w nich trochę ciekawych rzeczy.
- Mianowicie?
- Na przykład to, jak Donald Acheson w ogóle został aresztowany. I to nazajutrz po zbrodni! Koledzy przecież musieli jakoś na to wpaść, że to właśnie on mógł zamordować Lubowskiego. Podobno jego gospodyni zawiadomiła policję, że w dniu morderstwa opuścił dom z ciężkim, zawiniętym w plastikową torbę przedmiotem. Najpierw myślała, że to podnośnik hydrauliczny, ale potem nie mogła wykluczyć, że to mógł być kałasznikow. To wszystko. To jedyna rzecz, która w przybliżeniu



wyglądała jak wskazówka. Nikt mi nie wmówi, że przez to wpadli na trop Achesona. A jeszcze dziwniejsze jest to, że mając tak nędzne dowody, od razu nagłośnili ujęcie Achesona w prasie. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że on pracował dla CCB. Nie wiedziano nawet, że coś takiego jak CCB w ogóle istniało.

– I jaki ty wyciągasz z tego wniosek?

– Policja dostała od kogoś cynk. Tylko nie potrafię sobie wyobrazić, żeby kumple Achesona, którzy przez cały czas mu towarzyszyli, chcieli się go w ten sposób pozbyć. Przecież było jasne, że wtedy oni sami znaleźliby się na celowniku policji. Co zresztą potem nastąpiło. Ale jeżeli...

Angula sięgnął po plik papierów, starannie wyrównał kartki i znów odłożył je na podłogę.

– No mów!

– Jeśli Lubowskiego zastrzelił ktoś inny, wtedy rzecz nabiera sensu: jeszcze zanim policja w ogóle się zorientowała, co jest grane, podsuwa się jej mordercę, dawnego rodezyjskiego żołdaka, któremu bez problemu można przypisać taki zamach. Cały świat jest oburzony morderstwem, które może zakłócić pokojowy proces przechodzenia do niepodległości, a tu taki szybki sukces śledczych! Wtedy nikt nie będzie się interesował szczegółami! Nie, policja wdzięcznie przyjmuje prezent i nie szczędzi wysiłków, by udowodnić winę Achesonowi i reszcie. Nikt nie myśli o tym, żeby poprowadzić śledztwo w innym kierunku, a prawdziwi sprawcy zacierają ręce.

Clemencia przykucnęła, żeby jej twarz znalazła się na wysokości oczu Anguli. Jego twarz była jak zwykle nieporuszona. Zapytała:

– Angula, jaką sprawę my właśnie prowadzimy?

– Co? – zapytał Angula.

– Naszą sprawę – powiedziała Clemencia. – Trzy zabójstwa! Jest styczeń 2009 roku.

– Styczeń 2009 roku! – Angula skinął głową. – A prawdziwi zabójcy z tamtego zamachu nadal zacierają ręce.

Kompletnie odpływał. Wyszli z założenia, że dawni członkowie CCB zostali zamordowani, bo kiedyś zastrzelili Lubowskiego. Ale jeśli tego nie zrobili, wtedy nie było motywu zbrodni, ani też powodu, żeby zajmować się historiami z zeszłego wieku. Przynajmniej nie w tej chwili. Nie, dopóki gdzieś po ulicach chodzi zabójca z kałasznikowem. Potem zawsze można jeszcze...

Angula zanucił pierwsze takty namibijskiego hymnu państwowego. *Land of the Brave*, kraj dzielnych ludzi.

– Angula? – powiedziała Clemencia.

Angula przestał nucić.

– Ta melodia powstała z okazji uroczystości pogrzebowych Antona Lubowskiego.

– Co to ma znaczyć, Angula?

– ...*whose blood waters our freedom...* – zacytował linijkę hymnu i dodał: – Narody rodzą się we krwi. Tak samo jak niemowlęta. Różnica polega na tym, że w przypadku narodów tej krwi nie da się tak łatwo zmyć. Klei się i klei...

– Ja chcę tylko znaleźć mordercę van Zyla, Maree i „Staala” Burgera, nic więcej! – przerwała mu Clemencia.

Angula patrzył na nią pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

– Zrozumieliśmy się?

– Jasne, szefowo – powiedział i znów pochylił się nad stertą papierów. Clemencia będzie musiała mieć na niego oko. Tak samo jak na stosowane przez Robinsona metody przesłuchań, zapędy Oshiveli, żeby sterować śledztwem, paskudne praktyki centrali telefonicznej, która przekazuje pilne sygnały z kilkugodzinnym opóźnieniem, konflikty z prawem swojego brata Melvina i bezpieczeństwo swoich siostrzeńców Timothy’ego i Jessiki. I jeszcze sto innych spraw. Trochę tego dużo. Na dodatek panował straszliwy upał, choć w swoim biurze pootwierała drzwi i okna. Powietrze, które napłynęło do środka, przypominało gorący podmuch suszarki do włosów.

Wskoczyć do chłodnej wody, zanurzyć się, przepłynąć kawałek, to byłoby to! Ostatnim razem, kiedy Clemencia wybierała się na miejskie kąpielisko, nic z tego nie wyszło. Ratownik nie przyszedł na dyżur, więc ze względów bezpieczeństwa bramy obiektu pozostały zamknięte. Clemencia wspomniała Finlandię, tamtejsze kryte baseny, na których zawsze był ratownik, zamrożone jeziora, bezkresne śnieżne połacie i poranne zeskrobywanie lodu z szyb auta. Chciała sobie pozwolić tylko na moment, dosłownie pięć minut zapomnienia, by wrócić myślami do tamtego odległego, chłodnego świata, w którym ludzie potrzebowali tyle samo czasu, żeby odtajać, co otaczająca ich natura po długiej zimie.

Nie żeby Clemencia chciała tam mieszkać. „Twoje miejsce jest tam, gdzie leżą twoi zmarli”, powiedział jej kiedyś ojciec. Matka Clemencji leżała na cmentarzu w Kataturze. W gorącym piasku, w palonym promieniami słońca i łaknącym deszczu kraju dzielnych ludzi. Wprawdzie upomniała Angulę, ale wypowiedziane przez niego zdanie utkwilo jej w pamięci. „Narody rodzą się we krwi. Jak niemowlęta”. Ale Namibia już była

dorośla, 23 marca miała obchodzić dziewiętnaste urodziny. Czy nie nadszedł czas, by już zapomnieć o bólach porodowych, cierpieniach, ofiarach?

A może jednak to Angula miał rację? Czy duchy przeszłości nie krążą i dziś po kraju? Czyż to nie było nie do zniesienia, że właśnie ci, którzy mieli ręce splamione krwią, teraz zadowoleni z życia owe ręce zacierają? „Twoje miejsce jest tam, gdzie leżą twoi zmarli”. Anton Lubowski też był pochowany na cmentarzu w Kataturze. Przypuszczalnie niedaleko od matki Clemencji. Jej śmierci nikt nie badał. Matka Clemencji była prostą kobietą, którą zabiła zbłąkana kula. Na ten temat nie było kilometrów akt, nawet nie podjęto śledztwa. Oddział południowoafrykańskich żołnierzy, którego nazwy nikt nie znał, zbłąkana kula, wzruszenie ramion, to wszystko.

Telefon musiał dzwonić już przez jakiś czas, kiedy Clemencia wreszcie go usłyszała. W słuchawce odezwał się mecenas von Fleckenstein, który przypomniawszy jej, że wyłożył dwieście pięćdziesiąt dolarów na kaucję. Potem zadzwoniła *miki* Selma. Przypuszczalnie za pieniądze, które zebrała na kaucję Melvina, doładowała swoją komórkę. Chciała się tylko dowiedzieć, jak Clemencia się miewa. I ten wysoki blondyn. Jak on się nazywał? Kiedy zaczęła opowiadać, że w telewizji właśnie przypomnieli, jak ważne jest używanie prezerwatyw, żeby się uchronić przed HIV, Clemencia się rozłączyła.

Po chwili telefon znowu się rozdzwonił. Fakt, że kolega policjant z RPA w ogóle z nią rozmawiał, graniczył z cudem. Mówił, że próbował się z nią skontaktować już trzy razy, ale za każdym razem centrala telefoniczna informowała go, że Clemencia przebywa akurat poza komendą i że kiedy wróci, jego prośba o oddzwonienie zostanie jej, oczywiście, natychmiast

przekazana. Najwidoczniej za czwartym razem spławienie go stanowiło już zbyt duży wysiłek, więc wreszcie uzyskał połączenie.

Clemencia zakładała, że musiało chodzić o morderstwo „Staala” Burgera, ale o tej sprawie policjant przy telefonie nic nie wiedział. Dzwonił z Pretorii, w prowincji Gauteng, a nie z KwaZulu-Natal.

– Ale dlaczego dzwoni pan akurat do mnie? – zapytała Clemencia.

Okazało się, że detektyw gra w tej samej policyjnej drużynie rugby co kolega z Bloemfontein, który zajmował się porównaniem próbek DNA „Chappiesa” Maree. W ten sposób dowiedział się o dwóch morderstwach w Namibii.

– A skoro teraz Ferdi Barnard, czyli trzeci dawny członek CCB, został znaleziony martwy w więzieniu w Pretorii, pomyślałem, że dobrze byłoby się dowiedzieć czegoś więcej – powiedział kolega. – Na szczęście, bo sprawa z Burgerem pasuje do tego jak...

– Co? Ferdi Barnard został zamordowany w więzieniu?

– Wszystko wskazuje na samobójstwo, przynajmniej na pierwszy rzut oka – wyjaśnił południowoafrykański policjant. – Prześcieradło było podarte w pasy i związane. Jeśli ktoś w tym Barnardowi pomógł, to według naszych informacji w grę wchodzi tylko towarzysz z celi. Niejaki Thomas Khawuta, kilka napadów rabunkowych z ofiarami śmiertelnymi. Czy to nazwisko przypadkiem nie obięło się pani o uszy?

Clemencia zaprzeczyła. Ale mimo wszystko, zabójstwo czy samobójstwo, zbieżność w czasie z pozostałymi morderstwami i egzekucją Burgera była więcej niż zastanawiająca.

– W rzeczy samej – przyznał policjant przy telefonie. – I jeszcze jedno jest dziwne: ostatni odwiedzający Barnarda przed jego śmiercią pochodził

z Namibii. Ten człowiek nazywa się... Niech pani chwileczkę poczeka! – Clemencia słyszała szelest papieru, a potem znów głos w słuchawce. – Hendrik Fourie.

– Słucham? – Clemencia nie dowierzała własnym uszom. Przecież to niemożliwe!

– Fourie, sędzia, który odwiedził Barnarda służbowo.

– On już nie jest sędzią. Od dawna jest w stanie spoczynku – wyjaśniła Clemencia. Czego u diabła Fourie mógł szukać u Barnarda?

– W stanie spoczynku? Ach tak, w każdym razie pani go zna! Tym lepiej. Chcielibyśmy zadać mu kilka pytań. Otóż Barnard po wizycie sędziego poskarżył się strażnikom. Sędzia Fourie groził mu śmiercią. Oczywiście nikt nie potraktował tego poważnie. Aż kilka godzin później znaleziono Barnarda martwego. Proszę mnie źle nie zrozumieć, w żadnym wypadku nie chcielibyśmy tego sędziego o nic oskarżać...

– Byłego sędziego – poprawiła Clemencia.

– Nas interesuje tylko, co tak naprawdę zaszło między nim i Barnardem. To interesowało również Clemencję. Wręcz paląco.

– Niestety pan Fourie bardzo się śpieszył, żeby jak najszybciej opuścić nasz piękny kraj – ciągnął kolega z RPA. – Gdybym wcześniej uzyskał z panią połączenie, mogłaby go pani jeszcze przechwycić na lotnisku w Windhuku.

– Będę pana informowała na bieżąco – obiecała Clemencia.

Zapisała numer do swojego rozmówcy, rozłączyła się i natychmiast zadzwoniła na farmę Fouriego. Gospodyni powiedziała, że sędzia wrócił przed kwadrans. Właśnie jest pod prysznicem. Czy to coś ważnego?

– Nie, nie – zaprzeczyła Clemencia. – Zadzwonię później jeszcze raz.

Potem poszła do Anguli, ale ten poprosił ją, by wzięła kogoś innego. Musi jeszcze koniecznie przejrzeć kilka dokumentów, bez których... Clemencia wypadła z biura. Robinson przesłuchiwał Angolczyka, van Wyk gdzieś przepadł. Pozostawał jej tylko Tjikundu.

– Weź broń i chodź ze mną! – poleciła mu Clemencia.

Były sędzia Fourie zdecydowanie nie sprawiał wrażenia groźnego podczas jej pierwszej wizyty na jego farmie. A mimo to nieco obawiała się ich ponownego spotkania.

Na środku stał zdezelowany stół campingowy, którego zepsute zawiasy zostały wzmocnione dwiema listewkami. Na blacie leżało kilka plastikowych talerzy. Przedramieniem zgarnął je na podłogę i na odrapanej płycie postawił niebieską sportową torbę. Potem zaczął odliczać pieniądze, wykładając je na blat. Układał je w kupkach po dziesięć banknotów sturandowych. Odkaslnął, odwracając się na krótko w bok.

Mandisa Khawuta stała dwa metry dalej i przyglądała mu się w milczeniu. Ramionami obejmowała swoje dzieci, przyciskała je do siebie, dwoje z jednej, dwoje z drugiej strony. Wyglądała, jakby chciała je przed czymś ochronić. Albo dać im poczucie, że są i pozostaną razem, cokolwiek by się miało stać. Oczywiście to była bzdura, ale nie był tu po to, żeby jakiejś rodzinie Xhosa<sup>20</sup> tłumaczyć świat. Kobieta i czwórka dzieci, których los nie interesował go ani mniej, ani więcej niż życie jakiegoś głupiego Bura. On tylko załatwiał interesy.

Wiadomość o śmierci Barnarda usłyszał w serwisie informacyjnym na dworcu autobusowym. Informacji towarzyszyły zdjęcia fasady więzienia w Pretorii. Za podwójnym murem. Wolna przestrzeń między jego ścianami

służyła za pole do strzału dla strażników siedzących w betonowych wieżyczkach. Płaski dach był zwieńczony drutem kolczastym. Okna były zakratowane.

Tamtejsi więźniowie byli lepiej strzeżeni niż prezydent kraju. Nie było możliwości, żeby się wydostać, ani żadnych szans, żeby tam wejść. Ale umrzeć można wszędzie. Do tego każde miejsce było tak samo dobre jak inne. Śmierć zabierała, kogo chciała i gdzie chciała.

– Bracie... – zaczęła z wahaniem kobieta.

Położył na ustach palec wskazujący. Obojętne, co chciała powiedzieć, nie zamierzał tego słuchać. Omiótł wzrokiem stosiki banknotów na stole. Dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem. Jeszcze dwa tysiące randów. On był tylko posłańcem z pieniędzmi.

– Thomas, mój mąż, zawsze był draniem – powiedziała kobieta. – Nigdy nie próbował pracować, tylko się obijał, chlał, bił mnie i dzieci, kiedy miał ochotę.

Kaszlnął. Odliczył kolejne dziesięć setek. Był posłańcem śmierci. Z rzeczami, które innych cieszyły lub im przeszkadzały w życiu, nie miał nic wspólnego. Był tylko aniołem, który na krótko zajrzał z zaświatów jak czarny cień. W niewytłumaczalny sposób czasami przynosił światło do biednych blaszanych baraków. Ta wizja mu się podobała.

– Nie myślałam, że Thomas to dla nas zrobi – powiedziała kobieta.

I nagle zrobiło mu się jej żal.

– Posłuchaj! – rzucił. – Oni tu przyjdą. Będą cię wypytywać, skąd nagle masz tyle pieniędzy. Dodadzą sobie dwa do dwóch, zabiorą ci forse i zarekwirują jako dowód w sprawie.

Położył na stoliku ostatni tysiąc randów i przyjrzał się otaczającej ich



nędzy. Zniszczone materace rzucone na klepisko, torba mąki kukurydzianej obok plastikowego kanistra z mętną wodą, odwrócone drewniane skrzynki służące jako krzesła. Zrobił dwa kroki i kopnął ścianę z blachy falistej pomiędzy dwoma słupkami. Światło wieczornego słońca wlało się do środka.

– Może powinnaś spakować pieniądze i uciec z dziećmi, zanim zjawi się tu policja.

– Z tego, co mówią farmerzy, wynika, że to już najwyższy czas, żeby wreszcie spadł deszcz. I to porządny deszcz, a nie tylko kilka kropli, które rozplyną się w wysuszonym powietrzu, zanim w ogóle zdążą spaść na glebę. Potrzebne są grube szare chmury, śluzy w niebie muszą się otworzyć, ziemia potrzebuje małego potopu. Musi padać przez dwa albo trzy tygodnie, żeby trawa zaczęła kiełkować, żeby zakwitły żółte mlecze, a bydło i dzikie zwierzęta znalazły pożywienie.

Z każdym dniem opóźniających się opadów narasta rozpacz i przesady, farmerzy coraz bardziej wypatrują nieomylnych rzekomo znaków, które mają zwiastować koniec suszy. Czy tam nie odezwał się ptak deszczu? A może jeszcze więcej znaczy, że wszędzie słyhać ropuchy szare? Niektórzy są przekonani, że pierwsza pełnia w nowym roku przyniesie zmianę, poza tym księżyc już przez ostatnie noce miał wyraźnie widoczne halo. I jeśli nic nie pomoże, zawsze można mieć nadzieję na urodziny cesarza 27 stycznia, zakładając, że jest się starym i zatwardziałym zwolennikiem Afryki Południowo-Zachodniej niemieckiego pochodzenia, skrycie śniącym w kolorach czarno-biało-czerwonych.

Ale nawet gdyby nagle spadł deszcz, i tak nic by to nie dało. Oczywiście deszcz pada zawsze, każdy farmer zaraz to potwierdzi, na farmę sąsiada,

podczas gdy człowiek ma wrażenie, że jego ziemia musi być przeklęta. A więc logicznie rzecz biorąc, nigdzie by nie padało, nawet jeśli spadnie deszcz. Naprawdę można się tylko dziwić, że farmy w ogóle jeszcze istnieją, że kudu, oryksy i springboki nie wyginęły wieki temu. Skoro mowa o springbokach...

Były sędzia Fourie poprosił gospodynię, by podała gościom z policji kawałek swojskiej wędzonej dziczyzny, a potem ciągnął dalej opowieści. O deszczu, który nie nadchodzi. O lamentach sąsiadów, którzy od wielu pokoleń uprawiali tę ziemię i nadal nie zaakceptowali faktu, że są to tereny na wpół pustynne, a nie soczyste pastwiska we Fryzji czy na bawarskim przedgórzu alpejskim.

Tjikundu siedział nieco z boku, trzymając obiema dłońmi szklanekę z mrożoną herbatą. Bosy chłopiec przycupnął na balustradzie werandy i nie spuszczał z niego oczu. Jego siostry nigdzie nie było widać, ale on znów otworzył im bramę. Oczy chłopca rozjarzyły się na widok policjantów, jakby był przekonany, że Clemencia przyjechała tylko z jego powodu. Ale kiedy zobaczył, że Tjikundu nosi prawdziwy pistolet, Clemencia została natychmiast zdetronizowana. Tjikundu nie bardzo wiedział, jak ma traktować ten tak jawnie okazywany podziw, w końcu zdecydował się na obojętną, niewzruszoną minę *à la* John Wayne. Co zresztą pasowało do jego zadania, gdyż Clemencia kilka razy powtórzyła mu, żeby się nie wtrącał i pozwolił jej robić, co ona uzna za stosowne.

Choć na razie jeszcze niczego nie zrobiła. Przysłuchiwała się tylko ze spokojem potokowi słów sędziego. Ale już wystarczyło. Fourie miał dość czasu, żeby sam z siebie mógł wytłumaczyć parę rzeczy, jeśli było coś do wytłumaczenia. Przecież wiedział, jakim śledztwem Clemencia się

zajmuje, i nie mógł udawać, że jego odwiedziny u Ferdiego Barnarda nie powinny jej obchodzić. Kiedy więc Fourie akurat nabierał powietrza, Clemencia szybko zapytała:

– A jak było w RPA?

– Za dużo ludzi, za dużo aut, za dużo hałasu. Ale tam przynajmniej padało i...

– Był pan też w KwaZulu-Natal?

– Wystarczyła mi Pretoria.

– Odwiedzał pan przyjaciół?

– Przyjaciół? Raczej znajomego, ale...

– Panie Fourie – powiedziała Clemencia – chciałabym poznać każde słowo, które wymienił pan z Ferdim Barnardem.

Przez krótką chwilę starszy mężczyzna sprawiał wrażenie zaskoczonego. Jednak potem się uśmiechnął. Prawą ręką sięgnął po nóż kuchenny, który gospodyni przyniosła wraz z wędzonym mięsem. Tjikundu odstawił szklankę mrożonej herbaty na balustradę werandy. Jego pistolet ciągle tkwił w kaburze. Bosy chłopiec gapił się na broń jak zakłętą. Przypuszczalnie chciał zapytać Tjikundu, czy może sobie postrzelać. Fourie zaczął kroić niemal czarne mięso w poprzek włókien. Plasterki były tak cienkie, że można by patrzeć przez nie na wylot. Dłonie sędziego nie drżały.

– A więc – zaczął Fourie – kiedy dowiedziałem się o zabójstwach Marea i van Zyla, kiedy rozmawialiśmy o Lubowskim, wtedy nagle te wszystkie stare historie do mnie wróciły. Sprawa z tamtych lat i jej niewyjaśnione tajemnice, moja frustracja, moje decyzje i zaniedbania, wszystko to znów zaczęło krążyć po mojej głowie. Tak samo jak przed laty, zadawałem sobie

pytanie, czy to z mojej winy dochodzenie zakończyło się fiaskiem. I nagle pojawiła się myśl, że szukanie prawdy niekiedy zajmuje więcej czasu. To brzmi może dziwnie, ale zamordowanie dwóch dawnych agentów roznieciło dawny płomień. Zamach na Lubowskiego znów zyskał wysoki priorytet, i to nie tylko u mnie. Skoro ktoś zabił dwóch zbrodniarzy, może wtedy trzeci...

– Panie Fourie – przerwała mu Clemencia. – Przecież pan jest na emeryturze! Co u diabła...

– Właśnie – przyznał Fourie. – Sam już nie wiem, co mam robić z wolnym czasem. A krótki wypad do RPA i tak mnie nie zrujnuje. Zadzwońłem do dawnego kolegi z Pretorii. On zapewnił mnie, że otrzymanie przepustki to nie jest żaden problem. Zaraz to załatwi, mam się tylko zgłosić do więzienia. Szybko się więc zdecydowałem i spakowałem walizkę.

Fourie odłożył nóż na stół i podsunął im mięso. Tjikundu wziął kawałek. Chłopiec poszedł w jego ślady, nawet takim samym ruchem. Clemencia potrząsnęła głową i zapytała:

– Co powiedział Barnard?

– Nic. Wyśmiał mnie. Nie zna żadnego Lubowskiego, żadnego „Chappiesa” Maree ani „Slanga” van Zyla, a jeśli nie przestanę go wkurzać, to okaże się, że nie zna nawet Ferdiego Barnarda. – Fourie sprawiał wrażenie całkowicie spokojnego.

Tjikundu wziął jeszcze dwa plasterki wędzonego mięsa, jeden podał chłopcu.

– A potem? – zapytała Clemencia.

– A potem? Kazał się odprowadzić do celi, a ja sobie poszedłem – powiedział Fourie.

Clemencia pokiwała głową.

– A teraz porozmawiajmy poważnie! Jak tam było naprawdę?

– O co pani chodzi?

– Co ma pan wspólnego ze śmiercią Barnarda?

– Słucham?

– Ach, więc nie wie pan, że w noc po pańskiej wizycie Barnard został znaleziony martwy, powieszony?

Fourie nic nie odpowiedział. A przecież tak pięknie umiał opowiadać. Przynajmniej, kiedy chodziło o porę deszczową i farmerów. Clemencia uzupełniła cicho:

– Przed śmiercią Barnard skarżył się personelowi więziennemu, że groził mu pan śmiercią.

Fourie pochylił się nieco, jakby chciał wyskoczyć z krzesła. Nóż leżał obok drewnianej deski z mięsem. Tjikundu przestał na chwilę przeżuwać. Jego dłoń powędrowała do kabury pistoletu. Fourie odchylił się znów na oparcie i powiedział:

– To jest po prostu śmieszne.

– Jak zatem wytłumaczy pan oskarżenia Barnarda? – zapytała spokojnie Clemencia.

– Sądzę, że w tych warunkach nie ma sensu, żebyśmy kontynuowali naszą rozmowę – powiedział Fourie z wyszukany chłodem.

Nie był wcale inny niż reszta klienteli Clemencji. Prawda była piękna i wspaniała, póki nikomu nie zagrażała. Kiedy ktoś zaczynał czuć własny smrodek, wtedy nagle zmieniał ton i nie sądził, żeby w tych warunkach kontynuowanie rozmowy miało sens.

– I tak właśnie zamierzaliśmy pójść. – Clemencia wstała. Tjikundu spojrzął

z żalem na pokrojone mięso, ale nie odważył się sięgnąć jeszcze raz. – Niestety, panie Fourie, muszę pana prosić, żeby nam pan towarzyszył.

Fourie zaśmiał się.

– Chce mnie pani aresztować?

Tak, to właśnie chciała zrobić. Dlaczego nie? Tylko dlatego, że miał białą skórę, kiedyś był sędzią i na pewno mógł się teraz zwrócić do wielu wpływowych przyjaciół? Clemencia wyjaśniła:

– Zachodzi podejrzenie podżegania do zabójstwa Ferdiego Barnarda.

– Pani nie mówi tego poważnie – powiedział Fourie.

– Śmiertelnie poważnie.

– Tylko narobi sobie pani kłopotów.

– Możliwe.

– Nie, to nie jest możliwe. To pewne!

– No dobrze, a więc na pewno! – zgodziła się Clemencia. – Czy chciałby pan spakować jeszcze jakieś rzeczy, zanim wyjedziemy?

Fourie stwierdził, że to się nie opłaca, bo i tak zaraz wyjdzie. Chciał tylko zadzwonić. Clemencia gestem poleciła Tjikundu, żeby wszedł z sędzią do domu. Bosy chłopiec został z nią na werandzie. Clemencia uśmiechnęła się do niego, ale chłopiec potrząsnął głową i powiedział:

– *Meneer Fourie to baas<sup>21</sup>!*

Nawet nie było w tym wyrzutu, tylko ogromne zdumienie, że Clemencia najwidoczniej nie miała o tym pojęcia, bo inaczej nie przyszłoby jej do głowy, żeby go aresztować. Bossa, który żywił wszystkich na farmie, który decydował, co trzeba robić, którego słowo było tu najważniejsze, od którego wszyscy i wszystko zależało!

Clemencia przykucnęła przy chłopcu, ujęła go za ramiona i wytłumaczyła,

że przed prawem wszyscy są równi, on, jego matka, *meneer* Fourie. Wszyscy są ludźmi i obywatelami. I to jest niesłychanie ważne. O to wielu ludzi walczyło przez dziesiątki lat, wielu nawet zginęło. Nigdy nie powinien o tym zapominać!

Chłopiec zacisnął usta. Clemencia mogła tylko mieć nadzieję, że zrozumiał. Kiedy znów się wyprostowała, Fourie stał obok niej. Clemencia wskazała samochód pod cyprysem. Tjikundu poszedł pierwszy i otworzył tylne drzwi. Zanim Fourie ruszył w kierunku auta, pogłaskał chłopca po włosach i powiedział:

– Rób zadania z matematyki! Niedługo wrócę.

Kiedy zajechali przed komendę w Windhuku, czekał już tam na nich mecenas von Fleckenstein. Stał oparty o swojego wiekowego mercedesa i zaraz powiedział Fouriemu, że dyżurny sędzia, biorąc pod uwagę szczególne okoliczności, zgodził się rozpatrzyć sprawę jeszcze dziś wieczorem. On, von Fleckenstein, zostanie tu, póki policjanci nie sporządzą protokołu aresztowania, potem zadzwoni do sędziego i po kwadransie sprawa będzie załatwiona. Do Clemencji powiedział:

– A pani to już sama nie wie, czego chce, raz wyciąga, raz zamyka.

– Nie sądzę, żebyśmy zdążyli spisać protokół jeszcze dzisiaj – powiedziała Clemencia. – O ile wiem, mamy na to dwadzieścia cztery godziny.

Von Fleckenstein zachichotał. Zdawał się tym wszystkim bardzo ubawiony. Tjikundu zaprowadził Fouriego na drugie piętro, do pomieszczeń wydziału kryminalnego. Miał go zostawić w pokoju przesłuchań, żeby poczekał. Clemencia zdawała sobie sprawę, że nie ma konkretnych dowodów przeciw emerytowanemu sędziemu. Najpóźniej jutro będzie musiała go wypuścić, ale powinien przesiedzieć tu choć jedną

noc, jak każdy aresztowany.

Brak profesjonalizmu, tak oceniłby to Matti Jurmela w dalekich Helsinkach i po krótkiej przerwie dodałby, że tu nie chodzi o zasadę, ale o to, żeby wykonać zadanie możliwie najlepiej. To niewątpliwie prawda. Tylko że Namibia to nie Finlandia, ale młode państwo, w którym mali boski chłopcy nadal myśleli, że ich *baas* nie może zostać aresztowany, właśnie dlatego, że to on jest *baas*.

Clemencia pozdrowiła kilku kolegów z wydziału przestępstw gospodarczych, którzy właśnie skończyli pracę. Przeszli na drugą stronę Bahnhofstrasse i zgromadzili się wokół objazdowej garkuchni na parkingu naprzeciwko. Puszki napojów były zanurzone w plastikowej wanience pełnej wody, która przypuszczalnie niedawno była lodem. Na grillu skwierczały kawałki mięsa. Mieszanka chili, w której je obtaczano, jarzyła się czerwienią tak intensywnie, że było ją widać z drugiej strony ulicy. Może to przez wieczorne słońce. Niebo było bezchmurne.

Emerytowany sędzia Hendrik Fourie:

*Nie brałem pod uwagę, że policja może mnie aresztować, ale nawet gdybym mógł przewidzieć przyszłość, nie zachowałbym się inaczej. Najważniejsza kwestia to nie to, czy jesteśmy gotowi podjąć ryzyko, tylko czy nasza sprawa jest warta tego, żeby świadomie ryzykować możliwie najgorszy koniec. Jeśli na to pytanie odpowiemy sobie twierdząco – a moja odpowiedź taka była – nie mamy innego wyjścia, jak tylko podjąć stosowne działania.*

*Fakt, że czyny mają swoje konsekwencje, które są określone, z uwzględnieniem pewnego pola manewru, i jako takie przewidywalne, jest*



*jednym z założeń sądownictwa. Kto zamorduje człowieka, wie mniej więcej, jaką karę musi ponieść. Tam nie może być wyjątków. Nie tylko z powodu ofiar i ich rodzin, nie tylko z powodu takiego czy innego ideału sprawiedliwości, ale dlatego, że to podważałoby bardzo prostą, ale elementarną dla ludzkiego współżycia społecznego zasadę: Kto powiedział A, musi powiedzieć B. A jeżeli sam tego nie powie, trzeba mu to jednoznacznie podpowiedzieć. Bo inaczej pękną wszystkie tamy.*

*Oczywiście, ani policja, ani prokurator nie są bogami, często poruszają się po omacku, a czasem mimo wysiłków nie udaje im się znaleźć sprawcy zbrodni. To jest fatalne, ale nie podważa jeszcze naczelných zasad sprawiedliwego państwa. To właśnie dzieje się w przypadku, kiedy – jak w sprawie Lubowskiego – mordercy są znani z nazwiska, ich motywy i czyny zrozumiałe, mimo aktów sabotażu, a jednak nie wyciąga się z tego konsekwencji.*

*Tak, mówiłem o aktach sabotażu. Czy wiecie państwo, że znaleziono coś w rodzaju dziennika aktywności, w którym skrupulatnie zapisywane były wszelkie działania 6. grupy regionalnej CCB? Kiedy dowód ten trafił do moich rąk w 1994 roku, brakowało w nim dokładnie dwóch stron. Czego dotyczyła pierwsza, nie wiadomo, ale druga zawierała adnotacje dotyczące wydarzeń z 12 września 1989, czyli z dnia, kiedy zastrzelono Antona Lubowskiego. Próbowano mi wmówić, że to CCB usunęła obciążający materiał. Ale dlaczego tylko dwie strony? Dlaczego nie tę całą resztę, która poświadczała wystarczająco dużo innych obrzydliwych zbrodni grupy? Nie, ktoś celowo starał się uniemożliwić wyjaśnienie sprawy Lubowskiego, a ten ktoś z całą pewnością nie należał do południowoafrykańskich służb specjalnych.*

*Ja sam nie zamiotłem wtedy tej ani innych podobnych rzeczy pod dywan, wręcz przeciwnie, ale może nie dość głośno o tym mówiłem. Z pewnością kroki, które podjąłem, były za mało zdecydowane. Możliwe, że zasadnicze znaczenie tej sprawy nie było wówczas dla mnie jasne, możliwe także, że obawiałem się ewentualnych konsekwencji, jakie to by na mnie ściągnęło. Ale minęło już piętnaście lat. Jestem teraz starym człowiekiem, z każdym rokiem to, co ma się do stracenia, liczy się coraz mniej.*

*Co to wszystko ma wspólnego z moją wizytą w więzieniu w Pretorii? Otóż podjąłem decyzję, że będę działał. Żeby naprawić własne zaniedbania z czasów, kiedy byłem czynny zawodowo. Chodziło mi o prawdę, samą prawdę i tylko prawdę. A więc pokazałem Ferdiemu Barnardowi wycinki z prasy dotyczące morderstw dokonanych na jego dwóch dawnych kompanach. Powiedziałem mu, że jest następny na liście śmierci. Jeśli chce ratować swoje życie, jego jedyną szansą jest natychmiastowe złożenie obszernych zeznań. Takich, w których zgodnie z prawdą zrelacjonuje każdą minutę i każdy szczegół wydarzeń z 12 września 1989 roku, opowie o każdym aktywnym uczestniku, o każdym, kto posiadał wiedzę na ten temat i znał wszystkie kulisy sprawy.*

– Jeśli nic panu nie powiem, zostanę zabity? – zapytał Barnard.

– Tak – przyznałem.

– Czy to znaczy, że jest pan odpowiedzialny także za zabójstwa van Zyla i Maree, wysoki sędzie? – zapytał.

– Oczywiście – odparłem, ale on w to nie uwierzył. Nie sprawiałem dość przekonującego wrażenia.

– Lubowski? A któż to był, niechże mi pan przypomni – powiedział Barnard i zaśmiał się głośno.

Clemencia najchętniej usiadłaby przed telewizorem. Przetrwałaby nudne wiadomości NBC, przyglądając się cierpliwie, jak funkcjonariusz z rozpixselowaną twarzą w tak samo niejasnych słowach wywodzi, że cele „Vision 2030”<sup>22</sup> muszą w jakiś sposób zostać osiągnięte. Znosiłaby nawet ryzykowne komentarze *miki* Matildy, przynajmniej dopóki nie byłyby skierowane bezpośrednio do niej. Byłoby jej wszystko jedno, kiedy Constancia kładzie swoje dzieci spać, nie zwracałaby też uwagi na basy dudniące z baru Mshasho, gdzie pewnie akurat upijał się Melvin. Clemencia tęskniła za odrobiną normalności. Ale ten wieczór okazał się jedną wielką katastrofą.

Jeszcze zanim dotarła do Katutury, zabręczała jej komórka. Był to Claus Tiedtke z pytaniem, czy zna niejaką Selmę. Ta osoba zadzwoniła do niego do redakcji – rzekomo na polecenie Clemencji – i zapytała, czy jest katolikiem. Którym zresztą nie jest, bo jest wyznania ewangelicko-luterańskiego. Poza tym nie ma żadnego problemu z innymi wyznaniem, tyle że samo pytanie wydało mu się nieco dziwne.

Ono nie było dziwne, ono było szczytem bezczelności.

Ale uzyskanie wyjaśnień od *miki* Selmy, w ogóle znalezienie jej, okazało się zadaniem dość trudnym. Już zbliżając się do domu, Clemencia słyszała wesoły śmiech, a kiedy przekroczyła furtkę, zobaczyła, że na niewielkim podwórku tłoczy się pół chóru gospel z Holy Redeemer Parish. Najwyraźniej chór urządził sobie tu zbiórkę po występie, bo kobiety były jeszcze ubrane w długie do ziemi bordowe szaty ozdobione złotymi aplikacjami. Garstka mężczyzn w dopasowanych kolorystycznie koszulkach siedziała nieco z boku, na ławce pod ścianą. Kobiety dyskutowały właśnie, czy narzeczona ma prawo decydować o kreacjach swoich druhén,

zwłaszcza że te ostatnie przecież same je finansują. Kiedy zauważyły Clemencję, rozmowa natychmiast ucichła.

– Dobry wieczór, dziecinko – przywitała ją jedna ze starszych kobiet, której imienia Clemencia nie mogła sobie przypomnieć. Może dlatego, że *miki* Selma zawsze nazywała ją tylko „Wroną”. Przynajmniej jeszcze w zeszłym tygodniu obydwie prowadziły zażartą walkę o wiodący głos w chórze. *Miki* Selma utrzymywała, że „Wrona” w ogóle nie potrafi śpiewać. Nie można jej przez to wpuszczać do domu, bo nawet owoce gniją, kiedy tylko otworzy usta.

– Już wróciłaś, Clemencio? – zapytała inna z kobiet.

Była 21.30! Czy nie można o tej porze wrócić z pracy do domu?

– Gdzie jest Selma? – zapytała Clemencia.

„Wrona” wskazała za siebie, na wąskie przejście między domem i bocznymi zabudowaniami. Clemencia przeszła pod rozpiętą płachtą, która za dnia dawała cień. W osłoniętym od wiatru palenisku przy drugich drzwiach tlił się jeszcze ogień. Obok stał wielki żeliwny kocioł. Był pusty, nie licząc resztek przywierającej do dna mieliepap<sup>23</sup>. Drzwi po lewej stronie były otwarte.

W pokoju grał telewizor, choć nikt go nie oglądał. Na jednym z łóżek królowała *miki* Selma w swojej bordowej szacie, w otoczeniu reszty rodziny i drugiej połowy kobiet z chóru. *Miki* Selma trzymała w dłoni ołówek, którym bazgrała coś na marginesie ulotki reklamowej.

– Jeśli będziemy mieć sześć drухen, potrzebujemy oczywiście sześciu facetów.

– Co się tu właściwie dzieje? – zapytała Clemencia, stając w progu.

– Właściwie nic. – *Miki* Selma starannie złożyła ulotkę. Wyglądało to na

oferty specjalne sklepu Woermann Brock.

– To ja lecę – powiedział Melvin i spróbował precyzyjnie się obok Clemencji.

– Upijać się? – zapytała.

To i tak był cud, że o tej porze jeszcze siedział w domu.

– Pracować – odparł Melvin.

– O tej godzinie?

– Dzisiaj nie można sobie takich rzeczy wybierać.

– Co to za praca?

Jej brat przyglądał się futrynie drzwi. Zastanawiał się chwilę, potem wyszczerzył zęby i powiedział:

– Rozładowywanie.

– Melvin, nie po to wyciągnęłam cię z paki, żebyś zaraz znów... – Clemencia urwała.

Mniej więcej tuzin kobiet z chóru gospel Holy Redeemer Parish przyglądało się jej wyczekująco. Clemencia wyciągnęła portfel z torebki, wyjęła banknot dwudziestodolarowy i wcisnęła go Melwinowi do ręki.

– Idź, napij się, tylko nie rób głupstw!

Melvin wyszedł. Chór kobiet milczał, póki *miki* Selma powiedziała, że muszą omówić jeszcze jeden drobiazg. Czy Clemencia nie mogłaby ewentualnie gdzieś się przejść na chwilę?

– Zadzwoń do tego dziennikarza i twierdź, że to w moim imieniu, tak? – ostro zapytała Clemencia.

– W twoim imieniu? Nie powiedziałam nic takiego – oburzyła się *miki* Selma.

– To w sprawie Clemencji, tak powiedziałaś – włączyła się jedna z kobiet.

– Bo to przecież było w sprawie Clemencji. Ktoś w końcu musi się o nią zatroszczyć.

– O mnie nikt nie musi się troszczyć, a już na pewno nie ty! – wysyczała Clemencia.

*Miki Selma* wyprostowała się na całą swoją wysokość metra sześćdziesięciu pięciu centymetrów, założyła ramiona na piersiach i oświadczyła z godnością:

– Każde zwierzę ryczy w swojej jaskini, a ta tutaj ciągle jeszcze jest moja! Trochę więcej szacunku, proszę, dziecino!

Stadko chórzystek zamruczało z aprobatą, a Clemencia wzięła kilka głębokich oddechów. *Miki Selma* była jej ciotką. Jedną z młodszych sióstr ojca. Należała do rodziny. Była człowiekiem i z tej racji zasadniczo powinna być obdarzona rozumem. Należało zatem próbować rozmowy opartej na racjonalnych argumentach. Clemencia oświadczyła więc całkowicie spokojnie:

– Nie możesz tak po prostu dzwonić do zupełnie obcego faceta i pytać go o przynależność religijną!

– Przecież to nic strasznego – stwierdziła *miki Selma*.

– Pytałyśmy już księdza – dodała któraś z kobiet.

– Wystarczy, jak weźmiecie tylko katolicki ślub – odezwała się trzecia.

– I zobowiążecie się, że wasze dzieci wychowacie w wierze katolickiej – uzupełniła *miki Selma* z zadowoleniem.

Tego już było za wiele! Clemencia odwróciła się na pięcie, kluczem otworzyła drzwi swojego pokoju i zamknęła je od środka. W pomieszczeniu wisiał duszący gorąc. Zrzuciła z siebie ubrania i padła na łóżko. Szyba w oknie drżała od głuchych basów z baru Mshasho. Przez

wewnętrzną ścianę docierał do niej śmiech chórzystek. Może Clemencia powinna wrócić do nich i oświadczyć, że zamierza przejść na islam.

Nie, sarkazm tu nie pomoże. Trzeba było znaleźć jakieś rozwiązanie, czyste i jednoznaczne. Clemencia musi koniecznie poszukać własnego mieszkania. Jak najszybciej, najlepiej jutro. I jeśli to możliwe, na drugim końcu miasta, w Avis albo Kleine Kuppe. Rodzina to wspaniała sprawa, ale tu już się nie da wytrzymać. *Miki Selma* zaskrzeczała za ścianą, a Clemencia przycisnęła poduszkę ciasno do uszu. Jednak usłyszała sygnał komórki. To był Claus Tiedtke. Chciał wiedzieć, czy wszystko jest w porządku. I czy Clemencia nie miałaby ochoty wybrać się jeszcze do Blitzkriegu. Gra tam Submission i na pewno jest niezła impreza. Clemencia grzecznie odmówiła.

Następnego ranka i tak czuła się mniej więcej jak po nocy spędzonej przed głośnikami na koncercie kapeli heavymetalowej. Zaparzyła sobie herbatę roiboos, dodała łyżeczkę cukru, potem jeszcze jedną. *Miki Selma* usmażyła jajka sadzone i nie pytając Clemencii, czy ma na nie ochotę, nałożyła jej dwa na talerz. Zacinając się lekko, wytłumaczyła, że przecież wszyscy chcą dla niej jak najlepiej.

Próba zawarcia rozejmu? Clemencia jej nie przyjęła. Wzięła talerz, wycofała się do swojego pokoju i w książce telefonicznej wyszukała numer agencji nieruchomości. Makler zaśmiał się tylko, kiedy usłyszał, ile jest w stanie płacić za niewielkie spokojne mieszkanie daleko od Katutury. Clemencia pomyślała, że kiedyś jednak musi jej się udać. Nawet gdyby oznaczało to konieczność znalezienia jakiegoś bogatego faceta i zostania jego utrzymanką!

Wielki Boże, *miki Selma* i jej chór całkiem poważnie zaczęli planować jej

ślub! Z mężczyzną, którego widziała ze dwa razy w życiu. O którym wiedziała niewiele ponad to, że miał na imię Claus, pracował w niemieckiej gazecie i miał skórę w kolorze świeżego koziego sera. Przecież lubisz świeży kozi ser, powiedziałyby teraz na pewno *miki* Matilda i głośno zameczała, a Clemencia odparłaby, że na talerzu tak, ale nie przed ołtarzem, a wtedy *miki* Selma zaraz by zaprotestowała, bo z sakramentów nie wolno sobie stroić żartów, a potem...

*Miki* Selma wsunęła głowę przez drzwi i zapytała słodko, czy Clemencia miałyby może ochotę na tosta. Na dworze marudził Timothy, bo musiał włożyć buty i iść z matką kupić przybory na nowy rok szkolny. Wolały zostać w domu i przyglądać się, jak *miki* Matilda zarzyna kurę, której wątroby pilnie potrzebowała do odczyniania uroków w domu swojego pacjenta. Melvin krzyczał, że chce mieć trochę spokoju. Przynajmniej nie złapali go podczas nocnej wyprawy. Clemencia dokończyła śniadanie i po chwili wyszła z domu.

Sąsiadka z naprzeciwka śpiewała, wieszając bieliznę. Jej mąż montował właśnie akumulator pod maską swojej starej taksówki. Odkąd skradziono jedno z dwóch pozostałych aut w dalszym sąsiedztwie, stał się ostrożniejszy. Nie mógł sobie pozwolić na blokadę, więc co wieczór wyjmował akumulator. Clemencia zaczekała, aż skończy, i pojechała z nim do centrum.

W komendzie Robinson nadal przesłuchiwał Angolczyka. Wprawdzie ekspertyza techniczna wykazała, że należące do tego mężczyzny AK-47 nie było narzędziem zbrodni, ale Robinson nie ufał tym wynikom. Przekonał Oshivelo, żeby zamówił kolejne badanie. Przy przesłuchiwaniu Robinson był właśnie w fazie dobrego gliniarza. Uporczywie zwracał się do



podejrzanego „mój przyjacielu”, podsuwał mu jednego papierosa za drugim. Angolczyk siedział pogodzony z losem na plastikowym krześle. Nie było za to emerytowanego sędziego. Clemencia musiała kilka razy pytać, żeby się dowiedzieć, że został zwolniony niedługo po tym, jak wyszła z pracy poprzedniego wieczora. Tjikundu nie miał wyboru. Po dwóch telefonach od von Fleckensteina nakaz natychmiastowego sporządzenia protokołu aresztowania przyszedł dość szybko, i to z bardzo wysokiego szczebla.

– Oshivelo? – zapytała Clemencia.

Tjikundu potrząsnął głową:

– Z samej góry!

Sędzia szybko przejrzał uzasadnienie i poprosił, żeby Fourie przedstawił swoje stanowisko. Ten wyraził ubolewanie z powodu gróźb wobec Barnarda. Potem wyjaśnił, że swoimi, być może sformułowanymi nieco zbyt drastycznie, słowami chciał tylko przyczynić się do odkrycia prawdy w sprawie Lubowskiego. Sędzia skinął głową. Żadnych wątpliwości, żadnych dodatkowych pytań. Kruk nie wydziobie oka drugiemu krukowi, nawet kiedy jeden jest czarny, a drugi biały.

W tych okolicznościach można się było spodziewać, że Clemencia zostanie wezwana do szefa. Zaskakujące było tylko to, że Oshivelo wcale jej nie zrugął. Chodził w kółko po swoim klimatyzowanym biurze, zaproponował jej krzesło i rzucił kilka zatroskanych, ojcowskich spojrzeń. Jego przełożeni się trochę irytowali, ale on oczywiście jest po jej stronie. Tylko łatwiej byłoby mu znaleźć argumenty, gdyby Clemencia poinformowała go w porę o całej sytuacji. To, że Fourie dostał trochę po nosie, jest – mówiąc w zaufaniu – jak najbardziej słuszne. Jak by to się skończyło, gdyby każdy

emeryt myślał, że może się bawić w policjanta? Ale na razie chyba wystarczy. Czy może Clemencia ma coś jeszcze na Fouriego i nadal zamierza dobrać mu się do skóry?

– On wie wszystko o sprawie Lubowskiego – stwierdziła Clemencia.

– Pani ciągle myśli, że nasze morderstwa mają z tym coś wspólnego? – spytał Oshivelo.

– Bardziej niż kiedykolwiek. Najpierw Maree i van Zyl tutaj, a potem Burger i Barnard w RPA. Nawiasem mówiąc, Barnard siedział od dwunastu lat w więzieniu. To świadczy o tym, że nie mógł być w ostatnim czasie zamieszany w przemyt diamentów ani inne działania kryminalne.

Nic nie przemawiało też za tym, że razem z kolegami zamierzał szantażować głównego wykonawcę wyroku. Dopóki Clemencia w sprawie tego przekłętego motywu błędziła po omacku, wszystko pozostawało w sferze spekulacji.

– Z moich informacji wynika, że Barnard popełnił samobójstwo – oznajmił Oshivelo – i to bynajmniej nie przy użyciu kałasznikowa. Poza tym to zdarzyło się w Pretorii, tysiąc dwieście kilometrów od Windhuku. To nie jest nasza sprawa.

– Mamy w końcu własne morderstwa.

– Właśnie – zgodził się Oshivelo.

Najwyraźniej nie wyczuł ironii ukrytej w słowach Clemencii. Zresztą w ogóle od kilku dni słyszał tylko to, co chciał usłyszeć. Trop wiodący do sprawy Lubowskiego niewątpliwie nie zaliczał się do tych rzeczy.

Clemencia podniosła się z krzesła. Zapytała:

– Czy wierzy pan w przypadek, szefie?

Oshivelo pogładził swoją siwą brodę. Potem podszedł do okna i wyjrzał na

zewnątrz. Na tle oślepiającego światła jego potężna sylwetka wyglądała jak cień. Nie odwracając się, Oshivelo odpowiedział:

– Przypadki źle wyglądają, kiedy trzeba zrekonstruować historię z późniejszej perspektywy. Dlatego, że zna się już początek i zakończenie i chciałoby się prostą drogą przejść od jednego do drugiego. Ale kiedy tkwi się w samym środku historii, koniec jest sprawą otwartą i możliwych jest wiele wersji zakończenia. W takiej sytuacji przypadki właściwie niczym się nie różnią od tak logicznych, jak by się później zdawało, związków przyczynowo-skutkowych. Wtedy są to tylko wydarzenia, które prowadzą nas krok dalej w ciemną przyszłość. Do końca, o którym nie mamy jeszcze bladego pojęcia.

Clemencia zwróciła uwagę, że Oshivelo przeszedł od bezosobowego „się” do „my”. Chętnie dowiedziałyby się, co chciał przez to wyrazić.

Ndangi Oshivelo, zastępca komisarza głównego namibijskiej policji:

*Sądzę, że znałem Antona Lubowskiego całkiem dobrze. A jednak trudno mi powiedzieć, jaki był naprawdę. Czasami sprawiał wrażenie rozpuszczonego dzieciaka wychowanego w dobrobycie, który igra ze śmiertelnym niebezpieczeństwem, żeby tylko uniknąć nudy w życiu. Przy kilku okazjach zaczynałem podejrzewać, że jego zaangażowanie było wynikiem chłodnej kalkulacji. Ktoś potrafiący spojrzeć dalej mógł się domyślać, że w końcu kiedyś wygramy. Czy Lubowski po prostu w odpowiednim czasie zdecydował się postawić na właściwego konia?*

*Przeważnie jednak napędzał go nieokiełznany wręcz idealizm. Słowa takie jak wolność, sprawiedliwość, godność człowieka pochłaniały go bez reszty, nie przejmował się ani trochę tym, że w tej dusznej atmosferze były całkiem*

wyeksplloatowane. Chodziło o to, żeby walczyć o nie w świecie, który już istniał i opierał się na całkiem innych zasadach. W tym celu zgniłe kompromisy były tak samo niezbędne, jak nieczyste zagrania i brutalne akcje. Szczytne hasło, że droga musi odpowiadać celowi, może głosić tylko ktoś, kto nie ma pojęcia o polityce, nie wspominając o walce wyzwoleniczej narodu.

Wiedzieliśmy, co robimy, kiedy posyłaliśmy oddziały partyzanckie zza angolskiej granicy do północnej Namibii, żeby tam napadały na posterunki wojsk południowoafrykańskich. Pod względem wojskowym nie miało to wielkiego znaczenia. Wyprawialiśmy naszych ludzi na niemal pewną śmierć tylko po to, żeby pokazać, że istniejemy. Że jesteśmy siłą. W gruncie rzeczy nasi ludzie ginęli po to, żeby nazwa SWAPO po raz kolejny pojawiła się w międzynarodowej prasie. Niektórzy powiedzą może, że to cyniczne, ale sprawa była cholernie ważna.

Kiedy Lubowski udzielał wywiadów – a w ostatnich latach wypowiadał się publicznie prawie bez przerwy – usprawiedliwiał zbrojną walkę, jak najbardziej, ale w każdym jego słowie wyczuwało się, że ten temat jest dla niego nieprzyjemny i nie chce kwestionować decyzji swoich towarzyszy. A przecież też był wojownikiem, tyle że na swój sposób. Pamiętam, jak pewnego wieczora opowiadał mi o niemieckim przedstawieniu teatralnym, w którym jakiś człowiek chce przetłumaczyć Biblię i nie może się zdecydować, jak sformułować pierwsze zdanie: Na początku było Słowo, Sens, Siła, Czyn? Nie pamiętam już, który wariant wolał sam Lubowski, przypuszczalnie ten ze „słowem”, ale zastanawiające jest to, że dla niego w ogóle ważne było, co jest na początku. Nas interesowało wyłącznie zakończenie.

Raz, po walkach nad Kunene, trochę podrasowaliśmy liczby na użytek prasy. Dostaliśmy meldunek, że przypuszczalnie trafiono jednego lub dwóch żołnierzy południowoafrykańskich, a zrobiliśmy z tego czterech zabitych i jedenastu rannych przeciwników. Za to własne straty odpowiednio okroiliśmy. Lubowski pytał, czy to naprawdę było potrzebne. Wydaje mi się, że on całkiem poważnie myślał, że kiedy się stoi po właściwej stronie, prawda powinna wystarczyć. A przez pojęcie prawdy rozumiał fakty, liczby, wydarzenia i związki przyczynowo-skutkowe. Wtedy o tym nie dyskutowaliśmy, ale dla mnie było oczywiste, że tego rodzaju prawda może być tylko materiałem. Trzeba ją osłuchać i sprawdzić, czy może służyć wyższej prawdzie, którą chcieliśmy realizować. Przecież my wtedy pisaliśmy historię. Ale historia nie jest równoznaczna z tym, co się zdarzyło. A żeby w ogóle nadawała się do opowiadania, wymaga selekcji, interpretacji, oceny. To, czego nie da się opowiedzieć, nie jest historią, właściwie jakby się nie stało.

W każdym razie Lubowski działał w polityce, choć politykiem nie był. Z tego powodu prędzej czy później i tak źle by na tym wyszedł, wydaje mi się, że raczej prędzej niż później. Nie zamierzam wcale umniejszać jego zasług. Wyciągnął z więzienia znaczną liczbę towarzyszy – łącznie ze mną – potrafił przekonywać, był dobrym organizatorem, jako zastępca szefa kampanii wyborczej zebrał dla nas dużo pieniędzy, dzięki niemu Namibia zyskała uwagę i sympatię za granicą. Nawet swoją śmiercią przysłużył się naszej sprawie, przyznaję to bez ogródek. I tego się nie wstydzę. I choć brutalne pozbawienie życia jest czymś niewybaczalnym, czasem myślę, że Anton Lubowski zginął w odpowiednim momencie. Może takie było jego przeznaczenie, miał zostać ostatnim znanym męczennikiem, który przelał

*krew za niepodległość kraju.*

## Granice

Robinson krzyczał, że ma dużo czasu. Więcej niż trzeba. W tym czasie, który on ma do dyspozycji, tamten mógłby teoretycznie na czworakach zachołgać się do Angoli i z powrotem. Ale tylko teoretycznie, bo jeśli wreszcie nie zacznie gadać, nigdzie nie pójdzie ani się nie poczołga, ani nic z tych rzeczy. Czy zrozumiał?

Podejrzany niewątpliwie to usłyszał, bo Robinson wydzierał się tak głośno, że każde jego słowo wyraźnie docierało nawet na korytarz. Clemencia otworzyła drzwi do sali przesłuchań. Robinson stał nachylony do przodu. Kostkami zaciśniętych dłoni opierał się o blat biurka. Angolczyk zjechał jeszcze niżej na swoim plastikowym krześle. Wyglądał, jakby za chwilę miał w nim zniknąć.

Clemencia rzuciła Robinsonowi ostrzegawcze spojrzenie. Ten podniósł pięści z biurka, rozłożył je, odsłonił wnętrza dłoni w geście mającym zapewne oznaczać: To nie moja wina! Uśmiechnął się, usiadł, założył nogę na nogę i powiedział zupełnie normalnym tonem:

– Mam wystarczająco dużo czasu.

Clemencia zamknęła drzwi i poszła do swojego pokoju. Na korytarzu, oparty o przeciwległą ścianę, stał Claus Tiedtke. Powitał ją uśmiechem i z lekkim zażenowaniem wyjaśnił, że próbował się do niej dodzwonić, ale jej komórka jest wyłączona.

– Jak tam koncert w Blitzkriegu? – spytała Clemencia.

Tiedtke wzruszył ramionami.

– Samemu nie chciało mi się iść.

Clemencia była pewna, że *miki* Selmę bardzo by to ucieszyło. Należy uważać na facetów, którzy sami szlajają się po knajpach. To budujące, że Claus Tiedtke był inny, nawet jeśli wcale nie musiał się aż tak różnić. W końcu wśród mężczyzn z plemienia Damara<sup>24</sup> także było wielu przyzwoitych. Ale proszę bardzo, skoro Clemencia wybrała tego, to wszyscy oczywiście będą szanować jej decyzję. Szkoda tylko, że biedny Claus Tiedtke nie miał pojęcia, że został wybrany na jej przyszłego męża i *miki* Selma ze stadkiem chórzystek pewnie właśnie poszukuje dla niego odpowiedniego świadka.

Clemencia musiała się uśmiechnąć do tej myśli. Przynajmniej tego się domyślała po zadowolonej minie Clausa Tiedtkego. Nie chcąc jednak, by sądził, że ten uśmiech był skierowany do niego, otworzyła drzwi do swojego biura i zapytała przez ramię, czy on właściwie nie ma nic do roboty w swojej redakcji.

– Sprawy nadzwyczajnej wagi mają pierwszeństwo – powiedział.

Najwyżej gazeta opublikuje mniej aktualnych tekstów, a miejsce na szpaltach wypełni się wielkoformatowymi zdjęciami deszczu, których czytelnicy nadsyłają setki. Ważne jest, żeby przywiązać czytelnika. A jeśli akurat – tak jak teraz – nie padało, nieźle sprawdzały się także zdjęcia



z urlopu w Swakopmund. Na przykład jutro Clemencia będzie mogła oglądać dwa fantastyczne zachody słońca, jeden nad Jetty, a drugi z dziećmi na plaży, do tego...

– A jakie to nadzwyczajne sprawy sprowadzają pana do mnie? – zapytała Clemencia.

– Przede wszystkim oczywiście niezatarte wrażenie, jakie pani na mnie zrobiła...

– Które oczywiście ma pierwszeństwo przed informowaniem opinii publicznej – uzupełniła Clemencia.

– Niewątpliwie. – Tiedtke wyszczerzył się w uśmiechu. – Ale mówiąc serio, chodzi o Donalda Achesona.

– To już wyjaśniliśmy – powiedziała Clemencia.

Nie wiedziała, co w końcu wynikło z telefonów Tjikundu. Po prostu za dużo się ostatnio działo.

– Odnalazłem świadka, który twierdzi, że widział Achesona – oświadczył Tiedtke.

– Tak? – Clemencia gestem zaprosiła go do środka.

Tiedtke położył jej rękę na plecach i delikatnie popchnął przed sobą przez drzwi. *Miki Matilda* na pewno spojrzałaby na to przychylnie. Mężczyzna musi być mężczyzną, a nie mięczakiem. Musi umieć zmierzać do celu. Z drugiej strony, powiedziałyby przypuszczalnie *miki Matilda*, to, czy facet umie odpowiednio podejść do kobiety, okazuje się nie na progu biura, tylko zupełnie gdzie indziej. Clemencia znów musiała się uśmiechnąć.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, kiedy Claus Tiedtke opowiedział całą historię. Długo i wyczerpująco wypytywał świadka. W 1990 roku ten mężczyzna spędził kilka tygodni w areszcie śledczym razem z Achesonem,

co wprawdzie nie wzmocniało jego wiarygodności, ale przynajmniej wyjaśniało, jakim cudem po prawie dwudziestu latach mógł rzeczywiście rozpoznać Achesona.

– Ale jak? – zapytała Clemencia.

– On się bał Achesona, w celi nie spuszczał z niego oka dzień i noc. Ruchy Achesona, jego chód, mimika, wszystko to mocno utrwaliło mu się w pamięci.

– Proszę mówić dalej – powiedziała Clemencia.

Świadek pamiętał też dokładną datę swojego spotkania z Achesonem, więc Tiedtke zaraz pojechał do Rosenthal Guns. Przekonał młodego szefa – swojego dawnego kolegę szkolnego z Prywatnej Szkoły Niemieckiej – żeby pozwolił mu zajrzeć do list, i zapisał, kto tamtego dnia kupował amunicję. Wszystkie nazwiska porównał z centralną policyjną listą oficjalnie zarejestrowanych pozwoleń na broń.

– Jak się to panu udało?

– Dziennikarze zwykle mają różne kontakty. Kiedyś przy pisaniu reportażu poznałem młodą damę, która tam pracuje, potem jeszcze spotkaliśmy się przypadkiem kilka razy.

Przypuszczalnie dlatego, że pozostawiła niezatarte wrażenie. Clemencia zaczęła:

– W każdym razie...

– W każdym razie na mojej liście zostało tylko jedno nazwisko, na które nie wystawiono żadnego pozwolenia na broń. Niejaki James P. Doyle.

Clemencia zrozumiała. Przy kupowaniu naboju w Namibii trzeba wylegitymować się pozwoleniem na broń. Dokument taki wystawiano, pobierając odciski palców. Wszystkich dziesięciu. A że odciski Achesona

od czasu jego aresztowania figurują w policyjnych rejestrach, musiał się liczyć z tym, że jego nowa tożsamość zostanie zdemaskowana. Posługiwał się więc sfałszowanym pozwoleniem, którego nie mógł oficjalnie zarejestrować.

Clemencia mogła sama na to wpaść. Przyjrzała się uważnie Tiedtkemu.

– Powinien pan pracować w policji kryminalnej.

– Z powodu uroczych koleżanek?

Clemencia odparła:

– Byłabym wdzięczna, gdyby nie opublikował pan tych informacji w jutrzejszym wydaniu „Allgemeine Zeitung”.

– Tylko zachody słońca! – zapewnił ją z całą mocą Tiedtke. – Nie wydrukuję ani słowa, które nie będzie przez panią autoryzowane.

– W porządku. On nazywał się James P. Doyle, tak?

Tiedtke skinął bez słowa, ale Clemencia miała wrażenie, że jeszcze nie powiedział wszystkiego. Jego policzki płonęły, jak podejrzewała, nie tylko z powodu jej obecności. Może to myśliwska gorączka?

– Wie pan oczywiście, gdzie zaszył się Acheson?

– Na farmie Rooisand na Kalahari. Między Gobabis i Leonardville. Niecałe trzy godziny drogi stąd.

Czy Maree przypadkiem nie chciał zabrać swojego kumpla van Zyla na polowanie na Kalahari?

– Tam w każdym razie mieszka James P. Doyle – uściślił Tiedtke. – Czy on rzeczywiście jest Achesonem, dowiemy się, kiedy będziemy mieli jego odciski palców.

– My? – zapytała Clemencia.

– Nigdy nie obiecywałem, że wycofam się z badania tej sprawy. Wolałbym

wprawdzie, żeby pani przy tym była, ale w razie potrzeby pojedę też sam.

– Nie ma mowy. Zostanie pan tutaj! – zaprotestowała Clemencia.

Acheson, „Cleaner”! Najbardziej osławiony płatny morderca tajnych służb apartheidu. Mężczyzna, który niemal na pewno zastrzelił Antona Lubowskiego, nawet jeśli wtedy nie zostało to udowodnione. Człowiek, który od osiemnastu lat żyje w ukryciu. Który dobrze znał Maree, van Zyla, Burgera i Barnarda. Który, o ile to nie on zabił tamtą czwórkę, przypuszczalnie jest kolejny na liście mordercy. I który – do wszystkich diabłów – przynajmniej powinien mieć pojęcie, o co właściwie tu chodzi.

– To może być materiał na reportaż mojego życia – powiedział Tiedtke.

– To zbyt niebezpieczne. Poza tym wbrew wszelkim regułom służbowym.

– *Miss Garises...*

– I niech się pan nie waży jechać tam na własną rękę!

– *Miss Garises*, gdyby nie ja, Acheson mógłby tam na pustyni spokojnie dożyć setki, zanim pani... – Tiedtke urwał.

Clemencia musiała przyznać, że ma wobec niego pewien dług wdzięczności, ale to nie znaczyło, że mógł plątać się jej pod nogami przy takiej akcji.

– Moglibyśmy kiedyś wybrać się razem do Blitzkriegu – zaproponowała.

Wyraz jego twarzy wskazywał, że nie taką odpowiedź chciał usłyszeć.

– To naprawdę niemożliwe – powtórzyła Clemencia i lekko wypchnęła Tiedtkego za drzwi.

Na chwilę stanęła przy oknie, starając się spokojnie zebrać myśli. Teraz nie może popełnić błędu! Musi zmobilizować swoich ludzi, a przede wszystkim poinformować Oshivelę. To była za duża sprawa, żeby działać na własną rękę. Jeśli mieli okazję ująć Achesona, szef chyba nie mógłby

tego utrudniać. A może jednak? W przypadku spraw, które choć w luźny sposób wiązały się z Lubowskim, Clemencia czuła, że nie może już ufać przełożonemu.

Co będzie, jeśli on nie da się przekonać, że rzeczywiście chodzi o Achesona? Jeśli zgodzi się najwyżej na wysłanie na farmę dwóch wiejskich policjantów z Gobabis? Oni przypuszczalnie, a raczej na pewno gruntownie spieszyliby sprawę, nie rozpoznałiby podrobionych dokumentów Jamesa P. Doyle'a, stawialiby niewłaściwe pytania, zdjęliby tylko odciski palców, o ile w ogóle by ich zażądali, i zadowoleni wróciliby do siebie. Zanim jeszcze dotarliby na posterunek w Gobabis, Acheson uciekłby do Botswany.

Nie, Clemencia musiała sama zająć się tym człowiekiem, ująć go i przywieźć do Windhuku. Nie chciała też wtajemniczać swoich ludzi, inaczej mogłaby równie dobrze iść i złożyć raport Oshiveli. Jediną osobą, która umiała trzymać język za zębami, był Angula. Wyszła do pokoju dwoje drzwi dalej. Angula tymczasem wyniósł część akt sprawy Lubowskiego na korytarz. Nie dlatego, żeby były nieważne, tylko w tej chwili miały mniejsze znaczenie. W każdym razie potrzebował w pokoju więcej miejsca, żeby ogarnąć całość sprawy.

A to najwyraźniej stawało się coraz trudniejsze. W pokoju jednak nie ubyło papierów. Przeciwnie, na biurku piętrzyły się stosy nowych książek i akt, których opisy zdradzały, że pochodzą z Archiwum Narodowego. Chaos panujący na podłodze nadal robił wielkie wrażenie, a Angula najwyraźniej uznał, że konieczne jest jeszcze wykorzystanie innego wymiaru przestrzeni. Powbijał w ściany gwoździe i poprzecigał między nimi sznurek, na którym wisały jedna przy drugiej kartki, po części pochodzące

z akt, po części notatki zapisane kulfoniastym pismem Anguli. Pomiedzy nimi wirowaly drobinki kurzu, który w połączeniu z suchym, gorącym powietrzem drażnił gardło i powodował kaszel. I choć nic nie zapowiadało, żeby kiedykolwiek miał dojść do jakichś wniosków, Angula twierdził, że świetnie mu idzie. Gdyby tylko ciągle mu nie przeszkadzano...

Clemencia przypomniła mu krótko, kto tu jest przełożonym. Poza tym pilnie potrzebowała jego pomocy. Angula z obojętną miną wysłuchał jej krótkiego wyjaśnienia na temat Achesona. Potem skinął głową i ruszył za Clemencią, choć przedtem jeszcze wsunął sobie pod pachę kilka wybranych segregatorów z dokumentami. Na dole Clemencia wypełniła formularz, po czym został jej przydzielony stary, dychawiczny citi golf, który miał może pięćdziesiąt procent szans pokonać trasę do Gobabis.

Clemencia posadziła za kierownicą Angulę, żeby na te trzy godziny nie zagrzebał się w swoich aktach. Nie zaprotestował, choć przez pierwszą godzinę jazdy był wyraźnie niezadowolony. Dopiero kiedy dojechali do Witvlei, a Clemencia na głos zaczęła się zastanawiać, dlaczego Acheson miałby pozabijać swoich dawnych kolegów, Angula przerwał milczenie. To jest z gruntu fałszywe założenie. Acheson nie ma nic wspólnego z Lubowskim i zamachem, on był tylko kozłem ofiarnym i gdyby wtedy prokuratura zniecka nie postawiła się okoniem, wszystko świetnie by się udało.

– Daj spokój z tymi bredniami! – upomniała go Clemencia.

– Ależ to jest jasne jak słońce, szefowo, brakuje mi tylko paru dowodów.

– Chyba nie twierdzisz poważnie, że sama SWAPO zlikwidowała Lubowskiego? – zapytała Clemencia.

– To jeszcze nie jest dopracowane!

– I nigdy nie będzie – ucięła Clemencia.

Może jednak powinna jechać bez Anguli. Nie był jej potrzebny facet zafiksowany na absurdalnych teoriach, który o niczym innym nie potrafił myśleć.

– Ale dlaczego nie? – zapytał Angula.

– Bo Lubowski był lojalny. Bo walczył o niepodległość. Bo SWAPO i walka o niepodległość to jedno. I wreszcie, bo Lubowskiego zamordowało CCB.

Angula zacisnął dłonie na kierownicy. Clemencia widziała z boku, jak walczy ze sobą. W końcu wybuchnął zniechęca:

– Ja ich jeszcze dopadnę! Tym razem ich dopadnę! A Oshivelo będzie pierwszy!

Teraz już nic nie mogło go powstrzymać. Angula wyrzucał z siebie zdania, jakby zbierały się w nim od wieków. Ani jedno z nich nie odnosiło się do zabójcy z kałasznikowem. Wyglądało na to, że Angula przez ostatnie dni zajmował się zupełnie niezwiązanymi ze śledztwem sprawami z przeszłości. Potrafił precyzyjnie co do dnia zrekonstruować rozwój sytuacji politycznej w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, na podstawie różnych źródeł odtworzył wewnętrzną strukturę SWAPO i prowadził szczegółowe rejestry osób.

Oshivelo na przykład nie był wcale bojownikiem stawiającym czoła wrogowi w walce. Przynajmniej od 1986 roku pracował w wewnętrznym wywiadzie SWAPO, co, nazywając rzecz po imieniu, oznaczało szpiegowanie swoich towarzyszy. Oczywiście nie był jedyny, we władzach partii panował wręcz maniackalny lęk przed zdrajcami. Jeśli tylko Angula będzie miał trochę czasu, spróbuje policzyć, ilu towarzyszy zaginęło bez śladu w obozach internowania SWAPO. Nie zdziwiłby się wcale, gdyby ta

liczba była zbliżona do liczby poległych w walce. To mogło naprawdę pójść szybko! Jedno krytyczne słowo i już się było podejrzanym, a kto był podejrzanym, stanowił zagrożenie, a kto stanowił zagrożenie, musiał zostać wyeliminowany.

To dotyczyło ludzi, których znało się od małego, z wioski gdzieś w Ovambolandzie, których rodziny cierpiały od ucisku Afrykanerów, a więc oni niemal automatycznie wchodzili w struktury SWAPO, tym bardziej więc musiało się odnosić do kogoś takiego jak Anton Lubowski, pochodzący z innego świata, kto był jakby dezercerem ze strony wroga! Oczywiście było, że ktoś taki będzie sprawdzany podwójnie, jeśli nie potrójnie. I przy takiej okazji ktoś mógłby nie zauważyć podejrzanym wpłat na konto Lubowskiego? Trzy raty pomiędzy lutym i sierpniem 1989 roku, w sumie sto tysięcy randów, pochodzących od jakiegoś słupa z południowoafrykańskiej służby bezpieczeństwa. Komisja Harmsa<sup>25</sup> odkryła je później bez żadnego problemu. Istnieją twarde dowody, że niektórzy przywódcy SWAPO wiedzieli o tych wpłatach. Nie jest też przypadkiem, że w dzień swojej śmierci Anton Lubowski spędził popołudnie na załatwianiu spraw finansowych. Potwierdził to jego księgowy.

Niektórzy mogli zginąć za coś o wiele bardziej błahego, ale Lubowski był postacią prominentną. Nie można było cichaczem zakopać go w jakiejś norze w Angoli, tu trzeba było wymyślić coś lepszego. A najlepsze byłoby oczywiście pozbycie się Lubowskiego bez ujawnienia faktu, że był zdrajcą. To wywołałoby niepokoje w samej partii i nadwerężyłoby jej wizerunek na zewnątrz. Na dwa miesiące przed decydującymi wyborami nikt nie chciał tak ryzykować. A więc potrzebny był ktoś, komu można by przypisać to



morderstwo, a Acheson świetnie się do tego nadawał.

Angula jeszcze nie skończył. Zaczerpnął tylko powietrza i mówił dalej:

– Ale wróćmy do pana Ndangi Oshiveli. Lubowski reprezentował go w sądzie, zaprzyjaźnił się z nim, bywał u niego w domu. Czyż nie nasuwało się samo, żeby to Oshivelo zajął się Lubowskim? Ale to nie wszystko. Komu kierownictwo SWAPO zleciłoby morderstwo, starając się ograniczyć do minimum liczbę osób wtajemniczonych w zdradę Lubowskiego? Osobie, która i tak już o wszystkim wiedziała. Komuś, kto znał zwyczaje ofiary. Komuś, kto mógł się do niej zbliżyć, nie budząc podejrzeń. Właśnie komuś takiemu jak Oshivelo!

Oskarżanie szefa wydziału kryminalnego o morderstwo to była mocna rzecz. Nie, to było wręcz coś niesłychanego. Z trudem zachowując opanowanie, Clemencia zapytała:

– Czy masz na to jakiegokolwiek dowody, Angula?

– Jestem pewien, że gdybym tylko dotarł do ściśle tajnych akt...

– A więc nie?

– Dlaczego Oshivelo dostał tak wysoką funkcję w policji, gdy tylko SWAPO przejęła stery? Bo zasłużył na nagrodę. Bo ktoś, kto ma dużo do stracenia, lepiej dochowa tajemnicy.

– To nie wystarczy, Angula, to o wiele za mało.

– A dlaczego, szefowo, on teraz za wszelką cenę próbuje nas odciągnąć od tropu Lubowskiego?

Clemencia sama wiele razy się nad tym zastanawiała. Ale nie można było przypisywać Oshiveli zbrodni tylko z tego powodu. Zresztą to i tak nie miało sensu.

– Wiesz, Angula, jaki popełniasz błąd? Zapominasz, czym my się tak

naprawdę zajmujemy. A mianowicie zabójstwem czterech byłych agentów CCB, którzy zgodnie z twoją teorią są niewinni. A mimo to w ostatnich dniach ktoś wykonał na nich egzekucję.

Angula skinął głową.

– Zawodowy morderca, który był doskonale zorientowany. Tak, jakby dostał informacje od kogoś, kto od dawna obserwował van Zyla i jego kompanów.

– Dobrze, Angula – powiedziała Clemencia. – Wyrzucisz teraz z siebie wszystko, co wymyśliłeś i poukładałeś. Potem razem się z tego pośmiejemy i puścimy sprawę w niepamięć!

– Mniej więcej dwa lata temu z naszego magazynu zginęło dużo zarekwirowanej broni. Przypuszczalnie było to włamanie, które oczywiście nie zostało nigdy wyjaśnione. Przyjrzałem się liście skradzionych przedmiotów. Był wśród nich kałasznikow...

– Czyżbyś sugerował, że Oshivelo...?

– Nie mówię, że tym razem strzelał osobiście – odparł Angula.

Nie, to było coś więcej niż obsesja, to było po prostu chore! Clemencia nie chciała już dłużej słuchać tych bredni.

– Maree przyleciał specjalnie po to, żeby się spotkać z van Zylem. I wszystko wskazuje na to, że chcieli razem odwiedzić Achesona. Oni coś planowali. Może wreszcie dowiedzieli się, kto wtedy zrobił ich w zabójstwo Lubowskiego i chcieli...

– Dość! – syknęła Clemencia. – Wiesz, Angula, że cię lubię, ale jeśli jeszcze raz zasugerujesz coś podobnego, doniosę na ciebie do Oshiveli, przysięgam.

Angula nic już nie powiedział. Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się

w szybę przed sobą. Droga B6 biegła prosto jak od sznurka przez płaski krajobraz. Po lewej i prawej stronie nagie krzaki jakby przysiadły na piasku. Aż po horyzont nie było widać nic innego.

– Zapędziłeś się – powiedziała Clemencia bardziej pojednawczym tonem. – To się może zdarzyć, ale nie pozwolę, żebyś dalej gnał w przepaść.

Angula zmienił bieg na niższy, z zaciętą miną dodał gazu i wyprzedził ciężarówkę z Botswany.

– Angula? – zapytała Clemencia.

– Jestem tylko zwykłym policjantem – odpowiedział.

Potem milczał do samego Gobabis. W tamtejszym posterunku Clemencia się przedstawiła, wprowadziła lokalnych funkcjonariuszy w sytuację, opisała nadciągające niebezpieczeństwo i poprosiła o wsparcie. Z powodu najwyższego stopnia tajności akcji nie mogła uprzedzić o swoim przybyciu. Komendant był pod wrażeniem, oddelegował do jej dyspozycji ośmiu uzbrojonych ludzi w dwóch samochodach.

Zachowując konieczny dystans, żeby pył z drogi nie pozbawił ich widoczności, jechali szosą na południe, wzdłuż koryta Czarnego Nossobu. Przez czterdzieści kilometrów droga biegła ponad doliną, skrajem płaskiej, niemal pozbawionej roślinności wyżyny. Pojedyncze domy farmerskie chowały się pod gęsto rosnącymi cyprysami i palmami. Tropikalne wyspy w morzu piasku i kamieni. Daleko na wschodzie kilka białych chmur wisiało tak nisko, że zdawały się niemal leżeć na horyzoncie. Można było sobie łatwo wyobrazić, że raczej zginą z pragnienia w drodze nad Kalahari, niż że przyniosą deszcz. A jednak były to pierwsze chmury od kilku miesięcy, będzie ich jeszcze więcej, przyjdą szare, gęste, ciężkie, i kiedyś spadną z nich pierwsze krople, pojedyncze krople, które rozprysną się

w pyle, a wkrótce potem śluzy w niebie nagle się otworzą i spadnie deszcz tak obfity, jakby chciał zatopić cały świat. Kilka dni później może także korytem Nossobu będzie płynęła woda. Teraz rzeka była oczywiście wyschnięta i tylko po rzędach drzew można było rozpoznać jej kręty bieg. Za Hoaseb trasa prowadziła poniżej coraz wyraźniej zaznaczającej się krawędzi skarpy. Dolina zwężała się coraz bardziej, roślinność stawała się bujniejsza. Ciągłe było widać oznaki suszy, ale sam fakt, że wysokie drzewa zdołały przetrwać tu dziesiątki lat, czynił z doliny niemal idyllę.

– Wszystkie te drzewa to jadaloszyny. Zaraza przywleczone nie wiadomo skąd – mruknął Angula.

Clemencia nie wiedziała, że on zna się na drzewach. Nie powiedziała nic, tylko dalej wyglądała przez okno. Co jakiś czas mijali wychudzone bydło leżące w cieniu. Guziec z zadartym do góry ogonem przebiegł przez drogę, a raz dźwięk silnika wystraszył niewielkie stado springboków. Uciekły kilkoma długimi susami, rozpierzchły się i znów się zatrzymały, wszystkie z głowami odwróconymi w stronę auta. Co by było, gdyby z drugiej strony groziło im prawdziwe niebezpieczeństwo?

Odnogę wiodącą do Rooisand oznaczało drewniane rusztowanie, na którym wisiała tablica. „Farma myśliwska i handel trofeami” – głosił umieszczony na niej napis, do tego mniejszymi literami nazwisko właściciela: „James P. Doyle”. W przewyższającym człowieka ogrodzeniu dla ochrony przed zwierzętami postawiono bramę z metalowych krat, była zabezpieczona łańcuchem, ale nie zamknięta. Droga prowadziła szerokim łukiem do góry. Powoli ukazywały się zabudowania farmy. Leżały na wysuniętym nieco grzbiecie skalnym ponad skarpy i korytem rzeki. Z tamtego miejsca można było obserwować dolinę Nossobu i drogę w obu

kierunkach.

Niewiele było drzew, które mogłyby dać trochę cienia. Górował nad nimi stojący nieco na uboczu wysoki zbiornik wody. Podłużny główny budynek był najwyraźniej kilka razy rozbudowywany, bez specjalnej troski o zachowanie jednolitego stylu. Zabudowania gospodarcze, postawione na planie litery L, tworzyły otwarty dziedziniec. Wszystkie bramy były zamknięte, więc trudno było rozpoznać, czy mieściły się tam garaże, warsztaty, chłodnie, czy też magazyny. Angula zatrzymał się przed dziedzińcem.

Clemencia nie sądziła, by trzy zbliżające się policyjne samochody mogły pozostać niezauważone. Wszystko wskazywało raczej na to, że świadomie nie zwracano na nie uwagi. Nigdzie nie było widać białego człowieka, tylko kilkunastu czarnoskórych robotników wznosiło wokół budynków zasieki z drutu kolczastego. Ściśle mówiąc, pracowali w dwóch grupach, stawiając ogrodzenie z dwu rzędów drutu, biegnących równolegle w odległości kilku metrów od siebie. Gotowe były mniej więcej dwie trzecie pierścienia zabezpieczeń wokół domu, tylko na skraju skarpy nadrzecznej brakowało jeszcze kawałka. Wielkie zwoje drutu leżały przygotowane na platformie pick-upa, najwyraźniej przeznaczone do zabezpieczenia twierdzy od frontu.

– Zupełnie jak w latach osiemdziesiątych – mruknął Angula.

Clemencia jako dziecko nigdy nie wyjeżdżała z Katutury, ale z opowieści nieżyjącego już dziadka, który wtedy pracował na farmie w pobliżu Tsumeb, wiedziała, co Angula ma na myśli. W kulminacyjnym okresie wojny o niepodległość biali farmerzy ze strachu przed bojówkami SWAPO i różnymi bandytami przekształcili swoje domy w prawdziwe

warownie. Podwójne zasieki przeciw terrorystom były czymś zwyczajnym. Na wąskim pasie przestrzeni pomiędzy jednym i drugim ogrodzeniem wypuszczano w nocy psy. Oczywiście podczas napadu zwierzęta łatwo było wystrzelać, ale przynajmniej dzięki temu mieszkańcy farmy nie byli zaskoczeni we śnie.

Clemencia tylko raz widziała kawałek takiego ogrodzenia, przerobionego zresztą na wybieg dla kur. Reszta zabezpieczeń antyterrorystycznych została szybko rozebrana w 1990 roku. Nikt nie lubi mieszkać w więzieniu o zaostrzonym rygorze, nikt nie chciał żyć wspomnieniami o brudnej wojnie! Najwyraźniej jednak niejaki James P. Doyle uważał, że to nadal jest potrzebne. Ale to nie nostalgia była tego powodem.

Clemencia wysiadła z samochodu. Ile rzeczy potrafi zdradzić takie ogrodzenie! Odnosiła wręcz wrażenie, jakby do niej przemawiało. Prostymi zdaniami oznajmującymi, w których nie było miejsca na „być może” ani „zakładając, że”, ani „gdyby był”, czy też „mógłby”. Zdania te brzmiały:

Tutaj mieszka Donald Acheson.

On nie jest zabójcą.

Boi się o swoje życie.

Wie, że zabójca tu przyjdzie.

Powrót do Namibii przez Botswanę niósł pewne ryzyko. Musiałby pokonać dwa przejścia graniczne zamiast jednego, i to z rozmontowanym AK-47 w torbie. W przeciwnym razie droga do Gobabis byłaby dwa razy dłuższa. Także i to było ryzykowne. Im dłużej był w drodze, tym więcej rzeczy mogło się nie udać. Poza tym nie miał nic przeciwko temu, żeby całą

sprawę zakończyć jak najszybciej, choć wiedział, że potem nie będzie już nic. Czuł się zmęczony. Denerwowały go ataki kaszlu. Nie ustawały i czasem były tak gwałtowne, że miał wrażenie, jakby płuca podchodziły mu do gardła. To na pewno przez ten cholerny południowoafrykański klimat.

Decyzja o wyborze trasy przez Botswanę zapadła w barze szybkiej obsługi Hungry Lion w pobliżu dworca autobusowego w Johannesburgu. Z trudem przełknął połowę panierowanych udek kurczaka, ale dobrze, że się do tego zmusił. Inaczej nie słyszałby rozmowy mężczyzn przy sąsiednim stoliku. Jeden z nich opowiadał o trasie do Windhuku i żalił się, że w Botswanie bezczelnie zdzierają skórę za najdrobniejsze przekroczenie prędkości. Chwilę potem okazało się, że ten kierowca wiezie akurat ładunek mebli do filii House&Home w Namibii.

Zamknięta paka ciężarówki, żadnych ludzi, z którymi trzeba rozmawiać i na których trzeba uważać, a może nawet skórzana sofa, na której mógłby pospać! Prawie jak szczęśliwy traf, ale w jego przypadku nie było ani szczęścia, ani trafu. Był raczej los, ponieważ los po prostu się spełniał. Nie było w tym nic niezwykłego, nie potrzeba żadnych wyjaśnień, nie miały też sensu spekulacje, czy coś należy oceniać jako szczęście, czy nieszczęście. Następowало to, co miało się stać. Koniec, kropka. A stało się to, że usłyszał kierowcę tej ciężarówki przy sąsiednim stoliku.

Poszedł potem za nim i zaczął rozmowę. Za przejazd zaproponował mu dwa tysiące randów, kolejny tysiąc za to, że nie będzie zadawał pytań, i jeszcze dwa tysiące, żeby zapomniał, że w ogóle przewoził kogoś przez dwie granice. Mężczyzna skinął i wyciągnął do niego rękę. Miał na imię Morgan. Tak jak Tsvangirai, nowy premier Zimbabwe.

– Piękne imię – odparł i potrząsnął dłonią kierowcy.

Miał ze sobą latarkę i kanister z wodą. Wsiadł do ciężarówki, kiedy auto opuściło magazyn. Na pierwszym parkingu zatrzymali się i otworzyli drzwi przyczepy. Kartony były spiętrzone tak, że pod dachem było pół metra wolnego. Meble ogrodowe, parasole, huśtawki, wentylatory. Wspiął się na górę i przecisnął w głąb paki. Skórzanej sofy nie znalazł, ale na samym tyle leżała sterta zapakowanych materacy, na których mógł się całkiem wygodnie wyciągnąć. Potem Morgan zaryglował drzwi i od tej chwili panowała noc.

Na początku zapalił latarkę po to, żeby złożyć kałasznikowa. Potem tylko wtedy, kiedy chciało mu się pić. Nie było to łatwe, bo nie mógł usiąść prosto, żeby nie uderzyć głową o blaszany sufit. Ale musiał pić, jeśli nie chciał się w tym upale odwodnić.

Poza tym czuł się dobrze. Podobało mu się siedzenie w ciemnościach. One sprawiały, że wszystko było obojętne. Czy się otworzyło oczy, czy zamknęło; czy się spało, czy czuwało; żyło czy zmarło, prawie nie stanowiło różnicy. Zastanawiał się, dlaczego ludzie tak bardzo boją się śmierci. A jeszcze bardziej chyba wizji, że mogą zostać pochowani żywcem. Nie znajdował odpowiedzi. Nie mógł sobie nawet przypomnieć, czy przedtem sam też odczuwał taki strach.

Kiedy nie dręczyły go ataki kaszlu, spał albo drzemał w zawieszeniu między jawą i snem, a jego myśli zwalniały i zastygały w dziwne twory, które nic mu nie mówiły ani nie miały dla niego znaczenia. Nawet nie wiedział, kiedy przejechali przez granicę między RPA i Botswaną. Obudził się dopiero, kiedy ktoś zabębnił pięściami w ścianę paki i głos Morgana spytał, czy nie chciałby rozprostować nóg. Znajdują się za Sekomą,



a dookoła tylko pustynia i solanki. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Odpowiedział tylko:

– Nie, nie trzeba.

A nie napiłby się piwa? Nie chce się odlać?

Tym razem w ogóle się nie odezwał i kilka minut później znów ruszyli. Spał, kaszłał, pił ciepłą wodę. Po pewnym czasie ciężarówka znów się zatrzymała. Silnik ucichł, Morgan otworzył drzwi przyczepy. Musi się przespać kilka godzin. Zresztą przejście graniczne z Namibią i tak otwierają dopiero o siódmej rano.

Na to nic nie mógł poradzić. Zostawił kałasznikowa i wyszedł po kartonach na zewnątrz. W porównaniu z czernią panującą w przyczepie, noc była jasna. Morgan pił piwo z puszki i skarżył się, że prawie nie ma kursów do Zimbabwe, bo tam wszystko padło i nikt już nie kupuje mebli. Cholerna szkoda, bo za garść dolarów można tam mieć najpiękniejsze kobiety. Przeżył już takie historie, że nikt by mu nie uwierzył. Na przykład raz w Bulawayo...

– Nie chcę tego słuchać – przerwał kierowcy.

– Dobra, chłopie, w porządku – powiedział Morgan.

– W ogóle nie chcę nic słyszeć – dodał, a kiedy Morgan po drugim piwie wreszcie poszedł do kabiny spać, ruszył kilkaset metrów w głąb pustyni. Gwiazdy sięgały tuż nad horyzont. Panowała martwa cisza. Nie było słychać nawet odgłosów aktywnych nocą zwierząt. Usiadł na ziemi i czekał, czy nie przejdzie tędy lew kalaharyjski. Z nim może porozmawiałby chwilę.

– Jak tam interesy? – zapytałby go.

– Tak sobie. A u ciebie? – odparłby lew.

- Wszystko jak należy.
- W takim razie udanych łowów!
- Wzajemnie!

Znów uporczywy kaszel, musiał się aż zgiąć w pół. Potem było lepiej. W pewnej chwili zrobiło mu się zimno. Wyciągnął się na ziemi i przysypał piaskiem nogi i tułów. Na wschodzie zaczynało jaśnieć i gwiazdy już przybladły, a tu nadal nie pojawił się żaden lew. Nie, to nie! Wrócił do ciężarówki i obudził Morgana.

– Już czas – powiedział i znów dał się zamknąć w przyczepie. Jechali kilka godzin, powoli na powrót robiło się gorąco. Potem samochód się zatrzymał, stał dwadzieścia minut, podjechał powoli sto metrów, znów stanął. To musiało być Buitepos, przejście graniczne z Namibią.

Oślepiające światło słoneczne wdarło się do środka, kiedy drzwi przyczepy się otworzyły. Przywarł płasko do kartonów i po omacku sięgnął po kałasznikowa. Głos Morgana powiedział:

– Wszystko to meble dla Windhuku, *sir*.

Inny głos:

- To trzeba sprawdzić.
- Jeśli pan sobie życzy – znów Morgan.
- To tutaj! Wyładować!
- Nie mogę – stwierdził Morgan. – Mam bóle krzyża.

Potem słyhać było kroki, szuranie po kartonach, szelest papieru.

– No dobra – powiedział obcy głos – meble dla Windhuku.

Drzwi znów zostały zaryglowane i wkrótce ruszyli w drogę. Do Gobabis zostało jeszcze półtorej godziny. Umówili się, że Morgan wysadzi go tuż przed miastem. Piechotą pójdzie dalej i zobaczy, czy da się gdzieś ukraść

jakieś auto. Miał dość czasu. Przed zapadnięciem nocy i tak nie mógł nic zrobić.

Ciężarówka znów się zatrzymała. Czyżby dojechali do Gobabis? Nawet nie złożył kałasznikowa. Zapalił latarkę i umocował ją między dwoma kartonami, żeby mieć wolne obie ręce. Ledwie zaczął odkręcać lufę karabinu, kiedy na zewnątrz jakiś głos zawołał:

– Prawo jazdy!

Kontrola drogowa. Znów przykręcił lufę. Policjant musiał stać tuż przy kabinie. A Morgan chyba jeszcze siedział za kółkiem, bo jego głos był trochę przytłumiony.

– Czy popełniłem jakieś wykroczenie, *sir*?

– Wie pan, z jaką prędkością wolno tu jechać?

– Przecież ja tylko...

– Sto siedem kilometrów na godzinę, tyle miał pan na liczniku. Dozwolone jest osiemdziesiąt.

– Nie widziałem żadnego znaku – tłumaczył się Morgan.

– Stoi na poboczu jak wszystkie inne znaki. Minął go pan dokładnie trzy kilometry stąd. A kilometr dalej mój kolega dokonywał pomiaru.

– Ale przecież droga była wolna i...

– Poproszę dokumenty samochodu!

Wyłączył latarkę. Na wypadek, gdyby policjant chciał obejrzeć ładunek. Chociaż dlaczego miałyby to robić? A jeśli nawet, to i tak go nie odkryje, tak samo jak celnik na granicy. Musi tylko zachować spokój. Wciągnął i wypuścił powietrze, usłyszał przy tym cichutkie trzepotanie w krtani. Jakby tam tkwiło coś, co przepływające powietrze wprawiało w lekkie drgania. Ciało obce powodujące podrażnienie. Nie teraz, pomyślał i zaraz

poczuł, jak narasta w nim potrzeba odkaszlnięcia.

– Wie pan, jak to jest, *sir* – odezwał się na zewnątrz głos Morgana. – Jeśli przyjadę do Windhuku za późno, będę miał poważne kłopoty. I to tylko dlatego, że wszędzie są ograniczenia prędkości.

Odruch kaszlu można powstrzymać. Nikt nie musi kaszleć, kiedy sobie tego zabroni. Przynajmniej nie od razu. Przynajmniej tak długo, aż ten pieprzony Morgan zapłaci wreszcie swój pieprzony mandat.

– Na taką pracę jak moja czekają setki ludzi. Człowiek przyjedzie tak późno, że nie zdąży rozładować ciężarówki, a szef zaraz znajdzie sobie na to miejsce kogoś nowego. Takiego, co nie cacka się z przepisami.

Tylko mu się wydawało, że płuca ściągnęły się w twarde kłęby. Wydawało mu się, że oskrzela lada moment eksplodują. Wcale też nie było tak, że śluz w gardle gęstniał z każdą chwilą i zabierał mu powietrze. To wszystko było tylko złudzeniem. Przycisnął usta do przedramienia, wbił zęby w skórę. Za nic w świecie nie może kaszlnąć.

– Może mi pan wierzyć, *sir*, jestem odpowiedzialnym kierowcą. Jeżdżę przepisowo. Ale przecież może się zdarzyć, że człowiek czasem przegapi jakiś znak, a zwłaszcza na prostej drodze, gdzie nikt się go nie spodziewa. Na przykład, gdyby tam była jakaś wieś, to byłoby oczywiste, że...

– Tam była budowa.

– Ale nikt na niej nie pracował!

A gdyby tak tylko raz krótko wypuścił powietrze? Całkowicie bezdźwięcznie, niesłyszalnie. Tylko szybki, zdecydowany oddech przez otwarte usta. Tyle, żeby uwolnić krtań. Żeby się nie udusić. Żeby skurcz w klatce piersiowej go nie zabił.

– Proszę, *sir* – mówił dalej Morgan – czy mógłby pan ten jeden jedyny raz

przymknąć oko?

Nie będzie kaszłał. Bronił się przed tym ze wszystkich sił, jakie mógł zmobilizować, nawet kiedy już poczuł, że ból zbiera się w jego płucach, że zbija się w kulę i zmienia w dzikie zwierzę, które kłusując wszystko po drodze, wspina się coraz wyżej. Powinien się napić wody! Po omacku poszukał kanistra, pośpiesznie odkręcił korek, czując, że już nie zdąży, bo kolczasty potwór był już wysoko w jego krtani. Wiedział, że rozszarpie mu gardło na strzępy, jeśli się nie podda, ale on się nie poddawał, walczył dalej, nawet kiedy było już za późno, kiedy bestia już się wyrwała i wydała przez jego usta pierwszy głęboki szcęk.

Przegrał. Jego ciało wystrzeliło do góry, uderzył czubkiem głowy w blaszany sufit, ale czuł tylko kaszel, czuł, jak każde włókno jego ciała kaszle, jak jego wnętrzności wywracają się na lewą stronę. Kaszłał, jakby musiał wypluć z siebie duszę. W jego ciele dudniło, huczało, rzęziło i gwizdało. I nie chciało przestać. Ani śladu ulgi czy uwolnienia, kaszel wydostawał się z niego coraz mocniej, coraz gwałtowniej, aż bał się, że się udusi, bo nie był w stanie nabrać powietrza.

Jak przez watę usłyszał głos policjanta, jego pytanie, co się tam dzieje. Poczł na języku smak krwi, zaczerpnął chrapliwie powietrza i znów kaszłał, jeszcze głębiej i boleśniej. Za ścianą Morgan musiał wysiąść z kabiny. Drzwi szoferki otworzyły się i znów zatrzasnęły, a jego atak jeszcze się nie skończył, choć nie miał już siły kaszleć. Na podniebieniu czuł kwas siarkowy, krtani paliła jak ogień, płuca pełne były rozżarzonych igieł. Przejechał dłonią po wargach. Były suche i spękane.

– Nie mam pojęcia – mówił Morgan, otwierając szeroko drzwi naczepy. Zrobiło się jasno. Kałasznikow leżał obok niego. Jeszcze raz lekko

odkaszlnął.

– Wychodzić! – rozkazał obcy głos.

Policjant pewnie myślał, że odkrył nielegalnego imigranta.

– Okay – powiedział. Chwycił karabin i zaczął czołgać się po kartonach w stronę światła. Niemal liczył na to, że policjant wyciągnie broń, ale tamten tego nie zrobił. Stał tylko przy ciężarówce, dwa metry niżej, i wpatrywał się z niedowierzaniem w lufę kałasznikowa. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby w RPA nie panował taki niezdrowy klimat. Albo gdyby Morgan przestrzegał ograniczeń prędkości. Ale pytanie, czy ktoś ponosił tu jakąś winę, było bezprzedmiotowe. Niektóre rzeczy po prostu się zdarzały.

Położył zgięty palec na spuście AK-47.

Obydwa bulteriery były uwiązane, ale na tak długim łańcuchu, żeby mogły zagrozić wejście do domu. Stały teraz na sztywnych łapach i szczerzyły zęby, których jedno kłapnięcie mogło przegryźć człowiekowi gardło. *Varkhonde*, świńskie psy, tak z powodu ich wyglądu nazywali je Burowie. Ale na ich ciele nie było ani grama tłuszczu. Same mięśnie pod brudnożółtą sierścią. Na sto procent były tresowane jako psy bojowe. Clemencia wcale by się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że zostały wyszkolone do ataków na czarnych. Na smród czarnuchów, jak zapewne powiedziałyby Acheson do podobnych sobie. Clemencia głośno zapytała, czy ktoś jest w domu. Psy zawarczały.

Za domem podwójne zasieki były już gotowe, więc nie można było tak łatwo uciec. Na wszelki wypadek Clemencia poleciła dwóm policjantom z Gobabis pilnować tyłów budynku. Dwóch zostało przy samochodach,

pozostali zabezpieczali pole za Clemencią i Angulą.

– Policja! – zawołała Clemencia. – Otwierać!

Nic się nie poruszyło, choć robotnicy zapewniali, że *baas* jest w domu. Angula schylił się po kamień i rzucił nim w drzwi. Nie wydając żadnego dźwięku, jeden z psów skoczył naprzód, wykonał dwa susy, aż zatrzymał go łańcuch. Łapy drugiego zadrżały, ale potem znów znieruchomiał. Jego małe oczka jarzyły się ponuro. Potem usłyszeli, że ktoś przekręca klucz w zamku. Drzwi się otworzyły i w progu stanął mężczyzna ze strzelbą na ramieniu.

A więc tak teraz wyglądał! Musiał mieć blisko siedemdziesiąt lat, ale sprawiał wrażenie młodszego. Siwe włosy miał ostrzyżone na jeża, opalona twarz była poorana głębokimi zmarszczkami. Oczy miał bystre i podejrzliwe, rysy twarzy bynajmniej nie antypatyczne. Fizycznie był w świetnej formie, jego ruchy zdradzały taką pewność i spokój, jakie charakteryzują tylko ludzi, którzy doskonale wiedzą, kim są. Nic nie odróżniało go od innych białych farmerów, którzy przez całe życie rządzą swoim małym królestwem. Oprócz tego, że był zabójcą z powodu rasistowskich przekonań.

– *Mister* Donald Acheson? – zapytała Clemencia.

Nawet jeśli był zaskoczony, nie dał tego po sobie poznać.

– Nie ma tu nikogo takiego. Nazywam się Doyle. Czego pani chce?

Clemencia wskazała ruchem głowy kolczaste ogrodzenie.

– Pan urządza barykadę?

– To przez *tsotsi*<sup>26</sup>, tych czarnych łotrów – wyjaśnił mężczyzna. – Ostatnimi czasy dużo się tu w okolicy działo.

– Czy możemy zobaczyć pańskie pozwolenie na broń? – zapytał Angula.

Mężczyzna nie zareagował.

– Przede wszystkim chcieliśmy z panem porozmawiać – powiedziała Clemencia. – Czy możemy wejść, *mister* Acheson?

– Ile razy mam pani powtarzać, że nazywam się Doyle?

– To tylko strata czasu. Mamy pańskie odciski palców z 1990 roku – stwierdziła Clemencia.

– Na początek przymkniemy pana za nielegalne posiadanie broni i fałszowanie dokumentów – powiedział Angula. – A potem zobaczymy, co jeszcze przyjdzie nam do głowy.

– Zresztą w areszcie w Windhuku i tak będzie pan bezpieczniejszy niż tutaj – dodała Clemencia.

– Tak jak Ferdi Barnard? – Mężczyzna zaśmiał się głośno. Najwidoczniej postanowił skończyć tę zabawę w chowanego. Poklepał dłonią kolbę swojej strzelby i oświadczył: – O moje bezpieczeństwo troszczę się sam.

– Czy możemy teraz porozmawiać, *mister* Acheson?

– Niech będzie – zgodził się wreszcie Acheson. Odwrócił się i rzucił ostro: – Leżeć!

Oba psy natychmiast położyły się na ziemi, ale głowy trzymały czujnie uniesione. Gotowe na jedno skinienie swojego pana skoczyć do gardła temu, kto się znajdzie w ich zasięgu. Clemencia i Angula trzymali się blisko Achesona, idąc za nim do domu. W pokoju paliło się światło. To było zresztą konieczne, bo jedyne okno było zabite deskami. W ścianie naprzeciwko znajdował się kominek. Nad kominkiem i po obu jego stronach afrykańska zwierzyna, przynajmniej ta rogata, gapiała się w pustkę szklanymi oczami. Wybór trofeów firmy Jamesa P. Doyle'a. Obok drzwi znajdowała się największa szafka na broń, jaką Clemencia kiedykolwiek



widziała. Na stole stały krótkofalówka, zgnieciona puszka po piwie, pełna popielniczka i talerz z resztkami sosu pieczeniowego. Clemencia usiadła na jednym z wolnych krzeseł.

– A więc? – zapytała.

Acheson zaczął opowiadać, jakby miał przed sobą jakichś naiwnych turystów, którzy przyjechali na polowanie. W 1997 roku wrócił na południe Afryki, bo miał już dość Europy. Za dużo idiotów, za mało miejsca, za mało wolności. Namibia nie była jego wymarzonym miejscem, ale w Zimbabwie, Angoli czy RPA sprawy miały się jeszcze gorzej. Skorzystał więc z okazji, kiedy przyjaciele powiedzieli mu, że jest farma do wydzierżawienia na czas nieograniczony. Tutaj sam jest dla siebie panem, czarni jeszcze czują respekt, a z pieniędzy, które ma z organizacji polowań dla gości, można całkiem nieźle wyżyć.

Działa pod fałszywym nazwiskiem, żeby uniknąć niepotrzebnych kłopotów. Ze sprawą Lubowskiego nie ma nic, ale to absolutnie nic wspólnego. Wiadomo przecież, jak pracują policja i prasa. Kto raz znalazł się u nich na celowniku, nie ma szans. Teraz wreszcie widać, do czego doprowadziła kampania oszczerstw wobec niego i jego dawnych kolegów. Ale nie robi w gacie. Niech ten pieprzony killer tylko się zjawi, a okaże się, kto kogo załatwi.

– Pan wtedy został wrobiony – stwierdził Angula.

Acheson znieruchomiał zaskoczony, a potem potwierdził:

– Właśnie, ktoś wreszcie musi to powiedzieć!

– Przez SWAPO? – Angula nie mógł oderwać się od swoich obsesyjnych myśli.

Clemencia rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Niezła próba! – zaśmiał się Acheson. – Gdybym to wiedział, już wtedy bym o tym mówił. Skąd mam to wiedzieć, jeśli ze sprawą Lubowskiego nie mam nic a nic wspólnego?

– Bo SWAPO... – zaczął Angula.

Clemencia weszła mu w słowo.

– Dowiedzieliśmy się, że „Chappies” Maree i „Slang” van Zyl chcieli tu pana odwiedzić.

– To wie pani więcej niż ja.

Acheson oparł strzelbę o stół, poszedł do kuchni i przyniósł sobie kolejną puszkę piwa. Nie zapytał, czy im czegoś nie podać. Prawie niezauważalnym ruchem dłoni zapalił papierosa. Clemencia próbowała spokojnie wytłumaczyć mu, że chcą ująć mordercę. Dlatego przydałoby się poznać jego tożsamość. Bez obszerniejszej wiedzy na temat motywów działania zabójcy nie będzie łatwo wpaść na jego trop. Jeśli Achesonowi nie zależy na życiu, może przynajmniej pomyśleć o tym, że inni też są zagrożeni. Acheson tylko wzruszył ramionami.

Clemencia pojęła, że on nigdy nie będzie mówił. Był przekonany, że sobie poradzi i w tej sytuacji, tak jak radził sobie w każdej innej. Rola następnej potencjalnej ofiary morderstwa tak samo mało go przerażała, jak perspektywa niekończących się przesłuchań na policji w Windhuku. W 1990 roku przez siedem miesięcy odgrywał niewinnego i ani razu nie dał się złamać, ani nie popełnił najmniejszego błędu. Tym razem w żadnym wypadku nie będą mogli go przymknąć na tak długo. Nawet nie było trzeba adwokata takiego jak von Fleckenstein. Ale Clemencia postanowiła mimo wszystko aresztować Achesona. Co innego mogła zrobić?

– Inspektorze! – zawołał jeden z policjantów przed domem. Angula podszedł do drzwi.

Acheson zaciągnął się papierosem i strącił popiół. Swego czasu jego koledzy ze służb pracujących na rzecz apartheidu nie wahałoby się, żeby biciem wydostać od jeńców informacje. A tam, gdzie oni zadawali pytania, trzeba było później ścierać kałuże krwi. Ofiary, wszędzie ofiary, ale to i tak nie pomogło katom. Przegrali mimo wszystko, bo ludzka godność, prawda i prawo okazały się silniejszą bronią. Tak też miało pozostać. Nawet jeśli cel był szlachetny i wzniosły, nie usprawiedliwiał użycia wszelkich środków. Jednak Clemencia czuła narastającą złość. Dlatego, że ktoś taki jak Acheson nadal był przekonany, że może robić to, co tylko mu się podoba. Nie licząc się zupełnie z ewentualnymi stratami. Że prawda była mu tak samo obojętna jak ludzkie życie.

Angula zawołał od drzwi, czy ma zastrzelić tego cholernego sierściucha. Acheson wyszczerzył się w uśmiechu, zdusił papierosa i wyszedł na zewnątrz. Policjant, z którym wrócił, zakomunikował, że muszą się natychmiast wycofać. Teraz każdy funkcjonariusz jest potrzebny, bo został zastrzelony policjant. Clemencia zapytała o szczegóły. Seria z karabinu automatycznego! Niewykluczone, że z kałasznikowa! Porzucona ciężarówka jadąca z RPA!

– Nie musicie nigdzie jechać – powiedziała Clemencia. – Morderca zmierza właśnie tutaj!

Policjant w mundurze potrząsnął głową. Rozkazy, które otrzymał, były jasne. Wracać do Gobabis, i to z całą grupą! Jeśli mają zamiar zabrać tego człowieka – tu wskazał na Achesona – to najlepiej od razu.

– Dajcie mi dziesięć minut! – poprosiła Clemencia. Potem zwróciła się do

Achesona: – On tu jest. Gdzieś tam za oknem.

Acheson uśmiechnął się i znów usiadł. Wprawnie wysunął z paczki kolejnego papierosa. Na pierwszy rzut oka nie zmieniło się nic. Nie wyglądał wcale inaczej, nie ruszał się też inaczej, a jednak nagle jakby odmłodził o dwadzieścia lat. Wręcz czuło się energię, jaką emanował. Sprawiała, że powietrze wokół niego niemal iskrzyło.

To była nowa sytuacja, to było zagrożenie! Coś, co u innych wywołałoby lęk albo paraliż, dla Achesona było tylko wyzwaniem. Nie mógł się już doczekać, kiedy stanie naprzeciwko zabójcy z bronią w rękach. On czy ja, to było jedyne pytanie, które się liczyło, to było jedyne, co stanowiło dla niego o smaku życia. Zabijać albo zostać zabitym, w jego przypadku wszystko prowadziło do tego jednego wyboru. To proste, zresztą wybór zawsze był prosty. Kiedy był najemnikiem, katem, zabójcą. A im większe było ryzyko, tym większa satysfakcja.

Polityka przypuszczalnie nie interesowała go nigdy. Walczył dla reżimu segregacji rasowej tylko dlatego, że ten zlecił mu coś, co Acheson i tak lubił robić: mordowanie. Ale od tamtej pory minęły już całe wieki. Na długie lata musiał się zadowolić strzelaniem do antylop kudu i springboków. No dobrze, na polowaniu też się zabijało. Tam też można było zobaczyć, jak żywe stworzenie z dygotem oddaje życie, ale to nie do końca było to samo. A teraz, po tak długim czasie, pojawia się przeciwnik, z którym stanie do walki jak równy z równym! On albo ja.

Clemencia wiedziała, że istnieje coś takiego jak upajanie się krwią. Ale ten dwunożny drapieźnik był pijany, jeszcze zanim zaczęła się strzelanina. Nagle uświadomiła sobie, że ma w ręku asa. Musiała tylko zebrać jeszcze trochę kart, zanim go położy. Powiedziała:

– Nie wiem sama, co bym wolała: czy żeby morderca zabił pana, czy pan mordercę. Najchętniej wybrałabym obydwie opcje.

– Niech pani lepiej zostawi to mnie.

– Wyobrażam sobie, jak on i pan stajecie naprzeciw siebie, jak strzelacie, zostajecie trafieni, dalej strzelacie, nie czując bólu, zbliżającej się śmierci, bo obaj macie w głowie tylko jedną myśl: wystrzelić jeden pocisk więcej w ciało tego drugiego. Widzę, jak padacie i strzelacie dalej, aż...

– Czy wierzy pani w Boga, *lady*? – zapytał Acheson. Jeszcze się uśmiechał, ale rysy jego twarzy już stwardniały. – To niech mu pani podziękuje, że nie stanęła mi pani na drodze w innych czasach!

To był ten moment. Clemencia powiedziała:

– Tak, stare, dobre czasy! Dzisiaj to państwo uznaje za swoje zadanie wyjaśnianie morderstw i zapobieganie im. Muszę więc zarekwirować pański arsenał i przewieźć pana do Windhuku, gdzie czeka już przytulna cela. I zamierzam to uczynić, chyba że...

Acheson pociągnął łyk z puszki, potem wytarł sobie usta i zapytał:

– Chyba że co?

– Chyba że korzystniejsze dla naszego śledztwa będzie, kiedy tego nie zrobię.

Acheson spojrział na swoją strzelbę opartą o stół. To był Browning New Elite, kaliber 9,3 × 62. W końcu powiedział:

– Mam pewne przypuszczenia. I mam nazwisko. Więcej nie mogę pani zaproponować. A i tego dowie się pani tylko pod warunkiem, że mnie pani nie aresztuje.

Clemencia zgodziła się, ale Acheson chciał się jeszcze zabezpieczyć. Miała wrócić do Windhuku, a on do niej zadzwoni i tam przekaze obiecaną

informację. Clemencia mu nie ufała, nie poszła więc na taki układ. Miała w tej chwili pozycję silniejszego. Albo będzie mówił, albo posiedzi w celi i zobaczy, czy dopadnie go zabójca.

Za drzwiami policjanci zawołali, że muszą już jechać. Clemencia wstała.

– Niech pani zaczeka! – rzucił Acheson. – Jak mówiłem, ze sprawą Lubowskiego nie miałem nic wspólnego. Słyszałem tylko jakieś opowieści, że Maree, Barnard, Burger i van Zyl brali w tym udział. I jeszcze jeden człowiek, nazywali go „Donkerkop”. On chyba miał jakiś powód, żeby się na nich wkurzyć.

Wkurzyć się, to było zdecydowanie za mało powiedziane. I w tej sprawie Acheson kłamał, przynajmniej kiedy chodziło o jego rolę. Gdyż jeśli reszta wypowiedzi była prawdą, to znaczyło, że on w oczywisty sposób musiał brać udział w zamordowaniu Lubowskiego. Tylko dlatego, że słyszał jakieś pogłoski, nie figurowałby jako numer pięć na liście celów zabójcy. Clemencia powiedziała:

– Obiecał nam pan nazwisko, a nie przydomek.

– Martinus Cloete – rzucił Acheson. – Z Windhuku.

– Dlaczego ma powody, żeby być wkurzonym na tamtych?

Acheson wzruszył ramionami.

– Niech go pani sama spyta!

– Dobra robota, szefowo! – powiedział Angula. Wyjął pistolet i skierował go na Achesona. – Jest pan tymczasowo aresztowany z powodu podejrzenia...

– Nie, Angula – powstrzymała go Clemencia.

– Szefowo? – rzucił zaskoczony Angula.

– Czy będzie pan tak dobry i przeprowadzi nas obok psów, panie Acheson!

Wychodząc z domu, zobaczyli chmurę pyłu na drodze z farmy. Policjanci z Gobabis odjechali i najwyraźniej bardzo im się spieszyło. Zanim Clemencia usiadła za kierownicą swojego samochodu, zwróciła się do Achesona:

– Skłamałabym, życząc teraz panu szczęścia.

Acheson nie odpowiedział. Póki Clemencia widziała go w lusterku wstecznym, stał z browningiem na ramieniu w przerwie zasieków i patrzył za nimi. Kiedy dotarli do doliny Nossobu i za pierwszym zakrętem zniknęli z jego pola widzenia, Clemencia zatrzymała samochód. Poleciała Anguli jechać dalej do Windhuku i znaleźć wszystkie dostępne informacje na temat Martinusa Cloetego *alias* „Donkerkopa”. Nikt nie mógł wiedzieć, czy Acheson mówi prawdę, ale to był najgorętszy trop, jaki w tej chwili mieli.

– A pani, szefowo? – zapytał Angula.

– Ja zostanę tutaj.

Acheson może nie był do końca pewnym świadkiem, ale jako przynęta był bezcenny. Przynajmniej kiedy nie siedział w celi aresztu w Windhuku, tylko pozornie niepilnowany przez policję barykadował się na swojej farmie. Zabójca był w pobliżu, będzie próbował wykonać zadanie, tego Clemencia była absolutnie pewna. Nigdy jeszcze nie była tak blisko, nigdy nie miała większej szansy, żeby go schwytać.

– Już zastrzelił jednego policjanta – przypomniał Angula.

Clemencia wyobraziła sobie, co powiedziałyby teraz Matti Jurmela: „Płacą nam za to, żebyśmy wykonywali swoją pracę, a nie odgrywali bohaterów. Ostatni bohaterowie już dawno nie żyją, a razem z nimi zginął ten zawód. I bardzo dobrze”.

Ale to się sprawdzało w Finlandii, a nie w Afryce. W Namibii ginęło się szybciej niż w Europie, za to nie tak nieodwołalnie. W żaden sposób nie można było mieć pewności, że zmarli naprawdę byli martwi. A nawet jeśli, duchy zmarłych bohaterów codziennie mieszały w życiu. Jurmela był znakomitym policjantem, ale na tych sprawach zupełnie się nie znał. Clemencia wyciągnęła swój służbowy pistolet, sprawdziła magazynek. Jej dłonie drżały.

Angula odchylił oparcie siedzenia maksymalnie do tyłu. Powiedział:

– Powinna pani choć trochę odpocząć, szefowo. Czeka nas niespokojna noc.

Siedział na fotelu pasażera policyjnego radiowozu, obiema rękami trzymając kałasznikowa. Morgan prowadził. Zabitego policjanta wrzucili na kartony i zamknęli naczepę ciężarówki. Zyskali przez to trochę czasu, ale niezbyt dużo.

Policjant, który został przy radarze, musiał usłyszeć strzały, o ile akurat drogą nie przejeżdżało kilka hałaśliwych aut. Będzie próbował skontaktować się ze swoim kolegą przez radio i po drugiej lub trzeciej nieudanej próbie przypuszczalnie ruszy piechotą. Pokonanie dwu kilometrów zajmie mu najwyżej dwadzieścia minut, może nawet mniej. Z pistoletem w dłoni okrąży porzuconą ciężarówkę, znajdzie ślady krwi na asfalcie. Wezwie posiłki z Gobabis. Dopiero po ich przybyciu razem otworzą pakę ciężarówki. Czyli alarm zostanie ogłoszony najwcześniej za dwie godziny.

Minęło półtorej godziny. Przejechali wyboistą polną drogą, aż dotarli do D 1707, którą skierowali się na zachód, a potem skręcili na południe. Teraz



poruszali się wzdłuż D 1715, przed chwilą minęli wjazd do farmy Marie Noord. Chciał się znaleźć kilka kilometrów od celu. Policja nie miała pojęcia, dokąd jechał. Zablokuje najwyżej główne drogi. Mógł zaczekać gdzieś w zaroślach na sawannie, aż się ściemni. Zakaszłał.

– Co się stało, to się nie odstanie – odezwał się zniecierpliwiona Morgan.

To było tak oczywiste, że nawet nie trzeba było tego mówić. Dotychczas Morgan na szczęście milczał, bez słowa natychmiast wykonywał każde jego polecenie, ale teraz najwidoczniej otrząsnął się z szoku. Żeby to tylko znów się nie skończyło historią o kurwach z Bulawayo.

– Wcale mnie nie obchodzi, co się tam stało – powiedział znów Morgan i spojrzał na niego. – Ja niczego nie widziałem i nie słyszałem.

– Patrz na drogę! – upomniał go.

Morgan wbił wzrok w przednią szybę, ale mówił dalej. Szybko, o wiele za wysokim tonem. Jakby wiedział dobrze, że całe gadanie i tak było na próżno.

– Dlaczego nie wysadzisz mnie gdzieś tutaj na poboczu i sam nie pojedziesz dalej? Jeśli będą mnie wypytywać, powiem, że straciłem pamięć. Nie mogę sobie nic przypomnieć. Nie wiem nawet, kim sam jestem.

Kto tam wiedział o sobie, kim był? Człowiek klecił sobie jakieś wyobrażenie na własny temat, aż działo się coś takiego, co ten obraz rozwalowało w drobny mak. Zamiast wyciągnąć z tego nauczkę, natychmiast zaczynał od nowa sklejać te części, może trochę inaczej niż przedtem, ale też źle. I tak to się powtarzało, aż...

– Nie chcę umierać – krzyknął Morgan. – Mam rodzinę, mam dzieci. Oni mnie potrzebują!

Rodzinę mieli wszyscy. Każdy swoją. Tym śmierć się nie przejmowała. I tak brała sobie tego, kogo chciała. Prędzej czy później dopadnie każdego, gliniarza z drogówki, Morgana i jego samego. Ale niektórzy nie potrafią tego zaakceptować. Właściwie większość z nich.

– Jeśli o mnie chodzi, możesz sobie żyć sto lat, Morgan. Zastanów się tylko: nikt o mnie nie wie. Jeśli policjanci znajdą trupa w twojej ciężarówce, kogo będą podejrzewali o morderstwo? – Morgan w milczeniu potrząsnął głową. – Ciebie, oczywiście. Zostałeś zatrzymany, policjant odkrył, że masz nielegalną broń, chciał cię aresztować. Wtedy go zastrzeliłeś.

– Ja?

– Będziesz się wypierał, kiedy cię złapią. Będziesz zwał winę na nieznanego, którego wiozłeś na pace. Dokładnie opiszesz jego wygląd, ale oni nie będą cię wcale słuchali. Bo po twoim nieznanym nie będzie śladu. Wystarczy jeden telefon do twojej firmy, żeby się dowiedzieć, kim jesteś, a potem będą na ciebie polować. I jeśli dobrze się nad tym zastanowić, to wydaje mi się, że nie będziesz miał okazji niczemu zaprzeczać. Bo oni wyjątkowo nie lubią zabójców policjantów. Z kimś takim na ogół się nie cackają. Przy aresztowaniu zawsze coś może się wymknąć spod kontroli. Pocisk może sam wystrzelić, strzał ostrzegawczy pójdzie innym torem, a może komuś się będzie wydawało, że sięgasz po broń. Na twoim miejscu naprawdę próbowałbym nie wpaść im w łapy. Ja cię w każdym razie nie zabiję, Morgan.

– Nie? – zapytał Morgan z niedowierzaniem.

Przynajmniej przez jakiś czas Morgan będzie wystarczająco angażował policję. Jeśli wszystko pójdzie gładko, dwa dni powinny wystarczyć.

– Jeśli będę miał tuzin kul w brzuchu, musi przecież być ktoś, kto to zrobił – powiedział Morgan. Jego głos nadal zdradzał wątpliwości, ale powoli zaczynał pojmować. – Wtedy ja nie mogę być mordercą!

– Przynajmniej nie jedynym.

– Ale ja jestem jedynym! Ciebie wcale nie ma. Ja jestem mordercą. Wyłącznie ja!

Morgan zerknął na niego. Jego oczy rozbłysły. Najpierw całą twarz rozjaśnił mu uśmiech, a potem zaśmiał się głośno. Z ulgą, z poczuciem uwolnienia, tak szczęśliwy nie był chyba nigdy w życiu. Jak wspaniale jednak było być mordercą! Przynajmniej, kiedy człowiekowi zależało na własnym życiu.

– Patrz na drogę, Morgan! – upomniął go.

Można się uśmieć. Facet znów zobaczył przed sobą kawałek przyszłości, zaraz tracił rozum i sam ryzykował swoje życie.

– Nie możesz mnie wcale zabić, bo wtedy ty jako morderca...

– Jednak będę musiał to zrobić, zanim ty zabijesz nas obu.

Wycelował lufę kałasznikowa w Morgana. Ten skierował głowę naprzód i wreszcie się uspokoił. Teraz prowadził uważniej, starannie omijał wielkie bloki skalne, zmieniał biegi w miejscach, gdzie woda z dawno minionych pór deszczowych wypłukała w drodze głębokie rowy. Posłusznie skręcił w prawo, kiedy usłyszał takie polecenie.

Droga prowadząca do farmy była w katastrofalnym stanie, właściwie nadawała się tylko dla pojazdów z napędem na cztery koła. Morgan jechał jak po kruchym lodzie, pieścił pedały sprzęgła, opona za oponą przeprowadzał samochód przez przeszkody, dodawał gazu tylko wtedy, kiedy mieli problemy z pokonaniem stromizny. Raz musieli wysiąść, żeby

zbudować z kamieni prowizoryczną rampę. A mimo to zahaczyli miską olejową o skalną krawędź. Wkrótce potem pękła opona w prawym tylnym kole, ale wymiana już się nie opłacała. Sądząc z mapy i liczby przejechanych kilometrów, byli prawie na miejscu. Kilkaset metrów pokonali jeszcze na samej feldze. Przy większym bloku skalnym kazał Morganowi zatrzymać się, wejść pod auto i odkręcić śrubę spustową oleju. W raczej mało prawdopodobnym wypadku, że Morgan jednak wpadnie na pomysł, żeby zgłosić się na policję, przynajmniej nie pojawi się tam zbyt szybko.

– Czy teraz mogę sobie iść? – zapytał Morgan.

– Siadaj! – odpowiedział i wskazał ocienioną stronę skały. Usiadł obok Morgana i oświadczył, że go zastrzeli, gdy usłyszy choć słowo. I tkwili tak, ramię w ramię, godzina za godziną, przyglądając się przemykającym obok jaszczurkom, wielkiemu czarno-żółtemu pajakowi, który rozpinał sieć między blokiem skalnym i suchym krzakiem, czy cieniom przesuwanym się powoli po kamienistym podłożu.

A potem zapadł zmierzch, w szarości zamigotały pierwsze gwiazdy. Próbował rysować w wyobraźni linie od jednej do drugiej. Chciał zobaczyć, czy wyjdzie z tego jakieś pismo, litery, słowo, może jakieś imię. Ale kiedy pojawiło się zbyt wiele świetlistych punktów, stracił kontrolę nad stworzoną przez siebie siecią i się poddał. Droga Mleczna jarzyła się na czarnym tle, w którymś momencie Morgan zasnął obok niego. Położył pięć tysięcy randów na miejscu, w którym siedział. Obciążył banknoty kamieniem. Zarzucił na ramię torbę, wziął do ręki AK-47 i ruszył dalej na piechotę. Nie musiał korzystać z latarki. Noc była wystarczająco jasna. Dla niego każda noc była wystarczająco jasna.

„Donkerkop”:

*Potem pojawiło się dużo spekulacji, dlaczego właśnie w ten wieczór, kiedy zginął Lubowski, na Sanderburgstrasse zgasyły latarnie. Niektórzy budowali na tej podstawie zawiłe teorie spiskowe. Przecież to nie mógł być przypadek. Ale tak było. Przynajmniej tamci byli tak samo zaskoczeni jak ja. Ferdi Barnard zaklął, co to za cholerne gówna. Można było tylko mieć nadzieję, że mieszkańcom ciemność na ulicy nie będzie przeszkadzała. Jeszcze tego brakowało, żeby zaraz zjechały się tu ekipy elektryków.*

*Czyli było ciemno choć oko wykol, zbliżała się godzina 20.30. Powoli zjechałem kawałek w dół. Na ulicy nie było nikogo. Zatrzymałem się tuż przed bramą Lubowskiego. Donald Acheson z kałasznikowem w rękach wysiadł i ukrył się w krzakach po przeciwnej stronie ulicy. Wycofałem auto dziesięć metrów, zaparkowałem na poboczu, zgasiłem światła i silnik. Kluczyk tkwił w stacyjce.*

*Achesona nie było widać. Miałem włączyć światła samochodu, żeby ułatwić mu zadanie i oświetlić cel, gdy tylko Lubowski wysiądzie ze swojego auta. Kiedy padnie pierwszy strzał, miałem zapuścić silnik. Potem wszystko musiało odbyć się bardzo szybko. Podjechać dziesięć metrów do przodu, zabrać Achesona i gazu!*

– I postaraj się nie wypaść z drogi zaraz na pierwszym zakręcie! – rzucił Barnard z tylnego siedzenia.

– Już kiedyś prowadziłem samochód – odparłem zirytowany.

– Gdyby któryś z sąsiadów wystawił nos, od razu strzelamy – powiedział Barnard. – I to wszyscy! Czy to jasne, Mały?

– Zostaw go w spokoju! – upomniał go Maree.

– Mazać się można potem – dodał jeszcze ten idiota Barnard. Miałem

ochotę odwrócić się do niego i strzelić. Pistolet, który mi wcisnęli, leżał na moich kolanach.

*A potem usłyszałem odgłos silnika. Podniosłem wzrok, zobaczyłem w lusterku wstecznym reflektory i wiedziałem, że to jedzie Lubowski, zanim jeszcze dało się rozpoznać markę samochodu. Zwykle Lubowski wracał do domu z kierowcą, ale van Zyl zawiadomił nas przez radio, że tym razem sam usiadł za kierownicą. Potem dowiedziałem się, że jego auto po naprawie dopiero późnym popołudniem wróciło z warsztatu, a szofer Lubowskiego pojechał oddać wypożyczony samochód. To uratowało mu życie, jestem o tym przekonany. Kiedy tamten samochód włączył migacz i skręcił w stronę bramy, było wyraźnie widać, że to białe bmw Lubowskiego. Drzwi od strony kierowcy się otworzyły, ktoś wysiadł, drzwi się zamknęły.*

– Niech się stanie światłość! – mruknął z tyłu Maree.

*Włączyłem reflektory i w tym momencie czas stanął w miejscu. Nie wiem, jak długo to trwało, trzydzieści sekund, może czterdzieści, które równie dobrze mogły być czterdziestoma latami albo czterdziestoma tysięcznymi sekundy. Powszechnie wiadomo, że chwile, które zdają się nie do zniesienia, ciągną się całą wieczność, ale jeszcze nigdy tak tego nie przeżyłem. Nic się nie działo, po prostu wszystko zamarło.*

*Wprawdzie słyszałem strzały i znajomy odgłos startera, kiedy włączyłem silnik, krzyki facetów na tylnym siedzeniu, szczekanie psów Lubowskiego, a nawet trzask gałązek, kiedy Acheson przedarł się z krzaków na ulicę, ale niczego nie widziałem. To znaczy pewne zdarzenia widziałem bardzo dobrze, tylko nie było w nich żadnego ruchu. To były nieruchome sceny, jak pojedyncze kadry filmu, który leci tak szybko, że można coś dojrzeć tylko*

wtedy, kiedy ciągle naciska się guzik pauzy.

Widziałem Lubowskiego, jak stoi przy bramie w eleganckim garniturze i z aktówką w dłoni. Jego tułów był pochylony do przodu. Lubowski był wysoki, miał prawie dwa metry wzrostu, musiał się nachylić, żeby powiedzieć coś do domofonu. Głowę odwrócił trochę na bok, prosto w światła mojego samochodu. Miał szeroko otwarte oczy, nie zmrużył ich, nawet nie mrugnął, nic. Wyraz jego twarzy zdradzał, że wiedział, co się zaraz zdarzy.

Tylko dla mnie nic się nie działo. Nie widziałem, jak trafiają go pociski z AK-47. Zobaczyłem go znów dopiero jakby zastygniętego w połowie piruetu, czarne loki odrzucone na bok, jedno kolano już na ziemi, druga noga dziwnie wygięta, a obok dłoni z dziwacznie rozczapierzonymi palcami unosiła się w powietrzu jego aktówka, wisiała poziomo, jakby nie działała na nią siła ciężenia. Potem zawsze miałem przed oczami tę pieprzoną aktówkę, ilekroć budziły mnie koszmary senne.

Następny obraz, jaki mam w pamięci, pokazuje niewiele. Światło reflektorów padało na czarną ulicę, w jego smudze było widać nogi Achesona. Jego ciało od góry niknęło w mroku nocy. Acheson miał na sobie dzinsy i brązowe skórzane sztyblety. Marlboro Man, pomyślałem. Sam nie wiem dlaczego. Ścieżka dźwiękowa dalej leciała, podczas gdy sceny z mojego filmu były zatrzymane pauzą. Nadal widziałem buty Achesona na asfalcie, choć on już otwierał drzwi toyoty i krzyczał:

– Załatwiłem go!

– Nie żyje? – zapytał Barnard podnieconym głosem.

– Skąd mam wiedzieć! – odkrzyknął Acheson.

– Ktoś musi iść i jeszcze mu dołożyć! – syknął Barnard.

– No, rusz się, chłopcze! – zwrócił się do mnie Maree.

– Ja? – usłyszałem swój pytający głos.

– On się zesra ze strachu! – judził Barnard.

– Kto nie jest z nami, jest przeciw nam – powiedział groźnie Acheson, a potem jego skórzane buty zniknęły, ja nie siedziałem już za kierownicą, tylko nagle znalazłem się w ciemnościach między białym bmw i bramą z domofonem. Diabli wiedzą, jak do tego doszło! Za bramą dwa psy czekały jak szalone, a ja widziałem w zbliżeniu swoją dłoń trzymającą pistolet, a lufa pistoletu celowała ukośnie w dół, w czarne włosy na asfalcie.

*Pomyślałem jeszcze, on się nie rusza, on nie żyje, nie musisz strzelać, przecież nie strzela się do zmarłych! Ale wtedy nie wiedziałem, czy na pewno był martwy, i nie wiem tego do dzisiaj, bo przed moimi oczami nic się przecież nie poruszało. Wszystko było nieruchome i zastygłe, ze mną włącznie. Nawet mój palec na cynglu pistoletu się nie poruszał, a jednak usłyszałem strzał, więc chyba musiałem nacisnąć spust.*

*Potem znów byłem w samochodzie. Kiedy przekręciłem kluczyk w stacyjce, czas i ruch znów zaczęły biec bez zakłóceń. Widziałem moją prawą dłoń obracającą kierownicę, moją lewą dłoń, jak zmieniała biegi, dodałem gazu, samochód reagował, połykał drogę metr za metrem, skręciłem, drugi raz, spojrzałem w lusterko wsteczne. Nikt za nami nie jechał, a kilka minut później dotarliśmy do mieszkania Achesona na Love Street. Przed drzwiami czekali już „Staal” Burger i van Zyl. Chcieli jeszcze napić się piwa, pytali, czy też chcę wejść. Potrząsnąłem głową. Miałem dość. Ich, siebie, wszystkiego. Miałem dość na resztę życia.*

*Na koniec Acheson powiedział mi:*



– Jeśli wszyscy będą trzymali gęby na kłódkę, nigdy nie wyjdzie na jaw, kto sprzątnął Lubowskiego.

– W każdym razie to był niezły strzał! – zawołał Maree i poklepał mnie po plecach.

– Myślę, że masz rację, „Chappies”, chłopak nas nie zdradzi – zachichotał Barnard. – Teraz już nie.

*Powiniennem wtedy wszystkich ich powystrzelać i zgłosić się na policję. Dostałbym dożywocie, odsiedziałbym może piętnaście lat. Powiedzmy nawet dwadzieścia. Wtedy za rok byłbym wolnym człowiekiem.*

Wiatr był korzystny. Wiał od strony farmy ku nim i był wystarczająco silny, żeby bulteriery ich nie wywęszyły. Clemencia obawiała się, że w nocy są spuszczone, ale nadal były uwiązane przed drzwiami. Przypuszczalnie w przeciwnym razie goniłyby za szakalami przez pół Kalahari. Okna były całkowicie zaciemnione. Tylko wąska smuga światła spod drzwi frontowych zdradzała, że ktoś był w domu.

Po południu nie udało się dokończyć budowy ogrodzenia. Nadal pozostawała w nim luka szerokości dziesięciu kroków. Obok niej stał pozbawiony kół wrak samochodu, w którym ukrył się Angula. Clemencia nie widziała go, ale mogła sobie wyobrazić, jak przywarł nieruchomo do blachy, z zamkniętymi oczami, skoncentrowany, żeby nie przegapić odgłosu czujnych kroków, cichego oddechu skradającego się zabójcy.

Rusztowanie ze zbiornikiem wody stało nieco dalej, na uboczu. Clemencia ostrożnie wspięła się po drabinie wzdłuż metalowej listwy. Wsunęła się na drewnianą platformę na wysokości około pięciu metrów, odbezpieczyła pistolet i położyła obok. Potężna beczka zasłaniała światło księżyca.

Pozycja Clemencji nie była idealna, żeby mogła bezpośrednio wkroczyć do akcji, ale za to miała doskonały widok na podwójne ogrodzenie i dachy budynków. Cykady śpiewały, noc była szara i nieruchoma, tylko między chatami osady, w której mieszkali pracownicy farmy Achesona z rodzinami, jarzył się ogień. Od czasu do czasu do Clemencji dolatywały strzępy rozmów.

Od tej strony zabójca raczej nie przyjdzie. Może w ogóle nie przyjdzie. Niewykluczone, że zauważył policyjny radiowóz, który ukryli w dolinie Nossobu opodal drogi. Nie mieli dość czasu, żeby go dobrze zamaskować, miejsce też się do tego nie nadawało. Wiedząc, że tam czeka na niego policja, każdy normalny człowiek zrezygnowałby z ataku na twierdzę Achesona albo przynajmniej go przełożył. Ale co to znaczyło? Normalnie myślący człowiek nie jeździłby z kałasznikowem po kraju i nie likwidował po kolei ludzi. Nawet jeśli miałyby to być dawne sługusy zbrodniczego apartheidu.

Clemencia próbowała sobie wyobrazić, jak tej nocy zabójca siedzi gdzieś niedaleko. Widziała go, jak przykucnął na piętach, oparł kolbę karabinu na ziemi. Cierpliwie przyglądał się, jak gwiazdy wędrują po niebie, czekając, aż nadejdzie pora. Dokładnie tak, jak Angula i ona czekali na niego z bronią w pogotowiu. Przypuszczalnie ruszy w drogę dopiero wtedy, kiedy uzna, że Acheson zapadł w głęboki sen. Na jego miejscu Clemencia uderzyłaby około trzeciej w nocy. Przedtem co najmniej przez godzinę obserwowałaby teren. Czyli przed godziną pierwszą nic nie powinno się wydarzyć.

Nieustający koncert cykad nadawał nocy monotony rytm. Zdawał się spleciony z ciemnością, pochodził zewsząd i znikąd. Prawie chciałoby się

wierzyć, że nic nie może się wydarzyć, bo w tej ciemności wszystko się rozplywa, bo każde stworzenie bezwolnie kołysze się w rytm tego obcego śpiewu, który przenikał cały świat. A jednak gdzieś tam ludzie nadal się zabijali. Pożreć lub zostać pożartym, być myśliwym albo zwierzyną.

Clemencia zastanawiała się, w jaki sposób morderca zamierza niezauważenie dostać się do domu. Obok bulterierów nie mógłby przejść. Przez zabite deskami okno? Po dachu i dalej przez komin? Czy miał w ogóle jakiś plan? Nie mógł liczyć na to, że Acheson będzie tak samo zaskoczony jak jego poprzednie ofiary. Prawie gotowe podwójne zasieki, zabite deskami okna, bulteriery pod drzwiami pokazywały mu wyraźnie, że jest oczekiwany. Nawet jeśli nie odkrył policyjnego samochodu, musiał przynajmniej brać pod uwagę fakt, że policja mogła zostać powiadomiona i zastawi na niego pułapkę. Nie, z największym prawdopodobieństwem nie odważy się na atak.

Po ognisku w osadzie został tylko słaby czerwony odblask. Clemencia wpatrywała się w noc. Nie wiedziała, skąd wzięło się to jej przekonanie, ale była pewna, że zabójca jednak spróbuje zaatakować. I w jakiś sposób uda mu się dopaść Achesona. Żaden się nie zawaha ani na moment. Będą strzelać, aż jeden z nich martwy upadnie na ziemię. Tajemniczy zabójca udowodnił, że potrafi być nie mniej bezwzględny w swoich działaniach niż Acheson, a jednak był inny, różnił się od Achesona. Jemu nie chodziło o przyjemność zabijania, tylko o pociągnięcie do odpowiedzialności morderców Lubowskiego. Kiedy to załatwi, pewnie zakopie swojego kałasznikowa i już nigdy nie skrzywdzi nawet muchy. Tylko skąd czerpał tę niezwykłą determinację? Ta niepohamowana nienawiść, która nie uznawała innego rozwiązania niż śmierć? Clemencia nabrała pewności, że

wynikała ona z czegoś bardzo osobistego.

Pomyślała o swojej matce, której prawie nie znała. Wszystko, co o niej wiedziała, opierało się na opowieściach *miki* Selmy i *miki* Matildy. Jej ojciec nigdy nie wspominał żony, nawet po wielu latach. Czy jeszcze ją widział, rozmawiał z nią, zanim zmarła od rany postrzałowej? Czy Clemencia zapamiętałaby coś, gdyby wtedy szła z matką? Nie wiedziała nawet, gdzie matka została trafiona. W głowę, w plecy? Kiedy to wszystko się skończy, powinna...

Wydało jej się, że słyszy cichy kaszel. Natychmiast wróciło wspomnienie sekund po zastrzeleniu „Staala” Burgera. Kiedy seria z kałasznikowa ucichła, zabójca odkaszlnął. Ale czy przez telefon nie brzmiało to inaczej? Niżej? Może przed chwilą to był Angula? Spojrzała na ciemny wrak w pobliżu przerwy w ogrodzeniu. Nic się nie poruszało, nie rejestrowała niczego. Poświata w szparze pod drzwiami zniknęła. Budynek mieszkalny i zabudowania gospodarcze wyglądały jak czarne formacje skalne o rozmytych konturach. Clemencia sięgnęła po pistolet. Księżyc zaszedł, gwiazdy tłoczyły się na niebie, jedna przy drugiej. Nie było śladu po chmurach z popołudnia. Cykady wyśpiewywały swoją wieczną niezmienną pieśń. Coś było nie tak.

Clemencia nie miała odwagi się poruszyć. Nie wyczuwała niebezpieczeństwa, ona odbierała je całą sobą. Chłodny podmuch wiatru podczas letniej nocy. Dreszcz na skórze, niepowstrzymanie wciskający się do środka. Nie była w stanie się przed nim obronić, mogła najwyżej zacisnąć dłoń na kolbie swojego pistoletu, chociaż zdawał się nieprzyjemnie śliski w dotyku. Gdyby tak Clemencia teraz po prostu oddała strzał w powietrze? Czy wtedy zabójca dałby nogę, czy otworzył

ogień w jej stronę?

Wyobraziła sobie, że jego pierwsza seria dziurawi wiszącą nad nią beczkę z wodą. Ogrzana przez upał w dzień woda spadłaby na nią łagodnie, byłby to przyjemny prysznic, który spłukałby z niej kurz, niepewność i lęk. Oczywiście też krew, gdyby została trafiona. Przyglądałaby się, jak rozcieńczona czerwona ciecz kapie na dół, i myślałaby o swojej matce, której nigdy nie poznała, czekałaby, aż śmierć powoli wespnie się po drabinie, położy jej dłoń na ramieniu i powie: „Już czas!”.

Ale to tylko jakieś omamy! Nie wiedziała nawet, czy zabójca naprawdę tutaj był. Może nie słyszała kaszlu, tylko chrząkanie mrównika, prychanie muła z pobliskiej osady, warczenie jednego z bulterierów przed drzwiami domu. W każdym razie teraz znów słyszała tylko potężne granie cykad. Clemencia odłożyła pistolet na deski i wytarła spocone dłonie o spodnie.

Są odgłosy, które zawsze każą wątpić. Dlatego, że są zbyt niewyraźne, a może ma się powody, żeby nie rozpoznawać w nich tego, czym są. Coś, co brzmi jak kaszel, może oznaczać coś zupełnie innego, kiedy w gorącą letnią noc trzyma się wartę na odległej farmie na Kalahari. Inne odgłosy są jednoznaczne. Na przykład dźwięk rozrusznika, który terkocze, zacina się, zapala. Ktoś dodaje gazu, silnik się rozpędza, rozbłyskują reflektory.

To był pick-up ze zwojami drutu kolczastego na pace. Stał mniej niż dwadzieścia metrów od kryjówki Clemencji. To znaczy stał tam jeszcze przed chwilą, bo teraz ruszył, przejechał, dudniąc, wzdłuż zewnętrznego płotu, wykonał szeroki zakręt w lewo. Światło reflektorów omiotło piasek i kamienie, na moment oświetliło wrak samochodu, za którym skuliła się ciemna sylwetka, na pewno Anguli, potem odnalazło koleiny drogi i skręciło na nią. Kierowca wycelował w dziurę w zasiekach, przyśpieszył,

włączył długie światła. Nagła jasność zalała front domu, ukazała poszarzałą biel murów, pomalowane na zielono drzwi, a przed nimi obydwie psy, które rwały się i szarpały na łańcuchach, szczekając do światła.

Clemencia nie sięgnęła po pistolet. Nie zeszła też po drabinie na dół. Nie była w stanie się ruszyć, patrzyła tylko, jak pick-up z wyciem silnika pędzi prosto na psy, widziała, że jeden ucieka, a drugi rzuca się naprzód z wyszczerzonymi zębami. Łańcuch załśnił w blasku reflektorów, napiął się, a potem rozległo się głucho uderzenie, skręcony kłębek sierści, chrzęst łańcucha i żalosne, przejmujące skomlenie, które ustało po drugim, głośniejszym uderzeniu. Trzask łamanych desek, rozpryskujące się szkło. Zwoje drutu kolczastego zostały wyrzucone naprzód przez impet uderzenia, wydając nieprzyjemny zgrzyt na blaszanej karoserii.

Jeden z reflektorów zgasł, ale drugi dawał dość światła, żeby można było zobaczyć, że pick-up rozwalił drzwi. Teraz lekko na ukos tkwił w otworze wejściowym. Przednia osłona zgięła się nad maską, przód karoserii i prawy błotnik były groteskowo powgniatane. Po chwili zgasł też drugi reflektor. Przypuszczalnie pocięte drzwi auta zostały otwarte siłą. Angula zawołał:

– Stop, zatrzymać się!

Zupełnie jakby dźwięki wydawane przez człowieka wreszcie wyrwały ją z odrętwienia. Wsunęła pistolet za pasek spodni, zeszła szybko na dół i pobiegła wzdłuż ogrodzenia tak szybko, jak tylko pozwalały jej ciemności. Przemknęła obok zasieków do wraku samochodu, przy którym przedtem czuwał Angula. Schowała się za tą kupą żelastwa i wyciągnęła pistolet. Oddychała szybko i o wiele za głośno. Zdyszana zawołała:

– Angula?

Brak odpowiedzi. Nie było go tam. Clemencia spojrzała ponad maską wraku w stronę domu. Obraz wbitego w drzwi budynku pick-upa tak mocno wrył się jej w pamięć, że wydawało jej się, iż dostrzega wszystkie szczegóły, choć w rzeczywistości widziała tylko czarne cienie w świetle gwiazd. Nic się nie poruszało. Dom nadal był ciemny. I całkiem cichy. Na Boga, tam w środku są dwaj mężczyźni, którym chodzi tylko o to, żeby się wzajemnie pozabijać, przecież musi...! I gdzie, do diabła, podział się Angula? Czyżby uciekł na pustynię?

Dzwonienie cykad wypełniało noc. Clemencia nie potrafiłaby powiedzieć, czy podczas zamieszania przed chwilą śpiewały tak samo. Pewnie tak. Dlaczego cykady na Kalahari miałyby obchodzić, że gdzieś grasuje zabójca z kałasznikowem? Ale Clemencia była człowiekiem, policjantką, musiała coś zrobić. Najpierw niepostrzeżenie dostać się do pick-upa! Tam zobaczy, co dalej. No już! Clemencia zawahała się. Ty się nie boisz, myślała, nie chcesz tylko wybiec w niepewny teren. To tylko jest rozsądne, jeszcze raz rzucić okiem zza osłony. Przed domem leżały jedynie groźne, bezkształtne, nieruchome cienie.

Oczywiście, że się boisz, myślała Clemencia, bo w przeciwieństwie do tych idiotów w środku, cenisz swoje życie. Zostaniesz grzecznie w ukryciu, póki oni ze sobą nie skończą. Zaczekasz, aż jeden wyjdzie żywy, a wtedy spróbujesz go aresztować, nie podejmując nadmiernego ryzyka. „Nie chodzi o odwagę, tylko o zwykłą logikę – powiedział kiedyś Matti Jurmela. – Jeśli ktoś ci się wymknie, masz jeszcze szansę złapać go innym razem. Kiedy będziesz martwa, nie masz tej szansy”.

Clemencia odruchowo schyliła głowę, kiedy padły strzały. Cztery, tuż po sobie. Gdzieś w głębi domu. Mimo że tłumili je mury, zabrzmiały ostro

i twardo. Na pewno nie były to strzały z kałasznikowa. Raczej z pistoletu. Acheson? Najwyraźniej nie dał się zaskoczyć. Huknął kolejny strzał, jeszcze jeden, wszystkie z tej samej broni, a kałasznikow ciągle milczał, aż Clemencia zaczęła wątpić, czy zabójca w ogóle jest wewnątrz. Może Acheson celował do bezcielesnych fantomów, przeciwników istniejących tylko w jego głowie, do cieni swojej przeszłości.

Nagle ktoś krzyknął, z dojmującego bólu, śmiertelnie przerażony. Ten wrzask nie dochodził z domu, rozbrzmiewał jakby bliżej. Clemencia zauważyła tuż przy pick-upie jakąś bezładną szamotaninę, choć nie mogła rozróżnić szczegółów. Do ostrego krzyku dołączył gardłowy pomruk. Dopiero teraz Clemencia rozpoznała zmieniony głos Anguli. Wyskoczyła z ukrycia i podbiegła bliżej domu. W środku padł jeszcze jeden strzał z pistoletu, któremu odpowiedziała krótka seria. Kałasznikow. Clemencia nie zwracała na to uwagi. Biegła dalej, teraz dzieliło ją już tylko kilka metrów. Angula jedną nogą był zaczepiony o drut kolczasty. W jego prawą dłoń wgryzał się ocalały bulterier. Angula krzyczał i jęczał, szarpał się i uderzał wolną ręką w pysk psa, ale bestia trzymała go jak w żelaznych kleszczach. Wargi psa były uniesione, zęby zniknęły całkowicie w skórze Anguli. Clemencia ustawiła pistolet, dla ustabilizowania lewą dłonią objęła przegub prawej ręki, wycelowała.

– Nie ruszaj się, Angula! – zawołała ostrzegawczo.

Angula walczył rozpaczliwie, szarpnął ręką do góry, miotał wokół siebie ciałem psa, ale ten nie puszczał. Teraz bulterier stał na tylnych łapach, przyciśnięty do niego całym ciałem. Wyglądało to prawie tak, jakby tańczyli, ciasno spleceni – gwałtowny taniec, dysząca i warcząca masa z drgającymi, splątanymi kończynami. Celny strzał był tu niemożliwy.



W ogóle żaden strzał nie był możliwy.

– Na Boga, Angula! – krzyknęła Clemencia.

Angula coś zawołał i lewym ramieniem objął bulteriera. Zgiął się, nachylił do przodu, wolne ramię zacisnął na szyi zwierzęcia. Jego dłoń wpiła się w sierść na karku. Próbował udusić psa.

– Niech to szlag! – krzyknęła Clemencia.

Przeskoczyła przez zwój drutu kolczastego, była teraz tak blisko, że czuła zapach potu, krwi, odór psa. Jego oczy wpatrywały się w nią. Choć miał pysk zaciśnięty na dłoni Anguli, choć ucisk ramienia musiał odbierać mu powietrze, nadal warczał. Nie puści. Był wytresowany, żeby schwycić zdobycz i już nigdy nie uwolnić. Clemencia przyłożyła pistolet do jego łba między oczami, lekko poprawiła kąt, żeby nie trafić Anguli, gdyby kula przeszła na wylot. Angula dyszał i jęczał. Pies rzeził i charczał. Clemencia krzyknęła „nie” i nacisnęła. Raz, drugi.

Tylne łapy bulteriera wystrzeliły w górę, pies wygiął się w łuk, nie wydając żadnego dźwięku i nie puszczając dłoni. Potem jego kończyny zwiotczały, mięśnie zmiękły, po skórze przebiegły ostatnie drgawki. Ciało psa ciężko wisiało u ramienia Anguli. Po śmierci zęby zwierzęcia zacisnęły się jeszcze mocniej, szczęki się zablokowały. Clemencia musiała użyć siły, by otworzyć pysk psa i uwolnić Angulę. Środek dłoni i okolica kciuka były jedną krwawą miazgą. Nie było czasu, żeby się teraz tym zajmować! Clemencia uklękła, żeby uwolnić nogę Anguli z haczyków drutu ostrzowego. Angula stał nieruchomo i bez słowa. Z wnętrza domu dobiegł ich cichy, uporczywy kaszel. To był morderca.

– Szybko, spadamy! – syknęła Clemencia.

Kiedy wyszarpnęła nogawkę spodni Anguli ze zwojów drutu, tkanina

trzasnęła. Angula puścił wreszcie trupa psa, który upadł w pył. Zadźwiewał łańcuch.

– No chodź już! – szepnęła Clemencia.

Angula schylił się i poszukał na ziemi swojego pistoletu. Nieporadnie podniósł go lewą dłonią. Wskazał na drzwi i powiedział:

– Jeszcze są w środku.

– Właśnie! – przyznała Clemencia.

Pociągnęła go za sobą, daleko od domu, przez dziurę w ogrodzeniu, aż znaleźli się w ukryciu. Angula usiadł przy wraku auta, po niewidocznej z domu stronie, plecy i głowę oparł o karoserię.

– To mój błąd – wydyszał. – Myślałem, że on rozjechał oba psy. A potem jeden z nich nagle wyskoczył z ciemności i...

– Widziałeś go?

– Miał już moją rękę, zanim się zorientowałem, co jest grane. Nie było najmniejszych szans...

– Czy widziałeś mordercę?

– Mordercę? – Angula patrzył na swoją rozszarpaną dłoń.

– Skup się, Angula!

– Tam nie było żadnego mordercy, tylko cień, który przemknął nad przodem pick-upa i zniknął w domu.

– Wysoki czy niski? Gruby czy chudy? Biały, czarny? – dopytywała się Clemencia.

– Duch! – powtórzył Angula zdecydowanie. – Inaczej nie mógłby przejść koło tamtego psa.

– Pies jest martwy – powiedziała Clemencia.

To, czy Acheson jeszcze pozostawał przy życiu, było więcej niż wątpliwe.

Po serii z kałasznikowa w domu panował spokój. Clemencia była wprawdzie zajęta innymi rzeczami, ale z pewnością usłyszałyby kolejne strzały. Nie spuszczała oka z domu. Wszystko było ciemne. Nic się nie poruszało.

– Wytrzymasz jeszcze trochę? – zapytała, nie patrząc na Angulę.

– Acheson nie miał szans – powiedział – nie z duchem. A my...

– A my?

Angula podniósł się z trudem, lewą dłonią, w której trzymał pistolet, podparł się na dachu wraku.

– Zastrzelimy go, kiedy tylko wyjdzie.

Ale on nie wychodził. Najwyraźniej miał jeszcze coś do zrobienia w środku. Może plądrował arsenał Achesona, może czegoś szukał. Dokumentów? Dowodów w sprawie zabójstwa Lubowskiego? Clemencia nasłuchiwała. Byli za daleko, żeby dało się usłyszeć kaszel. Nie słyszeli niczego, aż nagle odezwała się druga seria z kałasznikowa. Odgłos strzałów przebrzmiał, a Clemencia wiedziała, że się pomyliła. Acheson przedtem jeszcze żył. Do tej chwili. Fakt, że przez tak długi czas nie było słychać odgłosów walki, mógł oznaczać tylko jedno: zabójca miał Achesona w swoich rękach od poprzedniej wymiany strzałów. Rozbroił go i może postrzelił. A teraz wykonał wyrok.

– Chciał się dowiedzieć czegoś od Achesona – mruknął Angula. – Przycisnął go trochę. Dlatego nie zamordował go od razu.

Angula opierał się o ramę wraku. Pistolet drżał w jego dłoni. Strzeliłby, gdyby coś się poruszyło, ale na pewno by nie trafił. To musiała załatwić Clemencia. Nagle poczuła w sobie wielki spokój. Obserwując drzwi, zastanawiała się, czy Acheson coś powiedział. Mógł się domyślać, że

zabójca i tak nie zostawi go przy życiu. Z drugiej strony, gdyby Clemencia miała wybór między pewną śmiercią i maleńką szansą, żeby jej uniknąć, nie wahałaby się długo. Wyobraziła sobie, jak zabójca zadaje pytania Achesonowi, a potem dodaje obojętnie:

– Tamci nie chcieli nic powiedzieć. Tak sami zdecydowali. Teraz ty możesz wybrać, Acheson. Daję ci pięć minut i nie będę pytał drugi raz.

Acheson wyśpiewał wszystko. Morderca nawet nie musiał obiecywać, że go oszczędzi. Zresztą, jak się Clemencia domyślała, wcale tego nie zrobił. Wydawało jej się, że zna go już całkiem dobrze, choć nigdy się nie spotkali. Wystarczyło wiedzieć, jak on działał. To był człowiek, który nie potrzebował uciekać się do kłamstwa. Szedł swoją drogą, bezkompromisowo, bezwzględny wobec siebie i innych. Wiedział, że w końcu przegra, ale to było mu obojętne. Nie miał przyszłości, miał tylko swoje zadanie. A ono nie zostało jeszcze wykonane.

– Nie spuszczaaj oka z drzwi! – poleciła Anguli Clemencia. Z bronią gotową do strzału przemykała w lewo wzdłuż ogrodzenia. W połowie okrążenia znalazła drabinę opartą o druty. W jednym z okien na tyłach domu były wyłamane deski. Clemencia odwróciła się i popatrzyła w dal Kalahari. Gwiazdy sięgały aż po horyzont.

Przed nimi wznosił się skalny uskoki północnej ściany doliny Nossobu. Szli na przełaj, stale pilnując, żeby Krzyż Południa mieć zawsze po lewej stronie. Przekraczali ogrodzone pastwiska dla bydła, przedzierali się przez krzaki i brnęli po miękkim piasku koryta rzeki. Wieczność zajęło im przejście około dwóch kilometrów, choć gdyby był sam, nie dotarłby nawet tutaj. Ale teraz już nie dawał rady.

Odkaszlnął i opuścił na ziemię torbę, którą miał założoną z tyłu jak plecak. Z jednej strony sterczała lufa kałasznikowa. Rana w udzie chyba przestała krwawić, przynajmniej prowizoryczny opatrunek z jego koszuli przysechł. W nodze czuł piekielny, palący ból. Gdyby miał nóż, mógłby spróbować wyjąć kulę.

– Przestań się tak cackać! – odezwał się z ciemności jego towarzysz. – To tylko niegroźne draśnięcie.

– Kula utkwiała w nodze – zaprzeczył.

– Od tego się nie umiera – stwierdził tamten.

– Nie?

– Nie.

– Ty chyba wiesz najlepiej! – zgodził się.

Jego towarzysz zachichotał. Pojawił się całkiem zniecka, tam, w domu na farmie. Przytrzymał mu drabinę, kiedy mozolnie przechodził nad zasiekami, potem nie odstępował go na krok. Ilekroć ugiwały się pod nim nogi i zaraz miał upaść, towarzysz przypominał mu, że musi wytrwać. Mieli razem jeszcze coś do zrobienia. Przecież praca musi zostać wykonana.

– Tobie to dobrze! – jęknął.

Jego towarzysz odparł:

– Tu nie o to chodzi. Poza tym zawsze jestem przy tobie.

To była prawda. Właściwie przez cały czas przy nim był. Przed domem w Ludwigsdorfie, na lotnisku w Windhuku, przy płonącym samochodzie z trupem w środku, w autobusie do RPA, w Hluhluwe, w ciężarówce, kiedy drzwi naczepy zostały otwarte. Od początku był wiernym towarzyszem podróży, ale od tej nocy również rozmawiał z nim. Teraz powiedział:

– Tutaj nie jest bezpiecznie. Musisz wspiąć się na zbocze i pójść kawałek w głąb sawanny. Potem możesz pospać parę godzin.

Skinął. Musi wejść na zbocze. Jeśli popełźnie na czworakach, nie będzie obciążać zranionej nogi. Zarzucił sobie torbę na plecy, zaczął pełznąć, zjechał w dół, znów z trudem posuwał się do góry, czuł w dłoniach kolce zarośli, rozżarzone igły bólu w udzie. Na samej górze był piasek, miękki piasek. Upadł na bok, zakaszlał, nie wstawał. Jego towarzysz pochylił się nad nim.

– No, wstawaj!

– Już nie mogę – wydyszał.

– Tam dalej jest wyjeżdżona droga. Chcesz, żeby cię odkryli, kiedy się zrobi jasno?

– Muszę odpocząć.

– Potem będziesz miał na to dość czasu.

Spróbował się unieść, podpierając ciało dłonią, zaraz upadł na piasek. Rana jednak krwawiła. A może znów zaczęła.

– Nie będzie żadnego potem – stwierdził.

– Jeszcze nic się nie skończyło – powiedział towarzysz.

Jego twarz była teraz bardzo blisko. Nie wyglądała tak, jak ją sobie zwykle wyobrażają ludzie. Żadnych pustych oczodołów ani białych kości pozbawionych ciała, żadnych wyszczerzonych zębów, gnijących warg. Ta twarz przypominała jego własną, o ile mógł ją sobie przypomnieć. Mogliby być rodzeństwem, jego towarzysz i on, jednojajowymi bliźniętami.

Zamknął oczy. To była pewna pociecha, że nie musiał być sam. Mógł się uważać za szczęściarza, że ma przyjaciela, który nad nim czuwa. Który zimną dłonią zatrzymywał wszystkich, którzy się zbliżali. Mógł spokojnie

spać, mógł nawet stracić przytomność. Nawet gdyby jego towarzysz go okłamał i teraz rzeczywiście by umarł, i tak znajdował się już w odpowiednim towarzystwie. Wszystko było w najlepszym porządku.

Mimo to miał niespokojne sny, o gorączkowym świcie, o kolorze czerwieni, o oślepiającym słońcu, przeskakującym nad nim tam i z powrotem. Widział krążące wysoko sępy i słyszał ciężki łopot ich skrzydeł, kiedy lądowały obok niego. Jego dłoń chwiejnie im pomachała. Jeszcze nie nadszedł ten moment. Nogi już nie czuł. Nawet kaszel był mniej uciążliwy. Za to jego towarzysz zniknął.

Później, kiedy słońce toczyło się już ku zachodowi, wrócił. Przypuszczalnie miał coś ważnego do załatwienia. Jego dłoń poklepała go delikatnie po policzku, jego twarz nachyliła się tuż nad nim. Przez ten dzień bardzo się postarzała, miała teraz głęboko zapadnięte oczy, zrogowaciałą skórę, a w ustach więcej szpar niż zębów. Teraz już bardziej przypominała twarz śmierci.

– Czy już czas? – zapytał.

Śmierć odpowiedziała w języku mlaskowym. On go nie znał. Zastanawiał się, co się dzieje, kiedy ktoś nie posłucha śmierci, bo nie zrozumie jej polecenia, żeby za nią iść. Czy wtedy żyje się wiecznie? Ale śmierć umiała sobie poradzić. Złapała go pod pachami i w kolanach, podciągnęła jego ciało do góry i powlokła do kolein drogi, na której stał dwukołowy, kolorowo pomalowany wózek, z zaprzęgiem złożonym z osiołka i muła. Na koźle siedziało troje brudnych dzieci. Że też i one musiały na drugą stronę!

Śmierć położyła go na platformie wózka i powiedziała coś w swoim niezrozumiałym języku. Największe spośród dzieci zeskoczyło z wózka.

Biegnij!, pomyślał, może jeszcze ujdiesz z życiem. Ale chłopiec wrócił po chwili z jego niebieską sportową torbą, z której wystawała lufa kałasznikowa. Śmierć mlasnęła i wózek ruszył.

Podskakując na wybojach, jechali w upale. Dzieci co chwilę zerkały na niego ukradkiem. Myślał, że teraz, na wozie śmierci, nie musi już mieć skrupułów. Teraz już było wszystko jedno. Uśmiechnął się do dzieci.

– Kiedy wreszcie przyjdą nasze? – pytała Clemencia.

Policjant z Gobabis wzruszył ramionami. Zwłoki Donalda Achesona leżały w jego sypialni. Spod koca, którym ktoś przykrył ciało, wyglądały gołe stopy. Pięty do góry, palce wygięte do środka. Szary koc był gruby i sfilcowany.

Między zwłokami i łóżkiem stała niewysoka komoda, którą Acheson najwyraźniej umieścił tam jako osłonę. Kolejnym środkiem zabezpieczającym było wielkie lustro, ustawione tak, że patrząc od drzwi, widziało się w nim łóżko. I kiedy zabójca celowałby w lustro, Acheson zamierzał zaskoczyć go z boku. Ale ta sztuczka nie zadziałała.

Acheson nie żył, psy nie żyły, Angula był ranny i w drodze do jakiegoś lekarza, morderca zniknął bez śladu, a cała policja regionu Omaheke szukała południowoafrykańskiego kierowcy ciężarówki, Morgana Jakiegoś-tam, który z pewnością był niewłaściwym człowiekiem. Jedna wielka katastrofa. Clemencia wpatrywała się w stopy, w odciski pod palcami. Gdyby wczoraj aresztowała Achesona, teraz by żył.

Clemencia rozumiała, że szef się wściekł, kiedy telefonicznie zawiadomiła go o ostatnich wydarzeniach. Nie broniła się, tylko w milczeniu przyjęła do wiadomości, że Oshivelo chciał się osobiście skontaktować z posterunkami



w Gobabis, żeby uzgodnić dalsze kroki. Clemencia miała natychmiast wracać do Windhuku i zgłosić się do szefa. Jednak nie wyjechała od razu. Nie mogła. Nie, dopóki zwłoki Achesona leżały na deskach podłogi.

Nie pomagało powtarzanie sobie, że przecież tak naprawdę nikogo nie zabiła. A przynajmniej żadnego człowieka. Była ciekawa, jak to wyglądało u Achesona dwadzieścia lat temu. Czy wtedy choć na moment rzucił okiem na Antona Lubowskiego, kiedy skosił go serią z automatu? Czy może wahał się przez krótką chwilę, dopuścił westchnienie, jeśli nie współczucia, to może chociaż wątpliwości?

Clemencia powtarzała sobie, że Acheson był rasistą, mordercą, świnią i tego nie zmieni nawet fakt, że sam padł ofiarą przestępstwa. Bo sam za to odpowiadał. Kto sieje przemoc, zbiera przemoc, nawet jeśli czasami trwa to dwadzieścia lat, aż nasiona dojrzeją. Jeśli chodziło o Achesona, współczucie Clemencji miało swoje granice. Ale nie wiedziała, co zrobić, chciała znaleźć się jak najdalej od tego ciała pod szarym kocem, ale nie mogła.

Clemencia już wiele razy oglądała zwłoki, w Finlandii i w Namibii, na ulicy i w zakładzie medycyny sądowej, kobiet, mężczyzn i dzieci, zastrzelonych, zadźganych. Nigdy nie był to przyjemny widok. Ale dotychczas zawsze potrafiła zachować dystans, jakiego wymagała jej praca. Dlaczego akurat w przypadku Achesona było inaczej, sama tego nie rozumiała. Może dlatego, że jeszcze wczoraj z nim rozmawiała? Albo chodziło o to, że mogła temu morderstwu zapobiec? Że nie była nawet pewna, czy w ogóle chciała mu zapobiec?

Przyglądała się wypukłościom koca. Można by sobie wyobrazić, że tam leży tylko kupka ubrań, gdyby nie te sterczące stopy. Gdyby ktoś chciał je

zakryć, odsłoniłby głowę. Koc nie był zrobiony po to, żeby całkowicie przykryć wyciągnięte prosto zwłoki. A gdyby zgiąć mu kolana? Clemencia nie ruszyła się.

Na zewnątrz policjanci szukali śladów albo nadzorowali robotników Achesona, którzy wyciągali pick-upa z otworu drzwiowego. Poza Clemencią i zwłokami nie było w pokoju nikogo. Przynajmniej nikogo widocznego. Mimo to miała poczucie, że jeśli tylko się poruszy, to zaraz się z kimś zderzy. Jak gdyby śmierć jeszcze tańczyła wokół swojej ofiary. Była bardziej niż wyczuwalna, w tym pokoju była wręcz uchwytna. A gdyby teraz wyciągnęła swoje palce po Clemencię?

– Hej! – zawołała w kierunku drzwi. – Hej!

Nie mogła się tylko ruszać, wtedy nic jej się nie stanie.

– Hej! – zawołała jeszcze raz. Byle tylko nie stracić teraz głowy! Nie spała przez całą noc, była świadkiem strzelaniny, sama zastrzeliła rozwścieczonego bulteriera, prowizorycznie opatrzyła rozszarpaną dłoń, znalazła ciało zlikwidowanego zabójcy. To zupełnie normalne, że była w rozsypce.

– Co jest? – zapytał jeden z policjantów, wchodząc do sypialni. Najwyraźniej niczego nie zauważył, poruszał się zupełnie swobodnie i oczywiście z nikim się nie zderzył.

– Trzeba zabrać zwłoki – powiedziała Clemencia. Jej głos brzmiał obco.

– Ale nosze...

– W takim razie przenieście go na rękach! – rozkazała Clemencia.

Policjant się nie odezwał.

– Muszę zbadać podłogę – wyjaśniła bezradnie.

Funkcjonariusz wyszedł. Clemencia nawet nie drgnęła, póki nie wrócił

z kolegą, żeby zabrać ciało. Dopiero potem się schyliła. Plamy krwi na podłodze zdążyły już zaschnąć. Nie było tam nic do badania. Clemencia przesunęła dłonią po deskach. Trup zniknął, ale śmierć nadal była obecna. Clemencia czuła jej zapach, wyczuwała go przez skórę. Musiała się zagnieździć w tym pokoju. Clemencia wstała. Przynajmniej teraz była już w stanie iść, nawet jeśli poruszała się tak ostrożnie, jakby po omacku szła przez ciemną noc. Opuściła budynek.

Rzeczywiście poczuła się trochę lepiej, gdy tylko znalazła się na otwartej przestrzeni. Niebo było bezchmurne, niebieskie, słońce paliło. Clemencia ustąpiła pola kolegom z Gobabis i zapytała tylko, czy ktoś mógłby ją podrzucić samochodem do doliny Nossobu. Kiedy wreszcie była w drodze do Windhuku, zauważyła, że przygnębienie wcale jej nie opuściło. Towarzyszyło jej coś ciemnego, budzącego strach. Jechało w samochodzie, lepiło się do rąk Clemencji, do jej czoła i tylko szyderczo chichotało, kiedy próbowała sobie wycierać pot. Przyczepił się do niej kawałek śmierci.

Krótko przed Windhukiem Clemencia skręciła w prawo nad zalew Avis<sup>27</sup>. Zostawiła wóz na parkingu i poszła drogą po koronie zapory. Lustro wody znajdowało się niżej niż w poprzednich okresach suszy, więc Clemencia musiała zejść w dół kilka metrów do jeziora. Na pewno dobrze by jej zrobiło, gdyby mogła wskoczyć do środka i popływać, po prostu płynąć, aż znajdzie się na drugim brzegu albo aż opadnie z sił i pójdzie na dno, ale ona tylko podwinęła spodnie i zanurzyła bose stopy w wodzie. Daleko na środku jeziora jakiś biały wiosłował w kajaku. Na drodze okalającej jezioro niewiele się działo. Biegacze pojawiają się dopiero pod wieczór, kiedy temperatury będą znośniejsze. Kilka osób wyprowadzało psy. Nie było wśród nich żadnego bulteriera, o ile Clemencia mogła zauważyć.

Wyciągnęła komórkę i odczytała nowe SMS-y. *Miki* Matilda prosiła o pilny kontakt telefoniczny. *Miki* Selma oznajmiała, że pastor wygłosił przepiękne kazanie, którego treść Clemencia jak najszybciej powinna poznać. Pozostałe wiadomości pochodziły od Clausa Tiedtkego i brzmiały: „Czy pani już się czegoś dowiedziała? Claus Tiedtke”. „Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pani informowała mnie na bieżąco. Claus”. „Cholera, odezwij się wreszcie! Cl”. Clemencia skasowała wszystkie wiadomości i wyłączyła komórkę.

Musiała jechać, wysłuchać kazania Oshiveli i znów zabrać się do pracy. Ten ponury cień w końcu kiedyś zniknie. Acheson nie żył, ale świat się nie skończył. Przed jej oczami woda była spokojna i gładka. Ostre skały z przeciwległego brzegu odbijały się w jej powierzchni. Na południowym, płytkim końcu, gdzie zbiornik zaczynał się kurczyć, poderwały się dwie gęsiówki egipskie, wykonały zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i znów przysiadły na wodzie. Po niebie z wolna przesunęły się na zachód małe białe chmurki. Niczego, co obiecywałoby deszcz i ulgę. Clemencia zdmuchnęła mrówkę z dłoni. Nagle obok niej zatrzymał się krzywołapy jamnik i wyczekująco spojrzął jej w oczy. Potem z tyłu odezwał się jakiś głos:

– No proszę, czyżby specjalnie pani tu przyjechała, żeby oddać mi moje dwieście pięćdziesiąt dolarów?

To był mecenas von Fleckenstein, który wyłożył kaucję za Melvina. Jeszcze tylko jego Clemencji brakowało! Spróbowała się uśmiechnąć, ale sama poczuła, że ta próba się nie powiodła.

– To bardzo chwalebne – dodał von Fleckenstein.

– Dostanie pan swoje pieniądze – zapewniła go Clemencia.

Von Fleckenstein pokiwał głową. Potem przedstawił jej swojego jamnika. Nazywał się Ludwik II. Zdrobniale Luggi. Clemencia koncentrowała się na rytmicznych ruchach kajakarza na środku jeziora.

– Czy coś się stało, panienko?

Von Fleckenstein z ciężkim westchnieniem usiadł obok Clemencji. Jamnik pomaszerował dalej wzdłuż brzegu.

– Przecież coś pani leży na sercu – ciągnął adwokat.

Serce Clemencji było jej sprawą. Nie odczuwała najmniejszej potrzeby, żeby wytrząsać jego zawartość przed byle kim. A już na pewno nie przed starszym o trzydzieści lat, lekko obleśnym adwokatem. Ale też nie ona odpowiedziała. Coś, co nie słuchało jej woli, odezwało się:

– Wie pan, kim był Donald Acheson? Nie żyje. Został zastrzelony wczoraj w nocy.

– Czy to pani...? – zapytał von Fleckenstein.

– Nie – odparła Clemencia. Kajakarz niemal dopłynął do drugiego brzegu sztucznego jeziora. Ustawił kajak w poprzek i czekał, aż fale wyniosą go na ląd. Clemencia dodała po chwili: – Przynajmniej nie bezpośrednio.

– Do nogi, Luggi! – krzyknął von Fleckenstein w stronę psa, potem wyjaśnił: – Już raz ugryzła go żmija. Na szczęście byliśmy blisko auta, więc mogłem na czas dotrzeć do weterynarza.

– Tak, miał pan szczęście – przyznała Clemencia.

Jamnik wrócił pędem do pana, merdając ogonem. Von Fleckenstein pogłaskał psa i powiedział:

– Acheson kropnął Lubowskiego. Ktokolwiek teraz dopadł tego człowieka, zasłużył tylko na order.

Clemencia przyglądała się, jak kajakarz, z trudem zachowując równowagę,

próbuję wstać.

Von Fleckenstein prychnął i powiedział:

– Jeśli ktoś taki jak Acheson zostanie wysłany na drugą stronę Jordanu, to jest to błogosławieństwo dla całego narodu. Dzieło obrony ojczyzny, że się tak wyrażę. Zawsze opowiadałem się za czymś takim, choćby z powodu tradycji rodzinnych. Czy mogę opowiedzieć pani pewną historię, panienko?

– Nie – odparła Clemencia.

– O moim wujku ze strony matki – ciągnął niewzruszenie von Fleckenstein. – To musiało być w latach sześćdziesiątych, w 1962 albo w 1963 roku. W każdym razie jeździł w okolicach Wybrzeża Szkieletów, żeby znaleźć złoto. Należałoby raczej powiedzieć, że jeździł w poszukiwaniu złota, ale do mojego wujka to wyrażenie nie pasowało. Gdyż on zamierzał złoto znaleźć, nie szukając go. Nawet tam, gdzie złota w ogóle nie było. Pomocne przy tym miały być własnoręcznie sporządzone, wzbogacone sproszkowanym złotem naboje. Zamierzał strzelać nimi w wybrane żyły i złoża mineralne. Potem miał je pokazywać potencjalnym inwestorom jako dowód, że warto tu podjąć wydobycie.

Niech tylko pani nie mówi, że to oszustwo. Już sama droga do Ziemi Obiecanej wymagała największego wysiłku. Na Wybrzeżu Szkieletów, na północ od Terrace Bay do dzisiaj prawie nic nie ma, a wtedy nie było zupełnie nic. Żadnych dróg, stacji benzynowych, sklepów, żadnych ludzi ani wody. Tylko kilka słońi pustynnych i masa oryksów, których mięsem można było się najeść, jeśli ktoś umiał jako tako posługiwać się bronią. Czyli mój wuj nie cierpiał głodu, ale mimo wszystko żyło się tam trudno.

No więc po długim dniu pracy siedział pewnego wieczora nad brzegiem

oceanu i patrzył na wodę. Strzelbę na wszelki wypadek miał pod ręką. Fale pędziły na ląd, a za nimi na horyzoncie gasło słońce. Prawdopodobieństwo, że ktoś jeszcze mógł się znajdować w promieniu dwustu kilometrów na północ czy na południe, było bliskie zeru, dlatego mój wuj potężnie się zdziwił, kiedy na morzu, jakieś trzysta metrów od brzegu, zobaczył coś szarego, co bez wątplenia nie należało do morskiej fauny. Ki czort, to niemożliwe, pomyślał wuj, ale kiedy to coś coraz bardziej wynurzało się z wody, nie było już mowy o pomyłce. To była wieżyczka łodzi podwodnej! Wuj przymrużył oczy. Mimo niekorzystnego światła z zachodu rozpoznał czerwoną gwiazdę namalowaną pod włazem. Łódź podwodna sowieckiej marynarki wojennej!

Nie wiem, panienko, czy orientuje się pani w sytuacji politycznej z tamtego okresu. Właśnie skończył się kryzys kubański. Każdy miał świadomość, że o mały włos mogło dojść do wojny nuklearnej między supermocarstwami. Po blokadzie morskiej Kennedy'ego Chruszczow w ostatniej chwili się wycofał i zabrał rakiety z Kuby.

Ale dokąd? Zastanawiał się mój wuj wtedy na plaży Wybrzeża Szkieletów. Czyżby Sowieci chcieli przenieść swoje rakiety na południowy zachód Afryki? Burów z RPA mój wuj tolerował o tyle, o ile dawali mu się naciągać, ale komunistów nie cierpiał jeszcze bardziej. Gdyby oni doszli do władzy, skończyłby się interes ze sprzedażą złotonośnych działek różnym idiotom, którzy dawali najwięcej.

Nie, trzeba było zdecydowanie przeciwstawić się nadciągającej inwazji! Ale Kennedy i jego marines byli po drugiej stronie Atlantyku, a wojska południowoafrykańskie niewiele bliżej. Nawet żeby się dostać do telefonu, mój wuj potrzebowałby co najmniej kilku dni. Co więc mógł zrobić?

Zerknął na okręt, który wyłonił się z wody poza linią przyboju, ale z pewnością na wodach terytorium mandatowego. Mój wuj był sam, był mężczyzną, miał broń i postanowił stanąć na wysokości zadania. A więc naładował strzelbę, przyłożył, wycelował i otworzył ogień zaporowy. Znów załadował i pukał dalej. Osiem strzałów, osiem trafień. Wszystkie w sam środek, czyli w czerwoną gwiazdę na wieżyczce łodzi.

„Skąd wiesz, że nie spudłowałeś?”, zapytałem wujka kilka lat później. Przyznał, że w przypadku łodzi podwodnej skutki celnego strzału trudniej zauważyć niż u oryksa, ale kto tak jak on trafia antylopę z odległości trzystu metrów dokładnie w komorę, ten nie chybi, celując do zupełnie nieruchomo stojącej łodzi podwodnej. Poza tym sukces potwierdził jego celność. Po ósmym strzale okręt zaczął się znów powoli zanurzać, wieżyczka schowała się wśród fal i zaraz potem jak okiem sięgnąć na powrót rozpościerało się niezakłócone niczym morze. Pozostałe okręty biorące udział w inwazji, o których istnieniu wujek był święcie przekonany, nawet się nie wynurzyły. Efekt zaskoczenia, jak tłumaczył. Rosjanie po prostu nie liczyli się z tym, że na tym opuszczonym przez Boga i ludzi wybrzeżu napotkają tak zażarty opór.

Von Fleckenstein pogłaskał psa po pysku. Jamnik kichnął. Clemencia powiedziała:

– Ta cała historia jest wyssana z palca.

Von Fleckenstein przytaknął z markotną miną.

– Mojemu wujkowi też prawie nikt nie uwierzył. Zresztą potem on sam nawet wolałby, żeby ta historia przebiegała inaczej, bo tragiczny koniec dopiero nadejdzie. W podnieceniu, które jest zupełnie zrozumiałe, kiedy znieścacka człowiek ma w swoich rękach losy wolnego świata, no więc



w tym podnieceniu mój wujek sięgnął nie do tej kieszeni i zamiast normalnej amunicji wystrzelał na Ruskich spreparowane złotem naboje. Czerwona gwiazda na łodzi podwodnej pokryła się więc szczerym złotem, podczas gdy mój wujek został z pustymi rękami. Inwestycja została zmarnowana, cała ekspedycja skazana na klęskę. Wuj mógł zarobić miliony, to było pewne jak amen w pacierzu, ale po tym ciosie już się nie podniósł. Nie chcę się skarżyć, że po swojej śmierci zostawił mojej rodzinie same długi. Ale nie mogę się pogodzić z tą okrutną ironią losu. Dlaczego człowiek, który bez wahania wziął na siebie wielkie historyczne zadanie, musiał za to zapłacić szczęściem osobistym? Czy to jest sprawiedliwe? – Clemencia spojrzała na von Fleckensteina. Ten rzucił kamień do wody i oświadczył: – Zawsze mnie fascynowało, jak się rozchodzą kręgi na wodzie.

– Panu wcale nie chodzi o pańskiego wuja, nieprawdaż? Chodzi o Antona Lubowskiego – stwierdziła Clemencia. – To on niesprawiedliwie zapłacił własnym życiem za to, że opowiedział się po słusznej stronie. Pan wymyślił tę historię, żeby do tego dojść, tak? Czy chciał pan przez to powiedzieć, że zabójca po fakcie naprawił niesprawiedliwość? Że słusznie wypuściłam Achesona na śmierć?

Von Fleckenstein potrząsnął głową.

– Chodziło mi oczywiście o mojego wuja. Poza kręgiem mojej rodziny prawie o nim zapomniano. Całkowicie niesłusznie, jeśli mnie pani spyta. Mógłbym jeszcze pani opowiedzieć kilka historii...

– Dziękuję! – rzuciła Clemencia.

Podobno każda tragedia ma swoje komediowe odbicie, ale nie w tym przypadku. Nawet jeśli historia von Fleckensteina była prawdziwa,

w żaden sposób nie można było porównywać jej ze sprawą Lubowskiego. A już na pewno nie miała nic wspólnego z tym, co Clemencia zrobiła lub czego zaniechała. To była miła próba, ale Clemencji niewiele pomogła. Mrok nocy nie ustąpi, kiedy zapalimy zimne ognie. Gdy tylko zgasną, robi się ciemniej niż przedtem.

Clemencia pojechała do komendy i oddała samochód. Na schodach prowadzących do biur wydziału kryminalnego spotkała Robinsona. Przemknął obok, nawet jej nie pozdrawiając. Widocznie Oshivelo nie uznał za stosowne zaczekać i najpierw porozmawiać z nią, tylko od razu zniszczył ją w oczach jej podwładnych. W takim razie ona nie musiała się do niego śpieszyć. Chciała sprawdzić, czy Angula się zgłosił, ale w jego biurze był tylko van Wyk. Położył nogi na biurku i zajadał czipsy. Sterty akt, które jeszcze niedawno wypełniały pokój, zniknęły.

– Polecenie szefa – wyjaśnił van Wyk.

Akta zostały zwrócone. Koniec z chaosem i marnowaniem czasu. Trzeba się wreszcie skoncentrować na rzeczach istotnych. To brzmiało dobrze. Tylko co tu było istotne? I dla kogo? Clemencia nic nie powiedziała. Van Wyk zwinął torebkę z niedojedzonymi czipsami, potem zmienił zdanie i poczęstował Clemencję. Ta zapytała:

– A co z Angulą?

Van Wyk wzruszył ramionami.

– I z Robinsonem?

– Przesłuchanie zakończone sukcesem, ale w złym momencie. – Van Wyk wyszczerzył zęby i z nieukrywaną *schadenfreude* opowiadał dalej: – Angolczyk, którego Robinson wziął w obroty, w końcu po sześciogodzinnym maratonie rzeczywiście przyznał się do zamordowania

van Zyla, Maree i Burgera. I to zeszłej nocy około pierwszej. Czyli mniej więcej o tej porze, kiedy trzysta kilometrów dalej prawdziwy morderca zabijał kolejną ofiarę. Robinson dowiedział się o tym dopiero przed południem, po telefonie Clemencji, w dodatku tak się pechowo złożyło, że wkrótce potem na jego biurko trafił ostateczny wynik ekspertyzy balistycznej. Stwierdził on, że kałasznikow Angolczyka z całą pewnością nie był narzędziem zbrodni. Robinson próbował coś bełkotać o naśladowcach i drugim karabinie. W rozpaczliwej próbie ratowania czegoś, co było nie do uratowania, chciał jeszcze raz przesłuchać Angolczyka przy świadkach. Wreszcie Oshivelo położył temu szaleństwu kres. Uwolniony od podejrzeń Angolczyk był już na wolności, a Robinson został wezwany na rozmowę. – Van Wyk domyślał się, że nie przebiegała ona zbyt miło.

Rozmowa, którą wkrótce miała odbyć Clemencia, zapowiadała się podobnie. Czy powinna poświęcić kilka minut na opracowanie strategii? Ale przecież nie było żadnej strategii, która nie kończyłaby się wykrętami. Prawda była taka, że w jakiś sposób musiała wziąć odpowiedzialność za tę katastrofę. Kto poza nią miałby to zrobić? Wyszła z pokoju i zapukała do drzwi szefa. Oshivelo wskazał jej krzesło. Sam stanął przy oknie.

– Bardzo dobrze, pani inspektor – zaczął – że udało się pani zdobyć prawdziwe nazwisko „Donkerkopa”. Szybko znaleźliśmy mieszkanie Martinusa Cloetego, ale on sam gdzieś się ukrył. Trwają szeroko zakrojone poszukiwania. Wygląda na to, że Acheson powiedział prawdę. To Martinus Cloete jest zabójcą.

– Albo kolejną potencjalną ofiarą – dodała Clemencia. – W każdym razie pewne jest, że brał udział w zamachu na Lubowskiego.

Oshivelo nadal się nie odwracał.

– To już nie jest pani problem, pani inspektor. Pani musi najpierw uporać się ze strzelaniną i innymi przeżyciami. Po tych wyjątkowo stresujących wydarzeniach naprawdę zasłużyła pani na trochę odpoczynku. Tak samo jak Angula. Policjanci to nie są maszyny. Tak to przedstawię opinii publicznej i myślę, że dla każdego będzie to zrozumiałe. Sprawą zaś zajmę się osobiście. Pani tymczasowo zostanie w domu.

– Tymczasowo? – zapytała Clemencia.

Oshivelo w skupieniu wpatrywał się w okno. Diabli wiedzą, co on tam widział! Słońce, ptaki, przechodniów, sprawę, którą teraz mógł manipulować, jak tylko zapragnie. Oshivelo zapytał:

– Ma pani jeszcze jakieś pytania?

Clemencia wstała.

– Czy to znaczy, że jestem oficjalnie zawieszona?

– Musi pani tylko odzyskać zdolność do służby, to wszystko.

Clemencia się odwróciła. Kiedy już była przy drzwiach, Oshivelo dodał jeszcze:

– Pani inspektor, proszę też oddać broń służbową! Tylko z powodu wewnętrznego śledztwa. Przecież nie chcemy plotek, że to pani zastrzeliła Achesona.

Clemencia wyszła bez słowa. Kiedy była już na schodach, jej komórka zasygnalizowała SMS. Claus Tiedtke pytał, czy ona jeszcze żyje. Clemencia odpisała: „Może pójdziemy gdzieś dziś wieczorem?”.

„Cudownie, że pani jeszcze żyje! Kiedy, dokąd?”

„Tam, gdzie jest tak głośno, że nie można rozmawiać”, wystukała Clemencia.

Ndangi Oshivelo, zastępca komisarza głównego namibijskiej policji:  
*Oczywiście Lubowski był tak samo pilnowany jak każdy inny członek partii, którego pozycja łączyła się z jakąś odpowiedzialnością. Zresztą pilnujący też byli naturalnie pilnowani. Tak już jest, kiedy chodzi o władzę. Musisz wiedzieć, co się dzieje w twoich własnych szeregach, bo inaczej przegrałeś na starcie. A jeśli wiesz więcej o swoim przeciwniku niż on o tobie, wtedy jesteś górą. Kuszące, ale też niebezpieczne są próby posunięcia się dalej, czyli na przykład takie zaaranżowanie sprawy, żeby przeciwnik musiał wyciągnąć fałszywe wnioski. Afrykanerzy wspaniale pokazali to w sprawie z czekami.*

*Anton Lubowski był w 1989 roku między innymi zastępcą skarbnika SWAPO i w związku z tym załatwiał znaczną część interesów w imieniu partii. Miał także za zadanie zakupić większą ilość mebli dla powracających z emigracji przywódców partii i ich nowych biur, które w związku ze zbliżającymi się wyborami musieliśmy urządzić stosunkowo szybko. Wszystkie południowoafrykańskie firmy, które mogły zrealizować to zlecenie, znajdowały się w rękach białych, mniej lub bardziej powiązanych z reżimem apartheidu. Z nimi Lubowski nie chciał robić interesów.*

*Akurat dobrze się złożyło, że poprzez francuską ambasadę poznał osiadłego w Windhuku francuskiego biznesmena. Ów Alain Guenon był znany jako zaufany człowiek nie tylko rodziny Mitterrandów, miał także dobre kontakty z Winnie Mandelą i dlatego politycznie nie budził żadnych zastrzeżeń. Guenon zaoferował nam pomoc. Jego firma handlowa, Gijima Express, miała potrzebne powiązania, mogła więc załatwić dostawę mebli szybko i po korzystnej cenie. Przedstawił Lubowskiemu swojego pracownika Roba Colesky'ego, który miał przeprowadzić ten interes.*

*Kwotę ustalono na dwa miliony randów i podpisano umowę. Sto tysięcy randów, które Lubowski dostał w trzech ratach, to równowartość pięciu procent tej sumy, czyli normalna w takich transakcjach prowizja. Czy przyjęcie tych pieniędzy było moralnie w porządku, o tym można dyskutować. W każdym razie Anton Lubowski nie miał z tym problemu. Z tego, co wiedział o swoim partnerze biznesowym, nie mógł się domyślać, że firma Gijima Express była tylko przykrywką południowoafrykańskiego wywiadu wojskowego, a Colesky był przede wszystkim ich agentem.*

*Sprawa komplikowała się jeszcze bardziej, ponieważ na tym ogniu każdy chciał upiec swoją pieczeń. Pierwotnie celem operacji, jak się zdaje, było umieszczenie mebli z pluskwami w biurach SWAPO i prywatnych mieszkaniach naszych przywódców, żeby mieć dostęp do wewnętrznych informacji. W tym celu wszystko musiało przebiegać gładko i nie wzbudzać podejrzeń. Ale Guenon i Colesky chcieli też się na tym wzbogacić, dołożyli więc osiemdziesięcioprocentową prowizję i próbowali przedkładać SWAPO te same rachunki po dwa razy.*

*We wrześniu 1989 roku zauważyliśmy wreszcie, że sprawa zakupu mebli to jakiś podejrzany interes. I to „my” jak najbardziej obejmuje też Antona Lubowskiego. Ewentualnie można by mu zarzucić, że początkowo nadmiernie zaufał Guenonowi, ale nic więcej. Nie podejmował żadnych prób ukrycia przelanych na jego konto kwot ani przemilczania swoich kontaktów. Posądzenie, że zdradził nas z premedytacją, jest absurdalne. Nie, on też został wrobiony. Mimo wszystko lepiej by było, gdyby ta sprawa nie wyszła na światło dzienne. Wpłaty południowoafrykańskich służb na prywatne konto Lubowskiego nie rzucały najlepszego światła na niego ani na całą partię.*

Co to wszystko ma wspólnego z zamordowaniem Lubowskiego? Nic, absolutnie nic. Najwyraźniej u Afrykanerów nie wiedziała prawica, co czyni lewica. CCB i Acheson mieli własną agendę. Jej celem było zakłócenie kampanii wyborczej SWAPO aktami jak najbrutalniejszej przemocy, żeby Sam Nujoma zrezygnował z planowanego powrotu do Namibii. Fakt, że równocześnie toczyła się sprawa zakupu mebli, był czystym przypadkiem. Oczywiście potem nikt w to nie chciał uwierzyć. Trzeba było wszystko logicznie wytłumaczyć, żeby jedna część pasowała do drugiej. Tutaj wszystkie obozy były zgodne, choć głosiły zupełnie różne teorie. Kiedy południowoafrykański minister obrony Magnus Malan został postawiony pod ścianą, zaczął wymachiwać kopiami wpłat dla Lubowskiego, żeby udowodnić, że on i jego ludzie nie mieli powodu, żeby zabijać swojego człowieka. Strona przeciwna twierdziła, że celem służb RPA od początku było uczynienie Lubowskiego podatnym na szantaże. Kiedy się okazało, że jest na to odporny, został zamordowany, a przy okazji udało się przerzucić odpowiedzialność na SWAPO.

Czego więc dowodzi te sto tysięcy na koncie Lubowskiego? Absolutnie niczego. Im bardziej ludzie starają się podbudować swoją prawdę faktami, tym bardziej staje się ona kwestią wiary. Jedna konstrukcja myślowa staje naprzeciwko drugiej. Każda jest tak solidną budowlą, że sprawia wrażenie niezniszczalnej, a jednak obie nie mogą się utrzymać. Może żadna z nich nie jest realna. Może lepiej zrezygnować z doszukiwania się zakulisowych rozgrywek tam, gdzie ich nie ma.

## Sny

Ranek nie był tak straszny, jak się Clemencia po przebudzeniu obawiała. Wzięła prysznic, a potem zjedli razem śniadanie. To znaczy właściwie Clemencia wypła tylko kawę. Jajka sadzone, tosty, dżem i muesli zostawiła nietknięte. Claus przepraszał, że nie ma w domu mielitek. I tak nigdy mu to nie smakowało.

Clemencia skłamała, że to nic nie szkodzi, bo i tak nie jada śniadań. Potem rozmawiali o zwyczajach śniadaniowych i ulubionych potrawach. Clemencia nie wspomniała o swoich koszmarach sennych. Dziwne, że nie występował w nich trup Achesona. Śmierć przeniosła się gdzie indziej, teraz zagnieździła się w oczach bulteriera, między które Clemencia przyłożyła lufę swojego pistoletu. Żółte, złe ślepie, które wyrażały jedynie żal, że kły psa bojowego nie mogą trzymać więcej niż jednej ofiary naraz.

– Może chociaż jakieś owoce? – zapytał Claus.

Kiedy Clemencia potrząsnęła tylko głową, gadał coś dalej, uśmiechając się do niej szeroko. Domyślił się, że lepiej jej teraz nie dotykać. To już coś. Clemencia powiedziała, że musi iść. Zdecydowanie odrzuciła jego



propozycję, że zawiezie ją do Katutury. Jej rodzina i tak jest już nie do zniesienia, a kiedy teraz po dwóch nocach poza domem odwiózłby ją biały mężczyzna...

– Przed kim musisz się tłumaczyć? – zapytał Claus.

– Przed nikim – odparła Clemencia. Najwyżej przed samą sobą, pomyślała. Potem powiedziała: – Ale mimo wszystko...

– Zadzwoń do ciebie – powiedział Claus.

– Dzisiaj nie.

– SMS?

– Jutro.

– Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć? – zapytał Claus.

– Nie.

Dla pewności wyłączyła komórkę, kiedy wsiadła do taksówki. Krótco po godzinie dziesiątej dotarła na Frans Hoesenab Straat. Jeśli chodzi o jej rodzinę, równie dobrze Claus mógłby przenieść ją na rękach przez furtkę. Nie zrobiłoby to żadnej różnicy. Na frontowym podwórku pod plandeką Jessica i kilkoro dzieci z sąsiedztwa skakało w rytm muzyki dobiegającej z baru Mshahso. Tanecznie kołysząc biodrami, Jessica zbliżyła się do Clemencji i zapytała:

– No, i jaki on jest?

– Dlaczego nie jesteście w szkole? – odpowiedziała pytaniem Clemencia.

– Przedłużyli ferie, bo coś się nie zgadza w zapisach i teraz... Ech, zresztą sama nie wiem. Ale ty opowiadaj!

– To nie powinno cię obchodzić – odparła Clemencia.

Jej ojciec siedział na ławce, opierając się plecami o ścianę drewnianej szopy. Skinął Clemencji przelotnie i znów zapadł w drzemkę. Za to jej brat

Melvin nie mógł sobie darować uwagi.

– Szacunek, siostrze, tego musisz się domagać! – powiedział. – Właśnie dlatego, że ten facet jest biały. Jeśli nie będzie cię szanował, ja się z nim policzę. Musisz mu to wytłumaczyć, siostrzyczko!

Melvin odwrócił się i z powrotem zabrał się do majstrowania przy starej lodówce, którą nie wiadomo gdzie kupił, ukradł, znalazł, czy też wytrzasnął w inny sposób. *Miki* Selma na jej widok klasnęła w ręce. Tak się martwili! A ona sobie przychodzi, prawie po tygodniu.

– To były dwa dni – powiedziała Clemencia.

– Dwa najdłuższe dni w moim życiu! – wykrzyknęła *miki* Selma z takim wyrzutem, jakby Clemencia osobiście spowolniła czas. – Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby mnie pastor nie uspokoił. To zupełnie normalne u świeżo zakochanych. „Ależ ojczyźnie wielbny!”, powiedziałam, na co on, że powinnam się tylko modlić, żebyście nie narobili głupstw. Robiliście głupstwa?

– No chodź, pomóż mi, Selmo, muszę już iść.

*Miki* Matilda nie zaszczyciła Clemencji nawet spojrzeniem. Miała na sobie kilka długich do ziemi sukien, w dłoni trzymała zwiniętą gazetę, której kobiety z ludu Herero<sup>28</sup> używają do wzmocnienia swoich tradycyjnych nakryć głowy. Ale sama nie mogła poradzić sobie z owinięciem tej konstrukcji materiałem pasującym do wierzchniej sukni. Nic dziwnego, *miki* Matilda nie uczyła się tego od dzieciństwa. Nie należała do Herero, pochodziła z ludu Damara.

– To z powodu Josepha Tjirondy – wyjaśniła *miki* Selma. – On był Herero.

– Był? – zdziwiła się Clemencia.

*Miki* Matilda pomachała gazetą w powietrzu.

– Od razu wiedziałam, że to bez sensu leczyć go na zapalenie płuc, póki zły urok nie został zdjęty. Zresztą co ja mówię! Bez sensu to za mało powiedziane! Oni go zabili, ci uczeni przemądrzalcy ze szpitala ze swoimi tabletkami i zastrzykami, z tymi piszczącymi i brzęczącymi maszynami. A przecież byłam na najlepszej drodze, już prawie mi się udało pokonać ten urok. To mogła być kwestia godzin, zanim Tjironda...

– A teraz? – zapytała Clemencia.

– Przywrócić go do życia już nie potrafię – wzruszyła ramionami *miki* Matilda.

– Rodzina życzy sobie tradycyjnej uroczystości żałobnej przed ceremonią w kościele – wyjaśniła *miki* Selma.

– Więcej już nie mogą zrobić, kiedy już i tak wysłali go na śmierć w łapy lekarzy!

– *Miki* Matilda musi tam być o dziesiątej – powiedziała *miki* Selma. Budzik na komodzie pokazywał 10.20.

– No cóż – stwierdziła *miki* Matilda – raczej nie wygląda na to, żeby Joseph Tjironda miał dzisiaj w planach coś jeszcze.

– I oni poprosili o to ciebie? – zapytała Clemencia z niedowierzaniem.

– Oczywiście – potwierdziła *miki* Matilda. – Moja sława dotarła też do Hererów. Nie ma lepszych ode mnie.

*Miki* Matilda miała też drugi zawód, była profesjonalną płaczką pogrzebową. Clemencia nigdy nie widziała jej w akcji, ale słyszała, że *miki* Matilda się w tej pracy nie oszczędzała. Rwała włosy z głowy, uderzała się w piersi, jęczała, wyła i krzyczała do całkowitego wyczerpania, czasem nawet traciła przytomność. Jeszcze kilka dni potem była tak zachrypnięta, że mogła tylko skrzeczeć, co było dość przyjemne, głównie dlatego że *miki*

Selma bynajmniej nie wykorzystywała sytuacji, ale solidarnie milczała. Clemencia cieszyła się, że *miki* Matilda w ten sposób mogła trochę dorobić do domowego budżetu, ale miała też pewne zastrzeżenia. Chociażby to, że *miki* Matilda nie do końca potrafiła czysto rozdzielać swoje dwie profesje. Opłakiwanie za pieniądze akurat tych zmarłych, których śmierci nie umiała zapobiec jako uzdrowicielka, mogło tworzyć pole dla dzikich spekulacji, tłumaczyła jej Clemencia. Można było pomyśleć, że to całe hokus-pokus z kurzą wątróbką służyło tylko po to, żeby zapewnić sobie kolejny zarobek.

– To nie jest żadne hokus-pokus – syknęła urażona *miki* Matilda.  
– Ale chodzi mi o połączenie jednego z drugim – tłumaczyła Clemencia. – Gdybym ja na przykład obok mojej pracy zawodowej prowadziła zakład pogrzebowy, specjalizujący się w ofiarach zbrodni...

– Co byłoby całkiem sprytne, bo przecież zawsze jesteś przed konkurencją przy ofiarach czy ich rodzinach – wtrąciła *miki* Selma.

– ...i gdybym tak co tydzień zabijała kilku podejrzanych, na których pogrzebach potem zarabiam pieniądze, ludzie mogliby też zacząć myśleć, że może...

– Mogłabyś zaraz po przekazaniu tragicznej wiadomości składać rodzinom kompletną ofertę: trumna, dekoracje z kwiatów, załatwienie formalności – ciągnęła niezrażona *miki* Selma.

*Miki* Matilda podjęła wątek.

– To jest naprawdę świetny pomysł! Co potrzeba do takiego zakładu pogrzebowego?

– Kilka wzorów trumien na przykład. Ale oszczędności Clemencji powinny na to wystarczyć.

– Przynajmniej mogłybyśmy zaoszczędzić na reklamie.

– Ale ładna nazwa musi być, jak na przykład...

– „Ostatnia podróż!”

– Bzdura, to brzmi jak nazwa jakiejś spelunki z przedmieścia. Tu musi być coś pobożnego. A co powiecie na „In God we trust”?

– Czy tak się nie nazywa firma konkurencyjna? Gdzieś to już chyba...

– Dość! – krzyknęła Clemencia, ale obydwie ciotki nie rozumiały, dlaczego się tak zdenerwowała.

Uzdrowiacze leczą tak dobrze, jak umieją, zmarłych należy opłakać i pogrzebać, a żywi muszą pilnować, jak tu przeżyć z dnia na dzień. Tak było i już. Co w tym skomplikowanego czy naganego?

– Dziecinko – powiedziała *miki* Matilda – jeśli masz jakiś problem ze światem, to niekoniecznie musi być wina świata.

Może nawet było w tym trochę prawdy. Może Clemencia powinna nauczyć się od *miki* Matildy rzemiosła płaczki. Mogłaby nawet korzystać z tych technik na własny użytek. Wykrzyczeć z siebie strach, mrok i śmierć, która weszła jej pod skórę, wyrzucić z siebie wszystko, aż poczuje się całkiem pusta. Aż znów będzie w stanie otworzyć się na nowe, które przynosi każdy dzień.

*Miki* Matilda coś powiedziała. Jej głowę wieńczyło teraz tradycyjne nakrycie głowy kobiet Herero z podobnymi do rogów wypustkami.

– Słucham? – zapytała Clemencia.

– Czy możesz mi pożyczyć swoją komórkę? Jeszcze nie miałam kiedy sobie kupić nowej karty Airtime.

Clemencia słuchała, jak *miki* Matilda dopytuje się przez telefon o obecnych krewnych Tjirondy. Ach, ciotki i kuzyni z Otjiwarongo też przyjechali? Zmarły na pewno by się ucieszył. Tak, to był dobry człowiek. Bardzo

rodzinny. Z całą pewnością zasłużył sobie na ceremonię, której niczego nie zabraknie.

– Gdzie dużo nawozu, tam wielka rodzina – szepnęła do Clemencji *miki* Selma.

Clemencia nie знаła tego przysłowia, ale jego znaczenie było jasne. Gdzie jest dużo nawozu, jest też dużo bydła, a przy takim bogactwie nawet dalsza rodzina liczyła na utrzymanie. *Miki* Selma najwyraźniej uważała, że tylko rodzone ciotki mają prawo żerować na członkach rodziny zatrudnionych w policji.

Tymczasem *miki* Matilda przysięgała do telefonu, że będzie na miejscu lada chwila. Już siedzi w taksówce. Clemencia odliczyła drobne, o które i tak zostałyby zaraz poproszona. Oczywiście *miki* Matilda nie mogła przed rodziną Tjirondy wyjść na kłamczuchę. Zresztą w tym upale i ciężkim stroju Herero trudno było sobie wyobrazić marsz na drugi koniec Katutury. *Miki* Matilda wzięła pieniądze, jakby była to opłata należna za oddanie komórki. Potem z podniesioną głową poszła do furtki. Zanim *miki* Selma znalazła okazję, żeby wypytać ją o wydarzenia ostatniej nocy, Clemencia uciekła do swojego pokoju. Już na progu poczuła jakiś dziwny, duszący zapach. Coś gnijącego? Mleko rozlane jakiś czas temu? Clemencia otworzyła okno i gdy tylko dało się normalnie oddychać, wszczęła poszukiwania. Źródło zapachu znalazła bez trudu. Wystarczyło prześledzić lot much kierujących się pod łóżko. Schyliła się.

Na podłodze pod jej łóżkiem był ułożony krąg z małych kostek, w jego środku, w filiżance znajdowała się niezidentyfikowana ciecz, która wydzielala ten przenikliwy zapach. Także i kości gromadziły dużo much. Przypuszczalnie *miki* Matilda zamarynowała je w tej nieapetycznej cieczy.

O brzeg filizanki było oparte niewielkie lusterko w różowej plastikowej ramce i zdjęcie Clausa Tiedtkego. Drewniany różaniec ułożony jakby trochę przypadkiem wśród kostek zdradzał, że *miki* Selma też maczała w tym palce.

Clemencia wstała, poszła do straganu na ulicy, bez słowa pociągnęła za sobą *miki* Selmę i zaprowadziła do pokoju. Potem wskazała podłogę pod łóżkiem. *Miki* Selma wydeła nozdrza, rozłożyła ręce i powiedziała:

– To nie był tak naprawdę tradycyjny przepis. Właściwie powinno się zapalić korę albo korzenie jakiegoś krzewu, ale Matilda nie mogła sobie przypomnieć jakiego. Już tak dawno nie robiła przecież czarów miłosnych. Musiałyśmy więc trochę improwizować. W każdym razie pomogło. Nie powiesz chyba, że nie?

– Zabierz stąd natychmiast te śmieci! – poleciła Clemencia.

– Matilda twierdzi, że prawie we wszystkich przypadkach, kiedy czar rzekomo nie działa, ludzie nie dają mu dość czasu. Wydaje mi się, że do tego zapachu można się przyzwyczać, poza tym możesz w nocy spać przy otwartym oknie.

– Zabierz to! – syknęła groźnie Clemencia.

– No, skoro jesteś taka pewna!

Mamrocząc coś pod nosem, *miki* Selma poszła po zmiotkę i szufelkę. Wyprostowanymi palcami wyjęła drewniany krzyż, lusterko i zdjęcie. Potem zabrała filizankę. Przy zmiotaniu reszty na szufelkę pouczyła Clemencję, że nie należy zbyt pochopnie wierzyć mężczyznom. Jeden dzień czy dwa każdy się może starać, kiedy chce czegoś od kobiety, ale kto się naprawdę nadaje na męża, to okazuje się dopiero po pewnym czasie. Nie żeby chciała udaremnić zaplanowany ślub Clemencji, ona tylko prosi

o rozwagę. I o to, żeby Clemencia nie odrzucała tak bezwzględnie pomocy dwóch silnych, doświadczonych kobiet, które swoje już przeżyły.

Ze zdjęcia Claus Tiedtke uśmiechał się tak niepewnie, jakby właśnie ktoś uświadomił go co do rodziny Clemencji.

– Skąd to masz? – zapytała Clemencia.

*Miki Selma rozłożyła ręce.*

– Twój narzeczony sam mi to dał. Słowo! Jeśli może mi w ten sposób sprawić przyjemność, to proszę bardzo. Tak powiedział.

Clemencia pokręciła głową z niedowierzaniem, potem zapytała:

– A wy jak dostałyście się do mojego pokoju?

*Miki Selma wyniosła z pokoju szufelkę.*

– Fuj! – powiedziały Jessica i jej przyjaciółki, kiedy ciotka wyrzucała kości do śmietnika.

Selma wyjaśniła:

– Pomógł nam kolega Melvina. To dopiero zręczny chłopak. Ani się obejrzałam, a już otworzył zamek.

Melvin siedział przed swoją lodówką i uśmiechał się szeroko.

Nie był pewien, czy żyje, czy już umarł. Fakt, że nie czuł bólu, przemawiał za śmiercią. Kaszel natomiast przeciwko. Może był martwy, ale teraz znów ożył. A może właśnie umierał po raz enty. Tak to wyglądało ze śmiercią i życiem.

Jakieś ramię wsunęło się pod jego plecy i je wyprostowało. Głowa opadła mu do tyłu. Gdyby teraz otworzył oczy, zobaczyłby, co jest za tą czernią. Za czernią, która wcale nie była taka czarna, tylko wyglądała raczej jak gdyby tysiące kolorów migotało równocześnie, tak że się niemal stapiały



w jedną ciemną barwę. Ale tylko prawie. To szybkie migotanie go drażniło. Nie chciał nic widzieć, absolutnie nic, ale nie wiedział, jak tego dokonać. Co jeszcze mógł zrobić oprócz zamknięcia oczu?

Jakaś dłoń podparła mu głowę, przy ustach poczuł coś metalowego. Zaokrąglony brzeg. Kubek albo inne naczynie. Poczuł, jak kilka kropli spływa mu z kącika ust po brodzie. Próbował otworzyć usta i chyba mu się udało, bo odrobina płynu zwilżyła jego suchy język i szorstkie podniebienie. Napój był piekielnie gorzki. Ale to było w porządku. No bo jak powinien smakować? Może słodko? Przełknął, odkaszlnął, zaczekał, aż kubek znów znalazł się przy jego ustach, znów przełknął.

Jego tułów opuszczał się powoli do pozycji leżącej. Nie był pewien, czy podpierają go jakieś dłonie, był tylko zdziwiony, że głowa nie opada mu bezwładnie. Kiedy znów leżał na plecach, zobaczył ponownie migotliwą czerń i usłyszał coś, co mogło się kojarzyć z ćwierkaniem ptaków. Zastanawiał się, gdzie już raz słyszał coś takiego. A potem zrozumiał, że to był człowiek mówiący w języku mlaskowym. Ale to nie była śmierć, chyba że teraz posługiwała się innym głosem.

Chciał powiedzieć, że niestety nie rozumie ptasiej mowy, ale nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku, nie potrafił też przypomnieć sobie, co trzeba zrobić, żeby przemówić. Poza tym to wcale nie była prawda. Rozumiał wszystko, co mówił ten głos, choć słowa nie były znajome. Słuchał opowieści o Pierwszym Stworzeniu, historii z pradawnych czasów, w których wszystko wyglądało inaczej. Wzgórza chodziły tam i z powrotem, a ciała niebieskie nawet jeszcze nie były na swoich miejscach. I tak Człowiek Słońce siedział na ziemi i chował światło pod swoją pachą. Jedynie kiedy podnosił ramię, robiło się tak jasno, że

ludzie mogli polować. Ale równocześnie było tak gorąco, że byli okropnie poparzeni. Gwiazdy pojawiły się na niebie dopiero wtedy, gdy pewna dziewczyna się zezłościła, bo matka nie chciała jej dać jedzenia, które właśnie smażyła. Dziewczyna sięgnęła do paleniska i rzuciła wszystko w noc. Ze smażonych warzyw i węgla powstały gwiazdy, a z popiołu Droga Mleczna.

Wtedy zwierzęta były jeszcze ludźmi, nawet jeśli już miały swoje nazwy. Mówiły, tańczyły, brały ślub i nawet słonie jadły mięso, kiedy mogły je zdobyć. Dopiero po tym, jak ludzie zrabowali strusiowi ogień, zwierzęta stały się zwierzętami. Albo – jak mówią inni – kiedy Haitsi-Aibeb<sup>29</sup> je rozgonił, bo świętowały jego śmierć.

Próbował kiwać głową. Zgadzał się całkowicie, że Pierwsze Stworzenie musi zostać usunięte. W tej kwestii stał po stronie Haitsi-Aibeba, czy jak on się też nazywał. Ale te historie jeszcze się nie kończyły. Coraz to nowe zdania w ptasim języku starej kobiety wirowały wokół niego, obracały się jak piórka perliczki na lekkim wietrzyku, opadały, przykrywając go pierzaście. Ogarniało go błogie ciepło i drzemał pod kołdrą z rozćwierkanych słów, był zmęczony.

Czas stał w miejscu i ilekroć się budził, wlewali mu do ust gorzki płyn. Przelykał, kaszlał i wsłuchiwał się w ptasie dźwięki, które tłumaczyły, jaka jest dzisiaj różnica między człowiekiem i zwierzęciem. Zwierzę zawsze było tym, czym było, podczas gdy człowiek mógł się przemienić w szakala, żółwia, sowę czy każde inne zwierzę z Kalahari. I każdy chętnie to robił. I kiedy się widziało szakala, nikt nie miał pewności, czy naprawdę był to szakal, czy człowiek, który dla jakichś mrocznych celów przybrał jego postać. Jeśli ktoś przesadzał z tymi przemianami, wkrótce sam już nie

wiedział, kim lub czym tak naprawdę jest. Dlatego potem z coraz większym trudem wracał do swojej dawnej skóry.

Nagle poczuł obok siebie jakiś ruch, a potem dotyk czegoś chłodnego na udzie. Jego oczy otworzyły się jakby same z siebie. Ujrzał nad sobą gliniastą powierzchnię, z której tu i ówdzie wystawały ułożone w poprzek gałęzie. Dach wiejskiej chaty. Podparł się łokciem. W półmroku rozpoznał starą kobietę, która nieprzerwanie mamrotała coś pod nosem. Przycupnęła obok niego na piętach i nakładała jakąś roślinną maź na jego ranę w udzie. Trójka dzieci po drugiej stronie łóżka przyglądała się temu w milczeniu.

– Jaki dzisiaj jest dzień? – zapytał.

Staruszka zakołysała głową na boki. Przykryła masę na jego udzie jakimś gałganem i zawiązała opatrunek.

– Jak długo spałem? – zapytał znowu. Zakaszłał głęboko, z samego dna płuc.

Staruszka odpowiedziała coś w swoim ptasim języku, chłopiec z drugiej strony jego posłania zaćwierkał do niej, na co stara udzieliła krótkiej odpowiedzi.

– *Nok nie lank genoeg nie* – przetłumaczył chłopiec na afrikaans. Jeszcze nie wystarczająco długo.

Dłoń starej kobiety łagodnie naciskała jego klatkę piersiową. Jej palce przypominały ptasie szpony, ale to mu nie przeszkadzało. Teraz znów leżał na plecach wyprostowany. Jeszcze nie wystarczająco długo? Zamknął znów oczy i pozwolił się otulać historiom opowiadanych ptasim językiem. Było ich wiele, gdyż każdy pagórek, każdy krzak i każda ulewa miały własną, która chciała być opowiedziana, a w każdej opowieści spoczywał zwykle załączek następnej. I tak to będzie się toczyło aż do końca świata,

zresztą nawet on będzie miał swoją historię, która będzie czekała, żeby ją opowiedziano w kolejnym Stworzeniu. Liczył na to, że dowie się czegoś o szakalu, który próbował się przemienić w człowieka, choć właściwie było to niemożliwe, ciekawiło go, czy szakalowi uda się mimo wszystko. Ale czekał na próżno. Widocznie nie było na to czasu. Wtulił się więc błogo w świergot o małej mądrej dziewczynce o imieniu Gatsing, która uciekła na drzewo przed ludojadem. Kiedy ten zaczął trząść drzewem, Gatsing wezwała sępa i poprosiła go, żeby zaniósł ją do domu. Ludojad biegł za nią i bezskutecznie walił w jej cień. Potem wysłuchał, jak Tsui-Goab otrzymał swoje imię, „Bolące Kolano”. Umierający Gaunab zranił go w kolano. Dlatego wszyscy nazywali go od tego czasu Tsui-Goab, a jego pierwotne imię zostało zapomniane. I tak snuła się opowieść za opowieścią, dowiedział się więcej o Haitsi-Aibeb, innych sprytnych półbogach, o krwiożerczych drapieżnikach i dzielnych myśliwych, aż w końcu zasnął i spał kilka godzin, dni, a może lat. Kiedy się obudził, starej kobiety nie było. Wokół niego siedziała trójka dzieci, starzec, którego wziął wtedy za śmierć, i młoda kobieta, która odezwała się do niego w afrikaans:

– Jesteś bardzo chory.

– Nie – zaprzeczył.

Kobieta przypuszczalnie była matką dzieci.

– Szukają cię – mówiła dalej. – Zabiłeś policjanta. I jeszcze jednego człowieka, tam za rzeką, po drugiej stronie Nossobu.

– Tak – przyznał. Przypomniawszy sobie.

Trójka dzieci przyglądała mu się wielkimi oczami. Nie okazywały strachu. Dzieci boją się najróżniejszych rzeczy, ale nigdy tego, co jest naprawdę

niebezpieczne.

– *Hoekom?* Dlaczego? – zapytała kobieta.

Rozejrzał się po lepiance. Jego niebieska torba stała przy wyjściu, lufa kałasznikowa wystawała na zewnątrz.

– Dlaczego ich zabiłeś?

Zakaszłał. Spał długo, ale niewystarczająco długo, żeby móc zmienić się w coś innego. Wreszcie odpowiedział:

– Zabiłem ich, bo nie pozwalali żyć moim dzieciom.

Siedział na cienkim materacu z gąbki, na który narzucono brązowy koc. Takie koce rozdają organizacje humanitarne, kiedy w porze deszczowej połowa północy kraju zostaje zalana. Ale teraz nie był na północy i nie było powodzi. Panowała susza.

– Kłamiesz? – zapytała kobieta.

– Nie – odparł.

Wszystko było duszną, parną nocą, a oczy bulteriera jarzyły się jak dwa księżyce. Zasysały spojrzenie, aż można się było zgubić w ich zimnym blasku. Na próżno szukać w nich czegoś ludzkiego. W końcu chodziło o oczy zwierzęcia. Psa bojowego, w dodatku nieżywego. Clemencia tylko wyobrażała sobie te bladożółte lampy. Unosiły się nad nią w ciemnościach, tak blisko, że bulterier szybkim kłapnięciem mógłby rozszarpać jej twarz, gdyby był tu naprawdę. Clemencia nie znała się na psach. Kiedyś, była wtedy jeszcze mała, wzięli do domu kundelka. Zwierzę miało już sparaliżowaną tylną łapę, kiedy się do nich przybłąkało. Pies plątał się nieporadnie wszystkim pod nogami, a wkrótce potem przejechało go auto. Clemencia chciała pochować go na tylnym podwórku, ale *miki* Matilda

powiedziała, że to wykluczone. Potem ciało psa gdzieś zniknęło. Clemencia nie wiedziała, jak się tresuje psy. Na pewno niektóre rasy miały wrodzony albo wypracowany w hodowli instynkt zabijania, ale to, co rozpoznała w oczach bulteriera Achesona, było czymś więcej. Był to efekt totalnej tresury, po której zwierzę nie tylko ściśle wykonuje swoje zadanie, ale wręcz się nim staje. Nie liczyło się nic innego, jak tylko ugryzienie, przytrzymanie zdobyczy i zniszczenie jej, nawet za cenę własnego życia. Clemencia była pewna, że pies wiedział, co się stanie, kiedy ona naciśnie spust pistoletu. Było mu to obojętne, nie umiał inaczej. Był więc bezlitosną maszyną do zabijania, a równocześnie bezbronną ofiarą. Czy to dlatego Clemencia nie potrafiła zapomnieć tamtego spojrzenia psich oczu tuż przed strzałem?

Wpatrywała się w żółte światła nad sobą, już prawie nie bojąc się ich chłodu, okrucieństwa, zabójczej determinacji. Te oczy nie widziały żadnej szansy, żeby coś zmienić, nie podejrzewały nawet istnienia jakiegokolwiek alternatywy. Czyżby to samo dotyczyło tajemniczego zabójcy? Czy właśnie to czyniło go doskonałym mordercą, że był totalną ofiarą? Uwięziony pomiędzy obsesjami, sytuacjami, relacjami, które były bez wyjścia, bo obejmowały i określały wszystko.

Cholera!, pomyślała Clemencia. Czyżby czuła litość? W stosunku do wielokrotnego zabójcy? Naprawdę nie należało do jej obowiązków usprawiedliwianie jego czynów. Jego motywy powinny ją interesować o tyle, o ile mogły doprowadzić do ujęcia i skazania go. Ale nawet to już nie było prawdą. Clemencia została wysłana na przymusowy urlop. To wszystko już jej nie obchodziło. Gdyby tylko te nadnaturalnie wielkie oczy bulteriera nie wyglądały z każdego kąta pokoju!

Było potwornie gorąco. Clemencia wstała i wyszła, żeby wziąć prysznic. Z baru Mshasho dudniły basy. Na ulicy ryczało kilku pijaków. Zimna woda dobrze jej robiła, ale ledwie Clemencia położyła się na łóżku, znów była tak samo spocona jak przedtem. Włączyła komórkę, skasowała trzy SMS-y od Clausa Tiedtkego i zadzwoniła do Anguli. Choć dochodziła druga w nocy, zgłosił się już po drugim sygnale. Najwyraźniej on też nie mógł spać.

– Jak tam twoja ręka? – zapytała Clemencia.

– Jakoś będzie.

– To dobrze. Zawsze to coś.

– Tak – zgodził się Angula.

– Angula? – zapytała Clemencia. Chciała się dowiedzieć, czy on też widzi nad swoim łóżkiem świecące ślepie bulteriera.

– Szefowo? – Angula też powiedział to pytająco.

– „Donkerkop” nie jest zabójcą – powiedziała Clemencia. – Inaczej by nie uciekł. Morderca nie jest typem, który morduje, ucieka, a potem wraca do swojego normalnego życia. On nie ma normalnego życia, teraz to rozumiałam. Jego życie stanowi ta misja. Gdyby to był „Donkerkop”, który chciał usunąć swoich kompanów po zabójstwie Lubowskiego, wtedy praca zakończyłaby się na zabiciu Achesona. Wtedy „Donkerkop” usiadłby obok zwłok Achesona i zaczekał na nas. Albo sam by się zabił. Morderca postawiłby ostatnią kropkę, ponieważ...

Clemencia urwała. Morderca był psem bojowym, który znalazł swoje przeznaczenie. Moment, dla którego żył. Potem nic już nie będzie.

– W każdym razie ja bym nie uciekła – ciągnęła Clemencia – ale on to zrobił, a to znaczy, że jeszcze nie skończył. Brakuje jeszcze jednego, który

wtedy był tam na miejscu. Mianowicie „Donkerkopa” *alias* Martinusa Cloetego. On jest ostatnią ofiarą, dlatego nie może być zabójcą.

Z ulicy doleciał dźwięk rozbijanej butelki. Potem słychać było podniesione męskie głosy.

– Angula? – powiedziała Clemencia do telefonu.

– Szefowo?

– Co ty myślisz?

– Oshivelo kazał zabrać akta z mojego biura. Wszystkie! – wyrzucił z siebie Angula.

– Wiem – przyznała Clemencia.

– Nawet gdybym jeszcze raz się do nich dostał – mówił dalej Angula – to kto mi zagwarantuje, że nagle nie zniknęły najważniejsze dowody?

– Nikt – odpowiedziała Clemencia.

– Właśnie – przytaknął Angula.

Przed domem jakiś męski głos ryknął, że jest mu wszystko jedno, że siostra pracuje w policji. Niech no ona tylko tu przyjdzie, jeśli ma odwagę.

Clemencia jeszcze silniej przycisnęła komórkę do ucha i zapytała:

– Ale twoja dłoń znowu będzie sprawna, prawda?

– Moja dłoń? – powtórzył Angula. – Nie wiem. Myślę, że tak.

– Zawsze to coś.

– Tak – przytaknął Angula.

– A więc... – powiedziała Clemencia.

– Dobranoc, szefowo – pożegnał się Angula. Odłożył słuchawkę.

Na zewnątrz zabrzmiał śmiech. Oddalał się powoli, a potem zapadła cisza.

Nawet muzyka w barze Mshasho ustała. W ciemnościach pokoju oczy bulteriera zawsze wędrowały w to miejsce, w które Clemencia kierowała



wzrok. Była ciekawa, co widział przed sobą zabójca, kiedy nie mógł spać po nocach. Przygasłe oczy, kapiącą krew? Czuła, że był zmęczony, bezgranicznie zmęczony, tęsknił do chwili, kiedy będzie się mógł udać na spoczynek.

Kiedy Clemencję obudził klakson, który nie przestawał trąbić na ulicy, było już jasno i potwornie gorąco. Udało jej się niezauważenie przemknąć pod prysznic, żeby się odświeżyć. Chyba niewiele to dało, bo gdy wyszła, *miki* Selma załamała ręce i oświadczyła głośno, że Clemencia jeszcze nigdy tak źle nie wyglądała. *Miki* Matilda dodała chrypliwie, że nawet zwłoki Josepha Tjirondy miały w sobie więcej życia. Reszta jej wywodów utonęła w rzeźeniu. Siostra Clemencji Constancia zaproponowała, że może jej przynajmniej wpleść piękne kolorowe pasemka we włosy, a *miki* Selma z żalem stwierdziła, że w tej chwili nie może zaparzyć herbaty roiboos, która jak wiadomo, w takiej sytuacji potrafi zdziałać cuda, bo akurat dzisiaj rano władze komunalne odcięły im prąd, choć oni tylko trochę zalegają z opłatami. To skandal, szczególnie że przez święta cała Independence Avenue w Katurze aż do Ausspannplatzu była obwieszona kolorowymi lampkami, które zużywały tyle prądu, że wystarczyłoby go – tu Selma miała absolutną pewność – nie tylko do rozgrzania płyty jej kuchenki elektrycznej, ale i na to, by wszystkie światła w domu paliły się i paliły jeszcze długo po jej, oby jak najodleglejszej, śmierci.

Przy okazji *miki* Selma napomknęła, że władze miasta swoją nieprzemyślaną akcją wyłączenia prądu sabotowały także cele programu edukacyjnego „Vision 2030”. Bo właściwie to Timothy i Jessica nie powinni opuszczać pierwszego dnia w szkole, ale ktoś przecież musiał nazbierać drewna, żeby przynajmniej można było gotować na palenisku za

domem. Gdzież oni się podziewają? Całe szczęście, że radio działa na baterie. *À propos*, morderca Clemencji, to znaczy nie jej w tym sensie, że ją zamordował, tylko morderca, którego ona ściga, w każdym razie ten Martinus Cloete, pojawił się w wiadomościach. Pewnie było o nim też w telewizji, ale niestety nie mogli oglądać. Ktokolwiek wie coś o miejscu jego pobytu, powinien zawiadomić policję. Poza tym ostrzegano, że jest niebezpieczny. Jest uzbrojony i zdesperowany. Czy Clemencia o tym wiedziała?

– Martinus Cloete? To nie on – powiedziała Clemencia.

– Ale skoro mówią w radiu...

– To nie jest morderca – powtórzyła Clemencia.

Umknęła do pokoju i zadzwoniła na prywatny numer komórki Tjikundu. Zamiast w centrali był w warsztacie samochodowym Martinusa Cloetego na Mandume Ndemufayo Avenue. Siedział tam w niewielkim biurze z pracownicą Cloetego i wbijał jej do głowy, co ma powiedzieć, gdyby zadzwonił jej szef. Koledzy, którzy na podwórzu pocili się w kuloodpornych kamizelkach, trafili o wiele gorzej.

Tjikundu twierdził, że Oshivelo rozpętał taką zawieruchę, jakiej w namibijskiej policji nie było od czasu uzyskania niepodległości. Każdy, kto tylko był w stanie utrzymać broń w jednej ręce i zdjęcie Martinusa Cloetego w drugiej, został wysłany na ulicę. W całym kraju ustawiono dziesiątki blokad na drogach, przeczesano hotele w Windhuku, a każda osoba, która miała jakikolwiek kontakt z Cloetem, od sprzedawcy gazet aż po klientów jego warsztatu, została gruntownie sprawdzona. Gdzieś przecież musiał znaleźć kryjówkę. Oshivelo chciał za wszelką cenę go znaleźć, żywego albo martwego, jak powiedział.

– To nie ten człowiek – oznajmiła Clemencia.

Zapytała o prywatny adres Cloetego. Kiedy dodała, że to tam zjawi się prawdziwy morderca, Tjikundu tylko się zaśmiał. Jeśli ten człowiek naprawdę istnieje, zastanowi się najpierw dwa razy.

– Co on tam może zrobić? – zapytał Tjikundu. – Cloete się ukrywa. Poza tym budynek jest pod ścisłą obserwacją.

Miał rację, ale Clemencia wiedziała, że zabójca i tak się pojawi. Przynajmniej będzie chciał sam się przekonać, jak wygląda sytuacja. To nie był ktoś, kto polegał na pogłoskach. Czy będzie potem cierpliwie czekał? A może spróbuje na własną rękę odnaleźć kryjówkę „Donkerkopa”?

– Co z tobą, Clemencio? – zawołała *miki* Selma zza drzwi.

– Nic – odkrzyknęła Clemencia.

Wybrała numer Anguli, ale jego telefon milczał.

– Nie musisz iść do pracy? – *Miki* Selma wsunęła głowę przez drzwi.

– Zostałam zawieszona.

– Co?

– To prawie tak, jakby mnie wyrzucili.

– Dziecino! – wykrzyknęła *miki* Selma.

Przeżegnała się i zamknęła drzwi. Clemencia chciała za chwilę jeszcze raz spróbować złapać Angulę. Przydałoby się jej wsparcie, kiedy będzie czekała na zabójcę przy domu Cloetego. Policjanci pilnujący tamtego miejsca nawet go nie zauważą, przecież nie wiedzą o jego istnieniu, są nastawieni wyłącznie na dość mało prawdopodobny powrót właściciela domu. Clemencia odruchowo sięgnęła do kabury na biodrze. Ale niczego tam nie było, jej broń leżała w magazynie komendy policji. Wyszła

z pokoju i zamknęła drzwi na klucz.

Obok paleniska leżało kilka połamanych desek. Nikt jeszcze nie rozpałił ognia. Przejście na frontowe podwórko zagradzała rodzina. *Miki* Matilda, *miki* Selma, Melvin, Constancia i jej dzieci oraz dwoje kuzynów, którzy zamieszkali tu tymczasowo, kiedy Clemencia była na farmie Achesona. Nawet jej ojciec wstał z ławki.

– Co się dzieje? – zapytała Clemencia.

– Dokąd idziesz? – wychrypiała *miki* Matilda.

– Na chwilę do miasta.

– Wyrzucili cię z pracy?

– Na razie nie musicie się martwić, jeszcze mi płacą – wyjaśniła Clemencia. – Płacą mi pensję, choć nie mogę pracować. Czy to nie wspaniałe?

– Wyrzucają cię, bo nie wierzą, że znasz prawdziwego mordercę?

– Nie znam go – zaprzeczyła Clemencia.

– Ale jesteś na jego tropie?

Clemencia nie odpowiedziała. Z jakiegoś powodu przypomniały się jej oczy bulteriera, które wpatrywały się w nią ostatniej nocy.

– Masz go na celowniku – stwierdziła Constancia.

– I to całkiem sama – dodała *miki* Selma. – Ale ten człowiek jest niebezpieczny. Nie poradysz sobie z nim, dziecinko!

– Nie bez naszej pomocy! – zaskrzeczała *miki* Matilda.

– Telewizor i tak nie działa – stwierdził Melvin – to równie dobrze możemy...

– Chyba powariowaliście! – Clemencia potrząsnęła głową.

– Sama nie pójdziesz. W żadnym wypadku! – *Miki* Selma skrzyżowała

ramiona.

– Powiedz coś i ty, tato! – dołączyła się Constancia.

*Miki* Selma tylko prychnęła. Od czasu do czasu napomykała, że męska głowa rodziny jest po to, żeby utrzymywać swoich krewnych. Jeśli mężczyzna – powody nie miały tu znaczenia – tego nie robił, nie miał jej zdaniem nic do powiedzenia.

Ojciec Clemencji zresztą nigdy nic nie mówił, siedział tylko, milcząc, na ławce w cieniu, czasem na ulicy przy straganie, obserwował przechodniów i nawet swoich dawnych przyjaciół pozdrawiał jedynie skinieniem. Jakież stary i przygarbiony się stał! Twarz miał zapadniętą, czapka z daszkiem, którą od trzydziestu lat zdejmował tylko do spania, wyglądała, jakby była za duża. I kiedy teraz otworzył usta, widać było kilka krzywych zębów, które mu zostały. Mamrotał tak cicho, że Clemencia z trudem go rozumiała.

– Wtedy, jak uzyskaliśmy niepodległość, obiecywali nam mleko i miód. Mieliśmy dostać ziemię i pracę, starzy mieli mieć rentę na utrzymanie, a młodzi najlepsze szkoły. Nigdy w to nie wierzyłem. No bo skąd niby miałoby się to wziąć? Tylko w jedną rzecz chciałem wierzyć, liczyłem, że się spełni: że będzie panowała sprawiedliwość. Że w tym kraju nigdy więcej mordercy nie unikną kary.

Potem ostrożnie usiadł z powrotem na ławce i nasunął czapkę na czoło, jakby wszystko, co należało powiedzieć, zostało już powiedziane. Clemencia pomyślała o swojej matce. O ślubnych zdjęciach. O grobie na cmentarzu w Katurze, na którym nie była już od wielu lat. Kiedy ta sprawa się skończy, od razu...

– Przecież jesteśmy rodziną – powiedziała *miki* Selma.

– Twoją rodziną – wychrypiała *miki* Matilda.

Obserwowanie domu w pojedynkę, w dodatku przez całą dobę, raczej nie było możliwe. Tym bardziej że Clemencia nie wiedziała, jak wygląda poszukiwana osoba. Że można ją było zidentyfikować tylko po tym, że będzie się starała niespostrzeżenie sprawdzić, co się w tym domu dzieje. Może morderca będzie obserwował budynek z większej odległości. Może pod jakimś pretekstem zadzwoni do drzwi sąsiadów. Chodziło o to, aby rejestrować wszystkie aktywności i być obecnym wszędzie tam, gdzie się tylko da.

– A więc? – spytała Constancia.

– Co mamy robić? – chciał wiedzieć Melvin.

Clemencia powiedziała:

– W porządku. Ale każdy musi dokładnie wypełniać moje polecenia!

– Oczywiście! – zapewniła *miki* Selma, wyraźnie urażona tym, że Clemencia ma jakieś wątpliwości.

*Miki* Matilda odchrząknęła i pokiwała głową z zapalem. Melvin się uśmiechnął. Dzieci w podnieceniu zaczęły przeskakiwać z nogi na nogę, póki Constancia nie wytłumaczyła im, że teraz muszą iść do szkoły, a potem nie mogą oddalać się od dziadka na odległość większą niż dwa kroki. Clemencia wyjaśniła całej rodzinie, na co należy zwracać uwagę. Jeśli zauważą kogoś, kto okazuje zainteresowanie domem i jego mieszkańcami, nie powinni, broń Boże, podejmować żadnych działań, tylko natychmiast ją zawiadomić. Czy to było jasne?

– Naturalnie – przytaknął Melvin.

– Przecież nie jesteśmy głupie, dziecinko – powiedziała *miki* Selma, podczas gdy *miki* Matilda chrypiała coś o drobnym problemie, wskazując

na swoją komórkę.

Okazało się, że pozostali też musieli doładować swoje telefony. Clemencia wysupłała trzydzieści dolarów, a dzieci pobiegły do baru Mshasho, żeby kupić nowe Airtime. *Miki Selma* chciała sprawdzić, czy sąsiad taksówkarz jest w domu. W tak nadzwyczajnej sytuacji nie mógłby chyba odmówić podwiezienia ich za darmo na miejsce akcji. Melvin pożyczył telefon od Clemencji. Musiał szybko coś załatwić. Nie chciał powiedzieć, co to takiego, ale przysięgał na wszystkie świętości, że to przysłuży się wspólnej sprawie i nie jest nielegalne.

Potem Clemencia stwierdziła, że jej komórka gdzieś się zawieruszyła. Dopiero pół godziny później odkryła, że *miki Selma* właśnie z niej dzwoni. Wyrwała jej aparat z ręki. *Miki Selma* oświadczyła przepaszająco, że sąsiad niestety jest w trasie, ale niech się Clemencia nie martwi, zorganizowali już transport alternatywny.

Akurat tym Clemencia się nie przejmowała. Zaczęła tylko żałować, że w chwili słabości zgodziła się na to wszystko. W jej rodzinie nie dało się uchylić drzwi nawet odrobinę. Ani się człowiek obejrzał, a drzwi stały otworem, cała rodzina zaś czuła się w pokoju jak u siebie. Clemencia była ciekawa, co *Matti Jurmela* i jego fińscy koledzy powiedzieliby na jej świeżo zatrudniony personel wywiadowczy. Przypuszczalnie nic. Staliby tylko z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami.

*Miki Selma* i *miki Matilda* naradzały się właśnie, czy do ochrony przed słońcem powinny wziąć kapelusze z szerokim rondem, czy może lepiej parasolki, które w razie potrzeby mogłyby też służyć do samoobrony. Melvin gdzieś zniknął. Przekazał *Constancii*, że mają jechać bez niego, on też wkrótce zjawi się na miejscu. Zanim Clemencia zdołała o cokolwiek

zapytać, na ulicy rozległ się klakson. Zaraz potem nad płotem ukazała się szczupła sylwetka Clausa Tiedtkego.

– Jesteśmy prawie gotowe, *meneer* – zawołała *miki* Selma.

– Cześć, Clemencio – powiedział Claus Tiedtke.

– Cześć – odparła. – Co...?

– Twoja ciotka wspomniała, że to sprawa życia lub śmierci.

– Co wy znów nagadałyście!

– Przecież to prawda – broniła się *miki* Selma. – W końcu ścigamy mordercę.

– Nie wiedziałam... – zaczęła Clemencia. Jej komórka zadzwoniła. Nie odbierała, podjęła kolejną próbę wyjaśnienia: – Ja sobie nie wybrałam tej rodziny. Ja...

– To nie twoja rodzina jest tu problemem – stwierdził Claus Tiedtke.

– Tylko co?

– Mogłabyś się czasem odezwać.

– Twoja komórka dzwoni! – wtrąciła się *miki* Selma.

– Nie jestem głucha! – syknęła Clemencia.

W końcu nacisnęła klawisz z zieloną słuchawką. W telefonie odezwał się były sędzia Hendrik Fourie. Z radia dowiedział się o liście gończym, zasięgnął też trochę dodatkowych informacji. Był głęboko zaniepokojony. A może to było mylne wrażenie, że niektórym kręgom w policji wcale nie zależało na tym, żeby ująć „Donkerkopa” żywego? Zdaje sobie sprawę, że Clemencia nie ma o nim, Fouriem, najlepszego zdania, ale chciał ją mimo wszystko poprosić, żeby użyła swoich wpływów. Nie może być tak, żeby...

– Ja nie mam żadnych wpływów – przerwała mu Clemencia. To



stwierdzenie nigdy nie było tak bliskie prawdy jak teraz.

– Któryś z nich musi wreszcie wyznać prawdę, a „Donkerkop” jest ostatnim, który jeszcze mógłby to zrobić – powiedział Fourie.

– Panie Fourie...

– Jeśli go załatwicie, sprawa Lubowskiego nigdy nie zostanie wyjaśniona.

– Panie Fourie, niech mi pan da święty spokój! – Clemencia zakończyła rozmowę.

– No już! Dość marnowania czasu! – zawołała *miki* Selma z ulicy. Właśnie wsiadała do golfa Clausa Tiedtkego.

Emerytowany sędzia Hendrik Fourie:

*Dopiero później uświadomiłem sobie z całą jasnością, dlaczego zamach na Lubowskiego nie dawał mi spokoju. Początkowo była to po prostu spektakularna sprawa, w którą były zamieszane kręgi polityczne, tajne służby i prominenci, którą interesowały się też media. Żaden sędzia nie traktuje takiej sprawy rutynowo. Do tego dochodził etos pracy i oburzenie, kiedy zauważyłem, jak wyjaśnienie tej sprawy jest sabotowane przez wszystkie strony. Fakt, że sobie z tym nie poradziłem, coraz bardziej uznawałem za osobistą porażkę. Nawet po przejściu na emeryturę czułem ten tkwiący głęboko cierń. Ale tu nie chodziło tylko o mnie, o moje wyobrażenie sprawiedliwości. Zrozumiałem, że wydarzenia z 12 września 1989 roku dotknęły nas wszystkich i nadal dotyczą.*

*Po strzałach do Lubowskiego załamała się atmosfera w kraju. Zapadła noc, a kiedy nastał nowy dzień, był inny niż wszystkie poprzednie dni. Tego było już za dużo, nagle mieliśmy dość trwającej dziesiątki lat przemocy, my wszyscy, SWAPO i Afrykanerzy, rasiści i bojownicy, drżący ze strachu*

o swoje przywileje biali, jak i pchający się po konfitury czarni. Mało kto od razu zdawał sobie z tego sprawę, ledwie dało się to zauważyć, ale już z mniejszym przekonaniem jedni szczuli na drugich, pojawił się ton zubożenia, ludzie już nie tak zajadle pomstowali na podłości drugiej strony. Ale potem to poczucie, które zapanowało w kraju, stało się wyraźnie zauważalne. Wszyscy mieli dość przemocy.

Dlaczego akurat zabójstwo Lubowskiego wywarło taki efekt? Dlaczego nie doszło do tego wcześniej, dlaczego nie później? Nie wiem. Może wynikało to z pozycji Lubowskiego. Wszystko jedno, czy postrzegano go jako „białego syna SWAPO”, czy „sługusa czarnych”, obojętnie, jakie było jego polityczne nastawienie, był wielką postacią stojącą pomiędzy obydwoimi frontami, jedną nogą w jednym świecie, drugą w drugim. Może jego śmierć odsłoniła tę lukę, tę wolną przestrzeń, w której czarni i biali mogli się spotkać. W tym sensie byłby – proszę mi wybaczyć patos! – ofiarą, która została złożona na ołtarzu historii.

Przy tak krwawych ofiarach liczy się tylko, czy zostają łaskawie przyjęte i czy przynoszą jakieś korzyści. Nie jest ważne, kto poderżnął gardło. Tak, nawet powinno się unikać wymieniania podejrzanych. Gdyż wtedy pojawia się winny, ktoś, kto miał motyw, jakiś własny interes, a przez to zostaje zniszczona tajemnica działania takiej ofiary dla dobra społeczności. Mit musi być zakorzeniony w mroku tajemnicy, stąd bierze się jego siła.

Jak mówiłem, nie sądzę, żeby wtedy ktoś miał tego świadomość, zresztą było wielu stawiających pytania i wielu snujących najróżniejsze hipotezy. Ale w gruncie rzeczy jestem o tym przekonany: tak naprawdę nikt nie chciał wyjaśnienia tego zabójstwa. Zresztą może nawet tak musiało być, może to poświęcenie było konieczne, żeby z poczucia obowiązku wobec

ofiary skupić się na przyszłości, na budowaniu wspólnego narodu. Przynajmniej wtedy mogło to być konieczne.

Tymczasem jednak upłynęło dwadzieścia lat. Czas otworzyć szeroko oczy i rozejrzeć się wokół. Nie ma już nastroju radości z przemian, ideały gdzieś się ulotniły. Kilku czarnych się wzbogaciło, kilku skorumpowało, dla SWAPO władza stała się celem samym w sobie, teraz politycy zajmują się tylko podziałem stanowisk, dobrze wiedząc, że opozycja robiłaby dokładnie to samo. Kilku białych narzeka po cichu jak przedtem, inni jakoś się pogodzili, przyjęli do firmy dawnego pokrzywdzonego w ramach akcji afirmatywnej, czasami podarują kredki sierotom po ofiarach AIDS, a poza tym trzymają się razem, zresztą tak samo jak czarni. I za to Lubowski umarł?

Minęło dwadzieścia lat i ciągle nikt nie chce wiedzieć, co się naprawdę zdarzyło, tylko powody cichaczem się odwróciły. Ludzie urządzili się w szarej codzienności, w rutynie, która w najmniejszym stopniu nie jest warta walk z tamtych lat. Nikt nie chce sobie przypominać, że wtedy chodziło o całkiem inne cele, że właśnie dlatego mordowano ludzi. Lubowski nie jest pochowany pod półtorametrową warstwą ziemi, ale pod wyrzutami sumienia tych, którzy go przeżyli. Dzisiaj nie chcemy się przed sobą przyznać, że nic z nimi nie zrobiliśmy, więc dramaty z tamtego okresu muszą zostać przemilczane. I tak Lubowski stał się po raz drugi ofiarą. Tylko tym razem nie w imię zmiany i lepszej przyszłości, tylko na rzecz tępego, może trochę brudnego, choć niepozbowionego pewnych przyjemnych aspektów życia w bagnie, w które jakoś wleźliśmy. Czy to nie jest nie do zniesienia?

I co z tego, powiedzą niektórzy, Lubowskiemu i tak jest już wszystko jedno.

*Umarł to umarł. Ja widzę to trochę inaczej. Zmarłych można zamordować drugi raz, można też próbować temu zapobiec.*

Może jednak się przeliczył. Może już nie miał dość czasu, żeby doprowadzić wszystko do końca. Rana w nodze nie była problemem, ale to drugie znacznie się pogorszyło. Palący ból we wnętrzu ciała. Tam, gdzie kiedyś musiały się znajdować organy wewnętrzne, teraz był tylko ból. Nieznośny ból. A ataki kaszlu prawie go dusiły.

Pozostali pasażerowie odsuwali się od niego tak daleko, jak to tylko możliwe w przepełnionym minibusie. Przyciskał swoją niebieską torbę do dygoczącego ciała. Sam nie wiedział, jak przetrwał jazdę do Windhuku. Przez szlaban przy Heja-Lodge musieli przepuścić ich machnięciem ręki. Obudził się dopiero, kiedy w radiu minibusu usłyszał komunikat o poszukiwaniach, ale zdążyli już minąć nowe osiedla na obrzeżach Windhuku. Teraz bus wjechał na parking przy stacji benzynowej Engen na skrzyżowaniu Sam Nujoma i Nelson Mandela Avenue. Tutaj zamierzał wysiąść. Choć wcale jeszcze nie był u celu.

Najpierw przepuścił dwóch innych pasażerów, potem z trudem wy dostał się ze swojego siedzenia. Słońce uderzyło w niego z całą mocą. Wiedział, że kierowca patrzy za nim, jak chwiejnie idzie przez rozedrgany skwar w stronę ulicy, ale nie mógł nic na to poradzić. Przechodnie usuwali się przed nim z drogi. Kiedy po drugiej stronie zobaczył szyld apteki, wszedł na jezdnię. Gdzieś obok niego zapiszczały hamulce, jakiś głos wymyślał mu z agresją. Zakaszał, splunął krwią, zgiął się wpół. Potem przetoczył się na drugą stronę ulicy, nie patrząc na boki. Ten cholerny ból! Wszedł do apteki i niemal bez tchu poprosił o coś przeciwbólowego.

– Musi pan iść do lekarza! – wykrzyknęła aptekarka.

– Potem – wydyszał.

– Nie, natychmiast! Zadzwoń po karetkę dla pana.

– Ja... pojedę taksówką. Tak będzie szybciej – wydusił z siebie. Położył na ladzie banknot studolarowy. – Najpierw coś mocnego. Na ból!

Kobieta przyniosła pudełko tabletek, wycisnęła dwie i rozpuściła je w szklance wody. Wypił i schował pudełko do kieszeni. Kiedy wyszedł na ulicę, połknął od razu sześć kolejnych tabletek. Ból pożerał go od środka, ale on nie ustawał, minął salon gier, potem pokonał skrzyżowanie i dotarł do poczty przy Nelson Mandela Avenue. Przed wejściem stały trzy automaty telefoniczne. Oparł się o osłonę z pleksi przy pierwszym z nich, zdjął słuchawkę i wsunął kartę. Numer znał na pamięć. Gapił się na ceglany mur poczty naprzeciwko i usiłował się skoncentrować. Na drugim końcu ktoś się zgłosił.

– To ja – powiedział.

– Tak, wszystko w porządku – powiedział potem. Tabletki zaraz zaczną działać.

– Nie, czuję się znakomicie – zapewnił.

Słuchał. Obok telefonów była poczekalnia. Siedziały tam w cieniu dwie kobiety. To nic nie znaczyło. Powiedział:

– Dobrze, będzie załatwione.

– Nie, żadnych pytań – dodał.

Ktoś, kto zbliża się do końca, nie ma czasu zadawać pytań.

– Chyba że... – Zawahał się. Ból szalał w jego wnętrzu. Wyrwał się z niego krótki dudniący kaszel.

– To nic ważnego – wydyszał i spróbował odwiesić słuchawkę.

Śliski przedmiot zjeżdżał z widełek, w końcu spadł i dyndał na kablu tuż nad ziemią. Kiedy kaszląc, schylił się po niego, stracił równowagę i upadł. Leżał tak u stóp kolumny z telefonem, po omacku odszukał niebieską torbę sportową i przyciągnął do siebie. Nie mógł pozwolić, żeby ktoś ją ukraść, jeszcze jej potrzebował. Obydwie kobiety pod dachem przyglądały mu się, ale żadna z nich się nie ruszyła.

Wreszcie po jakimś czasie wróciła mu świadomość. Podparł się, wstał i poszedł niepewnym krokiem na skrzyżowanie. Nie umiałby powiedzieć, czy taksówka stojąca na światłach na pewno dotykała ziemi wszystkimi czterema kołami, ale mimo to udało mu się otworzyć drzwi od strony pasażera. Kobieta siedząca z tyłu wysiadła i zniknęła. Taksówkarz zaprotestował, ale na pytanie, ilu ludzi już zastrzelił, uspokoił się i zawiózł go na tereny przemysłowe na północy.

Na szyldzie było napisane „Chinatown”. Trzy krwistoczerwone chińskie znaki pod spodem zamieniły się na jego oczach w trzy splecione jadowite węże. Wiły się, groźnie sycząc. Oparł się o jeden ze słupów szyldu i walczył z odruchem wymiotnym. To od tabletek przeciwbólowych. Poza tym wcale nie zadziałały. Mocniej uchwycił swoją sportową torbę i poszedł dalej wzdłuż sklepów z azjatycką żywnością i taną odzieżą. W tylnej części długiego dziedzińca sklepy wyglądały jeszcze bardziej podejrzanie. Plastikowy chłam i elektronika za półdarmo. Wszedł w jedną z bram. Powitała go młoda Azjatka. Kazał się zaprowadzić do szefa i zapytał, czy mają jakiś pokój na zapleczu. Stary Chińczyk poszedł z nim do niewielkiego pomieszczenia bez okien, wyposażonego w pryczę. Usiadł na niej, wyjął wszystkie pieniądze, jakie mu jeszcze zostały, schował do kieszeni trzysta randów, a resztę przeliczył, układając banknoty obok siebie

na pryczy. Ponad piętnaście tysięcy randów.

– Po pierwsze, morfina – powiedział. – Tyle, żeby na trzy dni przegoniło cały ból świata.

Nie sądził, że jego ciało wytrwa tak długo, ale wolał się zabezpieczyć. Podniósł wzrok znad pieniędzy. Zniszczona twarz starego Chińczyka pozostała nieruchoma.

– Po drugie, uniform, w jakim chodzą inkasenci elektrowni i wodociągów w Windhuku. I do tego odpowiedni dokument.

Kaszel wstrząsał nim całym. Kiedy znów mógł mówić, dokończył:

– Po trzecie, jakiś czas tu zostanę.

Chińczyk nie pytał o nic, nie mówił nic. Spojrzał mu tylko w oczy, potem na pieniądze i znów na niego. Raczej nie musiał się obawiać, że starzec pójdzie na policję. A jednak nie zaszkodziłoby małe ostrzeżenie.

– Śmierć jest ze mną – powiedział.

Chińczyk skinął ledwo zauważalnie, jakby to było pierwsze zdanie, które do niego dotarło. Potem odwrócił się i poczłapał do wyjścia.

Na pryczy nie było nawet poduszki. Podłożył sobie torbę pod głowę i przyglądał się nagiej żarówce, która kołysała się pod sufitem. Kiedy się wyciągnął, ból stał się łatwiejszy do zniesienia. Gdyby był tu ktoś, kto opowiadałby mu historie w języku podobnym do ptasiego świergotu, może nawet udałoby mu się zasnąć. Po jakichś dwóch godzinach młoda Chinka przyniosła morfinę. Uniform okazał się trudniejszy do zdobycia. Musi wykazać jeszcze trochę cierpliwości. Powiedział jej, że nie ma już dużo czasu. Kobieta skłoniła głowę, wyszła tyłem na palcach, a on zrobił sobie zastrzyk z morfiny.

Potem znów się położył, koncentrując się na bólach. Przychodziły jakby

falami. Niemal widział, jak się załamują, rozpryskują w pianę i rozchodzą po płaskiej piaszczystej plaży, podczas gdy dalej załamywała się kolejna, a całkiem daleko wypiętrzała się jeszcze jedna. Ale fale przyboju były za każdym razem coraz słabsze, huk zmienił się w szum, z szumu zrobił się w końcu cichy plusk, morze uspokoiło się, wycofało, odsłaniając coraz szerszą plażę z gładkiego, wilgotnego, dziewiczego piasku, po którym teraz on biegał lekką stopą. Rozejrzał się dookoła, zobaczył trop szakala i pobiegł dalej. Nie miał pojęcia, jak udało mu się zmienić. Może udawało się tylko komuś, kto nie wiedział, jak się do tego zabrać.

Przez całą noc krążył po świecie, biegł przez pustynię, wspinał się na góry, zaszedł do miasta, które w każdym szczególe wyglądało jak Windhuk, tylko że nie było tu ludzi, ani jednego, a zamiast nich szakale, hieny i mnóstwo nietoperzy. Zapytał innego szakala, co się stało z ludźmi, i dowiedział się, że się nawzajem pozabijali. Na koniec ostatnich dwóch strzelało do siebie i też umarli, prawie jednocześnie. Wcale go to nie zdziwiło.

Przechadzał się po Independent Avenue i zobaczył, że światła zmieniły się z czerwonych na zielone. Opuszczone samochody nie ruszyły z miejsca. Niektóre miały otwarte drzwi, jak gdyby ich pasażerowie uciekli w panice. Potem światła znów zrobiły się czerwone. Czerwone – zielone – czerwone – zielone, a może jednak był to stalowy błękit? Lew kalaharyjski z białą grzywą leżał przed szklaną fasadą restauracji Hungry Lion Fastfood i leniwie kręcił głową. Ze wzgórza, z okolicy kościoła Chrystusa i twierdzy Alte Feste hieny cętkowane śmiały się swoim złowrogim chichotem. Szakale, jego pobratymcy, przeszły drobnym krokiem przez deptak, otaczały ławki i słupy latarni, skakały na śmietniki, żeby zdobyć coś



jadalnego. Ile z nich było kiedyś ludźmi, którzy zdążyli się przemienić na czas, zanim ich gatunek przestał istnieć?

Rano w nogach łóżka leżały uniform i legitymacja. Piętnaście tysięcy randów zniknęło. Przebrał się. Lekkie zamglenie oczu nie powinno mu przeszkadzać. Bólu nie czuł, ale wiedział, że to niczego nie zmieniało. Nie zostało mu zbyt wiele czasu. Przewiesił sobie przez ramię sportową torbę i wyszedł z opustoszałego sklepu. Taksówka zawiozła go do zachodniego Windhuku. Wsiadł kilka domów przed właściwym celem, podszedł do bramy i zadzwonił. Kobięcy głos zapytał w domofonie, kto tam.

– Prąd i woda – powiedział zwięźle.

– Ale przecież niedawno ktoś odczytywał – odparła kobieta.

– Wewnętrzna kontrola – wyjaśnił i odwrócił się, żeby wypluć krwawą flegmę, która zbierała mu się w gardle. Po dłuższej chwili usłyszał po drugiej stronie lekkie kroki. Przysunął legitymację do okienka w bramie.

– Chwileczkę!

Kobieta, która mu otworzyła, miała około dwudziestu pięciu lat, była ładna, wysoka i starannie umalowana. Może to była córka. Nie żałował jej ani mniej, ani więcej niż wszystkich innych. Schylił się i otworzył suwak swojej niebieskiej torby.

– Licznik wody jest tam – poinformowała młoda kobieta.

Skierował na nią lufę kałasznikowa i powiedział:

– Jeśli pani zachowa spokój, nic się pani nie stanie.

Spojrzała na wylot lufy i powiedziała tak cicho, że ledwo usłyszał:

– Proszę!

– Niech pani idzie przodem! – rozkazał.

Kobieta skinęła raz, potem drugi, z zapalem, jakby chciała naprawić jakąś

żenującą pomyłkę. Potem odwróciła się, a on poszedł za nią w głąb domu. Mężczyzna w podkoszulku siedział przy stole i jadł śniadanie. Nie próbował odgrywać bohatera, tylko od razu podniósł do góry ręce, choć nikt mu nie kazał. Miał przed sobą talerz z mieliem i filiżankę, po drugiej stronie stołu stały szklanka soku pomarańczowego i talerz pokrojonych drobno bananów i papai.

– Proszę sobie nie przerywać śniadania! – powiedział. Z AK-47 gotowym do strzału usiadł w fotelu, mniej więcej cztery metry dalej. Wskazał lufą młodą kobietę i zapytał: – Pańska córka?

Kobieta odpowiedziała:

– Jesteśmy małżeństwem od czterech lat.

– Macie dzieci?

Milczała.

– Pani jest bardzo piękna – stwierdził. – Czy mąż panią kocha?

Mężczyzna powoli opuścił ręce i powiedział:

– Stawia mnie pan w bardzo niezręcznej sytuacji.

– Czy on panią kocha?

– Co to znaczy kochać? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Skinął głową. Potem zwrócił się do męża.

– Wie pan, czego od pana chcę?

Mężczyzna potrząsnął głową, potem rzucił pytająco:

– Pieniądzy?

Pieniądzy? Co za komiczny pomysł. Naprawdę musiał się zaśmiać. Śmiech przeszedł w atak kaszlu, który wstrząsnął całym jego ciałem, ale przynajmniej mógł się uchwycić kałasznikowa.

Od początku Clemencia miała przeczucie, że pilnowanie domu nic nie da. Mimo to przydzieliła rodzinie pozycje i porozwoziła wszystkich autem Clausa Tiedtkego. Kobiety zajęły się warsztatem samochodowym Martinusa Cloetego. *Miki* Selma siedziała pod parasolem tuż przy wjeździe prowadzącym z Mandume Ndemufayo Avenue bezpośrednio na podwórze, *miki* Matilda i Constancia patrolowały Tacoma i Acacia Street, żeby w porę być na miejscu, gdyby morderca usiłował się dostać od tyłu przez mury i parkany. Wszystkie trzy były zakamuflowane jako sprzedawczynie losów. Losy dostarczył bratanek zmarłego Josepha Tjirondy, w zamian za obietnicę siedemdziesięciu procent ewentualnego utargu dla siebie. Bratanek, zwykle oferujący swoje losy w centrum, czyli przy wejściu do First National Bank, wątpił wprawdzie w zyskowność wybranego przez nie terenu, ale szybko pocieszył się myślą, że jako pracodawca nie będzie musiał przez kilka dni robić nic, a na jego chleb będą tyrać inni. Prywatny adres Martinusa Cloetego obstawiał Melvin. I jego koledzy, którzy – jak zapewniał – mieli się lada chwila zjawić. Szeregowy dom należący do Cloetego znajdował się w środku osiedla Barcelona. Cały teren był odgradzony od okolicznych nieużytków przez mury i druty pod napięciem, miał ponadto własnych ochroniarzy, do których dołączyli teraz ludzie przysłani przez Oshivelę. W całym Windhuku nie było bezpieczniejszego miejsca do mieszkania. O ile w ogóle zabójca spróbuje się tu dostać, będzie musiał pod jakimś pretekstem pokonać elektryczną bramę zagrządzającą jedyny wjazd na osiedle. Mieszkańcy mieli własne piloty do bramy, goście musieli się zgłosić do budki strażnika i przez domofon potwierdzić pozwolenie na wejście.

Clemencia powtarzała Melwinowi, żeby zwracał szczególną uwagę na

wszelakich posłańców, dostawców i w ogóle pojedynczych mężczyzn, którzy zostaną przepuszczeni przez ochroniarzy. Miał notować numery rejestracyjne ich samochodów i natychmiast zawiadomić Clemencję. Melvin stanął po drugiej stronie ulicy w wystarczającej odległości, żeby nie wzbudzać podejrzeń strażników przy bramie. Kiedy Clemencia trzy godziny później chciała skontrolować sytuację, nie zastała go na miejscu. Za to pięciu młodych robotników w odblaskowych strojach rozkuwało w najlepsze asfalt przy wjeździe do Barcelony. Clemencia wybrała numer Melvina. Jeden z robotników, malowniczo oparty na łopacie, wyciągnął komórkę.

– Masz natychmiast do mnie przyjść! – syknęła do telefonu.

Robotnik rozejrzał się pytająco dokoła, oparł łopatę o budkę strażnika i z wystudiowaną obojętnością podszedł do pożyczonego citi golfa Clemencji. Kazała mu wsiąść i zapytała, co się tu na litość boską dzieje.

– Miasto Windhuk, czy też wydział komunikacji, zresztą sam nie wiem, podejmuje działania na rzecz poprawy infrastruktury – odparł Melvin z dumą. – Dla dobra wszystkich obywateli. Przepraszamy za ewentualne niedogodności.

– Przecież nie możecie tak po prostu rozkopać ulicy!

– Kiedy ktoś będzie chciał przejechać przez tę bramę, my usłyszymy każde słowo – oświadczył Melvin.

– Ale...

– Każdego tsotsi, który ma nieczyste zamiary, rozpoznamy bez pudła. Możesz być pewna. Wystarczy, że powie tylko jedno zdanie.

Zabójca, którego Clemencia zamierzała schwytać, nie był zwyczajnym przestępcą, był kimś innym, ale tego Melvin i tak by nie zrozumiał. Miał

swoje doświadczenia, znał Kataturę i wszystkie podejrzane typki, które się tam kręciły. To był jego świat, nie znał innego i nie można było mieć do niego o to pretensji.

– Tylko co zrobimy w nocy? – zapytał Melvin. – Jeśli będziemy tam dalej kopać, nikt nie uwierzy, że zatrudnia nas miasto. Gdybyśmy mieli ciężki sprzęt, moglibyśmy zostawić na noc kogoś do pilnowania, żeby nie ukradli, ale tak...

– W nocy? – Ze zdumieniem, a nawet z pewnym wzruszeniem Clemencia uświadomiła sobie, jak poważnie jej młodszy brat traktuje swoje zadanie. Powiedziała tylko: – On nie przyjdzie w nocy.

– Jesteś pewna?

Nagle była całkowicie pewna. Zabójca wcale się nie zjawi, ani w dzień, ani w nocy. Był jak najbardziej gotów brać na siebie duże ryzyko, ale tylko wtedy, kiedy coś mogło z tego wyniknąć. A tutaj szanse były równe zeru. Nie tylko dlatego, że policja pilnowała wszystkiego, ale też dlatego, że funkcjonariusze przesłuchali sąsiadów i niczego się nie dowiedzieli. Wprawdzie morderca dysponował skuteczniejszymi środkami nacisku, ale one na niewiele się przydawały, kiedy nie było wiadomo, przeciw komu je zastosować. Nie, zabójca spróbuje jakoś inaczej dotrzeć do „Donkerkopa”. Tylko jak? Obserwacja, do której Clemencia zaangażowała całą swoją rodzinę, była najprawdopodobniej bezcelowa. Ale czy mogła ich teraz odwołać? Wyjaśniła więc:

– Zabójca potrzebuje informacji o ewentualnym miejscu pobytu „Donkerkopa”. Musi wypytać o to jego przyjaciół i sąsiadów. Nie może zadzwonić do ich drzwi w środku nocy.

Melvin zdawał się rozczarowany, że nie może dwadzieścia cztery godziny

na dobę bawić się w pomocnika policji. Clemencia powiedziała:

– Ważne jest, żebyście jutro rano byli na posterunku. Liczę na was.

– Jasne, już o świcie! – Melvin skinął i wrócił do swoich kumpli.

Kawałek ulicy, który rozkopali, miał około metra szerokości i był na pięć metrów długi. Teraz łopatami drążyli wykop w głąb. Nic nie wskazywało na to, żeby ich zapal miał wkrótce osłabnąć.

Clemencia udała się do drugiej ekipy. Poza tym, że trzy kobiety w sumie sprzedały cztery losy, nie zdarzyło się tam nic szczególnego. Co było do przewidzenia, nie zauważyły żadnego podejrzanego. Clemencia musiała i je przekonać, żeby na noc zawiesiły obserwację, potem pojechała Omurambaweg do redakcji „Allgemeine Zeitung”. Claus Tiedtke powiedział, że Clemencia spokojnie może jeszcze przez jakiś czas używać jego samochodu, ale chciałby wiedzieć, jak wyglądają sprawy.

– No więc myślę, że zabójca będzie próbował... – zaczęła Clemencia.

Claus Tiedtke przerwał jej, mówiąc, że miał na myśli sprawy z nią. Po tej nocy ostatnio myślał, choć może raczej nie myślał, tylko miał nadzieję, że między nimi jest coś więcej niż tylko chęć pożyczania samochodu.

– Może porozmawiamy o tym innym razem – zaproponowała Clemencia.

Niech będzie, jak sobie życzy, stwierdził Claus Tiedtke, chciał jednak dodać, że jest już dorosły. Zniesie każdą prawdę.

Prawda była taka, że Clemencia nie wiedziała, czy on coś dla niej znaczy. Poza tym teraz nie chciała o tym myśleć. W każdym razie było o wiele za wcześnie, żeby mówić o „nich dwojgu”, jak gdyby coś go z nią łączyło i mieli nie wiadomo ile wspólnego. No dobra, spędziła z nim noc, kiedy nie chciała być sama, i rano, który wolałaby spędzić sama. I co? Czy coś z tego wynikało? Prawda była taka, że kolor czerwony kojarzył się jej nie

z kwiatami róży, ale z krwią, że teraz bliżej była ze śmiercią niż z miłością. Clemencia przez chwilę zastanawiała się, czy ma mu opowiedzieć o płonących oczach bulteriera, które czekały na nią w ciemności, ale zanim zdążyła podjąć decyzję, Claus Tiedtke już się pożegnał. Musiał wracać do pracy. Powiedział jeszcze, że ma przecież numer jego telefonu. Clemencia poszła. Może tak było lepiej.

Chwilę po niej do domu wróciła reszta rodziny. Choć żadna ekipa nie mogła się pochwalić konkretnym rezultatem, nastroje były radosne, nikt więc nie zauważył milkliwości Clemencji. Wycofała się do swojego pokoju, zamknęła drzwi na klucz. Prądu nadal nie było, a świeczka, którą zapaliła, nie wystarczała, by wygnać oczy bulteriera z ciemnych kątów pokoju. Dopóki za ścianą trwały pogaduszki, póki *miki* Selma wychwalała życie sprzedawcy losów, a skrzek *miki* Matildy przenikał każdy kąt, dało się jeszcze wytrzymać. Jednak gdy została tylko muzyka z baru Mshasho, kiedy Clemencji wydawało się, że w basowych bitach słyszy raz warczenie psa, a raz klekot kałasznikowa, sen uciekł na dobre. Nieustannie widziała przed oczami migające obrazy. Wystające spod koca stopy martwego Achesona, nagle rozjarzone reflektory pick-upa, stalowy łańcuch napinający się przy skoku bulteriera, powieszony więzień, emerytowany sędzia krojący wędzone mięso, spalony samochód firmy ochroniarskiej, łuski z nabojów na dłoni policjanta w mundurze, dziewczynka miotająca się z krzykiem na sofie, inna dziewczynka, która w sukience w barwach SWAPO idzie za trumną, pożółkłe zdjęcie Antona Lubowskiego, uzbrojeni po zęby południowoafrykańscy żołnierze na ulicach Katutury, zwoje drutu kolczastego i żółte spojrzenie bulteriera, które nie chciało zgasnąć nawet wtedy, gdy świeca już dawno się wypaliła.

O piątej rano Clemencia zadzwoniła do Anguli. Odebrał natychmiast.

– Szefowo?

– Chciałam tylko...

– Moja ręka ma się świetnie – powiedział Angula.

– Dobrze, bardzo dobrze – stwierdziła Clemencia.

– Już prawie nic nie czuję – dodał Angula.

– Najważniejsze jest, żebyś odzyskał zdrowie.

– Tak.

– Angula?

– Słucham?

– Co teraz robisz?

– Ja? Nic.

– Nie możesz spać, prawda?

– Ależ tak, śpię bardzo dobrze – powiedział Angula. – Tylko że... czasem się budzę. To przez ten upał.

– I co wtedy?

– Szefowo?

– Co robisz, kiedy się budzisz?

– Wtedy myślę, że skoro już nie śpię, równie dobrze mogę wstać i porobić trochę notatek.

– Notatek?

– Tylko tak dla siebie. I tak do niczego się w sądzie nie przydadzą, kiedy oni zniszczą dowody w aktach.

– Sprawa Lubowskiego? Nadal się tym zajmujesz?

– Tylko dla siebie.

– Ale dlaczego, Angula?



– Opisuję tylko, co się zdarzyło.

– Raczej to, co myślisz, że się zdarzyło – poprawiła go Clemencia.

– Tak, oczywiście – przyznał Angula.

Pokój był ciemny i duszny. Nad łóżkiem Clemencji płonęły dwa żółte punkty. Powiedziała:

– Podobno wkrótce ma spaść deszcz. Może nawet jutro. Wtedy się ochłodzi i będzie można lepiej spać.

– Byłoby dobrze, gdyby spadła taka porządna ulewa, dla natury też – powiedział Angula.

– Tak, dla natury też.

– To ja w takim razie spróbuję... – zaczął Angula. – Może się jeszcze prześpię ze dwie godzinki.

– Dobranoc – powiedziała Clemencia.

– Dobranoc.

– Angula? – rzuciła jeszcze Clemencia, ale on już odłożył słuchawkę.

I tak nie wiedziała, o co chciała go zapytać. Nie wiedziała też, po co w ogóle do niego dzwoniła. Może dlatego, że był wtedy na farmie Achesona i razem z nią prawie ujął zabójcę. Po omacku przeszła przez pokój i znalazła jeszcze jedną świecę, którą mogła zapalić. Czy ona też powinna robić notatki? Zapisywać własne obsesyjne myśli? Czasami sprawa nie chce człowiekowi wyjść z głowy, wyznał jej Matti Jurmela w pewną długą fińską noc zimową. Nie, nawet bardziej, ona cię pożera, połyka w całości, całą, od stóp do głów.

– I co wtedy? – spytała wówczas Clemencia.

– Wtedy wiesz, że się zaangażowałaś totalnie – odpowiedział Jurmela. I zaśmiał się.

Może Clemencia jeszcze nie dość się zaangażowała. Może dlatego nie posuwała się do przodu, że broniła się ze wszystkich sił, żeby ta sprawa jej nie pożarła. Może zamiast tego powinna sama wejść w paszczę potwora. Clemencia zaczęła jeszcze raz po kolei analizować wydarzenia. Znow przed jej oczami pojawiły się obrazy, widziała film, tylko tym razem dobrze znana akcja była pokazana inaczej. Widziała, jak otyły Bur podlewał drzewa cytrynowe, zanim padł skoszony serią. Drugi Bur wyszedł z hali przylotów lotniska i rozglądał się pytająco. Zapałka potarła draskę, potem pofrunęła przez otwarte okno samochodu i wznieciła płomienie z oblanych benzyną foteli. Tak to wyglądało. Za szybą przesuwał się bezkresny, pustynny krajobraz południa Namibii. Clemencia odłożyła słuchawkę na widełki, bo jakaś policjantka zapytała ją o prawdę. Oglądała zewnętrzny mur więzienia w Pretorii, za którym znaleziono powieszzonego więźnia. Wspinała się do ciężarówki przewożącej meble. Policjant z drogówki padł na asfalt śmiertelnie postrzelony. Sam sobie winien, nie musiał przecież sprawdzać. Clemencia włączyła światła pick-upa, wcisnęła pedał gazu, przejechała psa, zadała pytanie irlandzkiemu rasiście, nie rozumiała, że tamten naprawdę liczył, że odpowiedź uratuje mu życie. Strzały nie były już niczym szczególnym. Potem znow była w Windhuku. Jeszcze jeden! Tylko jeden, ale on się ukrywał, nie miała pojęcia, gdzie mógł się zaszyć, poza tym szukała go cała namibijska policja. Clemencia intensywnie myślała, jak mogłaby go dopaść pierwsza, przed policją. Bo musiała go dopaść! Za wszelką cenę!

Ranek zaczynał szarzeć, kiedy Clemencia zdmuchnęła świecę. Przez niewielkie okno obserwowała, jak światło ze wschodu przedziera się na świat. Nie było mu łatwo, bo na niebie wisały nisko kłęby chmur. Chmur

deszczowych. Normalnie nawet w kulminacyjnym okresie pory deszczowej ranki bywały jasne, dopiero późnym popołudniem zbierały się chmury, by wieczorem rozładować się w gwałtownej burzy. Ale czym była normalność?

Clemencia nie zareagowała, kiedy *miki* Selma zapukała do jej drzwi i zawołała, że miasto Windhuk bynajmniej z nią nie wygra, ale ze znanych już powodów dzisiaj ciepłe śniadanie też wypada z programu. Słyszała, jak Melvin wychodzi z domu, a *miki* Matilda oświadcza, że wobec niezadowolających wyników sprzedaży losów spróbuje jednak przewidzieć następny ruch zabójcy za pomocą odpowiednio spreparowanej drewnianej lalki. Zabójcą była teraz Clemencia, a ona zamierzała się ruszyć z pokoju dopiero wtedy, kiedy będzie wiedziała, jak znaleźć „Donkerkopa”, zanim ten wpadnie w ręce policji.

Constancia wyprawiała dzieci do szkoły, *miki* Matilda na podwórku przy palenisku śpiewała jakieś monotonne pieśni, a *miki* Selma dopytywała się przez zamknięte drzwi, czy naprawdę ma przepuścić zarobione dzięki sprzedaży losów pieniądze na taksówkę, kiedy przed domem stoi przecież auto narzeczonego Clemencji. Clemencia nie odpowiedziała. Wczuwanie się w kogoś innego też nie mogło zaprowadzić jej dalej. Musiała się pogodzić z tym, że odnalezienie „Donkerkopa” było po prostu niemożliwe. Przecież jedna osoba nie mogła przeczesać całego kraju. Mogły tego dokonać najwyżej połączone siły policji, a nawet im dotychczas nie udało się wpaść na trop uciekiniera. Ale oni mieli przynajmniej realną szansę. Prędzej czy później go znajdą, a jeśli nie zastrzelą go podczas aresztowania, wtedy...

Komórka pokazywała dokładnie godzinę 10.12, kiedy Clemencia znalazła

rozwiązanie. Było tak proste, że musiało być właściwe. Zabójca wcale nie musiał podejmować beznadziejnych poszukiwań. Policja sama dostarczy mu właściwą osobę. On tylko musi być na miejscu, musi poczekać, aż tamci odniosą sukces. Oczywiście „Donkerkop” będzie pod ścisłym nadzorem, ale mobilizacja osłabnie, kiedy dotrą do centrali i dostarczą go do sali przesłuchań wydziału kryminalnego. Może ustawią strażników przy wejściu, ale to nie będzie problemem dla zabójcy, bo on już dawno będzie w środku. Już teraz był w siedzibie policji, jakoś się tam przekradł, tak musiało być, nie było innej możliwości!

Clemencia pojechała do komendy i zaparkowała golfa w jednej z zarezerwowanych zatoczek przed wejściem. Zmuszała się, żeby iść schodami na górę powoli, przyglądając się badawczo każdemu mijanemu policjantowi w mundurze, których o tej porze było jeszcze niewiele. Korytarz na drugim piętrze, gdzie mieścił się wydział kryminalny, sprawiał wrażenie pustego. Żadnego robotnika, który sprawdzałby instalacje czy malował ściany. Clemencia skierowała się do biura Oshivelo. Jakoś musiała przekonać szefa. Zawieszona czy nie, nie da się tak po prostu odesłać, nie pójdzie, dopóki Oshiveli nie wyrazi zgody, żeby przeszukać wszystkie zakamarki budynku, sprawdzić każdego człowieka, który w nim przebywał.

Clemencia zapukała. Drzwi zamknięte na klucz, szefa nie było. Zastała tylko Robinsona. Rozsiadł się wygodnie za jej biurkiem. Przypuszczalnie nie miał dość fantazji, żeby sobie tylko wyobrazić, jakby to było, gdyby jako inspektor zajął jej miejsce. Wcale nie wyglądał na zażenowanego sytuacją. Kiedy Clemencia zapytała, gdzie jest reszta zespołu, Robinson tylko się napuszył. Może Clemencji to umknęło, ale prowadzą właśnie

zakrojoną na wielką skalę akcję poszukiwawczą, a zatem potrzebny jest każdy zdolny do służby mężczyzna. Specjalnie podkreślił przy tym słowa „zdolny do służby” i „mężczyzna”, za co Clemencia postanowiła mu kiedyś odpłacić. Teraz miała inne zmartwienia. To była nie tylko największa akcja, jaką ten kraj kiedykolwiek widział, paplał dalej Robinson, ale także sprawa wielce delikatna, gdyż najwyraźniej pewne wpływowe kręgi nabrały przekonania, że policja chce za wszelką cenę zastrzelić „Donkerkopa”, zanim ten zdąży otworzyć usta. Dlatego więc trzeba pojmać go żywego. W tym punkcie on, Robinson, zgadza się całkowicie z Oshivelą. Wydano już odpowiednie instrukcje. Robinson wskazał na wielką mapę Namibii przed sobą. Właśnie rozważał różne strategie, ale zaraz musi się udać do centrali telefonicznej. Gdyż, jak może Clemencia już się domyśliła, Oshivelo poprosił go o koordynowanie całej operacji. Bo wszyscy „zdolni do służby mężczyźni” są potrzebni w terenie, Clemencia miała te słowa już na końcu języka, ale zamiast tego zapytała tylko:

– A co z szefem?

– Chory – wyjaśnił Robinson. – Dzwonił przed chwilą.

Clemencji nie pozostało nic innego, jak tylko przedstawić swoją teorię Robinsonowi. Jego reakcja wcale jej nie zaskoczyła.

– Po pierwsze, jesteś zawieszona, po drugie, nie ma żadnego mordercy, który gdzieś czai się na „Donkerkopa”, bo to sam „Donkerkop” jest zabójcą, za którego schwytanie, po trzecie, odpowiadam ja.

– Potrzebuję tylko kilku ludzi i dostępu do... – zaczęła Clemencia.

– Nie ma mowy!

– Robinson! – krzyknęła Clemencia. – Może być tak, że to ty masz rację,

a ja jestem ostatecznie wyłączona z gry. Albo i nie. Może jeszcze przez kilkadziesiąt lat będę twoją przełożoną. I zapewniam cię, Robinson, że nikt z tej komendy nie będzie chciał wtedy być w twojej skórze.

Robinson uśmiechnął się, ale widocznie zaczął się zastanawiać, czy naprawdę mądrze było na tym etapie zająć tak zdecydowaną pozycję.

– A więc? – zapytała Clemencia.

– Chętnie bym ci pomógł – powiedział Robinson – ale dostałem jasne instrukcje. Ujęcie „Donkerkopa” ma najwyższy priorytet. Oshivelo wydał rozkaz, żeby wszystkich ludzi skierować do poszukiwań.

– Okay, to zadzwonimy do szefa. – Clemencia nachyliła się nad biurkiem, wzięła słuchawkę i poprosiła o połączenie. Odłożyła dopiero wtedy, kiedy wybrzmiał ostatni sygnał i nadal nikt nie odbierał.

– Chory – stwierdził Robinson. Wzruszył ramionami. – Przykro mi, ale...

Idiota! Clemencia wypadła z biura. Na korytarzu zadzwoniła do Anguli. Jej wyjaśnienia niezbyt go interesowały. Dopiero gdy usłyszał, że chodziło o przeszukanie bez oficjalnej zgody policji, zapalił się do tego pomysłu. Clemencia obiecała, że zaraz po niego przyjedzie. Najpierw jednak udała się do magazynu i zażądała wydania pistoletów, swojego i Anguli.

– Znów na służbie? – zapytał dyżurny.

– Wielka mobilizacja – odparła Clemencia. – Potrzebny jest każdy policjant. I policjantka.

– Jasne. – Funkcjonariusz podsunął jej listę, żeby podpisem potwierdziła odbiór broni.

Za wycieraczkę golfa był wsunięty mandat. Clemencia włożyła go do schowka i ruszyła w kierunku Katutury. Po prostu doprowadzi rzecz do końca. Obojętne, jakie to będzie miało konsekwencje. Z jakiegoś powodu

pomyślała o Oshiveli. Musiał być naprawdę poważnie chory, jeśli w takiej sytuacji przekazał dowodzenie takiemu idiocie jak Robinson.

Piękna młoda kobieta popatrzyła ponad lufą kałasznikowa w jego oczy i powiedziała:

– Pan jest chory.

Odwrócił wzrok. Niebo wisiało nad ziemią szare i ciężkie. Kiedy wreszcie spadną te masy wody, wszyscy będą się dziwić, że chmury tak długo wytrzymały. Odpowiedział:

– Nie jestem chory, ja tylko umieram.

– Nie umiera się bez powodu – odparła młoda kobieta.

– Zawsze znajdzie się jakiś powód, żeby umrzeć – powiedział.

Kiedy Angula przeładowywał pistolet, jego twarz wykrzywiła się w grymasie bólu. Z grubego opatrunku prawej dłoni, sięgającego aż do przedramienia, wystawały tylko koniuszki dwu palców.

– Dasz radę? – zapytała Clemencia.

Będzie musiała sama sforsować bramę do posiadłości. A potem drzwi wejściowe. Dzięki Bogu, Angula miał przynajmniej w domu dłuto.

– I naprawdę nie dostaniemy posiłków? – zapytał Angula.

Clemencia wskazała szyld Group-4-Securicor przy wejściu:

– Jeśli mamy szczęście, będzie włączony alarm.

Wtedy przynajmniej po włamaniu do domu zostanie zaalarmowana firma ochroniarska. Centrala zadzwoni do domu, a ponieważ nikt nie odbierze, rutynowo wyślą wóz patrolowy. Dopiero wtedy zauważą, że sytuacja jest poważna. Zanim zjawią się z większą grupą ludzi, przypuszczalnie już dawno będzie po strzelaninie. Ale najpewniej alarm po prostu nie był

włączony. Nie, jeśli ktoś był w domu.

Clemencia przyłożyła dłuto do zamka.

– To co, zaczynamy?

– Jeśli się mylisz... – powiedział Angula.

– Nie myślę się – zapewniła Clemencia.

Oshivelo zgłosił, że jest chory, nie podchodził do telefonu, nie reagował na dzwonek i w przeciwieństwie do swojej poprzedniej linii postępowania, wydał polecenie, żeby „Donkerkopa” koniecznie wziąć żywcem.

– No to zaczynamy! – powiedział Angula.

Clemencia wsunęła dłuto w szczelinę, drewno zatrzeszczało. Naparła na zamek z całą siłą, potem uderzyła ramieniem, w końcu brama z trzaskiem poddała się i wyskoczyła z zawiasów, dłuto upadło z brzękiem na kamienne płyty i podczas gdy Clemencia schowana za kolumną bramy wyciągała broń, Angula już zdążył przemknąć przez wyłamane przejście. Alarm się nie odezwał. Pieszy, który zbliżał się drugą stroną ulicy, wykonał zwrot w tył i zaczął uciekać.

Clemencia policzyła do dziesięciu. Nadal panował spokój. Po omacku odszukała dłuto, wzięła głęboki oddech. Z pistoletem gotowym do strzału przeszła przez bramę, kątem oka zauważyła Angulę ukrytego po lewej stronie za wielką donicą, z której wyrastało drzewko z błyszczącymi ciemnozielonymi liśćmi. Fikus, pomyślała, jakby to było ważne, potem przebiegła po kamiennych płytach wjazdu do garażu i przywarła plecami do jego drzwi. Po prawej znajdowała się część mieszkalna. Dwa metry otynkowanego na biało muru, a dalej wielkie okno, za którym – o ile Clemencia dobrze zapamiętała – znajdowała się obszerna kuchnia Oshiveli. Drzwi wejściowe były za rogiem.



Angula wystawił zabandażowaną rękę ze swojej kryjówki. Wyglądało to, jakby tonący machał, wzywając pomocy, ale przypuszczalnie miało oznaczać, że wszystko jest w porządku. Clemencia wskazała głową w prawo. Angula schylony podbiegł pod dom. Teraz oboje stali zwrócenie plecami do ściany, z pistoletami w dłoniach. Między nimi były okna.

– Tędy wchodzimy – szepnęła Clemencia.

Włożyła broń za pasek, przesunęła się wzdłuż muru, obiema rękami ujęła dłuto. Angula ją ubezpieczał. Od siły uderzenia Clemencii szyba rozprysnęła się na kawałki. Odłamki z brzękiem posypały się do środka, potem znów zapadła cisza. Przyklejeni do ściany Clemencia i Angula popatrzyli na siebie. Na Boga, dlaczego nic się tam nie poruszało? Dlaczego nikt nie strzelał? Dlaczego nie zaterkotał kałasznikow?

– Tam nie ma nikogo – szepnął Angula.

Czyżby jednak Clemencia nie miała racji? Może Oshivelo po prostu wziął sobie dodatkowy dzień urlopu? Clemencia zaryzykowała spojrzenie do środka. W kuchni nie było nikogo. Drzwi do przedpokoju były zamknięte.

– Wchodzimy – mruknęła Clemencia.

Wytlukła dłutem resztki szyby z ram i przeskoczyła na drugą stronę. Pod jej butami zachrząściło szkło. Ostrożnie przekradała się do drzwi, podczas gdy Angula z trudem gramolił się przez okno. Jeszcze nawet nie posprzątało po śniadaniu. Dwa nakrycia. Nie było trudno rozpoznać, gdzie siedział Oshivelo, a gdzie jego żona. Clemencia przelotnie zanurzyła palec w filiżance. Resztką kawy nawet nie wystygła. Angula mruknął coś niewyraźnie. Był już przy drzwiach prowadzących na korytarz. Kiedy Clemencia zajęła pozycję, nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Po prawej stronie było wejście frontowe, po lewej dalsze pomieszczenia domu.

Clemencia zamierzała przejść na drugą stronę korytarza, kiedy usłyszała zdławiony krzyk. Jakby ktoś właśnie był duszony. Zastygła w miejscu, wstrzymała oddech. Angula skinął głową i bezszelestnie ją wyprzedził. Odgłosy dochodziły z pierwszego pokoju po prawej stronie, którego drzwi były tylko przymknięte. Wąska smuga dziennego światła padała przez szparę na podłogę korytarza. Angula przeciął ją, kierując się na drugą stronę drzwi. Clemencia przesuwała się powoli wzdłuż ściany. Kolba pistoletu była wilgotna. Zabandażowana dłoń Anguli objęła framugę i delikatnym naciskiem otworzyła drzwi. Smuga światła na podłodze była teraz szersza.

– Policja – zawołała Clemencia. Jej głos zabrzmiał fałszywie. – Ręce nad głowę i powoli kierować się do wyjścia! – dodała.

Odpowiedziały jej stłumione, pełne bólu jęki. Clemencia wskazała na Angulę, potem na swój pistolet, wreszcie na pokój. Angula zrozumiał. Skierował swoją broń do wnętrza pokoju, tak że widoczna była tylko jego dłoń. Po drugiej stronie drzwi Clemencia wsunęła głowę do środka. Pod oknem stało w poprzek dwuosobowe łóżko. Leżał na nim Oshivelo, zwrócony twarzą do Clemencji, z oczami szeroko rozwartymi, w ustach miał knebel przymocowany szeroką taśmą klejącą. Jego ręce i nogi były poprzywiązywane do rogów łóżka.

Clemencia nie poruszyła się. Po prawej szafa na ubrania, za drzwiami martwy punkt. Zapytała:

– Czy pan mnie rozumie, szefie?

Oshivelo skinął.

– Niech pan skinie jeszcze raz, jeśli poza panem ktoś jeszcze jest w pokoju! Oshivelo zdecydowanie potrząsnął głową.

– A może gdzieś w innej części domu?

Oshivelo znów zaprzeczył. Clemencia prześliznęła się na drugą stronę framugi, wycelowała lufę pistoletu w lewo, w martwy kąt. Krzesło, rower stacjonarny, lustro na ścianie. Clemencia odwróciła się. Angula właśnie otwierał szafę. Wszystko w porządku, pokój był bezpieczny. Angula kontrolował korytarz, a Clemencia uwolniła Oshivelę od knebla i zabrała się do sznura na bieliznę, którym był skrzepowany.

Szef policji odetchnął głęboko i powiedział:

– Nie ma go tu.

– Jak długo?

– Najwyżej od godziny. Zabrał moją żonę jako zakładniczkę.

Clemencia spotkała żonę Oshiveli dwa albo trzy razy. Młoda piękność, dla której rozwiódł się po dwudziestu pięciu latach małżeństwa. W policji przebąkiwano wtedy, że zajęła kiedyś drugie miejsce w wyborach miss Namibii, aż ktoś – chyba Robinson – zbadał sprawę i odkrył, że nigdy nie brała w nich udziału.

– Zaraz sporządzimy rysopis mordercy – powiedziała Clemencia – a potem...

– Nie! – krzyknął Oshivelo, pocierając przeguby dłoni. – Ten człowiek jest śmiertelnie chory. Jeśli coś pójdzie nie tak, jak sobie zaplanował, bez wahania naciśnie spust.

Clemencia miała w gruncie rzeczy rację. Potrzebowała tylko za dużo czasu, żeby zrozumieć, że dla zabójcy szantażowanie wysokiego rangą oficera policji było mniej ryzykowne niż wejście do samej komendy. Gdyby wpadła na to godzinę wcześniej, już by go mieli! Powiedziała:

– On chce „Donkerkopa”. Żywego. Kiedy go znajdziemy, ma pan oddać go

w ręce mordercy, prawda?

– Nie całkiem – odparł Oshivelo. – „Donkerkop” ma się przyznać do udziału w zabójstwie Antona Lubowskiego, wymienić innych uczestników zamachu i opisać okoliczności. Kiedy morderca usłyszy jego nagrane zeznania w radiu NBC, puści moją żonę wolno.

– Tak powiedział – rzuciła Clemencia.

– Właśnie – potwierdził Oshivelo.

– I co teraz zrobimy? – zapytała Clemencia.

Właśnie udało jej się uwolnić nogi Oshiveli. Postawił stopy na dywanie i zaczął nimi poruszać.

– Co zrobimy? – Oshivelo zaśmiał się ponuro. – Złapiemy „Donkerkopa”, zmusimy go do zeznań i puścimy je w radiu. Właśnie to zrobimy!

– Szefie, przecież nie możemy...

– Ależ możemy, jeszcze jak!

– Pańska żona... – zaczęła Clemencia.

– Otóż to – przerwał jej Oshivelo. – Ona jest moją żoną i chciałbym ją odzyskać całą i zdrową.

Spod drzwi odezwał się Angula:

– Czego jeszcze chciał morderca?

– To chyba wystarczy, czyż nie? – odparł ostro Oshivelo.

– Zastanawiam się tylko, dlaczego porwał akurat pańską żonę. Przecież jest wielu innych wysoko postawionych oficerów. – Angula mówił cicho. A mimo to jego głos był ostry. Mały, lśniący skalpel, który gładko wchodzi w skórę.

– Niech pan mówi, Angula! – Oshivelo wstał.

– Czy nie zażądał też, żeby pan wystąpił w radiu, szefie? Pan albo ktoś

inny ze SWAPO, kto był zaangażowany w sprawę Lubowskiego? Może pan lepiej potrafiłby opowiedzieć, jak to wszystko się odbyło?

Oshivelo zrobił krok w kierunku Anguli. Kolana się pod nim ugięły, krew jeszcze nie krążyła normalnie. Znow usiadł na łóżku i oświadczył:

– Uwolniliście mnie i za to wam dziękuję. Ale teraz jesteście definitywnie wykluczeni, oboje! Dopóki toczy się ta sprawa, nie chcę widzieć żadnego z was. A jeśli ktoś się odważy utrudniać śledztwo, pokazywać się w komendzie lub w jakikolwiek inny sposób wtrącać, każę go zamknąć. Przysięgam na życie mojej żony.

Ndangi Oshivelo, zastępca komisarza głównego namibijskiej policji:

*Teorie spiskowe są tak żywotne, bo wystarcza im przypuszczenie, zbieg okoliczności i dowolnie zestawione pojedyncze aspekty sprawy, żeby stworzyć pozory prawdopodobieństwa. Można próbować podważać taką argumentację w różnych miejscach, ale to tylko mobilizuje jej zwolenników do konstruowania nowych teorii. Do ich sedna nigdy się nie dotrze, bo jak można udowodnić, że coś nie istnieje? Zweryfikowanie czegoś jest natomiast stosunkowo łatwe. Jeśli chcemy komuś udowodnić, że na pustyni są szakale, bierzemy go na Kalahari i łapiemy szakala. Ale gdy chcemy przekonać kogoś, że tam w powietrzu nie latają duchy, nie ma szans. Wprawdzie nie widać tych duchów, nawet jeśli szuka się ich latami, ale przecież one mogą być niewidzialne. Albo ukazują się ludziom pod postacią nietoperzy. Albo jakieś inne brednie.*

*Co chcę przez to powiedzieć? Moim zdaniem wykluczone jest, żeby ktoś ze SWAPO był wtajemniczony w plany zamachu, czy wręcz zamieszany w samo morderstwo Lubowskiego, ale udowodnić tego nie mogę. Gdyż jest to*

niemożliwe. To nie przypadek, że w procesie sądowym zadaniem oskarżonego nie jest przekonanie sądu o swojej niewinności. Nie, to jemu trzeba dowieść winę.

A do tego nie wystarczy szeptać ze znaczącą miną, że Lubowski miał we własnym obozie konkurentów i wrogów. To nawet jest możliwe. Możliwe też, że niektórzy mieli chrapkę na państwowe posady, które po uzyskaniu niepodległości przypuszczalnie przypadłyby Lubowskiemu. Wielu cieszyło się, że już nie mógł wpływać politycznie na Sama Nujomę, który miał właśnie wrócić z emigracji. Niewykluczone też, że jeden czy drugi po cichu sympatyzował z hasłem, które niedawno jeszcze jakiś prostak obnosił na plakacie przez Windhuk: „Wybić wszystkich białych!”.

Z teoriami spiskowymi nikt nie wygra. Nic nie daje ich dekonstruowanie, nawet jeśli chodzi o największe idiotyzmy. A tych naprawdę słyszeliśmy już wystarczająco dużo! Nie mogę temu zapobiec, że ktoś zadaje sobie pytanie, czy SWAPO wiedziała o grupie zabójców, którzy przylecieli do Windhuku, i dostała cynk o planowanym zamachu. Czy ktoś świadomie ukrywał tę informację tak długo, aż zdjęcie Lubowskiego z linii ognia było niemożliwe. Czy Acheson został podsunięty policji, kiedy wykonał swoje zadanie. Czy dlatego istniały powody, żeby obawiać się procesu.

Mogę setki razy powtarzać, że w 1989 roku nie mieliśmy żadnej władzy i nie mogliśmy wpływać na śledztwo, ale to i tak niczego nie zmieni. Jeśli ktoś nie może przestać, niech sobie dalej spekuluje, skąd mordercy wiedzieli, że feralnego wieczora Lubowski będzie bez kierowcy. Można krytykować polityczne działania w sprawie procesu, można wątpić, czy wniosek o ekstradycję agentów CCB z RPA był rzeczywiście bez szans. Można sobie spokojnie konstruować własną wersję wydarzeń! Nie

*zamierzam brać w tym udziału. Mógłbym się do tych rzeczy ustosunkować, gdyby istniały względnie logiczne dowody. Ale tych chyba nie ma, nieprawdaż?*

## Bohaterowie

Zabójca jest śmiertelnie chory, powiedział Oshivelo. Czy coś takiego widać po człowieku? A może zabójca sam to powiedział, żeby podkreślić, że może być bezwzględny? Jednak w ten sposób odkryłby swoją słabość. Czy człowiek, który chce szantażować innych, zdecydowałby się na coś takiego? Czy wtedy Oshivelo nie próbowałby grać na czas z nadzieją, że zagrożenie dla jego żony samo się rozwieje?

Daleko na zachodzie chmury się postrzępiły, tu i ówdzie prześwitywały przez nie smugi bladego błękitu, ale nad samym Windhuku piętrzyły się wielkie zwały szarości. W najróżniejszych odcieniach, aż do niemal zupełnej czerni. Prawie czuło się na skórze wyładowania elektryczne, które się tam zbierały. Angula mruknął coś pod nosem. Przedtem poprosił, żeby Clemencia zawiozła go do domu i teraz jechali Otjomuise Road. Po lewej stronie leżał zbiornik Goreangab. Resztką wody tworzyła nieruchomą, matową, szaroburą powierzchnię. W samochodzie było duszno, nawet przy otwartych oknach.

Clemencia nie wątpiła w to, że zabójca naprawdę był śmiertelnie chory. To



było takie oczywiste, że dziwiła się, dlaczego wcześniej sama na to nie wpadła. Ta mieszanka desperacji, zdecydowania i całkowitej bezwzględności, którą prezentował w swych działaniach, odpowiadała postawie „po mnie choćby potop”, postawie człowieka bez przyszłości.

W ten sposób można było też wytłumaczyć kolejną zagadkę związaną z serią morderstw, owe dwadzieścia lat, które minęły od czasu zamachu na Lubowskiego. Możliwe, że zabójca od początku planował zemstę, ale obawiał się konsekwencji, jakie mogłoby to na niego ściągnąć. Teraz wszystko było mu obojętne. Dożywocie nie wydaje się takie straszne, kiedy się wie, że chodzi najwyżej o kilka tygodni. A pewnie i tak ze względów zdrowotnych kara więzienia będzie wykluczona.

Lekarze! Pomyślała Clemencia. Przecież ktoś musiał postawić mu diagnozę. Ktoś musiał mu wytłumaczyć, że wkrótce umrze. Może w ten sposób uda się ustalić, kim on jest? Przez lekarzy? Ale Clemencia w żaden sposób nie mogła obejść wszystkich gabinetów lekarskich. Przecież nawet nie wiedziała, na co choruje zabójca. Tylko tyle, że sprawa była poważna, beznadziejna i bardzo, bardzo przewidywalna. Żaden lekarz nie postawiłby takiej diagnozy tak po prostu, po pierwszym, pobieżnym przebadaniu pacjenta. Spróbowałyby się zabezpieczyć, wykluczyć wszelkie wątpliwości. Zdjęcia rentgenowskie, tomografia komputerowa, analiza próbek tkanki, badanie krwi, elektroencefalografia, i co tam jeszcze było. W każdym razie żaden normalny gabinet lekarski nie był odpowiednio wyposażony do takich badań. Laboratorium albo... szpital! Właśnie, tak to musiało wyglądać. Może zabójca sam przyszedł do szpitala, może został do niego skierowany, w każdym razie dopiero tam usłyszał ostateczną diagnozę. A tak wielu dobrze wyposażonych szpitali w Windhuku nie było.

– Katutura Hospital, Central, Rhino Park, Mediclinic, Rzymskokatolicki... – mruzczała Clemencia.

– Ja chcę tylko do domu – powiedział Angula. Lewą ręką podtrzymywał zabandażowaną dłoń.

– Pomyślałam, że może w szpitalach dowiemy się, kim jest zabójca.

– Beze mnie – stwierdził Angula.

– To jest jakaś szansa.

Angula powiedział, wpatrując się w swój opatrunek:

– Nie czuję się zbyt dobrze.

– Jasne – rzuciła Clemencia. – Przepraszam. Myślałam tylko...

– Chętnie bym się położył.

Oczywiście wcale się nie położy. Weźmie do lewej ręki ołówek i niezdatnym pismem zacznie spisywać oskarżenie za oskarżeniem przeciwko Oshiveli i kierownictwu SWAPO, choć dobrze wiedział, że to nic nie da. Clemencia powiedziała:

– W porządku, Angula.

– Tak?

– Tak.

Milczeli przez kilka minut, które dzieliły ich od mieszkania Anguli. Potem on wysiadł, odwrócił się do Clemencji i rzucił na pożegnanie:

– Wiem, że mam rację.

– Wykuruj się, Angula! – odparła Clemencia i odjechała.

Zaczęła od Central Hospital. Ruszyła z parkingu w stronę wejścia dla odwiedzających, przystanęła. Przed budynkiem na ławkach kilka wielopokoleniowych rodzin czekało na początek odwiedzin. Mały chłopiec w pelerynce Batmana biegał z plastikowym pistoletem po zbrązowiałym od

słońca trawniku. Dwie półkoliste rampy otaczały plac przed szpitalem jak szczytce. Przy bocznym wejściu stał jakiś mężczyzna w białym kitlu i pośpiesznie wypalał papierosa.

W jaki sposób Clemencia mogłaby się dowiedzieć, u których pacjentów w ostatnim czasie zdiagnozowano stan rokujący najwyżej kilka tygodni życia? Na pewno nie było takiego rejestru i administracja przypuszczalnie mogłaby go sporządzić po przekopaniu się przez akta wszystkich chorych po kolei. Jednak do przewidzenia było, że nie zechcą tego zrobić. Alternatywą pozostawało zwracanie się do lekarzy, ale tych musiały tu pracować setki. Połowa nie miała dzisiaj dyżuru, a reszta na pewno od razu powoła się na tajemnicę lekarską. Clemencia nigdy nie uzyska kompletnej listy, to trwałoby całą wieczność, sprawa zdawała się bezsensowna.

Clemencia spróbowała zrekonstruować, jak lekarka – mogła sobie wyobrazić w tej roli tylko kobietę, żadnego mężczyzny – przekazała zabójcy wyniki badań. Dane, fakty, specjalistyczne terminy, a kiedy brak zrozumienia na twarzy pacjenta stawał się coraz bardziej wyraźny, jasne, proste słowa: choroba osiągnęła takie stadium, w którym dalsze leczenie nie przyniesie poprawy, wręcz odwrotnie, będzie dla organizmu jeszcze większym obciążeniem. Można próbować farmakologicznego łagodzenia objawów, żeby doraźnie poprawić jakość... Wtedy zabójca zrozumiał.

– Ile jeszcze? – zapytał, a lekarka odparła, że tego nigdy dokładnie nie wiadomo...

– Ile jeszcze? – powtórzył i zerwał się z miejsca.

– Może jeszcze kilka miesięcy – powiedziała wreszcie lekarka. Po krótkim namyśle dodała: – To raczej kwestia tygodni niż miesięcy.

A zabójca? Nie załamał się, przeciwnie, wyglądało na to, że ktoś zdjął

z niego jakiś niesłychany ciężar, jakby nagle jego ciało napełniło się nową siłą, od dawna niedoznaną energią, której potrzebował, bo miał przed sobą zaledwie kilka tygodni życia i mnóstwo spraw do załatwienia. Chciał tylko wyjść z tego szpitala, wyjść za wszelką cenę. Gdy tylko nadarzyła się okazja, zebrał szybko swoje rzeczy. I jeśli tak to wyglądało, na pewno nie myślał o tym, żeby...

Clemencia spojrzała na wejście do Central Hospital. Nie, zabierze się do tego inaczej. Nie w fiński, przepisowy sposób, tylko raczej na modłę *miki Selmy*. Wyjęła komórkę i zadzwoniła na informację, gdzie uzyskała potrzebny numer. Potem jako Claire Namases z Ministerstwa Zdrowia kazała się połączyć z administracją szpitala.

Wyjaśniła, że obecnie w ministerstwie odbywa się międzynarodowa konferencja, dzięki której namibijska służba zdrowia może dostać znaczne środki finansowe. Jednak przedstawiciele UNESCO zażądali konkretnych danych, których ministerstwo nie posiada. Sekretarz stanu obiecał, że jeszcze dzisiaj przed zakończeniem konferencji owe dane zostaną im udostępnione. Dlatego zwraca się z prośbą o niezwłoczne sporządzenie listy pacjentów, którzy w ciągu ostatnich trzech miesięcy opuścili szpital, nie dopełniwszy formalności związanych z wypisem. Takich, którzy po prostu uciekli. No właśnie. Prosimy o dokładne dane, nazwisko, adres, wiek, diagnoza i tak dalej, to chyba jest możliwe, prawda? Dobrze, skoro zasadniczo jest to możliwe, w takim razie na pewno da się też przygotować taką listę w trybie natychmiastowym. Gdyby to nie było pilne, nie dzwoniłoby z ministerstwa. Zaraz pracownica ministerstwa zjawi się w szpitalu po listę. Będzie tam za jakieś dwadzieścia minut. Nazywa się Clemencia Garises – „proszę zanotować nazwisko!” – materiały należy

przekazać jej do rąk własnych. Dziękuję, jestem zobowiązana, życzę miłego dnia!

Kiedy Clemencia obdzwoniła pozostałe szpitale w Windhuku, dwadzieścia minut zdążyło już minąć. Oczywiście administracja w Central Hospital jeszcze niczego nie zdziałała, ale gdy Clemencia zagroziła gniewem ministra, jedna z pracownic usiadła przed komputerem. Poszło szybciej, niż można się było spodziewać. Pół godziny później Clemencia przeglądała listę nazwisk w drodze na parking. Około siedemdziesięciu nazwisk. Większość osób pewnie uciekła, żeby nie płacić za leczenie.

Clemencia wykreśliła najpierw kobiety, dzieci i dwóch mężczyzn powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia. Potem nazwiska pacjentów, których choroby nie oznaczały nieodwracalnego zagrożenia dla życia i zdrowia. Pozostało kilka osób z diagnozami, których lekarski żargon był dla niej zbyt skomplikowany, kilku chorych na raka i przede wszystkim mężczyźni między dwudziestym i pięćdziesiątym rokiem życia, którzy zarazili się HIV i z powodu osłabienia systemu immunologicznego cierpieli na różne ciężkie dolegliwości sekundarne.

Jeszcze osiemnaście nazwisk, z których żadne nic jej nie mówiło. Jeszcze osiemnaście adresów do sprawdzenia. Ale zanim się do tego zabierze, postanowiła przejrzeć listę pacjentów z Katutury. Uznała za mniej prawdopodobne, że zabójca mógł się leczyć w prywatnym szpitalu. Może to były fałszywe wyobrażenia, ale do zabójcy, niemającego nic do stracenia, nie pasował wizerunek zamożnego człowieka, którego stać na prywatne zabiegi.

W Katutura Hospital też poszło gładko. Z listy, którą tam otrzymała, zostały dwadzieścia cztery nazwiska.

Ashipala Manzambi

Autindi Immanuel

Bobeje Ebenezer

Damaseb Dawid

Daurab Amon

Elago Lucas

Erastus...

Stop! Elago Lucas, farma Lewensvrede, telefon... Czy to nie była farma emerytowanego sędziego Hendrika Fouriego? Czyż to nie był numer, pod który Clemencia już kilka razy dzwoniła?

Elago Lucas, ur. 23.01.1967, przyjęty do szpitala 15.12, zniknął bez wypisu 20. albo 21.12. A więc niecałe dwa tygodnie przed pierwszym morderstwem! Dwa tygodnie potrzebne, żeby zdobyć kałasznikowa, wysledzić ofiary, sporządzić plany, ukraść samochód i przemalować go na wóz patrolowy Group-4-Securicor.

Elago Lucas. Diagnoza: jednoznacznie stwierdzony AIDS, gruźlica płuc, zaatakowane węzły chłonne, zapalenie trzustki. Zaleca się podawanie...

Clemencia stała przy golfie przed Katutura Hospital. Niebo pociemniało tak bardzo, jakby właśnie zapadała noc. Na północy, w stronę Brakwater, migały błyskawice, przez moment wyglądały jak płonące pod chmurami rozgałęzione, oślepiające drzewa, które gasły pomiędzy ciemnymi wzgórzami. Clemencia próbowała liczyć sekundy do usłyszenia przynależnego do nich grzmotu, ale było ich tyle, że nie udawało jej się połączyć światła i dźwięku. Wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik.

Elago Lucas!

Kiedy ruszyła, pierwsze krople deszczu spadły na przednią szybę. To były

pojedyncze wielkie krople. Clemencia pomyślała o śladach pocisków karabinowych i przyglądała się, jak cienkie strużki wody torują sobie drogę przez warstwę kurzu pokrywającą szybę.

Siedział za kierownicą, niebieska torba leżała obok. Nie będzie jej już potrzebował, już nie będzie niczego potrzebował. Tylko miejsca, gdzie może umrzeć. Właśnie miał do niego dotrzeć. Już teraz czuł, że świadomość może go w każdej chwili opuścić, chciała odejść, nie wiadomo dokąd, w każdym razie chciała opuścić jego ciało, które jeszcze przez jakiś czas będzie oddychać. Jego serce z przyzwyczajenia będzie biło, aż pojmie, że to już nie ma sensu. Wtedy się zatrzyma. To będzie koniec. Odkaszlnął, splunął krwią.

Właściwie nie miało znaczenia, gdzie się umiera. Każde miejsce było równie dobre. Kiedy Buszmeni czują, że zbliża się ich czas, zostają sami w obozowisku, podczas gdy inni ciągną dalej. Tak umierają. Ich krewnych to nie obchodzi, są wystarczająco zajęci walką o przeżycie. O tych, którzy nie mogą już w tym pomóc, najlepiej szybko zapomnieć. Nieważne, jakie ofiary ponieśli przedtem. Tylko że on nie był Buszmenem.

Kolczaste krzewy zazgrzytały nieprzyjemnie na karoserii. Oprzytomniał, skierował samochód z powrotem w piaszczyste koleiny. Już niedaleko, zostały może dwa kilometry. Powinien dać radę! Tak długo musiał jeszcze wszelkimi siłami utrzymać świadomość. Zacisnął powieki, potem szeroko je otworzył, żeby przeniknąć mgłę, którą miał przed oczami. Dopiero teraz zauważył, że na przedniej szybie samochodu perliły się kropelki wody. Zaczął padać deszcz. Szukał przycisku uruchamiającego wycieraczki. Ale nawet kiedy go znalazł, nadal nie widział wyraźnie.

Za to dobrze słyszał. Prawie jak przedtem. Deszcz rytmicznie stukał w karoserię. Potem dźwięk na chwilę ustał, by nagle zamienić się w szalone bębnienie. Wycieraczki z trudem walczyły z masami wody, odpychały na bok strumienie, by w drodze powrotnej zagarniać nowe. Z sekundy na sekundę dzień stał się nocą, póki wokół samochodu nie rozbłysnął piorun, w jednej chwili wszędzie pojaśniało. Krzaki jakby zabłysły krótko, upiornie, bezbarwne, przygięte stwory, dziko siekane deszczem. Niebo nie płakało, lecz wyrzucało z siebie cały gniew na ziemię, a grzmot trząsał jak kości antylopy w szczękach stada lwów, tylko dłużej i głośniej, o wiele głośniej. To była pierwsza burza pory deszczowej i ostatnia w jego życiu!

Nachylił się, usiłując dojrzeć, którądy biegnie droga.

Kiedy Clemencia ruszyła spod szpitala, zaczęło lać jak z cebra. W mieście musiała jechać wolniej, ale właściwie nie miała problemów. Tunele dopiero później będą zalane, kiedy odpływy się zatkają pyłem i płynącymi z wodą śmieciami albo zwyczajnie nie dadzą rady masom deszczówki. Także asfaltową B1 na południe jechało się stosunkowo dobrze, poza tym że Clemencia omal nie przegapiła zjazdu, bo za późno zauważyła tablicę informacyjną.

Potem było tylko gorzej. Upały z ostatnich miesięcy zamieniły powierzchnię ziemi w twardą, nieprzepuszczającą wody skorupę. Kałuże na pylistej polnej drodze szybko stały się rozległymi jeziorami, przez które citi golf przedostawał się z dużym trudem. A deszcz ciągle padał i nie zamierzał słabnąć. Światła samochodu ginęły wśród niemal pionowo opadających kresek. Gdy Clemencia wreszcie skrzyła w drogę dojazdową



do farmy, teren stał się bardziej pofałdowany. Wprawdzie wzdłuż wyjeżdżonych kolein płynęły z pluskiem strumyki, ale tutaj woda przynajmniej spływała w dół. Droga wznosiła się, opadała, a Clemencia jechała tak szybko, jak tylko potrafiła. Wiedziała, że suche koryta rzek przy takiej burzy w ciągu kilku minut mogą się zamienić w rwący nurt. Pierwsze obniżenia Clemencia jeszcze jakoś pokonała, ale potem już się nie dało. Zatrzymała się przed przecinającym drogę strumieniem o szerokości ponad pięciu metrów, który u zbocza spiętrzał się w wysoką falę, a potem spadał w ciemność po lewej stronie.

Niech to diabli, to przecież niemożliwe! Wiedziała, jak się nazywał zabójca, wiedziała, że wkrótce umrze, nawet wiedziała na co, a przede wszystkim miała niemal całkowitą pewność, dokąd uciekał, a teraz nie mogła za nim jechać. Bo padał deszcz! Bo wyruszyła o pół godziny za późno. Bo musiała zawieźć do domu Angulę, żeby mógł zapełniać kolejne kartki bezsensownymi notatkami. Bo Claus Tiedtke był chyba jedynym białym w tym kraju, który nie posiadał porządnego wozu terenowego, tylko jakiegoś nędznego golfa.

Clemencia wyciągnęła komórkę. Brak zasięgu. A przecież kiedyś już dzwoniła z farmy. Może to przez burzę albo dolinę, w której utknęła. Droga powrotna na pewno też była już nieprzejezdna. Z prawej strony wznosiły się ciemne skały, po lewej zaś teren stromo opadał. Tutaj nie dałoby się nawet zawrócić. Clemencia wycofała samochód kilka metrów, wrzuciła jedynkę i wcisnęła pedał gazu. Woda rozprysnęła się na boki, przednie koło podskoczyło gwałtownie na jakimś kamieniu, aż Clemencię poderwało z siedzenia. Kurczowo trzymała się kierownicy, wpatrując się w wielką falę, którą golf pchał przed sobą, prawą stopą docisnęła pedał

i wtedy samochód się zatrzymał. Utknął na dobre, zalany wodą. Brakowało metra, jednego śmiesznego metra. Deszcz bębnił o dach, pod podłogą pluskała rzeka. Poziom wody będzie się dalej podnosił, więc wkrótce samochód znów ruszy z miejsca, tym razem zostanie zepchnięty w stronę zbocza. Clemencia musiała się z niego jak najszybciej wydostać.

Woda sięgała jej prawie do kolan, Clemencia przedarła się do przodu auta, dwoma szybkimi krokami wydostała się na brzeg i ruszyła naprzód, nie oglądając się za siebie. Szła grzbietem pomiędzy dwiema zalanyymi koleinami. Przy każdym kroku woda pischczała w jej butach. Po trzydziestu metrach była już przemoknięta do suchej nitki, próbowała tylko w miarę możliwości chronić pistolet i komórkę. Pół godziny później deszcz zelżał, a kiedy dotarła do bramy farmy, już tylko kropiło.

Tym razem nie czekał tam żaden chłopiec, żeby jej otworzyć, nie było nawet psów. Taras był pusty, dom Fouriego ciemny. Za to nissan należący do Oshiveli stał zaparkowany trochę na uboczu pod drzewami, po wschodniej stronie domu. Clemencia nie pytała o to szefa, ale zrozumiała, że zabójca wymusił oddanie kluczyków, zanim zniknął z zakładniczką. Zabójca, który teraz miał imię i nazwisko. Lucas Elago.

Clemencia wyjęła pistolet. Ostrożnie podkradła się do nissana, zajrzała przez boczną szybę do środka. Pusto. Choć nie, na przednim siedzeniu pasażera leżała niebieska sportowa torba. Guziki blokady wskazywały, że drzwi samochodu nie były zamknięte. Ktoś bardzo się śpieszył. Albo czuł się pewnie. Clemencia otworzyła drzwi auta, pociągnęła za suwak torby. Na samym wierzchu ukazał się kałasznikow. Ten kałasznikow. Clemencia wyjęła karabin i ukryła pod podwoziem auta. Tylko na wszelki wypadek!

Z własnym pistoletem w dłoni przekradła się pod dom, zaglądała po kolei

w każde okno. Nic. Nikogo. Ani Lucasa Elago, ani żony Oshiveli, ani też sędziego Fouriego. Byłego sędziego, pomyślała Clemencia, i przyszłego oskarżonego. Bo na pewno musiał być w to wszystko zamieszany. Jego zaangażowanie zawodowe w sprawę Lubowskiego, podróż do Pretorii i wizyta w więzieniu, jego co najmniej podejrzane zachowanie tam, fakt, że zabójca najwyraźniej mieszkał na jego farmie – trochę za dużo tych zbiegów okoliczności! Elago musiał być jego pracownikiem, Fourie na pewno obiecał mu wszystkie cuda świata, jeśli załatwi dla niego kilka spraw. Ale na co umierającemu cuda świata?

Domy pracowników znajdowały się za ogrodem i domem farmera, w stosownej odległości kilkudziesięciu metrów. Wydeptana ścieżka, teraz zalana wodą, prowadziła do stojących w szeregu trzech domków o płaskim dachu. W pierwszym paliło się światło. Clemencia zajrzała przez okno i najpierw zobaczyła sędziego Fouriego. Stał oparty o ścianę, ramiona skrzyżował na piersiach. Jego siwe włosy były zmierzwiłone na skroniach. Po jego lewej stronie stało łóżko przykryte niemal identycznym kocem, jaki kilka dni temu przykrywał ciało Donalda Achesona. Tylko że tutaj spod koca wystawały nie stopy, ale wychudzona twarz. Twarz o szarych, wąskich wargach, zapadniętych policzkach, z oczami schowanymi w głębokich jamach. Mężczyzna nie wyglądał jak zabójca, ale jak sama śmierć. Krzesło przy łóżku było puste. Gospodyni Fouriego przykucnęła na podłodze, obejmując ramionami dwójkę swoich dzieci. Dziewczynkę, która kiedyś próbowała ujeżdżać psa, i chłopca, który chciał zostać policjantem, odkąd raz przejechał się radiowozem. Który nie rozumiał, jak Clemencia odważyła się aresztować jego *baasa*. Któremu musiała wytłumaczyć, że w obliczu prawa wszyscy ludzie są równi.

Clemencia schowała pistolet, otworzyła drzwi i weszła do środka. Kobieta i dzieci nawet nie spojrzały w jej stronę. Tylko Fourie skinął jej głową na powitanie, jakby czekał na nią od dawna. Jakby się ucieszył, że jednak zdążyła przyjechać. Clemencia przeszła przez pomieszczenie i stanęła obok sędziego. Spojrzała na ślady, jakie jej buty zostawiły na kamiennej posadzce, i spytała cicho:

– Lucas Elago...?

– Dzisiaj wrócił – szeptem odpowiedział Fourie. – Może dwie, trzy godziny temu.

– Czy on nie żyje?

Fourie potrząsnął głową.

– Czasem się budzi, potem znów odpływa, potem na chwilę wraca. Jeszcze nie nadszedł jego czas, jeszcze nie.

– On powinien być w szpitalu – stwierdziła Clemencia.

– Po co miałyby tam jechać? – zapytał Fourie. – To by go natychmiast zabiło.

– Panie Fourie...

Clemencia urwała, bo śmiertelnie chory mężczyzna na łóżku odrzucił głowę na bok. Jego jęk przeszedł w kaszel, który brzmiał, jakby dobywał się z czeluści piekieł. Cienka strużka krwi spłynęła mu z ust. Kobieta puściła chłopca, na kolanach podeszła do łóżka i ostrożnie, z czułością wytarła krew. Potem wycofała się do poprzedniej pozycji. Clemencia usiadła na pustym krześle przy łóżku, nachyliła się i zapytała:

– Lucasic Elago, gdzie jest żona komisarza Oshiveli?

Wargi mężczyzny były lekko rozchylone. Oddychał szybko i płytko.

– Kobieta, którą pan uprowadził – wyjaśniła Clemencia. – Gdzie ona jest?

Elago powoli otworzył oczy. Miały brązowe tęczy, a białka przekrwione. Clemencia pomyślała, że mężczyzna chyba wie, kim ona jest. Nie tylko dlatego, że słyszał jej głos w telefonie, ale też w inny sposób. Po tylu dniach i nocach, kiedy deptała mu po piętach, kiedy usiłowała przewidzieć jego ruchy, wczuć się w jego sposób myślenia i emocje. Ale jego spojrzenie pozostało obojętne. Nic nie wskazywało na to, że coś go z nią łączy.

– Co pan zrobił z tą kobietą? – zapytała Clemencia. Dotknęła jego ramienia. Jeszcze nie wolno mu umierać. Nie, zanim nie odpowie na kilka pytań. Clemencia dodała: – Proszę!

Lucas Elago jeszcze nie umarł. A nawet zaczął mówić, niemal bezdźwięcznie, szybko wyrzucając z siebie słowa, pomiędzy którymi z trudem łapał powietrze. Pół wieczności trwało, aż powiedział to, co chciał powiedzieć. Powiedział, że zabił van Zyla. I „Chappiesa” Maree. Że wywierał nacisk na żonę współwzięnia Barnarda. Potem zastrzelił „Staala” Burgera. I Achesona też. To byli rasiści i mordercy, cała piątka. Dostali to, na co sobie zasłużyli. On tylko wykonał wyrok, który wydała historia. Dlaczego właśnie on? Już jako szesnastolatek walczył o wolność. Nie zapomniał tego, nawet jeśli potem zmarnował swoje życie. Zrujnował je. I to nie tylko swoje. Kiedy się dowiedział, że zbliża się jego koniec, pomyślał, że jeszcze może coś odkupić. I właśnie to zrobił, bo tylko śmierć jest prawdą, nic innego.

– To on panu to zlecił, prawda? – Clemencia wskazała kciukiem sędziego Fouriego, stojącego na ukos za jej plecami.

– Nie – wydyszał Elago.

– Skąd pan wiedział o sprawie Lubowskiego? O agentach CCB? Kto panu

powiedział, gdzie można ich znaleźć? I kto dał panu pieniądze na kałasznikowa? I na podróż do RPA? – pytała Clemencia.

– To była moja decyzja – wymamrotał Elago. – Wyłącznie moja decyzja.

– Na Boga! – powiedziała Clemencia. – Już może pan przestać kłamać!

Jeszcze zanim Elago znów zamknął oczy, ich spojrzenie stało się puste, zagubiło się gdzieś w odległych wspomnieniach. Może o nieszczęściach, których doświadczył, a może o dokonanych morderstwach.

– Śmierć jest prawdą – powtórzyła Clemencia – a pan umiera!

Elago nie zareagował. Czyżby właśnie umierał? A może jeszcze wróci na chwilę.

– I co, do diabła, zrobił pan z żoną Oshiveli? – krzyknęła Clemencia.

– Niech go pani zostawi w spokoju! – zaprotestował Fourie. – Sama pani widzi, w jakim jest stanie.

Tak, Clemencia to widziała. Widziała też, że on wypełnił swoje zobowiązania wobec Fouriego. Zabójca właśnie oczyścił go z wszelkiej odpowiedzialności za wszystkie pięć morderstw. Teraz mógł umrzeć. Clemencia syknęła:

– To się panu nie uda, Fourie. Jeszcze się do pana dobiore.

– Już raz się pani przeliczyła z siłami – odparł spokojnie Fourie.

Clemencia pomyślała, że zażąda wglądu w konta Fouriego, żeby sprawdzić, jakie sumy przeznaczał zabójcy. Znajdzie świadków gotowych potwierdzić, jak długo obaj pozostawali w kontakcie. Zarekwiruje prywatne archiwum Fouriego dotyczące sprawy Lubowskiego, znajdzie tam wskazówki, które wyjaśnią jej postępowanie mordercy, zrobi... Nie, po co się łudzić. To i tak nie wystarczy, żeby wszystko mu udowodnić. Nawet nie wystarczy, żeby wnieść oskarżenie. Tak samo jak wtedy,

w przypadku Achesona. Nawet gdyby Clemencia skłamała, że Elago w swoich ostatnich słowach wskazał Fouriego jako zleceniodawcę, też by to nie wystarczyło. Wtedy jej słowo stałoby przeciwko słowu sędziego i jego gospodyni. Dopóki nie było sposobu, żeby w miarę prawdopodobnie wyjaśnić, dlaczego umierający człowiek mordował w imieniu kogoś innego, nie miała szans.

Clemencia spojrzała na zapadniętą twarz Elagi. Jeszcze oddychał słabo. Mimo jego czynów nie była w stanie odczuwać oburzenia. Jak gdyby umieranie wymazywało wszystkie jego winy. Śmierć jest prawdą, wydusił z siebie Elago. Przez krótką chwilę Clemencia rozważała, czy nie wyciągnąć pistoletu i odwrócić się, żeby przystawić go Fouriemu do skroni. Prawda albo śmierć! Ale nawet to by nie wystarczyło. Fourie tylko by się uśmiechnął, dobrze wiedząc, że ona nie może go zastrzelić.

Gospodyni w otoczeniu dzieci nadal siedziała nieruchomo na podłodze. Wyglądali jak wykuta w kamieniu grupa. Nie sprawiali wrażenia oczekujących na śmierć Elagi, cudowne ozdrowienie czy jakieś inne wydarzenie. W ich twarzach nie było nadziei, lęku, nie było w nich nic oprócz skamieniałego pogodzenia się z losem, a los właśnie wymagał od nich, żeby siedzieli na podłodze w ciszy i bezruchu. Można by pomyśleć, że czas się zatrzymał, gdyby zegar w kącie pokoju nie tykał tak głośno. Był to staroświecki zegar ścienny o niezwykle ozdobnych wskazówkach, który upływ każdego kwadransu obwieszczał długim biciem.

Poza tym nic, żadnych słów, żadnych dźwięków, żadnych odgłosów, tylko ciężki, urywany oddech Elagi, czasem rżenie, kaszel, przy którym Clemencia myślała, że to na pewno teraz. Ale to jeszcze nie było teraz. Więc nie zamierzała odejść. Nie ruszy się ani na centymetr, dopóki istniała

możliwość, że Elago jeszcze raz przemówi. Albo póki nie będzie miała pewności, że już nigdy tego nie zrobi.

Kiedy zegar wybił wpół do dwunastej, znów spadł ulewny deszcz. O godzinie 1.15 przestało padać i potem znów zostało tylko tykanie, oddech i bicie zegara co kwadrans, czasem jeszcze rżenie, które każdemu kazało myśleć, że to na pewno był ostatni raz. O 2.40 Elago otworzył oczy. Powoli odwrócił głowę, jego usta próbowały uformować jakieś słowo, ale nie miał już siły, żeby wydać z siebie dźwięk.

– Wody! – zawołała Clemencia. – Na litość boską, dajcie mu łyk wody!

Elago wykrzywił twarz. Czy to z bólu, czy na znak niechęci, trudno było to stwierdzić. Jeszcze raz spróbował przemówić, ale nie mógł. Ominął Clemencię wzrokiem i dwa razy podniósł do góry podbródek.

– Nangolo, Taleni, on chce, żebyście do niego podeszli – odezwał się z tyłu Fourie.

Chłopiec potrząsnął głową i mocniej przywarł do matki. Dziewczynka już przedtem zasnęła.

– No już, podejdźcie! – polecił Fourie.

Matka potrząsnęła dziewczynką kilka razy, aż mała się obudziła, potem lekko popchnęła dzieci do przodu, do brzegu łóżka. Fourie też podszedł i stanął za nimi. Potem pochylił się ponad głowami dzieci, odrzucił koc, wziął prawą dłoń Elagi i położył na głowie chłopca. Ten patrzył sztywno prosto przed siebie. Nie było tam nic, tylko goła ściana upstrzona śladami po zabitych moskitach. Na twarzy Elagi pojawił się grymas, zapewne miał to być uśmiech.

– Przyrzekam ci, że będę się troszczył o dzieci jak rodzony ojciec – powiedział Fourie. Teraz położył dłoń Elago na przedziałku dziewczynki. –



Poślę je do najlepszych szkół, opłacę ich wykształcenie, a jeśli będą chciały, również studia. A kiedy umrę, one odziedziczą farmę.

Bezwładna dłoń Elagi zsunęła się na czoło dziewczynki. Fourie ujął ją i uściśnął dwukrotnie, zmieniając położenie dłoni, zgodnie z powitalnym rytuałem czarnych. Pożegnalnym zresztą też, pomyślała Clemencia, a Fourie dodał:

– Na wszystko, co jest dla mnie święte!

A więc to jest ich umowa, myślała Clemencia, gdy dziewczynka wycofywała się w ramiona matki, chłopiec nadal stał sztywno przy łóżku, a Fourie delikatnie układał ramię Elagi wzdłuż ciała, by potem znów przykryć umierającego kocem. A więc taka była ich umowa! Śmierć pięciu rasistowskich morderców za przyszłość dwojga dzieci. Elago nie we wszystkim kłamał. Naprawdę chciał coś odkupić. Tyle że tu nie chodziło wcale o zemstę, politykę czy sprawiedliwość dziejową, ale o dwoje dzieci, które go prawie nie znały. Może tylko je spłodził, a potem już się nimi wcale nie zajmował. Aż do momentu, kiedy się dowiedział, że wkrótce umrze. Wtedy najwidoczniej stały się dla niego ważne.

Głowa chorego opadła na bok, zegar tykał, powieki się zamknęły. Elago był u kresu, już się pożegnał. Co go jeszcze tu trzymało? Już nic nie powie, żadnych kłamstw ani prawdy, przypuszczalnie nawet się nie obudzi. Clemencia już nie miała powodu, żeby dalej siedzieć przy jego łóżku. Powinna szukać żony Oshiveli! Może w aucie znajdzie jakąś wskazówkę co do miejsca jej pobytu! Przyjrzała się umierającemu mężczyźnie. Wydawało jej się, że kości prześwitują przez skórę jego policzków. Jego wargi straciły wszelką barwę, ale nadal oddychał, szybko i nierówno. Dlaczego po prostu nie przestawał? Już dość! To powinien być koniec!

Clemencia nie mogła dłużej wytrzymać, ale też nie potrafiła wyjść. Nie była w stanie oderwać spojrzenia od Elagi, nawet jeśli jego widok sprawiał jej niemal fizyczny ból. A może był to raczej niepokój, który powoli zmieniał się w gniew? Szukała winnego. Morderstwa popełnione przez tego mężczyznę nie zostaną zatarte przez to, że teraz sam umierał. Wszyscy umrą, to nie była żadna jego zasługa, najwyżej powód, żeby siedzieć przy nim w milczeniu.

A jednak Lucas Elago miał dość samozaparcia, żeby choć raz w życiu coś zrobić dobrze. Tylko że Fourie bezwstydnie to wykorzystał! Dla swoich celów. Czy może dla czegoś, co obrał za cel swojego życia. Mianowicie, żeby po dwudziestu latach pociągnąć wreszcie do odpowiedzialności sprawców zbrodni. To był samosąd, to nadal było bezprawie, ale nawet jemu nie można było zarzucić działania z egoistycznych czy niskich pobudek.

I co sprawiło, że Elago nie widział innej możliwości, by zapewnić swoim dzieciom przyszłość? Co to za społeczeństwo, w którym ojciec jest przekonany, że musi w tym celu zabić kilku ludzi? Dla najbardziej oczywistej rzeczy, jaką sobie można wyobrazić? Dziewiętnaście lat po wywalczeniu wolności i równości! Co powiedziałyby na to Anton Lubowski, gdyby jeszcze żył?

Zegar na ścianie wybijał każdy kwadrans, a Elago dalej oddychał, powoli umierał i jeszcze nie skończył, kiedy przez okno zakradła się do pokoju szarość świtu. Na dworze rozćwierkały się błyszczaki, w drzewach przy budynku mieszkalnym zaplatało się kilka promieni słonecznych, które przebiły się przez poszarpane chmury, o ósmej zadzwoniła komórka Clemencji. Wyszła za drzwi porozmawiać. To był Melvin. Wczoraj musieli

z kolegami wcześniej skończyć pracę z powodu oberwania chmury, ale starannie przykryli wykop, tak że dzisiaj o siódmej znów mogli zabrać się do pracy. I opłacało się, bo właśnie zdarzyło się coś, o czym Clemencia koniecznie musi wiedzieć.

– Czy pojawił się „Donkerkop”? – zapytała Clemencia.

– To nie, ale policjanci, którzy obserwowali osiedle, odjechali – powiedział Melvin. – I to wszyscy, co do jednego. Przypuszczamy, że morderca użył jakiegoś podstępu, żeby sobie zapewnić spokój.

– Nie, to na pewno nie był morderca, bo...

– Zostaw to nam! – przerwał jej Melvin. – Wyłączam się, bo kończy mi się karta. Ale możesz na nas polegać.

– Posłuchaj, Melvin... – zaczęła Clemencia, ale brat już się rozłączył. Po krótkim zastanowieniu Clemencia zadzwoniła do Tjikundu.

– Mamy „Donkerkopa”! – usłyszała w słuchawce. – To znaczy, jest otoczony. Właśnie robimy podwójne, potrójne zabezpieczenia. Nawet gdyby chciał, już stąd nie wyjdzie, ale wygląda na to, że on wcale nie chce.

– Gdzie on jest? – zapytała Clemencia.

– Heroes’ Acre – powiedział Tjikundu – u stóp wielkiego obelisku. Musiał zakraść się tam w nocy, w każdym razie strażnicy odkryli go dopiero rano. Przyczepił sobie jakieś paczuszki, które podobno zawierają materiał wybuchowy. Podobno zaminował też groby naszych bohaterów narodowych.

– A czego żąda? – zapytała Clemencia.

– No cóż – westchnął Tjikundu – tego nie zrozumiałem do końca. Nie chce zostać zastrzelony. Czy to jest dla ciebie logiczne, kiedy facet mówi, że wysadzi się w powietrze, jeśli ktoś będzie próbował go zastrzelić?

Clemencia usłyszała za plecami odgłos otwieranych drzwi. Powiedziała, że zaraz oddzwoni, i odwróciła się. Najpierw wyszły matka z córką, za nimi ukazał się chłopiec. Schylił się po kilka drobnych kamyków i wrzucił je po kolei do jednej z kałuż, które przypominały o ulewie z zeszłej nocy. Dziewczynka puściła rękę matki i zaczęła wołać psa. Nie używała żadnego imienia, tylko wołała: „Chodź, psie, chodź tu!”. Matka miała głębokie cienie pod oczami. Powiedziała, że zaraz przygotowuje śniadanie. Na razie dzieci mogą jeszcze chwilę się pobawić. Nie dało się wyczuć, co myślała w tej chwili. Może w ogóle nic. Może była zdziwiona, że zaczął się nowy dzień.

Clemencia weszła z powrotem do domu. Fourie jeszcze stał przy łóżku. Dłonie Lucasa Elagi spoczywały teraz na grubym kocu, palce miał splecione. Przestał oddychać. Nie żył. Jeśli tak wyglądała prawda, to była równie banalna, co niepodważalna. O tym nic już nie dało się powiedzieć. Ale o innych rzeczach jak najbardziej.

– Policja znalazła „Donkerkopa” – zaczęła Clemencia.

– Świetnie – powiedział Fourie.

– Chce siebie i cały Heldenacker wysadzić w powietrze.

Fourie machnął ręką.

– On nie chce zginąć, inaczej przecież by nie uciekał.

– Ukrywał się od wielu dni, jest przerażony, osłabiony i przekonany, że zarówno morderca, jak i cała namibijska policja nie marzą o niczym innym, tylko o tym, żeby go zabić. Nigdy nie wiadomo, jak zareaguje człowiek w takiej sytuacji.

– Ależ tak – zaprzeczył Fourie. – On się przyzna do zamordowania Lubowskiego. Pani szef, Oshivelo, już go do tego namówi.

A więc Fourie wiedział i o tym! Wiedział dokładnie, czego Elago zażądał od jej szefa. Elago mógł go poinformować, ale dlaczego miałby to robić, jeśli porwanie żony Oshiveli było tylko jego pomysłem? Nie, Fourie także i tu maczał palce, przypuszczalnie sam obmyślił cały plan. Clemencia nagle pojęła, że jemu od początku nie chodziło o samosąd, nie o egzekucję domniemych morderców Lubowskiego. Zawsze chciał przede wszystkim wymusić przyznanie się do winy. Ale jeśli podejrzani odmawiali, spotykała ich śmierć, przez co automatycznie zwiększał się nacisk na kolejnego agenta, do którego Fourie wysyłał zabójcę. Albo też Fourie sam go pytał – jak Ferdiego Barnarda w więzieniu – czy chce podzielić los tamtych. Ale oni pozostawali twardzi, Maree, Barnard, Burger, Acheson, nie chcieli współpracować, a teraz nie żyli. Został jeszcze tylko jeden, „Donkerkop”, a ten pod żadnym pozorem nie mógł zginąć, bo inaczej nie będzie nikogo, kto mógłby opowiedzieć, co zdarzyło się wieczorem 12 września 1989 roku.

– Nie – zaprzeczyła Clemencia. – Oshivelo nie namówi „Donkerkopa” do niczego. Nie, kiedy się dowie, że porywacz nie może wypuścić jego żony ani jej zabić, bo sam już nie żyje. Dlaczego więc miałby spełniać jego żądania?

– Lucas Elago mógł mieć wspólnika – rzucił Fourie.

– Albo zleceniodawcę – dodała Clemencia. Na przykład jakiegoś emerytowanego sędziego, który nazywa się Hendrik Fourie.

– Wszystko jedno. – Fourie wzruszył ramionami. – Dopóki jego żona nie wróci, Oshivelo nie będzie ryzykował jej życia.

Clemencia przypomniała sobie teorię Anguli. Jeśli Oshivelo rzeczywiście nie miał czystego sumienia, można się było obawiać, że wyda swoim

ludziom rozkaz strzelania, gdy tylko jego żona będzie bezpieczna. Nieważne, czy całe Heroes' Acre nie wyleci przy tym w powietrze. Kamienie, które przypominają o nieżyjących bohaterach, zawsze można poukładać z powrotem. To nie był problem. O ile sami bohaterowie i ich losy nadal pozostawali zasypani.

– Oshivelo będzie chciał zyskać na czasie – powiedziała Clemencia – i równocześnie rozpocznie gorączkowe poszukiwania swojej żony.

– Powodzenia! – powiedział Fourie.

Czy Clemencia się pomyliła, czy może rzeczywiście w jego głosie po raz pierwszy odezwała się nuta niepewności? Jeśli znajdą żonę Oshiveli, zanim „Donkerkop” przemówi, wtedy okaże się, że Fourie robił to wszystko na darmo. Wieloletnie badania, zlecenie morderstw, umowa z zabójcą. Clemencia narysowała palcem w powietrzu kółko.

– Można by na przykład zacząć tutaj, przy zabudowaniach farmy.

– Jak pani uważa! – powiedział tylko Fourie.

– Niech pomyślę – zaczęła Clemencia. – Lucas Elago uprowadził tamtą kobietę, kiedy już był bardzo słaby. Wiedział, że nie ma wiele czasu, bo inaczej nie zjawiłby się tutaj kilka godzin później, by umrzeć wśród bliskich. To raczej mało prawdopodobne, by przedtem przejechał pół Namibii w celu ukrycia zakładniczki. Najchętniej przywiózłby ją tutaj, ale wtedy nie dałoby się uniknąć wciągnięcia w to wszystko jego rodziny, a co gorsza, pana, panie Fourie. A tego nie chciał, bo wtedy nie wypaliłby wasz wspólny interes. Bo pan miał łożyć na jego dzieci wtedy, kiedy Elago weźmie na siebie całą winę za zabójstwa.

– To przecież jakieś kompletne brednie! Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy pani w tę historyjkę...

– A co by było, gdyby na przykład żona Oshiveli pana tu zobaczyła? Albo potem okazałoby się, że nie reagował pan na jej krzyki o pomoc? Można by ją co najwyżej zabić, ale tego pan nie chciał. Ta kobieta nie jest agentką CCB ani żadną morderczynią. A więc Elago musiał się jej pozbyć gdzieś po drodze. Między Windhukiem i pańskim domem. Czy przyzna mi pan rację?

– Fourie nie odpowiadał. Clemencia mówiła dalej: – A też wcale nie jest łatwo dobrze ukryć porwaną kobietę, jeśli nie chce się spowodzić kłopotów na swojego jedyne go wspólnika. Najłatwiej znajduje się odpowiednie miejsce w okolicy, w której kiedyś się mieszkało. Jak długo Lucas Elago pracował u pana na farmie? Na pewno dość długo, żeby poznać każdy zakątek jej piętnastu tysięcy hektarów? Każdą pasterską chatę, każdy szałas gdzieś w górach, gdzie przykuta łańcuchem kobieta mogłaby całymi tygodniami wołać o pomoc, a jej krzyki słyszałyby tylko szakale? Czy może gdzieś tam istnieje taki szałas?

– To śmieszne – powiedział Fourie.

– Czy jest? – zapytała Clemencia.

– Nie – odparł sędzia.

– Piętnaście tysięcy hektarów to niezły kawałek ziemi – stwierdziła Clemencia – ale też nie tak duży, żeby w stosunkowo krótkim czasie nie dało się go przeszukać za pomocą helikoptera i oddziałów policji.

Fourie spojrział w dół na zwłoki Elagi. Podniósł prawą dłoń, jakby chciał się przeżegnać, ale przerwał ten gest, znów opuścił rękę i odwrócił się do drzwi. Clemencia poszła za nim w stronę głównego budynku. Ziemia wokół drzew cytrynowych pachniała wilgocią. Pod krzewami bugenwilli leżał dywan z płatków, który rozścielił tam deszcz. Chmury nadciągające od zachodu były białe i wyglądały niegroźnie. Trudno było sobie

wyobrazić, że miałyby przynieść nową burzę. Fourie zaczął:

– Tak więc zakładając, że znalazłaby pani zakładniczkę...

– Tak?

Wszystko wskazywało na to, że Clemencia jednak się nie pomyliła. Gdzieś tutaj na ziemi Fouriego przetrzymywano żonę Oshiveli!

– ...wtedy pani szef kazałby zastrzelić „Donkerkopa”, czy tak? – dokończył Fourie. – Jeszcze jeden trup! A zabójstwo Lubowskiego pozostanie na zawsze niewyjaśnione!

– Możliwe, ale z tego powodu nie zamierzam pozwolić, by niewinna kobieta umarła z głodu.

Fourie zatrzymał się, podniósł z ziemi cytrynę i wytarł jej wilgotną, przybrudzoną skórkę. Powiedział:

– Mam dla pani propozycję. Niech mi pani pozwoli porozmawiać z „Donkerkopem”! Sam na sam. Tylko kilka minut.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Mógłbym sobie wyobrazić, gdzie Elago ukrył tę kobietę.

– To niech pan to powie, do diabła!

– Dwadzieścia lat temu rozstrzelano Antona Lubowskiego. Od tego czasu nie wydarzyło się nic, co miałoby choć pozory sprawiedliwości...

– Jeśli wie pan, gdzie jest żona Oshiveli, i zataja to przede mną, popełnia pan czyn karalny – powiedziała Clemencia, choć to było śmieszne. Jak gdyby człowiek, który zlecił pięć morderstw, mógł się tym przejmować!

– Dotarcie do Heroes’ Acre zajęłoby nam niewiele ponad pół godziny – powiedział Fourie. – Dziesięć minut sam na sam z „Donkerkopem”, nie chcę nic więcej, a potem znajdziecie tę kobietę. Niech mi pani da tę niecałą godzinę! Wie pani, ile godzin składa się na dwadzieścia lat?



Clemencia nie miała pojęcia, co Fourie planuje. Czyżby chciał się wysadzić w powietrze razem z ostatnim uczestnikiem zamachu na Lubowskiego? Bo nie widział już wyjścia, nie było szansy, żeby ujawnić prawdę o morderstwie sprzed dwudziestu lat? A może rzeczywiście myślał, że uda mu się namówić „Donkerkopa” na zeznania? Ale jak? Czym?

– I tak nie mogłabym umożliwić panu dostępu do „Donkerkopa”, nawet gdybym chciała – powiedziała.

– Niech pani zostawi to mnie!

– Czy potrafi pan sobie wyobrazić, co się teraz dzieje na Heroes’ Acre?

– Mam wpływowych przyjaciół. Wystarczy tylko krótka rozmowa telefoniczna.

Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, Clemencia skinęła głową. Fourie poszedł do domu, a ona ruszyła w stronę samochodu Oshiveli. Przy drzwiach kierowcy stał syn Lucasa Elagi. Kałasznikow, który Clemencia przedtem ukryła pod autem, obciążał teraz jego chude ramiona. Bosy, zmęczony i z tym smutnym, zagubionym spojrzeniem chłopiec wyglądał jak jeden z dziecięcych żołnierzy osławionej Armii Bożego Oporu w Ugandzie.

– Oddaj mi to, proszę! – Clemencia powiedziała to najłagodniej, jak potrafiła. Jak miał na imię ten chłopiec? Jak Fourie go nazywał? Nangolo?

– Oddaj mi karabin, Nangolo! – Clemencia zrobiła krok w jego stronę.

– Czy to jest mojego taty? – Chłopiec przyciskał broń do piersi.

Clemencia wyciągnęła rękę.

– Twój tata już go nie potrzebuje i ty też nie będziesz potrzebował.

Chłopiec nie odpowiedział. Clemencia chwyciła lufę AK-47. Chłopiec oddał jej broń bez oporu. Nie patrząc na Clemencję, zapytał:

– Czy mój tata był bohaterem?

Ndangi Oshivelo, zastępca komisarza głównego namibijskiej policji:

*Insynuacje, jakobym chciał doprowadzić do eskalacji na Heroes' Acre, są pozbawione sensu. Po pierwsze, jestem patriotą. Udowadniałem to przez wiele dziesięcioleci. Dlatego starałbym się raczej uniknąć dewastacji pomnika pamięci narodowej i śmierci niewinnych ludzi. Po drugie, nie jestem głupi. Wprawdzie w tamtej chwili nie byłem jeszcze w stanie ocenić prawdziwych motywów sędziego Fouriego, ale było dla mnie jasne, że on gra znaczonymi kartami. Po trzecie, nie miałem najmniejszego powodu, żeby chcieć zlikwidować „Donkerkopa”, to znaczy pana Cloetego. Przeciwnie, ja także byłem ciekaw, czy on może coś wnieść do wyjaśnienia zamachu na Lubowskiego. Przecież nie muszę się niczego obawiać!*

*Dlaczego nie zgodziłem się na propozycję negocjacyjną Cloetego? Dlaczego w końcu zdecydowałem się na rozwiązanie siłowe? Po prostu dlatego, żeby wyprowadzić pana Fouriego z równowagi, żeby się odkrył. Chciałem zobaczyć, jak zareaguje, kiedy ster wyśliznie mu się z rąk. Niech każdy sam oceni, czy miałem do tego prawo. W każdym razie wątpię, byśmy mogli dzisiaj znajdować się w tym miejscu, w którym jesteśmy, gdybym zdecydował inaczej. I uważam, że wszystkie strony powinny się na tym skoncentrować, zamiast oddawać się dzikim spekulacjom.*

Oshivelo siedział obok oficera sił zbrojnych na werandzie restauracji w Heroes' Acre. U jego stóp stał megafon. Najwyraźniej negocjacje były na chwilę przerwane. Oshivelo odjął lornetkę od oczu, kiedy Clemencia się do niego odezwała. Zachował całkowity spokój. Ani słowem nie wspomniał, że była zawieszona i miała zakaz pokazywania mu się na oczy.

Zamiast tego zwrócił się do Fouriego:

– Ach tak, a więc chce pan go skłonić do poddania się?

– Tak – przyznał Fourie.

Oshivelo skinął głową. Były już interwencje w sprawie sędziego Fouriego. Widocznie miał ważnych przyjaciół, i jeśli o niego chodziło, Fourie mógł robić, co uzna za stosowne. Oczywiście na własną odpowiedzialność. Wojskowy obok niego również kiwnął głową, sprawa była w ten sposób załatwiona. Oshivelo znów przystawił lornetkę do oczu.

Naprzeciwko nich centralna część mauzoleum w kształcie piramidy wspięła się na wzgórze. Skosy u szczytu były pokryte czarnymi kamiennymi płytami, które wyglądały niemal jak przyciemniane szkło, na małych poziomych tarasach rosły zbrązowiałe od słońca rośliny płożące. Tylko na najwyższych poziomach mieściły się groby bohaterów i tablice pamiątkowe, większa część mauzoleum była pusta i czekała na kolejnych bohaterów. Ponad grobami, mniej więcej na wysokości jednej piątej zbocza, znajdował się niewielki plac, zamknięty od tyłu ścianą z wielką płaskorzeźbą, przedstawiającą bojowników o wolność Namibii od czasów kolonialnych aż do odzyskania niepodległości. Przed tą ścianą znajdował się czarny podest, a na nim z kolei wysoki jasny obelisk z odlaną w brązie, lśniąca figurą bojownika o wolność. Z daleka trudno było rozpoznać, że twarz posągu miała rysy prezydenta założyciela kraju Sama Nujomy z lat młodości, ale wyraźnie było widać ręczny granat trzonkowy we wzniesionej prawej dłoni postaci, a po dokładniejszym przyjrzeniu się także przewieszzonego przez ramię kałasznikowa z zatkniętym na lufie bagnetem.

U stóp posągu siedział skulony mężczyzna. To musiał być Martinus Cloete

*alias* „Donkerkop”, ostatni z domniemych zabójców Lubowskiego. Przywarł plecami do stylizowanego na skałę postumentu, z którego wyrastała noga posągu. Na jego tle zdawał się maleńki. Budził litość. Clemencia przymrużyła oczy. Mężczyzna był czymś obwieszony, ale czy to był materiał wybuchowy, czy atrapy, tego nie można było stwierdzić nawet przez lornetkę.

W każdym razie siły bezpieczeństwa trzymały się w rozsądnej odległości. Byli to żołnierze w panterkach, którzy ulokowali się z karabinami na stanowiskach w zaroślach, za bocznymi drogami dojazdowymi z asfaltu. Jasne, rządziły tu Siły Obronne Namibii, usiłując zrobić ze sprawy „Donkerkopa” problem bezpieczeństwa narodowego. Jedynie wśród osób obstawiających wzgórze na dole można było zobaczyć policyjne mundury. Fourie przedzierał się akurat między samochodami, które tamci dla osłony ustawili u stóp wzgórza. Przeciął plac defiladowy ze zniczem. Wokół znicza wisiały na metalowych stelażach zwiędłe wiązanki kwiatów, dodatkowo zmasakrowane przez nocną ulewę. Na pewno umieszczono je tu w innym celu, ale w tej chwili stanowiły tylko smutne świadectwo faktu, że pamięć i chwała to rzeczy ulotne. Przed wejściem na schody Fourie się zatrzymał. Z kieszeni spodni wyjął białą chusteczkę i pomachał nią nad głową. Mężczyzna na wzgórzu nie zareagował. Powoli, pokonując stopień za stopniem, Fourie zaczął iść do góry.

Dotychczas Clemencia milczała, żeby umożliwić mu rozmowę, o którą prosił. Ale kiedy wróci – o ile wróci żywy – w ruch pójdą kajdanki, wszystko jedno, czy dotrzyma swojej części umowy i zdradzi, gdzie przetrzymywana jest żona Oshiveli. Wtedy nadejdzie moment, żeby ujawnić jego uwikłanie w zbrodnię. Na razie Clemencia chciała ograniczyć

się do poinformowania szefa o niepodważalnych faktach. Opowiedziała pokrótce o śmierci zabójcy na farmie sędziego Fouriego i o tym, że znalazła tam auto Oshiveli. Nie, poza tym nie ma żadnych konkretnych śladów jego żony. Oshivelo mruknął ponuro, że zajmie się tym, kiedy to tutaj się skończy. Odłożył na bok lornetkę, chyba po to, żeby móc równocześnie obserwować „Donkerkopa” i Fouriego.

Emerytowany sędzia pokonał już ponad połowę centralnych schodów i zatrzymał się na chwilę. Mężczyzna u stóp posągu wychylił się na dół i krzyknął coś do niego. Wiatr porwał jego słowa, nie dało się ich zrozumieć, tak samo jak odpowiedzi Fouriego, ale najwidoczniej dla „Donkerkopa” była zadowolająca, bo nie zaprotestował, kiedy Fourie zaczął pokonywać kolejne stopnie. Policjanci, którzy w sali restauracyjnej stworzyli zaimprovizowane centrum dowodzenia, w tej chwili też tłoczyli się na tarasie lokalu. Wśród nich Clemencia zauważyła Tjikundu. I tego palanta Robinsona. Na parkingu po lewej stronie zapanował jakiś ruch. Z wojskowej ciężarówki, która musiała pochodzić jeszcze z demobilu armii NRD, żołnierze zaczęli wyładowywać ciężkie karabiny maszynowe.

Fourie nie miał o tym pojęcia. Dalej wspinał się coraz wyżej w stronę obelisku z posągiem trzymającym w prawej dłoni granat, przez co Fourie ze swoją trzepoczącą chustką wyglądał, jakby mu się poddawał. Ale to było tylko złudzenie. Ten stary, szczupły biały człowiek podjął przecież próbę wymuszenia siłą prawdy, którą inaczej wchłonąłby mrok historii, i być może nie wygra swojej wojny, ale na pewno się nie podda. Tego Clemencia była pewna. Będzie walczył, póki starczy mu tchu.

Fourie dotarł już do górnej platformy i zbliżał się do pokrytej czarnymi płytkami pochyłej ściany z wielkim, ozdobnym napisem: „Chwała

poległym Bohaterom i Bohaterkom Ojczyzny, Namibii!”. Czy to przez te słowa, czy może pod wpływem monumentalnej architektury tego miejsca, może z powodu trzepoczącej chusteczki Fourie albo żołnierzy, którzy niezauważeni przez „Donkerkopa” taszczyli cekaem w górę zbocza, a może po prostu pod wpływem białych chmur, które spokojnie przesuwają się w tle za obeliskiem, w każdym razie nagle Clemencji przypomniały się słowa namibijskiego hymnu państwowego: „Namibia, kraj dzielnych ludzi. W walce o wolność odnieśliśmy zwycięstwo. Chwała odwadze, której krwią przesiąkła nasza wolność...”.

Najchętniej zaśpiewałaby te słowa półgłosem, ale to nie było możliwe. Nie przed tamtymi dwoma białymi, którzy na górze właśnie ze sobą rozmawiali. Jeden z nich miał na sumieniu człowieka, którego „krwią przesiąkła nasza wolność...”, a drugiemu wydawało się, że jest bezlitosnym bogiem sprawiedliwości. Może i obaj mieszkali tu od zawsze, ale kraj dzielnych ludzi nie był ich krajem. Tak po prostu nie mogło być, po tym wszystkim, czego naobiecowano w 1990 roku, po tych wszystkich nadziejach. Gdyż obaj byli mordercami, a nie dzielnymi ludźmi. To była ogromna różnica, choć czasami trzeba się było dobrze przyjrzeć, żeby ją zauważyć. Chodziło nie tylko o to, żeby strzelać w imieniu właściwej strony, ale też we właściwym czasie. A teraz z pewnością czas nie był dobry.

Clemencia zastanawiała się, co dzisiaj oznacza „być dzielnym”. Może znoszenie w spokoju swojej sytuacji, albo też bunt przeciwko niej? A może zadzieranie ze wszechmocną partią rządzącą, jak czynił to Angula, albo stawianie dobra swoich dzieci ponad wszystko, jak w przypadku Lucasa Elagi? A może życie z dnia na dzień i ciągle kombinowanie, żeby się

utrzymać, jak u *miki* Selmy i reszty rodziny Clemencji?

– Zaczyna się – powiedział Robinson i wskazał Clemencji żołnierzy, którzy dotarli już do punktu widokowego ponad obeliskiem. Natychmiast zaczęli ustawiać karabin w pozycji.

– Nie bez mojej zgody! – rzucił ostro Oshivelo. – Tak się umawialiśmy.

Oficer armii uśmiechnął się blado, powiedział:

– Chyba że w sytuacji bezpośredniego zagrożenia nie będziemy mieć innego wyjścia...

– Gdzie tu macie sytuację bezpośredniego zagrożenia? – prychnął Oshivelo.

– Trzeba być przygotowanym na wszystko – odparł wojskowy.

Clemencia zwróciła uwagę na tablicę przy parkingu restauracji: „Nie karmić pawianów!”. W pobliżu nie było żadnych pawianów. Musiałyby być szalone, żeby teraz się tu pokazywać.

– Wracaj – poinformował Robinson.

Fourie rzeczywiście nie rozmawiał dłużej niż dziesięć minut, tak jak zapowiadał. Kiedy sędzia schodził na dół, „Donkerkop” rozejrzał się dokoła i natychmiast zauważył nowo zamontowany karabin maszynowy nad swoją głową. Wyprostował środkowy palec i wskazał na pakunek, który miał przymocowany na piersi.

– Zrobimy z niego sito, zanim zdąży mrugnąć – powiedział oficer.

– Oryginalny pomysł – rzucił szyderczo Oshivelo. – Może lepiej zaczekajmy i dowiedzmy się, co powie Fourie.

A Fourie miał niejedno do powiedzenia: z niejasnych powodów „Donkerkop” jest przekonany, że policja dybie na jego życie. Jeśli już musi zginąć, zabierze ze sobą trochę ludzi, a to bohaterskie wzgórze zamieni

w kupę gruzów, zapowiadał to całkiem poważnie. Choć tak naprawdę wolałby żyć dalej. Dlatego zdecydował się zeznać wszystko, co wie na temat zamachu na Lubowskiego. Jeśli uczyni to publicznie, nikt potem nie będzie miał powodu, żeby chcieć go uciszyć. Dlatego domaga się wysłania do niego na górę wszystkich obecnych tu dziennikarzy.

– Ależ ma zachcianki – stwierdził sucho Oshivelo.

– Żaden człowiek nie zbliży się do niego, jeśli przedtem nie odda materiałów wybuchowych – powiedział oficer armii.

– On to zrobi – oznajmił Fourie – jeśli także i pan, panie Oshivelo, zgodzi się na wywiad.

– Ja? – zapytał zdumiony Oshivelo.

– Pan miałby opowiedzieć ludziom z prasy wszystko, co pan wie o zamachu na Lubowskiego.

– Ten facet chyba oszalał – mruknął Oshivelo.

– W zamian za to on się podda i zdradzi, gdzie znajdzie pan swoją żonę. Żywą, nawiasem mówiąc.

– Słucham?

– Jeszcze żywą, tak powiedział, jeśli chodzi o ścisłość. Ale nie powinien pan zbyt długo zwlekać!

– Skąd „Donkerkop” może wiedzieć, gdzie jest moja żona? – zdziwił się Oshivelo.

– Czy nie zechciałby pan nam tego wyjaśnić, panie Fourie? – włączyła się Clemencia.

– Obawiam się, że musiała pani coś źle zrozumieć, *miss* Garises. – Fourie uśmiechnął się do niej. – Ja tylko przypuszczałem, że uda mi się tego dowiedzieć w rozmowie z „Donkerkopem”. Nie udało mi się, ale proszę mi



wierzyć, on to wie i na pewno państwu powie, gdy tylko...

– To znaczyłoby, że musiał współpracować z zabójcą – powiedział Oshivelo.

– Tak jest. – Fourie skinął głową. – Lucas Elago potwierdził to w rozmowie ze mną.

– Tak myślałem! – wykrzyknął Robinson.

– To kompletna bzdura – zaprzeczyła Clemencia.

Elago sam przeprowadził porwanie, mordował na zlecenie Fouriego. Obaj mieli swoje motywy, swoje interesy, zawarli tajną, ale bardzo przejrzystą umowę. Jaką rolę miałyby w tym odgrywać „Donkerkop”? Tam nie było miejsca ani dla niego, ani dla żadnej trzeciej osoby. Clemencia oświadczyła:

– Może pan mówić, co pan chce, panie Fourie. W końcu nikt z nas nie był przy waszej rozmowie na górze. Wydaje mi się, że pan to wszystko wymyślił, żeby...

– Proszę zwołać dziennikarzy! – przerwał jej Fourie. – Kiedy zbiorą się przy schodach i wszystko będzie przygotowane do wywiadu, „Donkerkop” zejdzie na dół bez ładunków wybuchowych. Zobaczycie państwo!

– Jeśli urządza pan sobie tutaj jakieś gierki, panie Fourie...! – Oshivelo wcisnął Robinsonowi do ręki megafon, który cały czas stał koło jego stóp. – Niech pan zapyta tego tam na górze, czy wie, gdzie jest przetrzymywana moja żona!

Robinson odchrząknął i ryknął pytanie w stronę posągu bojownika. Ciche, przerywane echo wróciło na plac defiladowy. „Donkerkop” przyłożył zwinięte w trąbkę dłonie do ust i zawołał:

– Jasne, że wiem.

Oshivelo skinął Robinsonowi głową. Ten ryknął znów:

– To gdzie ona jest?

Mimo wiatru odpowiedź była wyraźnie słyszalna:

– Najpierw konferencja prasowa!

– Czy teraz pan mi wierzy? – zapytał Fourie.

Robinson znów odezwał się przez megafon:

– Panie Cloete, to my tu decydujemy o przebiegu spraw. Mogę panu tylko poradzić...

– Dość! – rzucił Oshivelo.

– ...żeby zdradził nam pan...

– Już wystarczy, Robinson! – Oshivelo gładził swoją siwą brodę. Potem położył dłoń płasko na stole i pomasaował sobie kostki. Wreszcie powiedział: – Jeśli on naprawdę ma moją żonę, dlaczego przyznaje się do tego dopiero teraz? Przecież to od początku dałoby mu inną pozycję w negocjacjach.

– Przy wjeździe czekają dziennikarze – przypomniał Fourie. – Może jeden z panów każe ich przepuścić?

Oficer spojrzał pytająco na Oshivelę. Ten wzruszył ramionami i stwierdził:

– O sprawie Lubowskiego nie mam nic do powiedzenia. A przed prasą nawet nie mam zamiaru mówić, że nic nie powiem.

Oficer zwrócił się do Fouriego:

– I „Donkerkop” naprawdę zostawi materiał wybuchowy na górze, zanim zejdzie do dziennikarzy?

Fourie skinął.

– Dobrze – stwierdził Oshivelo. – W takim razie możemy spokojnie unieszkodliwić go na schodach.

– Myśli pan o jednostce specjalnej, która wmiesza się między dziennikarzy? – zapytał Robinson.

– Myślę o karabinie maszynowym – odparł Oshivelo.

– A pańska żona?

– „Donkerkop” i tak nic nie wie.

– Chce go pan zastrzelić? – zapytał Fourie. W jego głosie było słychać lekkie drżenie. – Tylko z powodu wywiadu, którego nie chce pan udzielić?

– No właśnie... – włączył się wojskowy. – Ja też tego nie rozumiem.

Karabin maszynowy stał wysoko przy punkcie widokowym. Wyglądali znad niego dwaj żołnierze. Kiedy „Donkerkop” będzie schodził po schodach, zostanie trafiony w plecy. Jedna z chmur przepływających po niebie rzuciła cień na plac defiladowy. Na skraju placu trzepotała na wietrze namibijska flaga. Oficer odchylił się na oparcie krzesła i oświadczył:

– Uważam, że powinniśmy poprosić tu przedstawicieli prasy.

– Moje zdanie pan zna – rzucił Oshivelo.

Oficer wydał rozkaz, żeby zawiadomić strażników pilnujących wjazdu. Potem powiedział:

– I radzę panu zapomnieć o tamtym cekaemie, panie Oshivelo! Choćbym nie wiem jak się starał, nie mogę się tu doszukać bezpośredniego zagrożenia.

Oshivelo rozłożył ręce.

– Proszę próbować szczęścia! Ale ja nie zamierzam występować przed prasą.

„Donkerkop”:

*Tak, byłem przy zamachu na Lubowskiego. Tak, strzelałem. Z odległości pięćdziesięciu centymetrów. Nie wiem, czy wtedy już był martwy. Zadawałem sobie to pytanie tysiące razy, przez wszystkie te lata. Tysiące razy usiłowałem sobie przypomnieć, czy się nie poruszył, czy może oddychał. Ale nie wiem tego. Zresztą teraz to i tak już nie jest ważne. Wszystko jedno, żył czy nie, dla mnie liczy się tylko fakt, że nacisnąłem spust. Dlatego jestem winny, obojętnie, kto jeszcze był w to zamieszany.*

*Poza tym czy wie Wysoki Sąd, co jeszcze zrozumiałem? Kiedy siedziałem na Heroes' Acre przy tym kiczowatym posągu? Przede mną wznosił się biały obelisk i kiedy na niego spojrzałem, nagle wydało mi się, że on się zaczyna chwiać. Naprawdę pomyślałem, że się zawali, zaraz zmiażdży posąg i mnie też. Ale obelisk padał i padał, a wcale nie był bliżej, wtedy pojąłem, że to tylko złudzenie. Złudzenie optyczne wywołane przez mknące po niebie chmury.*

*Patrzcie, pomyślałem, jak łatwo jest podważyć reguły tego świata! Kilka przesuwających się chmur wystarczy, żeby wszystko zaczęło się chwiać, przelotny ruch, który nie trwa dłużej niż zgięcie palca wskazującego i śmierć człowieka. Wszystko, co jeszcze przed chwilą wydawało się decydujące, a więc to, czy obelisk upadnie, czy nie, nagle stało się zupełnie bez znaczenia, a ja w tym momencie zrozumiałem, że moje koszmary mogą się skończyć, że nie muszę przez resztę życia uciekać przed sobą, że nie muszę ciągle i na nowo zadręczać się wspomnieniami. Tak, to prawda, strzelałem. Tak, byłem winny. I postanowiłem powiedzieć o tym całemu światu.*

*Krótko potem na stopniach pojawił się Fourie. Zapytał mnie, czy chciałbym jeszcze trochę pożyć.*

„Oczywiście”, odparłem, choć zwrot „jeszcze trochę pożyć” nie pasował do sytuacji. Ja się czułem raczej jak nowo narodzony. Niestraszna mi była odsiadka. Czułem tylko nieopisaną radość, że wkrótce będę mógł spokojnie przespać pierwszą noc.

„Szkoda tylko, że policja koniecznie chce pana kropnąć – powiedział Fourie. – Tylko ja mogę pana wyprowadzić stąd żywego i zrobię to, pod warunkiem że złoży pan publiczne zeznanie, jak pan zabił Lubowskiego. Czy jest pan gotów to zrobić?”

„Nie ma sprawy”, odparłem.

„Prawdę, całą prawdę i nic, tylko prawdę?”

„Jasne”, zgodziłem się. Nie wiem, czy Fourie uwierzył, że mówię to poważnie. Chyba nie miał wyboru. W każdym razie wytłumaczył mi swój plan. Miałem zażądać konferencji prasowej. Policja zgodziłaby się na to, jeśli zszedłbym na dół bez ładunków wybuchowych.

„Ale wtedy oni mnie zastrzelą!”, wykrzyknąłem.

Na co on mi wytłumaczył, że tego nie zrobią, jeśli dopiero po rozmowie z dziennikarzami ujawnię, gdzie przetrzymuję porwaną żonę szefa policji. Byłem zaskoczony, bo o tym porwaniu słyszałem pierwszy raz w życiu, ale zdecydowałem się skorzystać z szansy. Jeśli policjanci naprawdę uwierzą, że mam tę informację, nie będą mogli mnie zabić.

„No to gdzie jest ta kobieta?”, zapytałem tylko.

„A skąd ja to mogę wiedzieć? – obruszył się Fourie. – Niech pan powie po prostu, że jest w górskim szałasie na farmie Lewensvrede, pięćdziesiąt kilometrów na południe. Z drogi dojazdowej trzeba po czterech, pięciu kilometrach skręcić w prawo. Kiedy się zorientują, że to nieprawda, będzie pan już siedział w areszcie, daleko poza zasięgiem wrywnych strzelców

*wyborowych. Podczas kolejnych przesłuchań może nie będą zbyt mili, ale nie zabiją pana, dopóki będą wierzyć, że zna pan miejsce pobytu tej kobiety. Dopiero kiedy stanie pan przed sędzią orzekającym o aresztowaniu, może pan powiedzieć prawdę: historii z uprowadzeniem użył pan tylko dla ochrony, bo policja chciała pana zabić. Kiedy ta wypowiedź znajdzie się w aktach sądowych, będzie pan miał zapewnione bezpieczeństwo. Policja już się nie odważy podnieść na pana ręki”.*

*To mnie przekonało.*

Opis dojazdu, który przekazał „Donkerkop”, wydawał się Clemencji dość niejasny, ale na miejscu okazał się jak najbardziej dokładny. Równo cztery i pół kilometra za wjazdem na farmę Lewensvrede, niedaleko od miejsca, gdzie Clemencia zatopiła citi golfa, odchodziła w prawo wyraźnie mało uczęszczana polna droga. To była jedyna droga w okolicy, nie rozgałęziała się, prowadziła prosto do doliny, potem wspinała się coraz wyżej, żeby zakończyć się w kotle, na którego środku stał koślawy szałas. Dach był do połowy zapadnięty, zbiornik na wodę uszkodzony, tylko wieża dawno zdemontowanej turbiny wiatrowej jeszcze stała, górując nad otoczeniem.

Łańcuch, którym żona Oshiveli była przykuta do metalowych prętów konstrukcji, miał kilka metrów długości. Akurat dosyć, żeby mogła się schować w chacie, gdzie miała też trochę prowiantu i kanister z wodą. Oprócz obtartej podczas próby uwolnienia się od łańcucha kostki kobieta nie miała żadnych obrażeń. Także psychicznie zniosła tę sytuację całkiem nieźle. Dobrze się czuje, wszystko w porządku, mogła się schować przed deszczem, noc była znośna, spodziewała się też, że kolejnej nie będzie musiała tu spędzać. Jedyne pytanie, jakie sama zadała, dotyczyło

porywacza. Kiedy usłyszała, że zmarł następnego ranka po jej uprowadzeniu, skinęła tylko głową. Potem przeczesła palcami włosy i z udawaną próżnością westchnęła, że na pewno strasznie wygląda. Widocznie inaczej nie umiała wyrazić tego, że nie chce już więcej mówić o ostatnich dwudziestu czterech godzinach. Kiedy wreszcie pojawił się sprzęt, którym przecięto łańcuch, i kobieta została uwolniona, Oshivelo zabrał ją do domu.

Clemencia wykorzystała ten czas, żeby w komendzie porozmawiać z „Donkerkopem”. Kiedy zapewniła go, że dobrowolne ujawnienie miejsca ukrycia zakładniczki może wpłynąć na złagodzenie kary, nie mógł uwierzyć. Zastrzelił Lubowskiego, tak, jest gotów powtórzyć to przed policją, w sądzie, gdziekolwiek, wszystko, co dyktował dziennikarzom na Heroes’ Acre, ale z porwaniem nie ma nic wspólnego. Clemencia jeszcze się upewniała, pytała o wszystko od początku, kiedy godzinę później dołączył do niej Oshivelo. „Donkerkop” upierał się przy swojej wersji, że został perfidnie wrobiony przez sędziego Fouriego. To on szepnął mu do ucha opis drogi.

Początkowo żaden z kolegów Clemencji mu nie uwierzył. Wprawdzie na pierwszy rzut oka wydawało się trochę dziwne, że żona Oshiveli znalazła się na ziemiach należących do Fouriego, ale wyjaśnieniem mógł być fakt, że Lucas Elago, morderca i współnik „Donkerkopa”, dobrze znał ten teren. Opis się zgadzał, więc jeden z nich, „Donkerkop” albo Fourie, musiał o porwaniu przynajmniej wiedzieć. To było słowo przeciwko słowu, czy raczej słowo cieszącego się nieposzlakowaną opinią sługi sprawiedliwości przeciwko słowu – przecież sam się do tego przyznawał – zamachowca i mordercy.

– No właśnie... – powiedziała Clemencia. – Czyli „Donkerkop” przyznaje się do zabójstwa, ale zaprzecza, że popełnił złe przestępstwo?

Nieoczekiwanie Oshivelo zgodził się z nią. Jeśli jeden z nich kłamie, to jest to Fourie.

– I to nie tylko w tej sprawie – dodała Clemencia, po czym przedstawiła swoją teorię morderczego paktu zawartego przez Fouriego i Elagę. Użyła wszystkich dostępnych środków, jeszcze nigdy w życiu tak się nie namęczyła, żeby kogoś o czymś przekonać. Opisała obsesję sędziego Fouriego na punkcie sprawy Lubowskiego, przypomniała jego wizytę w więzieniu w Pretorii. Tylko od niego zabójca mógł się dowiedzieć, że Ferdi Barnard też odmawia zeznań i dlatego należy go zamordować. Przedstawiła relację między Fouriem a Elagą i jego dziećmi, które były przekonane, że *baas* nie jest takim samym człowiekiem jak każdy inny. Przypomniała diagnozę Elagi, jego pobyt w szpitalu i pośpieszną ucieczkę. Rozważała, jak to mogło wpłynąć na stan psychiczny zabójcy. Wyjaśniła, dlaczego ramy czasowe tak dobrze się zgadzały. Opisała kolegom ostatnią noc Lucasa Elagi, zapytała ich, dlaczego człowiek, który już nie jest w stanie mówić, nieproszony wygłasza długą, okupioną bólem przemowę, w której wyznaje, że był jedynym sprawcą. Przytoczyła obietnicę Fouriego daną umierającemu, że zawsze będzie się troszczył o jego dzieci, dodała interpretacje jego spojrzeń i gestów. Clemencia tak długo układała kamyczek po kamyczku, aż w końcu powstała mozaika, która przekonała pozostałych przynajmniej o tym, że nie całkiem zwariowała. Nawet Robinson powiedział tylko:

– No to sam już nie wiem...

– To, co przedstawiłaś, trzyma się kupy – stwierdził ostrożnie Tjikundu.



– Wydaje się logiczne – dodał jak echo van Wyk.

Potem zapadła cisza. To Oshivelo wypowiedział wreszcie te trzy słowa, na które Clemencia czekała. Których nie była w stanie wymazać całą swoją przemową. Te trzy cholerne słowa jasno i prosto określały sytuację:

– To nie wystarczy.

Miała wyjaśnienie i poszlaki, ale żadnego konkretnego dowodu na to, że Fourie zlecił komuś pięć morderstw i jedno porwanie. Nie mieli żadnych świadków, niczego, co mogłoby przekonać sąd.

– Może popełnił jakiś błąd – rzucił Tjikundu. – Może jest gdzieś pisemna umowa, którą Elago chciał się zabezpieczyć na okres po swojej śmierci. Przecież można sobie wyobrazić, że za pół roku Fourie nie będzie chciał słyszeć o swojej obietnicy.

– Może tak – powiedziała Clemencia. Ale sama w to nie wierzyła.

– A może znajdziemy odciski Fouriego na łańcuchu, którym przywiązali żonę szefa – powiedział van Wyk.

– Moglibyśmy przycisnąć trochę wdowę po Eladze – zaproponował Tjikundu.

– I pana Fouriego, rzecz jasna, także – uzupełnił van Wyk. – Przynajmniej dopóki pozwoli nam na to jego adwokat.

– Możliwe, że Fourie się do niego wcale nie dodzwoni. – Robinson wyszczerzył zęby. – Na przykład jego telefon mógłby się uszkodzić podczas aresztowania.

– Będziemy się trzymać prawa! – powiedział Oshivelo.

– Ale przynajmniej spróbujemy? – zapytała Clemencia. Spojrzała na zegarek. Była 21.11.

– Zaczniemy jutro rano – zdecydował Oshivelo. – Daję wam dwadzieścia

cztery godziny. Dłużej nie będę mógł was osłaniać przed koneksjami Fouriego. I wszyscy pracują zgodnie z przepisami!

Za zgodą szefa Clemencia zadzwoniła do Anguli. Naprawdę potrzebowała go w tej chwili, ale nie odbierał. Przynajmniej Oshivelo obiecał, że nazajutrz przydzieli jej dwunastu ludzi z różnych oddziałów, zresztą dziewięciu z nich faktycznie zgłosiło się następnego dnia rano do wydziału kryminalnego. Mieli pomagać w przeszukaniu farmy sędziego.

I rzeczywiście wzięli się do roboty. Najpierw przeczesali budynek mieszkalny z góry na dół. Potem obydwie samochody. Następnie zabudowania gospodarcze, skład narzędzi, mieszkania pracowników, psie budy, pojemniki na śmieci i każdą dziurę w ogrodzie warzywnym czy sadzie cytrynowym, która mogła być skrytką na wszelkie możliwe rzeczy. O piętnastej przyłączyli się do nich koledzy, którzy zabezpieczali ślady wokół szałasów w górach, godzinę później zaczął padać deszcz, więc jeszcze raz zajęli się domem. W tym czasie Robinson i Tjikundu wypytywali żonę Elagi i pracowników farmy. Zgodnie z umową co dwie godziny dzwoniли do komendy, żeby relacjonować postępy w śledztwie. Albo też zastój, bo nie znaleźli niczego, co poprowadziłoby ich chociaż o krok dalej. Około ósmej wieczorem zrobiło się ciemno, mniej więcej o 21.30 Robinson zadzwonił ostatni raz. Zbierają się do powrotu, zaraz odeślą kolegów do domów.

Tymczasem Clemencia od trzynastu godzin siedziała w pokoju przesłuchań, podczas gdy van Wyk to podpierał ścianę, to przechadzał się tam i z powrotem za plecami Fouriego, parę razy wychodził, by po chwili wpaść przez drzwi i szepnąć jej coś do ucha. Ale były sędzia nie dał się wyprowadzić z równowagi. Nawet jeśli się dziwił, że mecenas von

Fleckenstein jeszcze go stąd nie wyciągnął, nie dawał tego po sobie poznać. Uporczywie zaprzeczał, jakoby miał skłonić Lucasa Elagę do popełnienia przestępstw, poza tym chętnie odpowiadał na każde pytanie. Mówił o dziwnych aspektach sprawy Lubowskiego, o swojej karierze zawodowej, o farmie, pracownikach, o wszystkim i o niczym, teraz akurat rozwodził się na temat dobroczynności. Czasami wspiera jakiś szczytny cel, ale właściwie nie jest zbyt zaangażowany społecznie. Jeśli jednak jakieś tragiczne wydarzenie rozgrywa się w bezpośredniej bliskości, wtedy go to porusza. Tak samo zresztą jak większość obywateli. Każdy oczywiście wie, że w Kataturze są realizowane dziesiątki projektów pomocy sierotom po zmarłych na AIDS rodzicach, wsparcie otrzymują setki lub wręcz tysiące dzieci, ale to zupełnie coś innego, kiedy widuje się dwójkę takich dzieci na co dzień. A na dodatek są to dzieci o takim potencjale jak Nangolo i Taleni. Dlaczego więc miałby zapisać swoją farmę jakimś dalekim krewnym, których imion nawet nie zna?

– Dobrze, w takim razie wróćmy do początku! – powiedziała Clemencia. – Jak to było z pana odwiedzinami u Ferdiego Barnarda?

– Co pan zrobił po opuszczeniu więzienia? – zapytał van Wyk.

– Chcielibyśmy zrekonstruować każdy pański krok.

– Aż do chwili, kiedy znalazł się pan na pokładzie samolotu do Windhuku. Fourie opowiadał, Clemencia i van Wyk pytali, on udzielał odpowiedzi, a noc stawała się coraz krótsza. Między godziną trzecią i 4.30 van Wyk zrobił sobie przerwę, potem Clemencia przespała się w sąsiednim pokoiku do godziny szóstej. O ósmej rano zjawili się Robinson i Tjikundu, żeby ich zmienić. Clemencia jednak została. Dwadzieścia cztery godziny właściwie minęły, chciała śledzić tę sprawę do końca. Fourie ledwie patrzył na oczy,

coraz częściej przypominał, że mówił już o tym czy tamtym dziesiątki razy. To była prawda, ale Clemencia tak bardzo chciała usłyszeć inne odpowiedzi. Od 9.30 Fourie nie chciał więcej mówić, o 10.30 Oshivelo wezwał ją do swojego gabinetu. Byli tam już prokurator i sędzia. Nie mógł dłużej kazać im czekać. Clemencia skinęła głową. O jedenastej Fourie wyszedł z aresztu. Jako wolny człowiek. Przegrali.

Zmęczenie dopadło Clemencię jak wygłodniała hiena. A może była to rezygnacja? Pięć zabójstw, które nie miały już dla nich żadnych tajemnic, i nie będzie procesu! Fourie nie stanie przed sądem, bo niczego nie mogli mu udowodnić. Lucas Elago też nie, bo umarł. To była katastrofa.

– Ależ skąd! Zostaliśmy bohaterami narodowymi! – powiedział Tjikundu. Rzucił na biurko trzy gazety. „The Namibian” krzyczał wielkim nagłówkiem: „Prawda po 19 latach”. Z kolei „Windhoek Observer” zamieścił duże zdjęcie „Donkerkopa” na tle zamazanej bryły Heroes’ Acre i podpisał je: „I shot Anton Lubowski”. „Die Republikein” napisała: „Lubowski – uiteindelik moordenaar gevang”.

Clemencia napiła się kawy. Mdły smak w ustach pozostał, choć Tjikundu nie mylił się tak bardzo. Przynajmniej skutecznie wyjaśnili zapomnianą, lecz ciągle otwartą sprawę. I nie była to jakaś zwykła sprawa, ale zamach, który w swoim czasie wstrząsnął całym krajem. Choć Angula tylko pokręciłby głową na te tytuły. O prawdzie można mówić dopiero wtedy, kiedy wyjaśni się utajnioną znowę. Pewnie wątpiłby również i w to, że ujęli prawdziwego mordercę Lubowskiego. Ale oni mieli „Donkerkopa”, a on się przyznawał. Jeśli chodzi o tajne znowy, może da się jeszcze coś zrobić przed sądem. Bo przynajmniej ten proces się odbędzie, co do tego nie było wątpliwości.

– Cóż – odezwał się Oshivelo – to niestety nie jest takie pewne. Wczoraj i dzisiaj dość dużo miałem do czynienia z prokuraturą. Wtedy właśnie wypłynęła ta sprawa. Problem polega na tym, że „Donkerkop” wiarygodnie zapewnia, że nie wie, czy Lubowski już nie żył, kiedy on sam do niego strzelał. W takim wypadku chodziłoby nie o morderstwo, ale co najwyżej o zbezczeszczenie zwłok, a taki czyn dawno uległ przedawnieniu. Jeśli nie pojawi się protokół sekcji z tamtych lat, który jednoznacznie określi, czy...

– Przecież taki protokół był w aktach – przerwała mu Clemencia. Widziała go na własne oczy.

Oshivelo wzruszył ramionami.

– W każdym razie nie można go znaleźć.

– To niesłychane – rzucił Tjikundu.

– A więc „Donkerkopowi” nie zostaną postawione zarzuty?

– Prokuratura dokładnie bada różne aspekty prawne zaistniałej sytuacji – wyjaśnił Oshivelo.

Clemencia spróbowała jeszcze raz dodzwonić się do Anguli. Bez skutku. Będzie musiała do niego pojechać. Jak najszybciej. Angula znał na pamięć akta sprawy Lubowskiego. Będzie wiedział, co było napisane w protokole. Clemencia się odmeldowała. Musi się wyspać, bo już nie jest w stanie jasno myśleć. Oshivelo łaskawym skinieniem głowy wyraził zgodę.

Dostała ostatni wolny radiowóz. Bak był prawie pusty, ale do Anguli jeszcze dała radę dojechać. Drzwi jego domu były zamknięte. Clemencia pukała, wołała, zapytała sąsiadkę, ciekawie spoglądając znad płotu. Kobieta od kilku dni nie widziała Anguli, myślała, że gdzieś wyjechał służbowo. Clemencia rozważała, czy nie powinna wyważyć drzwi. Angula na pewno by to zrozumiał, w końcu chodziło o sytuację podbramkową.

Proces się nie odbędzie, jeśli...

Nie będzie procesu! Clemencia odwróciła się na pięcie, poszła do auta i podjechała do najbliższej stacji benzynowej. Sprzedawca patrzył obojętnie, jak wyjmuje z portfela pieniądze i przelicza je, a potem napełnił bak za czterdzieści osiem namibijskich dolarów i trzydzieści pięć centów. To powinno wystarczyć na jazdę w jedną stronę. W razie potrzeby ostatnie kilometry do domu Fouriego przejdzie piechotą. Już raz to zrobiła.

Emerytowany sędzia Hendrik Fourie:

*Najpierw myślałem, że to sprytny wybieg. Policja nie mogła się pogodzić z porażką i próbowała mnie teraz podejść w inny sposób. Poza tym ta argumentacja wydała mi się nieco podejrzana, żeby nie powiedzieć, całkowicie absurdalna. W końcu przez całe moje życie byłem prawnikiem i muszę przyznać – za pozwoleniem – że prowadziłem o wiele więcej procesów karnych niż Wysoki Sąd. Więc wyjaśniłem inspektor Garises, że jak najbardziej można „Donkerkopa” oskarżyć o udział w spisku z zamiarem morderstwa i o próbę morderstwa, niezależnie od tego, czy Lubowski w czasie jego strzału jeszcze żył, czy nie. Próba zabójstwa jest definiowana jako ostatecznie niedokonany czyn, który miał na celu pozbawienie kogoś życia. Wszystkie trzy elementy – cel, działanie i brak skutku – są tu niewątpliwie obecne. Albo, powiedzmy to jasno jeszcze raz: powodem niezrealizowania zamiaru może być fakt, że ofiara nadal żyje, albo też że poniosła wcześniej śmierć z przyczyn niezależnych od działań naszego sprawcy. To nie zmienia w niczym sedna sprawy, czyli próby pozbawienia życia.*

*Wyjaśniłem także, że ta sytuacja w naszym prawie karnym nie jest jasno*

wyłaczona z zasad przedawnienia, ale powszechne mniemanie jest takie, że zakaz przedawnienia za morderstwo automatycznie obejmuje też próbę zabójstwa.

– Powszechne mniemanie? – zapytała panna Garises.

– Nie można w każdym procesie karnym zaczynać od Adama i Ewy – odparłem. – Jeśli istnieje konieczność interpretacji, sięga się po artykuły zasadnicze i ogólnie uznane komentarze. Jeśli w danej sprawie ustalili się pewien konsensus, wtedy stanowi ona nasz punkt odniesienia.

– A jeśli na przykład jakaś inna prokuratura czy sędzia z litery prawa potrafi wyczytać co innego? – zapytała panna Garises.

– To się czasami zdarza... Ale nie na tym etapie. Człowiek podejrzany o zabójstwo został właśnie ujęty, jest gotów się przyznać. Wtedy się go przesłuchuje, zbiera dowody, usiłując jak najpełniej zrekonstruować zdarzenia. Potem mogą się pojawić wątpliwości, ale żaden prokurator świata na samym początku nie zastanawiałby się poważnie nad tym, czy znajdują się możliwości, żeby obalić akt oskarżenia. Chyba że nie chce procesu!

*Zacząłem się zastanawiać. Przypomniałem sobie, jak w 1994 roku prokuratura też nie chciała sporządzić aktu oskarżenia w sprawie Lubowskiego. Czyżby historia miała się powtórzyć? W obecnej sytuacji wydawało mi się to niemożliwe, ale czy wtedy mogłem sobie coś takiego wyobrazić? I teraz okoliczności zamordowania Lubowskiego znów nie zostałyby sądownie wyjaśnione? Bo ktoś bardzo wpływowy za wszelką cenę chciał to zablokować?*

*Nie mogłem do tego dopuścić. Po tym wszystkim, co zrobiłem, żeby wreszcie prawda mogła wygrać, żeby ją wszelkimi środkami wymusić.*

Wiedziałem od początku, że nie obejdzie się bez ofiar, ale polało się więcej krwi, niżbym sobie życzył, czy nawet umiał wyobrazić. Kazałem zastrzelić van Zyla, ale Maree nie chciał się przyznać. Więc kazałem zastrzelić Maree, ale „Staal” Burger też nie wyciągnął właściwych wniosków, a Barnard nie wierzył, że mogę mu coś zrobić, w końcu siedział w więzieniu. Kiedy obaj już nie żyli, Acheson dalej myślał, że musi być twardzielem i milczeć. Ledwie udało mi się uratować „Donkerkopa”, mojego ostatniego świadka, mojego oskarżonego, bez którego mój proces nie może się odbyć, więc uratowałem go i skłoniłem do złożenia zeznań, co jego koledzy zresztą powinni zrobić dużo wcześniej. I to wszystko miałoby pójść na marne?

Nie zdradzałem się z moimi myślami, kiedy tamtego południa panna Garises zjawiała się w moim domu, ale chyba domyśliła się, co się we mnie rozgrywało. W każdym razie powiedziała: „Jest jeszcze tylko jedna możliwość”.

Miała rację, istniała jeszcze jedna możliwość. Dlatego teraz stoję tu przed Wysokim Sądem. Dlatego siedzi pan tam na górze i prowadzi proces, który dla niejednego świadka może się okazać trudniejszy niż dla oskarżonego. Niech Wysoki Sąd o tym pamięta. Niech weźmie pod uwagę, że rozpatruje się tutaj równocześnie dwie sprawy, w których role nie są równo rozdzielone.

Z jednej strony odbywa się proces, w którym prokuratura żąda kary za podżeganie do zamordowania pięciu byłych agentów CCB. W tym procesie to ja jestem oskarżonym i jako taki przyznaję się do winy. Niech mnie Wysoki Sąd osądzi, ale niech nie zapomina, że to dzięki mnie doszło do tego drugiego procesu. Nie zebrzę o łaskę czy okoliczności łagodzące, ale



*żądam, żeby ten drugi proces został doprowadzony do końca z należytą powagą i konsekwencją. Proces w sprawie, o której w niniejszym oskarżeniu niemal się nie wspomina.*

*Przyznałem się do winy tylko dlatego, żeby ten drugi proces mógł dojść do skutku. To proces, którego zawsze pragnąłem, a podczas mojej pracy zawodowej nie było mi dane go poprowadzić. To proces, którego ten kraj potrzebuje o wiele bardziej, niż sobie to uświadamia. W którym raz na zawsze trzeba wyjaśnić, co się naprawdę wydarzyło 12 września 1989 roku, jak mogło do tego dojść, kto ponosi za to odpowiedzialność oraz kto i z jakich powodów nie chciał dopuścić, by zwyciężyła sprawiedliwość. To proces, który musi wydobyć na światło dzienne prawdę o zamordowaniu Antona Lubowskiego.*

*W tym procesie jestem przedstawicielem oskarżenia. Wziąłem na siebie to zadanie, bo nikt inny tego nie zrobi. I może to jeszcze wcale nie jest koniec. Mówię całkiem otwarcie, jeśli Wysoki Sąd nie potraktuje swojej roli należycie, wtedy sam się mianuję sędzią. Może mój wyrok nie będzie miał konsekwencji karnoprawnych, ale w obliczu historii będzie ważny. Tak mi dopomóż Bóg!*

## Groby

Fourie nie przyznał się od razu, kiedy Clemencia podpowiedziała mu, że jest jeszcze jedna możliwość. Ona też nie chciała naciskać. Jeśli nie złoży zeznań dobrowolnie, nic się nie da zrobić. Wyprosiła tylko kanister benzyny, pojechała do domu, zamknęła się w swoim pokoju i spała przez czternaście godzin, czasem tylko budzona pukaniem *miki* Matildy, hałaśliwą muzyką z baru Mshasho, rykami pijaków i poranną wiązanką taksówkarza z naprzeciwka, który nie mógł zaakceptować faktu, że jego auto nie chciało zaskoczyć, choć nieustannie grzał silnik.

Kiedy Clemencia późnym popołudniem zjawiała się w biurze wydziału kryminalnego, Fourie był tam już od kilku godzin i dyktował siedzącemu przy komputerze van Wykowi swoje szczegółowe zeznania. Na widok Clemencji Fourie rozjaśnił się uśmiechem. Podjęcie decyzji nie było trudne, ale chciał spędzić jeszcze jedną noc na wolności. Przypuszczalnie ostatnią w życiu, dodał niemal przepraszająco. Przywiózł ze sobą mecenasa von Fleckensteina, który był w jeszcze lepszym humorze niż zwykle. Życzliwie przypomniał Clemencji, że jej brat, czy raczej jej rodzina jest mu

dłużna dwieście pięćdziesiąt dolarów, i skinął dobrodusznie, kiedy Clemencia obiecała, że zapłaci mu z pensji za następny miesiąc. Wtedy się rozgadał, jak gdyby zaraził się wolą Fouriego i też chciał złożyć obszernie zeznania.

– Wreszcie nie muszę nikogo wyciągać z paki za kaucją! Miałem już serdecznie dość bagatelizowania każdego czynu czy wymyślania o każdym najbezczelniejszym recydywiście wruszających historyjek, które poruszyłyby serce sędziego. Ciężkie dzieciństwo, dobre rokowania na powrót do społeczeństwa, jedyny żywiciel licznej rodziny, płaczące dzieci czy chwilowa utrata kontroli. Sam prawie nie mogłem już tego słuchać! Ale teraz idziemy na całość! Oni wkrótce nie będą wiedzieli, czy naprawdę jestem obrońcą Fouriego, czy może głównym oskarżycielem. Jeśli ktoś w sprawie Lubowskiego ma nieczyste sumienie, bezlitośnie go przemaglujemy. Pani szef, Oshivelo, powinien się już przygotować!

– Możemy kontynuować? – zapytał van Wyk. Obiecał Clemencji, że przyniesie jej protokół, kiedy tylko będzie gotowy.

Clemencia skinęła głową, choć wątpiła, czy znajdzie w nim coś nowego. Czy Fourie miał rację, czy von Fleckensteinowi rzeczywiście uda się wyciągnąć na światło dzienne ludzi skrywających się za plecami zamachowców, czy oprócz agentów CCB w ogóle byli zaangażowani w tę sprawę jacyś inni ludzie, to za kilka tygodni czy miesięcy wykaże proces. Może. A może i nie. W każdym razie Clemencia wykonała, co do niej należało. Więcej nie dało się zrobić. Kto chce wszystkiego, kto za wszelką cenę dąży do osiągnięcia celu, ten traci dystans i łatwo przekracza granice, które są konieczne dla współżycia społecznego. Tak jak Fourie. Tak samo może skończyć Angula, jeśli ktoś go nie powstrzyma i nie sprowadzi na

ziemię.

Clemencia jeszcze raz wybrała jego numer. Po czwartym sygnale ktoś odebrał. Męski głos rzucił:

– Słucham?

– Angula? – zapytała Clemencia, ale to nie był jego głos.

– Ach, to ty – powiedział Robinson. – Będę w biurze, jak tylko tu skończymy.

– Robinson?

Co on robił u Anguli? Przez chwilę panowała cisza. Potem Robinson spytał:

– To ty jeszcze nic nie wiesz?

– O czym?

– Sąsiadka zadzwoniła na policję. Coś wydawało się jej podejrzane. Patrol zawiadomił nas i weszliśmy do mieszkania.

– Co jest z Angulą?

– Nie żyje – odparł Robinson. – Sepsa. Chyba od ugryzienia psa. Lekarz jeszcze tu jest, on by ci to lepiej wytłumaczył. Chcesz z nim rozmawiać?

– Nie – powiedziała Clemencia. Zamknęła oczy, widziała przed sobą żółte źrenice psa. Kiedy ich spojrzenie zgasło, szczęki nadal zaciskały się na dłoni Anguli.

– Gdyby w porę poszedł do lekarza, dałoby się go uratować. Wykluczone, żeby nie zauważył, co się z nim dzieje, tak mówi lekarz. Angula musiał cierpieć ogromny ból. Całe ramię było sine i obrzmiałe.

Clemencia przypomniwała sobie ich nocne rozmowy przez telefon. Pytała, jak on się czuje. Dobrze, odpowiadał, jakoś będzie, wszystko w porządku. Wiedziała, że nie mówił prawdy. Udawała, że mu wierzy, bo nie miała

ochoty brać sobie na głowę jego problemów. Wydawało jej się, że ma dosyć własnych.

– Dlaczego, do jasnej cholery, nie poszedł do szpitala? – zapytał Robinson. Po uwolnieniu Oshiveli Angula przyznał, że czuje się chory. Clemencia uznała, że to była wymówka. Myślała, że zostawia ją na lodzie, bo chce jechać do domu i dalej zajmować się swoją obsesyjną teorią o spisku w SWAPO. Pewnie tak też zrobił. Tylko że to nie wyklucza możliwości, że naprawdę czuł się źle. Clemencia powinna była to zauważyć.

– Jesteś tam jeszcze? – zapytał Robinson.

– Tak.

– On leży teraz na łóżku – powiedział Robinson. – Zostanę tu jeszcze, aż przyjedzie ten pieprzony karawan.

– Dobrze – zgodziła się Clemencia.

– No to w takim razie... – Robinson chciał zakończyć rozmowę.

– Gdzie go znaleźliście? – zapytała Clemencia.

– Siedział przy stole, zgięty nad blatem. Wyglądało to tak, jakby zasnął.

– Weź ze sobą jego notatki! – poleciła Clemencia. Musi je przejrzeć. Bez uprzedzeń. Jeśli będą to tylko bezpodstawne insynuacje, wtedy je zniszczy. Ale przedtem je przeczytam, przyrzekam ci, Angula!

– Jakie notatki? – zapytał Robinson.

– Muszą tam gdzieś leżeć zeszyty albo luźne kartki, sama nie wiem. Cała masa zapisanego papieru!

– Nic tu nie ma – stwierdził Robinson.

– Niemożliwe – powiedziała Clemencia.

Na jej sugestię, że ktoś mógł tam wcześniej posprzątać, Robinson zareagował oburzeniem. Wie, że ona go nie cierpi, ale w coś takiego nie da

się zrobić, jak powiedział. Weszli do mieszkania we czterech, Tjikundu, on i dwóch mundurowych. Nikt nie mógłby niepostrzeżenie niczego zabrać ani wynieść, zresztą dlaczego mieliby to robić? Brakowało jeszcze, żeby Clemencia oskarżyła ich o zamordowanie Anguli! A potem przekupili lekarza, żeby podał fałszywą przyczynę zgonu. Teraz muszą tylko mieć nadzieję, że przedsiębiorca pogrzebowy nie zwróci uwagi na rozwaloną czaszkę, co nie?

– Już dobrze, Robinson – rzuciła Clemencia i odłożyła słuchawkę.

Nie wiedziała, co myśleć. Nigdy nie widziała notatek Anguli. Może naprawdę nie istniały. Może w tej sprawie też zmyślał, tak samo jak o swoim stanie zdrowia. A ona chciała mu wierzyć, żeby się nie zastanawiać, co go tak naprawdę dręczy podczas bezsennych nocy. Co Clemencia wiedziała o Anguli? Oprócz tego, że właśnie umarł?

Clemencia miała wrażenie, że wszystko jej się wymyka. Coś, co uważała za pewnik, nagle się rozplywało. Po ludziach zostawały tylko cienie, po wspomnieniach o nich tylko poczucie, że nie powiedziała najważniejszego, że nie zadała decydujących pytań. Nie zdziwiłaby się wcale, gdyby za oknem kłębiła się mgła, na górze, na dole, po prawej i po lewej stronie, gęsta, szara mgła, w której każde słowo z ulicy brzmiałoby jak stłumiony krzyk. Ale tak nie było. Za oknem na nieskazitelnie błękitnym niebie świeciło słońce. Powietrze było klarowne, upał już nie tak zabójczy, jak przed pierwszą burzą. Można by pomyśleć, że to był piękny dzień.

Clemencia zamknęła okno. Ciągle trzymała w dłoni komórkę. Wybrała numer *miki* Selmy.

– Clemencio – powiedziała *miki* Selma – mam właśnie bardzo ważne zebranie chóru. Mów szybko, o co chodzi!

– Chciałam tylko...

– Co?

– ...pogadać – dokończyła Clemencia.

– Dziecinko – zaćwierkała *miki* Selma – to naprawdę nie jest dobry moment. Trzeba wybrać nowe głosy wiodące, a ja tu myślę tak jak większość, że dłużej tak nie może być. Bo jak to mówi przysłowie: co ci pełźnie po stopie, wejdzie za chwilę na głowę. Tylko że jeszcze nie wszyscy tak to widzą, dlatego... Wyjaśnię ci to kiedy indziej. Oddzwoniłabym potem do ciebie, ale...

– Niestety nie masz już impulsów – dokończyła Clemencia.

– Spróbuj jeszcze raz za dwie godziny! – *Miki* Selma rozłączyła się.

*Miki* Matilda rozmawiała właśnie z potencjalnym klientem, dlatego nie miała czasu. Przynajmniej podała swój telefon ojcu Clemencji. Zupełnie spontanicznie Clemencia powiedziała mu, że wybiera się na grób matki i zapytała go:

– Pójdiesz ze mną?

Ojciec milczał kilka ciężkich ponurych sekund, w końcu odpowiedział:

– Nie.

Był starym, zdruzgotanym człowiekiem. Clemencia nie chciała rozdrapywać dawnych ran, a już na pewno nie zamierzała robić mu wyrzutów.

– Dobrze, w porządku. Tak tylko zapytałam.

Ale mimo wszystko zamierzała tam iść. Najpierw musi kupić kwiaty, kilka czerwonych róż, tyle, na ile jej wystarczy pieniędzy, które pożyczy od van Wyka, a potem pojedzie do Katutury na cmentarz. Wolałaby tylko, żeby ktoś jej towarzyszył.

Kiedy z wiązką pięciu róż wyszła z kwaciarni na rogu Independence Avenue/Fidel Castro, zadzwoniła do Clausa Tiedtkego. Właśnie był w drodze, w sprawie reportażu. Podczas robót drogowych przy wjeździe na osiedle Barcelona grupa robotników służb miejskich odkryła skamielinę. To mógł być szkielet jakiegoś prehistorycznego jaszczura. Nie wiadomo nic bliższego, właśnie czekają na jakiegoś południowoafrykańskiego specjalistę, który po obejrzeniu zdjęć chciał natychmiast przyjechać. Mieszkańcy osiedla klną, bo teraz muszą chodzić piechotą przez bramę. Tiedtke pochwalił się, że zebrał już kilka niezłych cytatów. Ale najbardziej zadziwiające jest, z jaką starannością tamci robotnicy odsłanili kości. Po pracownikach komunalnych raczej nikt by się nie spodziewał, że zauważają, kiedy coś niszczą tymi swoimi maszynami. Obojętnie, czy miałyby to być rury wodociągowe, czy skarby archeologiczne.

Clemencia nie zdradziła, że chodzi o jej brata Melvina i jego kolegów. Nie powiedziała też, że samochód Tiedtkego ugrzązł w rzece okresowej pięćdziesiąt kilometrów od Windhuku, a nawet nie poprosiła go, żeby jej towarzyszył, choć po to przecież zadzwoniła. Mieli się jeszcze wkrótce skontaktować.

– Może dzisiaj wieczorem?

– Dobrze, dlaczego nie?

Na piechotę droga do Katutury zajęła jej niecałą godzinę. Brama cmentarza była otwarta. Starzy ludzie nazywali go Golgotą, Clemencia nie miała pojęcia, czy to była oficjalna nazwa cmentarza. Jego przednia część przypominała kamienistą pustynię. Na powierzchni wielkości mniej więcej boiska piłkarskiego nie było żadnych drzew ani krzewów, tylko maleńkie kopczyki z ziemi, które można by uznać za budowle mrówek, gdyby nie



leżały tak blisko siebie w równiutkich rzędach. I gdyby na każdym nie leżał zaokrąglony kamień z numerem. 751, 752, 753. To były groby dzieci. Zmarłe oseski i niemowlęta, więc nie miały nagrobków ani imion, które ktoś mógłby pamiętać. Było ich dużo – o wiele za dużo.

Clemencia zwróciła się w lewą stronę i ruszyła wzdłuż muru. Teren lekko opadał, rosło tu kilka nędznych akacji, numery stały się czterocyfrowe. Coraz więcej nagrobków ukazywało się między kopcami, niektóre spękane albo przewrócone, inne prawie nienaruszone przez słońce i wiatr, niedotknięte zapomnieniem. Na dwóch leżały plastikowe wieńce, ale na żadnym grobie Clemencia nie zauważyła świeżych kwiatów, nie mówiąc o kwiatkach rosnących. Kraj dzielnych ludzi był wystarczająco surowy dla żywych. Nie można było jeszcze troszczyć się o to, czego potrzebują zmarli.

Clemencia przyglądała się różom trzymanym w dłoniach. Głęboka czerwień kwiatów i świeża zieleń łądyg zdawały się tu nie na miejscu. No i co z tego? Grób jej matki będzie więc jedynym grobem ozdobionym świeżymi kwiatami! Gdzieś tutaj musiał być. 5821, 5822. Gdy tylko Clemencia opuści cmentarz, któryś z pracowników na pewno zaraz zgarnie kwiaty, żeby podarować je swojej dziewczynie, żonie, a może matce. A ona potem spróbuje sprzedać je gdzieś przy drodze, żeby za te parę dolarów kupić trochę mąki kukurydzianej. Dlaczego nie? Clemencia chciała tylko położyć tę wiązankę na grobie matki. To już wystarczało.

6216, 6213. Clemencia nie pamiętała dokładnego numeru, ale to musiało być gdzieś tutaj, na południowo-zachodnim krańcu Golgoty. Od jak dawna tu nie była? Po lewej, ten grób z żeliwną barierką, czy to nie obok niego się szło? Pamiętała, że to był mały szary nagrobek, na którym wypisane było

nazwisko jej matki i może jeszcze data urodzin i śmierci, ale nawet tego nie była już pewna. 6554, 6555. Było o wiele za dużo zmarłych. Może powinna zapytać ojca.

Pochyliła się, wygarnęła dłonią trochę żwiru spod przewróconego nagrobka. Ziemia była sucha, ani śladu niedawnego deszczu. Clemencia próbowała podnieść nagrobek, żeby odczytać wypisane na nim nazwisko, ale płyta okazała się za ciężka. Zresztą nagrobek jej matki wyglądał inaczej. Był jaśniejszy, mniejszy. 6808, 6809. Nie, musiała już go minąć. Grób był w głębi cmentarza, pomiędzy innymi, a tutaj przecież zaraz zaczynał się mur cmentarny, niedawno pomalowany na czerwono i żółto. Na jego szczycie siedziało trzech chłopców. Mogli być dwa, trzy lata starsi niż Timothy. Z tyłu ulica, niskie domy, może trochę biedniejsze niż w okolicy Clemencji, ale za to zbudowane z cegły. Osiedla blaszanych baraków zaczynały się trochę dalej.

Clemencia zadzwoniła do *miki* Matildy i poprosiła do telefonu ojca.

– Jesteś już tam? – zapytał.

– Nie pamiętam numeru grobu – powiedziała Clemencia.

– Ja... – zaczął ojciec. – Ja nigdy jej tam nie odwiedzałem, nie byłem ani razu. Po prostu nie mogłem.

6949, 6950.

– Po pogrzebie... – Ojciec urwał.

– Jakoś go znajdę. Nie przejmuj się!

Clemencia szła wzdłuż rzędu nagrobków. 6961, 6962. Niemożliwe, żeby to miało być tak daleko! Powinna zawrócić i jeszcze raz obejrzeć numery z pięcioma tysiącami. Jeszcze tylko ten jeden rząd.

6968. Clemencia się zatrzymała. To nie był grób jej matki, ale może

mógłby się jej spodobać. Był wysypany białym żwirem w obramowaniu z ciemnoszarego granitu. Z takiego samego materiału wykonana była tablica. Na niej białe litery: „Anton Lubowski, 3 lutego 1952 – 12 września 1989. Jesteśmy z ciebie dumni. Twoi rodzice, rodzeństwo i dzieci”.

Na kamińkach leżała przewrócona zardzewiała puszka. Poza tym grób był zadbane. Starannie utrzymany. Prosty. I na pewno trwalszy niż uklepane kopczyki wyrastające z ziemi jak brzydkie wrzody. Które po każdej porze deszczowej mogły zostać zrównane z ziemią. Jeśli zmarły nie mógł znaleźć spokoju, to nie grób był tego przyczyną. Clemencia bardzo mu życzyła owego spokoju. Tylko tyle. Nie chciała zagłębiać się w rozmyślania o prawdzie i kłamstwie, bohaterstwie i zdradzie, sprawiedliwości i fałszywych roszczeniach. Za dużo śmierci, pomyślała.

Clemencia ustawiła puszkę, przesuwała ją z miejsca na miejsce, w końcu całkiem zdjęła ze żwirowej powierzchni. Trzej chłopcy zeszli z muru i z zaciekawieni zbliżali się do niej. Clemencia spróbowała włożyć kwiaty do puszki. Okazała się za niska, a jej otwór za szeroki. Kwiaty rozlatywały się na boki, ich główki smętnie zwisały, wyglądało to żałośnie.

– Co tam robisz? – zapytał jeden z chłopców.

Clemencia ułożyła róże w wachlarz na jasnym żwirze. Teraz wyglądały lepiej.

– Czy twój mąż tu leży? – dociekał dalej chłopiec.

– Nie. – Clemencia potrząsnęła głową. – To grób Antona Lubowskiego.

Chłopiec podrapał się w ramię. Skóra była obtarta, chyba wdało się zakażenie. Potem zapytał:

– A kto to był Anton Lubowski?

## Konieczne posłowie

Odkąd po raz pierwszy usłyszałem o Antonie Lubowskim, jego osoba i śmierć w wyniku zamachu zafascynowały mnie i nie mogłem się uwolnić od tego tematu. Nie liczyłem na to, że po dwudziestu latach uda mi się wyjaśnić tę sprawę, ale też nie spodziewałem się, że poniosę tak spektakularną porażkę. Im dłużej prowadziłem kwerendy, tym ciemniejsze i bardziej sprzeczne stawały się fakty i konteksty. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, że jest to dla mnie szansa. Spróbowałem opisać, co mogłoby wyniknąć z takiego realnego wydarzenia, które, przynajmniej mnie, wydawało się zagadką nie do rozwiązania. *Godzina szakala* jest więc powieścią. Nie rości sobie pretensji do przedstawiania prawdy historycznej, a tylko chce opowiedzieć historię, która zawiera własną prawdę. Sądowego wyjaśnienia tamtych wydarzeń oczywiście nie może zastąpić, ale jeśli przyczyni się do ponownego pochylenia się nad morderstwem Antona Lubowskiego, byłoby to jak najbardziej zgodne z moimi intencjami. Zdaję sobie sprawę, że powieść rozdrapuje dawne rany i u niektórych, w taki czy inny sposób uczestniczących w tamtych wydarzeniach lub nimi

dotkniętych, może wzbudzić chęć protestu. Dlatego chciałbym z całą mocą podkreślić, że występujące w powieści osoby są wyłącznie wytworem mojej wyobraźni, nawet jeśli przypisano im czyny, które rzeczywiście zostały popełnione. Choć Donald Acheson, „Chappies” Maree, „Slang” van Zyl, „Staal” Burger i Ferdi Barnard naprawdę byli agentami CCB, którzy w wyniku postępowania przygotowawczego z 1994 roku obok kilku innych zostali wskazani jako osoby odpowiedzialne za śmierć Antona Lubowskiego.

Donald Acheson po zwolnieniu z aresztu w 1990 roku uciekł do RPA, skąd w 1991 roku został deportowany do Londynu. Od tamtego czasu miejsce jego pobytu jest nieznane.

Ferdi Barnard w 1998 roku został skazany między innymi za zamordowanie aktywnego przeciwnika apartheidu Davida Webstera na karę dożywocia, którą odsiadyuje w centralnym więzieniu w Pretorii.

„Slang” van Zyl, „Staal” Burger i „Chappies” Maree zwrócili się w 2001 roku do południowoafrykańskiej Komisji Prawdy i Pojednania z wnioskiem o ułaskawienie w związku z przestępstwami, które popełniali jako członkowie CCB. Otrzymali odpowiedź odmowną. Poza tym żyją spokojnie w RPA. Burger jest właścicielem plantacji trzciny cukrowej w KwaZulu-Natal, zaś van Zyl pracuje jako prywatny detektyw i z powodzeniem rozwiązuje sprawy, z którymi nie radzi sobie policja. On i „Chappies” Maree lubią pozywać do sądu autorów, którzy przedstawiają ich jako groźnych przestępców.

To, czy ktoś z kierownictwa SWAPO ma sobie coś do zarzucenia w sprawie Antona Lubowskiego, jest w rzeczywistości tak samo niejasne jak w mojej powieści.

Jeżeli ktoś uzna moją powieściową wersję tego, co mogło się zdarzyć, za nadużycie, powinien zwrócić się do sądu. Może doszłoby wtedy do procesu, który wreszcie rzuciłby trochę światła na tamte sprawy i – jak mówi jedna z postaci w książce – „który dla niejednego świadka może się okazać trudniejszy niż dla oskarżonego”.

Nie chciałbym wymieniać tu z nazwiska wszystkich osób, którym winien jestem wdzięczność za okazaną mi pomoc. Dlatego ograniczę się do zbiorowego podziękowania wszystkim ludziom, którzy wspomagali mnie najrozmaitszymi informacjami. Oni wiedzą, kogo mam na myśli. Bez nich niniejsza książka by nie powstała.

- 
- <sup>1</sup> Afrikaans – język powstały na bazie holenderskiego, używany przez Burów w południowej Afryce. Obecnie jest językiem potocznym w znacznej części Namibii (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).
  - <sup>2</sup> *Naartjie* (afrikaans) – rodzaj południowoafrykańskich mandarynek.
  - <sup>3</sup> Katutura – założone w 1959 roku w ramach polityki segregacji rasowej osiedle (township), do którego przymusowo przesiedlono czarną ludność Windhuku.
  - <sup>4</sup> *Miki* (z języka ludu Damara) – określenie ciotki, dokładnie siostry ojca lub żony brata matki. W funkcji wołacza słowo przybiera formę „*mikis*”, bez użycia imienia.
  - <sup>5</sup> *Kwaito* – muzyka powstała w latach 90. w Afryce Południowej, inspirowana hip-hopem. Nazwa pochodzi przypuszczalnie od słów „*kwaai*” (w afrikaans znaczy „złośliwy”, lecz także „cool”) oraz „*to*” od słowa „township”.
  - <sup>6</sup> *Mshasho* (jęz. oshivambo) – ręczna broń palna, a także nazwa znanej namibijskiej wytwórni muzycznej, specjalizującej się w muzyce *kwaito*.
  - <sup>7</sup> Tombo – piwo własnej produkcji, warzone z prosa.
  - <sup>8</sup> *Mevrou* (afrikaans) – pani.
  - <sup>9</sup> NG Kerk (afrikaans) – Nederduits Gereformeerde Kerk, czyli Holenderski Kościół Reformowany, rozpowszechnione w RPA i Namibii wyznanie bliskie kalwinizmowi.
  - <sup>10</sup> *Meneer* (afrikaans) – pan.
  - <sup>11</sup> Wanaheda – graniczący z Katuturą township o nazwie utworzonej z pierwszych liter nazw czterech plemion: Ovambo, Nama, Herero i Damara.
  - <sup>12</sup> SWAPO – South West Africa People’s Organization, utworzona w 1960 roku przez Sama Nujomę i kilku innych bojowników organizacja wyzwolenicza, która w 1966 roku

podjęła zbrojną walkę z południowoafrykańskimi okupantami. Od utworzenia niepodległej Namibii w 1990 roku niepodzielnie sprawuje rządy w tym kraju.

13 Civil Cooperation Bureau (CCB) – nominalnie samodzielna, ale blisko związana z południowoafrykańską armią tajna organizacja istniejąca od 1986 do 1990 roku. Jej głównym zadaniem było brutalne zwalczanie aktywistów walki z apartheidem.

14 Koevoet – istniejąca od 1978 do 1989 roku paramilitarna jednostka policji południowoafrykańskiej, która przy pomocy tubylczych tropicieli śladów zwalczała partyzantkę SWAPO.

15 Rezolucja numer 435 Organizacji Narodów Zjednoczonych – rezolucja Rady Bezpieczeństwa z 29 września 1978 roku, zawierająca postulat utworzenia niepodległego państwa Namibii oraz zobowiązująca RPA do opuszczenia terytorium tego kraju.

16 Rand – waluta RPA o wartości 1 : 1 w stosunku do dolara namibijskiego.

17 Heroe's Acre/Heldenacker – centralne miejsce pamięci poświęcone bohaterom walk o niepodległość Namibii, położone kilka kilometrów na południe od Windhuku.

18 Komisja Prawdy i Pojednania (Truth and Reconciliation Commission) – powstała w 1995 roku w RPA komisja badająca przypadki łamania praw człowieka w czasach apartheidu. Komisja miała także rehabilitować ofiary, a niektórym sprawcom skłonny do współpracy mogła udzielić amnestii.

19 *Ovambo* – pod względem liczebności zdecydowanie największe plemię Namibii; język oshivambo należy do rodziny bantu.

20 Xhosa – plemię południowoafrykańskie należące do grupy językowej bantu.

21 *Baas* (afrikaans) – dawna forma zwracania się czarnej służby do białych. Obecnie rzadziej używana, przeważnie w znaczeniu: przełożony, właściciel farmy.

22 „Vision 2030” – ogłoszony w czerwcu 2004 roku długofalowy program rozwojowy rządu SWAPO, którego celem jest zapewnienie mieszkańcom Namibii poziomu życia porównywalnego z krajami uprzemysłowionymi.

23 *Mieliepap* (afrikaans) – kleik kukurydziany.

24 Damara – namibijskie plemię pochodzenia negroidalnego, ze względu na język i kulturę



zaliczane do ludów Khoisan (grupy obejmującej plemiona Damara, Nama i San, których języki zawierają głoski młaszczące i kliki).

25 RPA de Klerka komisja pod przewodnictwem sędziego Louisa Harmsa, która badała działalność policyjnych komand śmierci.

26 Tsotsi – określenie gangstera używane w townshipach południowej Afryki. Pochodzi przypuszczalnie od słowa „tsotsa” z języka sesotho, oznaczającego rzucający się w oczy ubiór.

27 Położone na wschód od Windhuku sztuczne jezioro, służące do celów rekreacyjnych.

28 Herero – plemię zamieszkujące na terenie Namibii, należące do grupy bantu.

29 Haitisi-Aibeb – bóg ludów Khoisan, odznaczający się wielkim sprytem i zdolnością do odradzania się.

Tytuł oryginału niemieckiego DIE STUNDE DES SCHAKALS

Projekt okładki PIOTR BUKOWSKI

Fotografia na okładce © by GIDEON MENDEL / GALERIES / CORBIS /  
FOTOCHANNELS

Copyright © 2010 by ROWOHLT VERLAG GMBH, REINBEK BEI HAMBURG

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2013

Copyright © for the Polish translation by ALICJA ROSENAU, 2013

Redakcja MAŁGORZATA POŹDZIK / [D2D.PL](http://D2D.PL)

Korekta BARBARA PAWLIKOWSKA / [D2D.PL](http://D2D.PL),

KAMIŁA ZIMNICKA-WARCHOŁ / [D2D.PL](http://D2D.PL)

Redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / [D2D.PL](http://D2D.PL)

Skład wersji elektronicznej: MAGDALENA WOJTAS / [VIRTUALO SP. Z O.O.](http://VIRTUALO.SP.ZO.O)

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.

[www.czarne.com.pl](http://www.czarne.com.pl)

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

tel. +48 18 351 00 70

e-mail: [redakcja@czarne.com.pl](mailto:redakcja@czarne.com.pl)

Sekretarz redakcji: [malgorzata@czarne.com.pl](mailto:malgorzata@czarne.com.pl)

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, [iza@czarne.com.pl](mailto:iza@czarne.com.pl)

Wołowiec 2013

Wydanie I

**Więcej ebooków i audiobooków na chomiku**  
[JamaNiamy](http://JamaNiamy)